



millennium

DAVID POWIEŚĆ KRYMINALNA
LAGERCRAANTZ

TA, KTÓRA MUSI UMRZEĆ

KONTYNUACJA BESTSELLEROWEJ

TRYLOGII MILLENNIUM STIEGA LARSSONA

DAVID
LAGERCRAINTZ
TA, KTÓRA MUSI UMRZEĆ

Przekład: Inga Sawicka

WYDAWNICTWO CZARNA OWCA
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginalny: *HON SOM MÅSTE DÖ*

Redakcja: Anna Brzezińska
Projekt okładki: Jörgen Einéus
Adaptacja okładki: Magda Kuc
Korekta: Beata Wójcik, Maria Osińska
Redaktor prowadzący: Bartłomiej Nawrocki

HON SOM MÅSTE DÖ © David Lagercrantz & Moggleden AB, first published by Norstedts, Sweden, in 2019.

Published by agreement with Norstedts Agency.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Copyright © for the Polish translation by Inga Sawicka, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 9788380153875

![logo-czarna-owca]

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 2519; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA
KARTA REDAKCYJNA

PROLOG

NIEZNANI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

LÓD GÓR

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

SŁUGA DWÓCH PANÓW

ROZDZIAŁ 25

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA OD AUTORA](#)

PROLOG

LATEM W DZIELNICY pojawił się nowy żebrak. Nikt nie wiedział, jak się nazywa, zresztą nikogo to nie obchodziło, chociaż młoda para, która mijała go co rano, nazywała go szalonym karłem, co przynajmniej w połowie było niesłuszne. Bo w sensie medycznym nie był karłem. Miał sto pięćdziesiąt cztery centymetry wzrostu i był proporcjonalnej budowy. Natomiast rzeczywiście był chory psychicznie i czasem zrywał się, by łąpać kogoś, a potem mówił coś bez związku.

Przeważnie jednak przesiadywał na kawałku kartonu na Mariatorget tuż obok fontanny z rzeźbą boga Thora i wtedy czasem nawet budził szacunek. Podniesiona głowa i wyprostowana sylwetka nadawały mu wygląd wodza, wprawdzie upadłego, lecz ten wygląd był jego jedynym kapitałem, dzięki niemu rzucano mu jeszcze a to monetę, a to banknot. Ludziom wydawało się, że rozpoznają w nim utraconą wielkość, i nie mylili się. Istotnie był czas, kiedy nisko mu się kłaniano.

Jednak od dawna był pozbawiony wszystkiego, a jego sytuacji nie poprawiała widoczna na policzku czarna plama, jakby sama śmierć odcisnęła swój ślad. Uwagę zwracała właściwie tylko jego kurtka puchowa. Niebieska i droga, Marmot Parka. Nie dodawała

mu normalności, nawet nie dlatego, że pokryta była brudem i resztkami jedzenia. Wyglądała na arktyczną, a w Sztokholmie było lato. Nad miastem zalegał duszny upał, a kiedy po policzkach mężczyzny spływał pot, ludzie patrzyli z zakłopotaniem na kurtkę, jakby na sam jej widok upał stawał się jeszcze dokuczliwszy. Mimo to mężczyzna nigdy jej nie zdejmował.

Był stracony dla świata, nie wydawało się prawdopodobne, aby mógł stanowić zagrożenie dla kogokolwiek. Na początku sierpnia w jego spojrzeniu pojawiła się wyraźniejsza świadomość celu, a jedenastego po południu nabazgrał jakąś pogmatwaną historię na poliniowanej kartce A4, którą wieczorem przykleił do wiaty przystanku autobusowego przy Stockholms södra.

Był to fantasmagoryczny opis potwornej nawałnicy. Młodej lekarce stażystce Else Sandberg, czekającej na autobus linii numer 4, udało się mimo to odszyfrować fragment samego wstępu, zauważyła również, że został w nim wymieniony pewien członek rządu. Przede wszystkim jednak skupiła się na zdiagnozowaniu autora, według niej była to schizofrenia paranoidalna. Dziesięć minut później wsiadła do autobusu i o wszystkim zapomniała, zostało tylko trochę niemiłe uczucie. Jakby coś w rodzaju klątwy Kasandry. Nikt temu człowiekowi nie uwierzył, ponieważ prawda, którą sformułował, była tak zamotana w szaleństwo, że prawie nie dało się jej dostrzec. Widocznie jednak przesłanie gdzieś dotarło, bo następnego ranka podjechało niebieskie audi, z którego wysiadł facet w białej koszuli i zerwał kartkę.

W sobotnią noc piętnastego sierpnia zebrak udał się na Norra Bantorget po wódkę z meliny. Spotkał tam drugiego pijaka, starego

robotnika fabrycznego Heikkiego Järvinena z Ostrobotni w zachodniej Finlandii.

– Cześć, bracie. Bardzo cię przypiliło? – spytał Järvinen.

Nie dostał odpowiedzi, przynajmniej nie od razu. Potem nastąpiła długa perora, którą Heikki odebrał jako stek kłamstw i przechwałek, więc warknął „gówno prawda” i dodał niepotrzebnie – co sam potem przyznał – że gość wygląda jak „czing czong Chińczyk”.

– *Me Khamba-chen, I hate China!* – ryknął żebrak.

Rozpętało się istne piekło. Pozbawioną palców pięścią grzmotnęła Järvinena i choć nie był to cios świadczący o jakimś przygotowaniu, nie mówiąc o wyszkoleniu, była w nim moc i powaga. Heikkiemu leciała krew z ust i strasznie kłął po fińsku, gdy zataczając się, schodził do centralnej stacji metra.

Żebraka widziano potem w jego stałej okolicy, był bardzo pijany i wyraźnie źle się czuł. Z ust ciekła mu ślina, trzymał się za gardło i mamrotał pod nosem.

– *Very tired. Must find a dharamsala, and an lhawa, very good lhawa. Do you know?*

Nie czekając na odpowiedź, lunatycznym krokiem przeciął Ringvågen, wyrzucił półlitrówkę bez etykiety i zniknął wśród zieleni Tantolunden. Nie bardzo wiadomo, co było dalej, ale wczesnym rankiem spadł niewielki deszcz i wiało z północy. O ósmej wiatr ucichł, niebo się przejaśniło, mężczyzna siedział na piętach oparty o pień brzozy.

Na ulicy trwały przygotowania do Biegu o Północy. W dzielnicy panował nastrój zabawy. Żebrak był martwy, w powietrzu unosiła

się radość i nikogo nie obchodziło, że miał za sobą życie pełne przygód i bohaterskich czynów, a jeszcze mniej, że kochał tylko jedną jedyną kobietę, która również umarła w straszliwej samotności.

CZĘŚĆ 1

NIEZNANI

Wielu umiera bezimiennie, a niektórzy nie mają nawet grobu.

Innym dostaje się biały krzyż wśród tysięcy innych, jak na amerykańskim cmentarzu wojennym w Normandii.

Nielicznym poświęca się cały pomnik, jak Grób Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu albo w Ogrodzie Aleksandrowskim w Moskwie.

ROZDZIAŁ 1

15 SIERPNIA

PISARKA Ingela Dufva pierwsza odważyła się podejść do drzewa, gdzie przekonała się, że mężczyzna nie żyje. Było wtedy wpeł do dwunastej. Wokół śmierdziało, roje much i komarów krążyły z głośnym brzęczeniem. Ingela Dufva powiedziała później, że w siedzącej postaci było coś wzruszającego, ale nie mówiła całej prawdy.

Przed śmiercią mężczyzna wymiotował i miał ostrą biegunkę. A więc raczej nie poczuła wzruszenia, tylko obrzydzenie i lęk przed własną śmiertelnością. Również przybyli kwadrans później funkcjonariusze patrolu, Sandra Lindevall i Samir Eman, nie mogli traktować swego zadania inaczej jak karę.

Obfotografowali ciało i przeszukali pobliskie zarośla, ale nie dotarli do pochyłości poniżej Zinkens väg, gdzie leżała wyrzucona półlitrowka po wódce z cienką warstewką osadu na dnie, i choć wydawało im się, że „zdarzenie nie wygląda na zbrodnię”, starannie obejrzelili głowę nieboszczyka i klatkę piersiową. Nie znaleźli żadnych śladów przemocy ani innych podejrzanych oznak, jeśli nie liczyć gęstej śliny, która wyciekła mu z ust, więc po naradzie z przełożonymi postanowili nie odgradzać miejsca taśmą.

Czekając na karetkę, która miała zabrać ciało, przeszukali

kieszenie niekształtnej kurtki puchowej. Było tam mnóstwo przezroczystych papierków z kiosków sprzedających hot dogi, trochę monet, banknot dwudziestokoronowy i kwit ze sklepu papierniczego na Hornsgatan, ale żadnej legitymacji ani dowodu osobistego.

Mimo to byli przekonani, że ustalenie tożsamości tego człowieka, któremu nie brakowało znaków szczególnych, będzie całkiem proste. Jak często bywa, było to przekonanie błędne. W Zakładzie Medycyny Sądowej w Solnie, gdzie przeprowadzono sekcję, wykonano też zdjęcia rentgenowskie zębów. Jednak w policyjnych rejestrach nie było ani odpowiedników tych zdjęć, ani odcisków palców, a więc po przesłaniu próbek do NFC, Narodowego Centrum Ekspertyz Sądowych, lekarka sądowa Fredrika Nyman – mimo że nie należało to do jej obowiązków – sprawdziła kilka numerów telefonów, zapisanych na zmiętej karteczce z kieszeni spodni denata.

Jeden należał do Mikaela Blomkvista z pisma „Millennium”. Przez kilka godzin w ogóle o tym nie myślała. Jednak wieczorem, po wyjątkowo przykrej kłótni z jedną ze swoich nastoletnich córek, przypomniała sobie, że w ciągu ostatniego roku miała aż trzy sekcje zwłok, które zostały pochowane bezimiennie, i wtedy skłęła swoją pracę, i ogólnie życie.

Skończyła czterdzieści dziewięć lat, była samotną matką dwóch córek, dokuczały jej bóle kręgosłupa i bezsenność, do tego zmagiała się z poczuciem braku sensu życia; i choć sama nie wiedziała dlaczego, zadzwoniła do Mikaela Blomkvista.

ZABRZĘCZAŁ TELEFON. Nieznany numer, Mikael postanowił nie zwracać uwagi. Właśnie wyszedł z mieszkania i podążał w dół Hornsgatan w stronę Slussen i Starego Miasta, ale bez celu. Ubrany w szare lniane spodnie i nieuprasowaną koszulę dżinsową, przez dłuższy czas krążył po uliczkach, w końcu usiadł w jakimś ogródku piwnym na Österlånggatan i zamówił guinnessa.

Była siódma wieczorem, ale jeszcze ciepło, od strony Skeppsholmen dochodziły śmiechy i oklaski, Mikael spojrzał w niebo, poczuł łagodną bryzę od zatoki i próbował wmawiać sobie, że jednak życie nie jest złe. Nie bardzo mu się to udawało, nie pomogło ani jedno piwo, ani drugie, w końcu mruknął coś pod nosem, zapłacił i ruszył do domu, żeby znów popracować, a może zagłębić się w jakiś serial albo lekturę kryminału.

Po chwili jednak zmienił zdanie i pod wpływem impulsu ruszył w stronę Mosebacke i Fiskargatan. Przy Fiskargatan 9 mieszkała Lisbeth Salander. Mikael nie miał wielkich nadziei, że ją zastanie. Po pogrzebie swego dawnego opiekuna Holgera Palmgrena podróżowała po Europie i tylko od czasu do czasu odpowiadała na maile i esemesy Mikaela. Mimo to postanowił zaryzykować i zadzwonić do jej drzwi, dlatego wszedł na schody prowadzące z rynku i ze zdumieniem spojrzał na dom znajdujący się naprzeciwko. Całą ścianę pokrywało nowe duże graffiti. Nie poświęcił mu większej uwagi, chociaż rysunek był tego wart, pełen surrealistycznych szczegółów, takich jak śmieszny człowieczek w spodniach w kratę, stojący boso na zielonym wagonie metra.

Zamiast tego wystukał numer kodu mieszkania Lisbeth, potem wszedł do windy i łypnął w lustro. Błada twarz, zapadnięte oczy, nie

było po nim widać, że lato było gorące i słoneczne. Pomyślał o krachu na giełdzie, nad którym pracował przez cały lipiec. Ważny temat, bez wątplenia, bo krach był skutkiem nie tylko przeszacowania aktywów i zbyt dużych oczekiwań, ale również ataków hakerskich i kampanii dezinformacyjnych. Jednak w tym momencie zajmowali się tym wszyscy liczący się dziennikarze śledczy i choć Mikaelowi udało się sporo wyszperać – między innymi ustalić, która z rosyjskich fabryk trolli rozsiewała największe kłamstwa – to teraz uznał, że świat poradzi sobie bez niego. Chyba powinien po prostu wziąć urlop, zacząć ćwiczyć i może zaopiekować się lepiej Eriką, która właśnie rozwodzi się z Gregerem.

Winda stanęła, Mikael rozsunął kratę i wysiadł na piętrze, coraz bardziej przekonany, że przychodzenie tutaj jest bez sensu. Lisbeth na pewno wyjechała i ma go gdzieś. Ale już w następnej chwili zaniepokoił się. Drzwi do mieszkania były otwarte na oścież i w tym samym momencie odżył w nim dręczący go przez całe lato strach, że wrogowie w końcu ją dopadną. Krzycząc „halo, halo”, wpadł do środka, gdzie poczuł zapach farby i środków czyszczących.

Nie wszedł daleko. Usłyszał kroki. Za jego plecami na schodach ktoś sapał jak parskający byk, wtedy odwrócił się i zobaczył dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w granatowych drelichach, którzy nieśli jakiś wielki przedmiot. Mikael był tak rozemocjonowany, że nie docierało do niego, na co patrzy.

– Co wy tu robicie? – spytał.

– A na co to wygląda?

Wyglądało na dwóch facetów od przeprowadzek, niosących niebieską designerską kanapę, a Lisbeth – o czym akurat wiedział bardzo dobrze – nie interesowała się dizajnem ani urządzeniem wnętrza, więc właśnie miał coś powiedzieć, kiedy usłyszał głos dochodzący z głębi mieszkania. W pierwszej chwili pomyślał, że to Lisbeth, i już się rozpromienił. Było to jednak myślenie życzeniowe, bo głos nawet nie przypominał głosu Lisbeth.

– Proszę, co za gość. Czym sobie zasłużyłam na ten zaszczyt?

Znów się odwrócił, stojąca na progu wysoka czarnoskóra kobieta około czterdziestki obserwowała go z rozbawieniem. Ubrana w dzinsy i elegancką szarą bluzkę, miała włosy zaplecione w warkoczyki i lekko skośne, błyszczące oczy. Mikael poczuł się jeszcze bardziej zdezorientowany. Czyżby ją skądś znał?

– Ja tylko... – mruknął.

– Tylko...

– Pomyliłem piętra.

– A może pan nie wiedział, że ta młoda dama sprzedała swoje mieszkanie?

Rzeczywiście nie wiedział, zrobiło mu się tym bardziej głupio, że kobieta nadal się uśmiechała; prawie mu ulżyło, kiedy upomniała facetów niosących kanapę, żeby nie obili framug, i weszła za nimi w głąb mieszkania. Chciał się ulotnić, przetrwać tę informację i napić się jeszcze guinnessa. A jednak stał jak wrośnięty, wpatrując się we wrzutnię na listy, gdzie nie było już napisu V-kulla, tylko Linder. Kim, u diabła, jest Linder? Wygugłował nazwisko na smartfonie i na wyświetlaczu zobaczył jej zdjęcie.

Kadi Linder. Próbował przypomnieć sobie, co o niej wie, choć

było to niewiele: psycholożka i zawodowa członkini rozmaitych zarządów, przede wszystkim jednak myślał o Lisbeth i ledwo zdążył się trochę pozbierać, gdy Kadi Linder znów stanęła w drzwiach; teraz patrzyła nie tylko z rozbawieniem, ale również ze zdziwieniem, taksując go wzrokiem. Szczupła, miała wąskie przeguby i wyraźnie zaznaczone kości obojczyka, pachniała lekko perfumami.

– Niech pan się przyzna. Naprawdę pan pomylił piętra?

– Pominę to pytanie – odparł i od razu się zorientował, że to niewłaściwa odpowiedź.

Sądząc po jej uśmiechu, przejrzała go, że chce się z tego możliwie gładko wyplątać. Nic nie byłoby w stanie skłonić go do ujawnienia, że Lisbeth mieszkała tu pod przybranym nazwiskiem, niezależnie od tego, co na ten temat wiedziała Kadi Linder.

– Co raczej nie wpływa na zmniejszenie mojej ciekawości – skomentowała.

Zaśmiał się, jakby chodziło o jakąś błażostkę.

– Czyli nie przyszedł pan, żeby mi się bliżej przyjrzeć? – ciągnęła. – Bo to mieszkanie bynajmniej nie jest tanie.

– Myślę, że dam pani spokój, chyba że podrzuciła pani komuś do łóżka odcięty łeb koński.

– Nie pamiętam wprawdzie wszystkich szczegółów umowy, ale takiego zapisu chyba nie było.

– Świetnie. W takim razie życzę wszystkiego dobrego – powiedział, udając niefrasobliwość, i zamierzał pójść za wychodzącymi właśnie facetami od przeprowadzki.

Jednak Kadi Linder najwyraźniej chciała jeszcze porozmawiać,

nerwowo przebierała palcami po bluzce, potem po warkoczach. Pomyślał, że to, co wziął u niej za irytującą pewność siebie, w gruncie rzeczy miało przykryć coś zupełnie innego.

– Znasz ją? – spytała.

– Kogo?

– Tę, co tu mieszkała?

Odpowiedział pytaniem na pytanie.

– A ty?

– Nie – odparła. – Nawet nie wiem, jak się nazywa. I tak ją lubię.

– Dlaczego?

– Bo mimo chaosu, jaki wtedy panował na giełdzie, chętni na to mieszkanie mocno się licytowali, nie miałam z nimi szans, więc zrezygnowałam. Ale i tak je dostałam, ponieważ „młoda dama” – jak powiedział o niej adwokat – tak sobie życzyła.

– Zabawne.

– Prawda?

– Może zrobiłaś coś takiego, co spodobało się tej młodej damie?

– Jestem znana raczej z tego, że wyklócam się z facetami w zarządach.

– Możliwe, że jej się to podoba.

– Możliwe. Zapraszam cię na przesiedleńcze piwo, może coś mi opowiesz. Muszę powiedzieć, że... – Zawahała się. – Zachwyił mnie twój reportaż o bliźniakach. Niesłychanie poruszający.

– Dzięki. Miło mi, ale muszę iść.

Kiwnęła głową, Mikael wydusił z siebie „no to cześć”. Poza tym ledwo pamiętał, jak stamtąd wyszedł, tyle tylko, że był letni wieczór. Zupełnie nie zwrócił uwagi na dwie nowe kamery

monitoringu nad wejściem do klatki schodowej, ani nawet na wielki balon unoszący się na niebie. Przeciął Mosebacke, ruszył w dół Urvädersgränd i dopiero kiedy doszedł do Götgatan, zwolnił trochę i poczuł, jakby całkiem zeszło z niego powietrze, chociaż nie stało się nic ponad to, że Lisbeth się wyprowadziła, z czego powinien się cieszyć. Będzie bezpieczniejsza. Jednak zamiast się cieszyć, miał wrażenie, jakby dostał po pysku, co oczywiście było zupełnie idiotyczne.

Taka właśnie była Lisbeth Salander. Mimo to poczuł się dotknięty. Mogłaby chociaż dać mu coś do zrozumienia. Znów sięgnął do smartfona, żeby wysłać do niej esemesa z pytaniem, jednak nie, zostawił to. Szedł w dół Hornsgatan, gdzie zobaczył, że najmłodszy uczestnicy Biegu o Północy już ruszyli, zagrzewani okrzykami przez rodziców stojących na chodnikach, co obserwował z pewnym zadziwieniem, jakby nie rozumiał ich radości; musiał się dobrze postarać, żeby przejść przez ulicę, lawirując między biegaczami. Na Bellmansgatan wciąż błędził myślami i przypominał sobie swoje ostatnie spotkanie z Lisbeth.

Było to w restauracji Kvarnen, w wieczór po pogrzebie Holgera, ani jemu, ani jej słowa nie przychodziły łatwo, co wcale nie było dziwne, więc jedyne, co mu utkwiło w pamięci z tego spotkania, to jej odpowiedź na pytanie:

- To co teraz zamierzasz?
 - Być kotem, a nie myszą.
- Kotem, a nie myszą.*

Usiłował skłonić ją do wyjaśnień. Bez powodzenia. Przypominał sobie, jak potem odeszła, idąc przez Medborgarplatsen, ubrana

w czarny spodnium szyty na miarę, przypominała w nim podrostka, wściekłego, że musiał się wystroić na uroczystość. Nie było to wcale tak dawno temu, w początkach lipca, a jednak wydawało się całkiem odległe w czasie; idąc do domu, właśnie rozmyślał o tym i o innych sprawach. Kiedy w końcu wszedł do mieszkania i zasiadł na kanapie z butelką pilsnera, znów zadzwonił telefon.

Była to lekarka sądowa, Fredrika Nyman.

ROZDZIAŁ 2

15 SIERPANIA

LISBETH SALANDER siedziała w pokoju hotelowym przy placu Maneżowym w Moskwie i na laptopie zobaczyła, jak Mikael wychodzi z bramy na Fiskargatan. Jego postawa nie wyrażała zwykłej pewności siebie, wydawał się zagubiony, aż ją od tego zakłuło w sercu, chociaż sama nie rozumiała dlaczego i nie chciało jej się dowieść. Podniosła wzrok znad ekranu i spojrzała na lśniąca kolorami szklaną kopułę za oknem.

Miasto, wcześniej jej obojętne, zaczęło ją pociągać, zastanawiała się, czy nie machnąć ręką na wszystko, pójść gdzieś i upić się. Nonsens. Wiedziała, że musi się trzymać w ryzach. Niemal nie odchodziła od laptopa i prawie nie spała. Paradoksalnie jednak od dawna nie wyglądała tak porządnie. Świeżo ostrzyżone krótkie włosy. Nigdzie żadnych kolczyków, ubrana w białą bluzkę i czarny spodniem, jak na pogrzebie, nawet nie dlatego, by uhonorować Holgera, tylko zdążyła się do tego stroju przyzwyczaić, zresztą w ten sposób wtapiała się lepiej w otoczenie.

Postanowiła, że zamiast czekać w jakimś kącie jak ścigana zwierzyna, sama zada pierwsze uderzenie, dlatego znalazła się w Moskwie i dlatego zadbała o zainstalowanie kamer monitoringu na Fiskargatan w Sztokholmie. Cena, jaką za to płaciła, była

wyższa, niż się spodziewała. Nie tylko dlatego, że rozdrapała przeszłość i nie mogła spać po nocach. Wróg ukrywał się za zasłonami dymnymi i arcyskomplikowanymi szyframi, więc spędzała całe godziny na zacieraniu własnych śladów. Żyła jak zbiegły więzień, szukała tego wroga i nic nie przychodziło jej łatwo, dopiero teraz, po przeszło miesiącu pracy, znalazła się bliżej celu. Jednak wciąż nie miała pewności i czasem się zastanawiała, czy wróg mimo wszystko nie wyprzedza jej o krok.

Rozpoznając teren i przygotowując swoją operację, czuła się obserwowana, a nocami nasłuchiwała niespokojnie odgłosów w korytarzu, zwłaszcza kroków jednego mężczyzny – bo była pewna, że to mężczyzna – który poruszał się z wyraźną dysmetrią i często zwalniał pod jej drzwiami, jakby nasłuchiwał.

Jeszcze raz obejrzała nagranie. Mikael Blomkvist z miną smutnego psa ponownie wyszedł z domu na Fiskargatan. Myśląc o tym, dopiła whisky i spojrzała w okno. Ciemne chmury przesunęły się nad siedzibą Dumy Państwowej w stronę placu Czerwonego i Kremla, zbierało się na deszcz, nawet na wielką burzę. Może i dobrze. Wstała, zastanawiając się, czy wziąć prysznic czy kąpiel. Ostatecznie poprzestała na zmianie bluzki koszulowej. Wybrała czarną. Uznała, że jest odpowiednia. Ze skrytki w walizce wyjęła swoją cheetah, berettę kupioną nielegalnie już drugiego dnia po przyjeździe do Moskwy, włożyła ją do kabury pod żakietem i spojrzała na pokój.

Nie podobał jej się, zresztą hotel też nie. Za bardzo zbytkowy i wymyślny, a w pomieszczeniach na parterze poruszali się nie tylko mężczyźni przypominający jej ojca, megalomańscy dranie,

którzy zachowywali się jak właściciele swoich kochanek i podwładnych. Stale obserwowało ją wiele par oczu, jej słowa mogły zostać przekazane dalej specsłużbom albo gangsterom, więc często siedziała tak jak teraz, z zaciśniętymi pięściami i gotowa do walki.

Poszła do łazienki i ochlapała sobie twarz wodą. Niewiele pomogło. Miała czoło napięte na skutek bezsenności i bólu głowy. Czy powinna iść? Chyba mogłaby już teraz? Chwilę nasłuchiwała, z korytarza nie dochodziły żadne odgłosy, wyszła. Jej pokój znajdował się na dwudziestym piętrze, do windy miała niedaleko. Stał tam mężczyzna około czterdziestu pięciu lat. Elegancki, ostrzyżony, w dżinsach, skórzanej kurtce i czarnej koszuli, jak ona. Już go widziała. Miał jakieś dziwne oczy – błyszczące i w różnym kolorze. Nie zawracała sobie tym głowy.

Spuściła wzrok i zjechała razem z nim na dół, wyszła do westybulu i potem na plac, gdzie spojrzała w stronę lśniącej w ciemności wielkiej szklanej kopuły z obracającą się mapą świata. Pod nią znajdowało się czteropiętrowe centrum handlowe. Na szczycie kopuły stał pomnik Świętego Jerzego ze smokiem. Patron Moskwy, Święty Jerzy z uniesionym mieczem, był obecny w całym mieście. Lisbeth czasem sięgała dłonią do łopatki, jakby chciała ochronić swego osobistego smoka, a czasem dotykała miejsca po starej ranie postrzałowej barku i blizny po nożu na biodrze. Może chciała przypomnieć sobie, co ją bolało.

Wróciła myślami do pożarów i wypadków, do swojej mamy, ale cały czas pamiętała, by nie znaleźć się w polu widzenia kamer monitoringu. Jej kroki były nierówne i spięte, szła pospiesznie, nie

zwalniając, w stronę ulicy Twerskiej, szerokiego reprezentacyjnego bulwaru z parkami i ogrodami, aż doszła do Versailles, jednej z najelegantszych restauracji w mieście.

Miejsce to wyglądało jak barokowy pałac z kolumnami, złotymi ornamentami i kryształami, jeden wielki lśniący pastisz stylu XVII wieku, Lisbeth najchętniej by stamtąd uciekła. Ale tego wieczoru miał się tam odbyć bankiet dla największych moskiewskich bogaczy, z daleka widziała toczące się w środku przygotowania. Na razie nie było innych gości poza stadkiem pięknych młodych kobiet, zapewne zamówionych call girls. Personel uwijał się, zaprowadzając ostatnie porządki. Lisbeth podeszła bliżej i wtedy zobaczyła właściciela.

Władimir Kuzniecowa w białym smokingu i lakierkach stał przy wejściu, nie był stary, bo miał niecałe pięćdziesiąt lat, ale z białymi włosami, brodą i pękatym brzuchem kontrastującym z chudymi nogami wyglądał jak Święty Mikołaj. Według oficjalnej wersji był bohaterem wyidealizowanej opowieści o byłym złodziejaszku, który się nawrócił i został znakomitym szefem kuchni, specjalistą od pieczenia z niedźwiedzia i sosów grzybowych. A w tajemnicy kierował kilkoma fabrykami trolli produkującymi fałszywe informacje, często z antysemickim podtekstem. Kuzniecowa był nie tylko sprawcą rozmaitych zawirowań, mieszał również przy wyborach i do tego miał krew na rękach.

Robiąc wielki biznes z hejtu, stworzył warunki do masowych morderstw. Na sam jego widok przy drzwiach restauracji Lisbeth poczuła się umocniona w swoich zamiarach, dotknęła beretty i obejrzała się. Kuzniecowa skubał nerwowo brodę. Miał to być jego

wielki wieczór, w środku już grał kwartet smyczkowy, później miał go zastąpić jazzband Russian Swing.

Przed wejściem pod czarnym rozsuwanym daszkiem rozłożony był czerwony dywan, wzdłuż odgradzających lin stali gęsto ochroniarze w szarych garniturach, wszyscy uzbrojeni i z miniaturowymi słuchawkami w uszach. Kuzniecowa spojrzał na zegarek. Żaden gość się jeszcze nie pojawił, może to rodzaj swoistej gry, bo nikt nie chce przyjść pierwszy.

Natomiast na ulicy już tłoczyli się gapie. Widocznie rozeszło się, że zaraz zjawią się jacyś ważni ludzie. No i bardzo dobrze, pomyślała, łatwiej będzie zniknąć w tłumie. Wtedy jednak spadł deszcz, najpierw w postaci mżawki, która po chwili przeszła w ulewę. W oddali błysnęło, zagrzmiało i ludzie się rozeszli. Wytrwali nieliczni z parasolami, a wkrótce potem pojawiły się pierwsze limuzyny z gośćmi. Kuzniecowa witał ich, kłaniając się, a jedna ze stojących obok kobiet odhaczała ich w czarnym notesie; restauracja zapełniała się powoli mężczyznami w średnim wieku i jeszcze większą liczbą młodych kobiet.

Lisbeth słyszała dochodzący stamtąd gwar mieszający się z muzyką zespołu smyczkowego, co pewien czas migały jej osoby, na które natknęła się podczas swojego rozpoznania, odnotowała zmiany w mimice i ruchach Kuzniecowa w zależności od znaczenia i rangi przybywających. Obdarzał ich uśmiechem i ukłonem, na jaki według niego zasługiwali, a tych najważniejszych również żartem, chociaż śmiał się przeważnie sam.

Uśmiechał się i rechotał jak błazen, Lisbeth tymczasem stała zmoknięta i zastygła, obserwując ten spektakl, który chyba aż za

bardzo ją wciągnął. Jeden z ochroniarzy zwrócił na nią uwagę, kiwając głową koledze; niedobrze, całkiem niedobrze, udała więc, że odchodzi, ale skryła się w bramie nieco dalej, gdzie zorientowała się, że ręce jej się trzęsą, choć raczej nie z zimna i wilgoci.

Zdała sobie sprawę, że jest spięta do granic wytrzymałości, sięgnęła po komórkę, by sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane jak trzeba. Atak musi nastąpić w ściśle określonym momencie, wiedziała, że w przeciwnym razie zginie, sprawdziła więc wszystko jeszcze raz, potem drugi i trzeci. Czas jednak płynął, a ją zaczęło ogarniać zwątpienie. Deszcz wciąż padał, nic się nie działo, coraz bardziej wyglądało to na kolejną straconą szansę.

Chyba wszyscy zaproszeni już przyjechali. Nawet Kuzniecowa wszedł do środka, wtedy wyszła ostrożnie i zajrzała do restauracji. Impreza trwała na całego. Mężczyźni już zaczęli wlewać w siebie szoty i macać dziewczyny. Lisbeth postanowiła wrócić do hotelu.

W tym samym momencie podjechała jeszcze jedna limuzyna, dama przy drzwiach pobiegła po Kuzniecowa, który wypadł z restauracji z czołem mokrym od potu i kieliszkiem szampana w ręce. Lisbeth postanowiła, że jednak zostanie. Najwyraźniej gość był ważny, sądząc po twarzach ochroniarzy i nerwowym poruszeniu, jak również po głupiej minie Kuzniecowa. Lisbeth wycofała się do bramy, ale z limuzyny nikt nie wysiadł.

Kierowca nie wybiegł w deszcz, by otworzyć drzwi. Samochód po prostu stał, Kuzniecowa poprawił ręką włosy i muchę, wytarł czoło, wciągnął brzuch, opróżnił kieliszek; w tym momencie Lisbeth przestała dygotać. W spojrzeniu Kuzniecowa ujrzała coś aż nazbyt znajomego, więc już się nie wahała, tylko uruchomiła swój

atak hakerski.

Schowała komórkę do kieszeni, kody programujące pracowały już za nią, rozejrzała się bacznie, notując starannie każdy szczegół w najbliższym otoczeniu, mowę ciała ochroniarzy i ich dłonie blisko broni, odstępy, w jakich stali wzdłuż czerwonego dywanu, nierówności i kałuże na chodniku.

Stała nieruchomo, jak osłupiała, obserwując to wszystko, aż kierowca wysiadł z limuzyny, rozłożył parasol i otworzył tylne drzwi. Wtedy podeszła posuwistym krokiem jak kot, z ręką na pistolecie pod żakietem.

ROZDZIAŁ 3

15 SIERPNIA

MIKAEL MIAŁ NIECHĘTNY stosunek do swojej komórki, powinien dawno temu zastrzec numer. Ciągłe się przed tym wzbraniał, bo jako dziennikarz nie chciał odgradzać się od społeczeństwa. Męczyły go jednak niekończące się rozmowy, poza tym wyczuwał jakąś zmianę, i to tylko w ciągu ostatniego roku.

Zmiana polegała na zdecydowanej brutalizacji. Dzwoniący wyzywali go, krzyczeli do słuchawki albo opowiadali niestworzone historie. W zasadzie przestał odbierać telefony z nieznanego numeru. Niech sobie komórka brzęczy albo dzwoni; kiedy mimo to odbierał, jak teraz, krzywił się podświadomie.

– Blomkvist, słucham – powiedział, wyciągając gwałtownie piwo z lodówki.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się kobiecy głos. – Może zadzwonię później?

– Nie, skądże – odparł łagodniejszym tonem. – O co chodzi?

– Nazywam się Fredrika Nyman, jestem lekarką w Zakładzie Medycyny Sądowej w Solnie.

Przeraził się.

– Co się stało?

– Nic się nie stało, poza tym co zwykle, na pewno nie ma to nic

wspólnego z panem. Ale przywieźli nam ciało...

– Kobiety? – przerwał jej.

– Nie, nie, mężczyzny, jak najbardziej. To znaczy, chyba dziwnie to zabrzmiało? W każdym razie chodzi o mężczyznę około sześćdziesiątki, może nieco młodszego, po strasznych przejściach. Faktem jest, że nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

– Może pani być tak miła i przejść do rzeczy?

– Przepraszam, nie chciałam pana zaniepokoić. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł go pan znać. Był bezdomny, to oczywiste, z samego dołu hierarchii, nawet w tym środowisku.

– A więc co miał wspólnego ze mną?

– W kieszeni miał kartkę z pana numerem telefonu.

– Wielu ludzi go ma – zauważył z irytacją, ale zaraz zrobiło mu się głupio.

Poczuł, że zachował się nietaktownie.

– Domyślam się – ciągnęła Fredrika Nyman. – Pewnie ciągle do pana wydzwanają. Ale ta sprawa nabrała dla mnie osobistego charakteru.

– W jakim sensie?

– Sądzę, że śmierć zasługuje na szacunek nawet w przypadku tych najnędzniejszych spośród nas.

– To oczywiste – odparł z naciskiem, jakby chciał naprawić poprzednią niezręczność.

– Właśnie – zauważyła – pod tym względem Szwecja zawsze była państwem cywilizowanym. Jednak z roku na rok mamy coraz więcej bezimiennych zwłok, co mnie bardzo martwi. Wszyscy mamy po śmierci prawo do swojej tożsamości i do swojej historii.

– Prawda – powiedział z tym samym naciskiem, ale nie był już skupiony i mimowolnie podszedł do biurka z komputerem.

– Czasem identyfikacja zwłok jest bardzo trudna – ciągnęła. – Często wynika to z braku czasu i środków albo – jeszcze gorzej – z braku woli. W tym przypadku mam złe przeczucia.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Bo w rejestrach nie znaleźliśmy dotąd żadnych śladów po tym zmarłym, zresztą ten człowiek wygląda na kogoś absolutnie bez znaczenia. Z samych dołów społecznych. Od którego najchętniej odwracamy wzrok, by zaraz o nim zapomnieć.

– To smutne – zauważył.

Przeszukiwał pliki, które w ciągu kilku lat zapisywał dla Lisbeth.

– Obym się myliła – powiedziała Fredrika Nyman. – Właśnie wysłałam kilka próbek, więc może dowiemy się o nim czegoś więcej. A teraz po przyjściu do domu pomyślałam, że mogłabym to przyspieszyć. Mieszka pan na Bellmansgatan, prawda? To niedaleko miejsca, gdzie został znaleziony, być może na siebie wpadaliście. Może nawet dzwonił do pana?

– Gdzie go znaleźli?

– Pod drzewem w Tantolunden, jeśli go pan widział, powinien pan pamiętać. Ciemnobrażowa twarz o głębokich bruzdach, brudna. Rzadki zarost. Na pewno przebywał zarówno na silnym słońcu, jak i na silnym mrozie. Miał wiele odmrożeń, stracił większość palców u rąk i nóg. Przyczepy mięśniowe noszą ślady skrajnego wysiłku. Przypuszczam, że pochodził z Azji Południowo-Wschodniej. Kiedyś mógł być całkiem przystojny. Regularne rysy, chociaż twarz zniszczona. Skóra żółtawa na skutek uszkodzenia wątroby. Spora

część tkanek na policzkach jest martwa, pokryta czarnymi plamami. Wiek trudny do określenia w tym wczesnym stadium, jak pan zapewne wie. Sądzę jednak, że był koło sześćdziesiątki i długo przebywał na granicy odwodnienia. Wzrost niski, nieco ponad sto pięćdziesiąt centymetrów.

– Sam nie wiem. Nic mi się nie przypomina – powiedział Mikael.

Szukał na ekranie wiadomości od Lisbeth, ale niczego nie znalazł. Chyba nawet nie wchodziła do jego komputera. Jego niepokój się nasilił. Jakby przeczuwał, że dziewczyna jest w niebezpieczeństwie.

– To nie wszystko – ciągnęła Fredrika Nyman. – Nie wspomniałam o najdziwniejszym, mianowicie o jego kurtce puchowej.

– A co z tą kurtką?

– Była tak gruba i ciepła, że musiała zwracać uwagę w tym upale.

– Jak pani sama powiedziała, zapamiętałbym.

Zamknął laptopa i spojrział przez okno na zatokę Riddarfjärden. Znów pomyślał, że Lisbeth miała cholernie dobry pomysł, żeby się wyprowadzić.

– Ale nie pamięta go pan.

– Nie... – odparł z ociąganiem. – Nie ma pani zdjęcia, żeby mi wysłać?

– Uważam, że to by było nieetyczne.

– A na co umarł, jak pani sądzi? – spytał, wciąż trochę nieobecny myślami.

– Bezpośrednia przyczyna to zatrucie organizmu, tak się domyślam, prawdopodobnie sam je spowodował, głównie przez alkohol. Śmierdział wódką, ale to oczywiście nie wyklucza, że przyjął również coś innego. Za kilka dni spodziewam się odpowiedzi w tej kwestii z Laboratorium Analiz Sądowych. Zrobiłam mu testy przesiewowe obejmujące ponad osiemset substancji. A pośrednie przyczyny to zaburzenia kolejnych organów i powiększone serce.

Mikael usiadł na kanapie, dopił piwo i chyba za długo milczał.

– Jest pan tam? – spytała lekarka.

– Jestem. Tak sobie myślę...

– O czym?

Myślał o Lisbeth.

– Może dobrze, że miał mój numer telefonu – powiedział.

– Dlaczego?

– Widocznie uważał, że ma mi coś do powiedzenia, co z kolei może zmotywować policję do wysiłku. Czasem udaje mi się nastraszyć trochę stróżów prawa.

Zaśmiała się.

– Rzeczywiście udaje się panu.

– Chociaż czasem ich wkurzam.

Czasem sam siebie wkurzam, pomyślał.

– W takim razie liczymy, że policja zostanie zmotywowana.

– Tak jest.

Już chciał skończyć rozmowę i wrócić do swoich myśli. Jednak Fredrika Nyman wyraźnie chciała jeszcze porozmawiać, więc nie miał serca się rozłączyć.

– Mówiłam, że to był taki gość, którego chciałoby się zapamiętać, prawda? – kontynuowała.

– Tak pani powiedziała.

– Jednak nie do końca, w każdym razie jeśli chodzi o mnie.

Odnoszę wrażenie, jakby...

– Jakby co?

– Jakby jego ciało miało do opowiedzenia jakąś historię.

– W jakim sensie?

– Ten człowiek wygląda, jakby doświadczył zarówno mrozu, jak i ognia. Chyba nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

– Twardy zawodnik.

– Może i tak. Miał wiele obrażeń i był nieprawdopodobnie brudny. Cuchnął przeraźliwie. Mimo to była w nim jakaś godność. Chyba to właśnie chciałam powiedzieć. Jakby mimo całej tej nędzy było w nim coś budzącego szacunek. Musiał się w życiu wiele natrudzić i nawalczyć.

– Dawny żołnierz?

– Nie miał ran po kulach, nic z tych rzeczy.

– Może pochodził z jakiegoś prymitywnego plemienia?

– Raczej nie. Miał leczone zęby i najwyraźniej umiał pisać. Na lewym przegubie ma tatuaż przedstawiający buddyjskie koło życia.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Rozumiem, że panią poruszył ten człowiek. Sprawdzę moją pocztę głosową, może mi się nagrał.

– Dziękuję – powiedziała. Zapewne rozmawiali jeszcze przez chwilę, ale nie był pewien, rozkojarzył się.

Po rozłączeniu się Mikael siedział zamyślony na kanapie. Z trasy biegu na Hornsgatan dochodziły okrzyki i oklaski. Przeciągnął ręką po włosach. Minęły pewnie ze trzy miesiące, odkąd się strzygł. Powinien wreszcie zrobić porządek ze swoim życiem. Może nawet cieszyć się nim, bawić jak inni, zamiast wciąż pracować i spinać się do granicy wytrzymałości, może również odbierać telefony i nie myśleć ciągle o swoich przeklętych reportażach.

Poszedł do łazienki, co mu nie poprawiło nastroju. Suszące się ciuchy, w umywalce resztki pasty do zębów i pianki do golenia, w wannie włosy. Kurtka puchowa, pomyślał, w środku lata? Szczególna rzecz, prawda? Jakoś trudno było mu się skupić, miał gonitwę myśli. Przetarł umywalkę i lustro, poskładał ciuchy, potem wyjął komórkę i sprawdził pocztę głosową.

Trzydzieści nieodsłuchanych wiadomości. Nie można mieć tylu nieodsłuchanych wiadomości. Z męczeńską miną przesłuchał wszystkie. Boże, co się dzieje z tymi ludźmi? Fakt, że wielu podpowiadało mu tematy, ci byli uprzejmi i skromni. Jednak większość chciała tylko wyrazić złość. Kłamiecie na temat imigrantów, krzyczeli. Ściemniacie na temat muzułmanów. Chronicie Żydów i elity finansowe. Mikael miał wrażenie, że zaraz utonie w tym bagnie, już był bliski wyłączenia telefonu, dosłuchał jednak do końca i wtedy usłyszał coś, co nie było ani jednym, ani drugim, tylko chwilą konsternacji.

– *Hello, hello* – odezwał się ktoś łamaną angielszczyzną, potem ciężki oddech, a po chwili milczenia: – *Come in, over.*

Zabrzmiało to, jakby rozmawiał przez walkie-talkie, nastąpiło kilka niezrozumiałych słów, może nawet w innym języku, ale

wskazujących na desperację i samotność. Czy to ten żebrak? Możliwe. Równie dobrze mógł to być ktoś inny. Nie dało się tego ustalić. Mikael wyłączył telefon, poszedł do kuchni i zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Malin Frode, zresztą do kogokolwiek, kto wprowadziłby go w lepszy humor. Jednak odsunął od siebie tę myśl i zamiast tego wysłał do Lisbeth zaszyfrowanego esemesa. Jakie ma znaczenie, że ona nie chce go znać?

Tak czy inaczej, jest z nią związany.

NA ULICY TWERSKIEJ padał deszcz, a Camilla, czy raczej Kira, jak się teraz nazywała, siedziała w limuzynie z kierowcą i ochroniarzami, patrząc na swoje długie nogi. Miała na sobie czerwone szpilki od Gucciego, czarną suknię od Diora, a w naszyjniku nad wycięciem skrzył się błękitem diament Oppenheimer.

Jej uroda była powalająca, o czym akurat sama wiedziała najlepiej, i przez chwilę odwlekała wyjście z samochodu. Lubiła ten widok: mężczyźni, którzy na jej wejście aż podrygują, wielu z nich nie może przestać się gapić, ani nawet zamknąć szeroko otwartych ust. Tylko nieliczni – wiedziała o tym z doświadczenia – potrafią się zdobyć na komplement i patrzenie w oczy. Kira zawsze marzyła, by olśniewać jak nikt, a teraz w tym samochodzie przymknęła oczy, słuchając bębnienia deszczu o dach. Spojrzała przez przyciemnione szyby. Niewiele było do oglądania.

Zaledwie garstka mężczyzn i kobiet dygoczących pod parasolami, wydawali się mało zainteresowani tym, kto wysiadzie z limuzyny. Kira spojrzała ze złością na restaurację. W środku

tłoczyli się goście, przepijali do siebie i rozmawiali, w głębi na niedużej estradzie stało kilkoro muzyków grających na skrzypcach i wiolonczeli, a oto – o Boże – Kuzniecowa ze swoimi świńskimi oczkami i tłustym brzuchem. Pajac. Miała ochotę wysiąść i po prostu go spoliczkować.

Musi jednak zachować spokój i niemal królewski blask, nawet jednym spojrzeniem nie może zdradzić, że ostatnio czuła się, jakby wpadła w czarną dziurę; była wściekła, że jeszcze nie znaleźli jej siostry. Myślała, że będzie to łatwe, kiedy już rozszyfrowali jej adres i legendę. Ale Lisbeth zniknęła i nawet znajomi Kiry z GRU – nawet Galinow – nie potrafili wpaść na jej trop. Wiedzieli o przypisywanych jej zaawansowanych atakach hackerskich na fabryki trolli Kuzniecowa i inne cele. Nie wiedzieli jednak, które były dziełem Lisbeth, a które innych osób. Pewne było tylko jedno: to się musi skończyć. Kira musi odzyskać spokój.

W oddali grzmiało. Obok przejechał samochód policyjny, Kira wyjęła lusterko i uśmiechnęła się do siebie, jakby zbierała siły. Podniosła wzrok, Kuzniecowa kręcił się, gmerając przy muszce i kołnierzyku. Denerwuje się, idiota, i bardzo dobrze. Chciała, żeby się spocił i dygotał, zamiast opowiadać te swoje koszmarnie kawały.

– Teraz – odezwała się. Kierowca Siergiej wysiadł i otworzył tylne drzwi.

Podeszli ochroniarze. Niespiesznie upewniła się, że Siergiej rozłożył parasol. Następnie wystawiła nogę, licząc jak zwykle na westchnienie, na jęk zachwytu. Ale nie usłyszała nic oprócz deszczu, dochodzących ze środka dźwięków muzyki smyczkowej i gwaru rozmów. Postanowiła być zimna i wyniośle trzymać

wysoko głowę, zdążyła tylko zobaczyć, jak Kuzniecowa rozpromienia się nadzieją, jak otwiera przed nią ramiona, a jednocześnie poczuła coś innego: okropny strach paralizujący całe ciało.

Coś nieuchwytnego działo się na prawo od niej, przy ścianie budynku; spojrzała i zobaczyła ciemną postać, która zbliżała się, trzymając rękę pod zakietem. Chciała krzyknąć do ochroniarzy albo rzucić się na ziemię. Zamiast tego zastygła w totalnym skupieniu, jakby zdawała sobie sprawę, że znalazła się w sytuacji, gdy najmniejszy ruch może ją kosztować życie, i może już wtedy zrozumiała, kto to jest, chociaż dostrzegła tylko zbliżający się cień albo kontur postaci.

Jednak coś w ruchach tej postaci, tak świadomych swojego celu, obudziło w Kirze straszliwe przeczucie i zanim zdążyła je nazwać, zrozumiała, że jest zgubiona.

ROZDZIAŁ 4

15 SIERPNIA

CZY KIEDYKOLWIEK miały szansę na porozumienie? Żeby nie były dla siebie wrogami? Może nie było to całkiem wykluczone. Przez pewien czas łączyła je przynajmniej nienawiść do ojca Alexandra Zalachenki i lęk, że pewnego dnia zabije ich matkę Agnetę.

Mieszkały wtedy w Sztokholmie na Lundagatan, w pokoiku wielkości schowka, i kiedy ojciec wracał do domu, cuchnący wódką i papierosami, zaciągał matkę do sypialni i potem gwałcił, słyszały każdy krzyk, każdy odgłos bicia i jęk. Chwilami Lisbeth i Camilla chwytały się za ręce, jakby szukając w tym pocieszenia, wprawdzie na siłę, ale jednak... dzieliły ze sobą strach i poczucie zagrożenia. Również to im odebrali.

Kiedy miały dwanaście lat, zarówno skala, jak i częstotliwość przemocy nasiliły się. Zalachenko zaczął u nich pomieszkiwać, czasem gwałcił Agnetę dzień w dzień. W relacji między siostrami nastąpiła nieuchwytna zmiana, sygnalizowana jedynie błyskiem ekscytacji w oczach Camilli, sprężystością kroku, kiedy szła otworzyć drzwi ojcu; to przesądziło.

Tuż przed tym, jak ich zmagania miały przerodzić się w śmiertelną walkę, opowiedziały się po przeciwnych stronach i nie

było już możliwości pojednania, zwłaszcza odkąd Zalachenko tak skatował Agnetę, że już nie wstała z kuchennej podłogi i pozostała z nieodwracalnym uszkodzeniem mózgu, a Lisbeth rzuciła koktajl Mołotowa na auto ojca i przyglądała się, jak ten płonie w swoim mercedesie. Od tamtej pory wszystko było walką na śmierć i życie. Przeszłość stała się jak bomba, która tylko patrzeć, jak wybuchnie; a dziś, wiele lat później, gdy Lisbeth Salander wychodzi z bramy na ulicy Twerskiej, wydarzenia na Lundagatan przesuwają się w jej głowie jak seria migawek.

Jest tutaj. Widzi dokładnie, którą lukę w ochronie wykorzystać do oddania strzału i którędy potem uciekać. Pamięta nawet więcej, niż się domyśla, więc posuwa się bardzo powoli. Dopiero gdy Camilla w czarnej sukni wychodzi na czerwony dywan na swoich wysokich obcasach, Lisbeth przyspiesza, chociaż nadal jest pochylona i milczy.

Z restauracji dochodzi dźwięk smyczków, brzęk kieliszków, a na zewnątrz wciąż pada, krople szeleszczą, uderzając o ziemię. Lisbeth obserwuje sunący jezdnią policyjny samochód i rząd ochroniarzy wzdłuż czerwonego dywanu, zastanawia się, kiedy znów zwrócą uwagę na nią. Zanim strzeli czy dopiero potem? Nie wiadomo, nie ma żadnych gwarancji. Ale wydaje się, że jeszcze nie. Jest ciemno, mglisto, Camilla skupia na sobie całą uwagę.

Olśniewa, jak zawsze, w oczach Kuzniecowa pojawia się błysk, zupełnie jak kiedyś, dawno temu u chłopaków na szkolnym podwórku. Camilla potrafiła sprawić, że życie się zatrzymuje. Urodziła się z tym darem. Lisbeth rejestruje, jak siostra sunie naprzód, Kuzniecowa prostuje się i otwiera ramiona w nerwowym

powitalnym gościem, a goście przy drzwiach przepychają się, bo też chcą zobaczyć. Właśnie w tym momencie od strony ulicy rozlega się głos, na który Lisbeth właściwie cały czas czeka: *Tam, nocmompume*. Tam, patrzcie, i jeden z ochroniarzy – blondyn ze spłaszczonym nosem – rzuca spojrzenie w jej stronę, i ona już nie może czekać.

Sięgnęła dłonią do kabury z berettą i zlodowaciała, jak wtedy, gdy rzuciła na samochód ojca napełniony benzyną karton po mleku, zdążyła tylko zobaczyć, jak Camilla zeszywniała ze strachu i jak trzech ochroniarzy, nie odrywając od niej wzroku, pewnym ruchem położyli dłonie na pistoletach. Myślała, że zadziała błyskawicznie i bezlitośnie.

Mimo to zastygła, jakby nagle ogarnął ją paraliż, w pierwszej chwili sama nie rozumiała dlaczego. Poczuła, jak ociera się o nią jakiś kolejny upiór z dzieciństwa, i zrozumiała, że nie tylko straciła swoją szansę, ale że stoi zupełnie odsłonięta naprzeciw wielu wrogów, bez szans ucieczki.

CAMILLA NIE DOSTRZEGŁA tego wahania. Usłyszała tylko własny krzyk, zobaczyła drgnienie głów i ciał, sięgnięcie po broń. I tak była przekonana, że jest za późno, że jej pierś zostanie zaraz rozerwana przez kule. Jednak atak nie nastąpił, zdążyła rzucić się do środka, chowając się za Kuzniecowerem; przez kilka sekund towarzyszyła jej tylko świadomość własnego ciężkiego oddechu i gwałtownych ruchów wokół niej.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie tylko się wywinęła, ale że sytuacja zmieniła się na jej korzyść. Teraz nie ona jest

śmiertelnie zagrożona, ale tamta ciemna postać, której twarzy jeszcze nie dostrzegła. Postać pochyliła głowę, sprawdzając coś w swojej komórce, to musiała być Lisbeth. Camilla poczuła pulsującą nienawiść i żądzę krwi, gwałtowne pragnienie, aby patrzeć na jej cierpienie i śmierć. Znowu spojrzała na chaos na ulicy.

Sytuacja przedstawiała się lepiej, niż mogłaby marzyć. Podczas gdy ją otaczali ochroniarze w kuloodpornych kamizelkach, do stojącej samotnie na chodniku Lisbeth mierzyło ileś pistoletów. Coś wspaniałego. Camilla chciała przedłużyć ten moment, zdawała sobie sprawę, że będzie do niego wracać po wielekroć. To koniec Lisbeth, za chwilę zostanie zniszczona; na wypadek gdyby ktoś się wahał, Camilla krzyknęła:

– Strzelajcie! Ona chce mnie zabić! – W następnej sekundzie wydawało jej się, że rzeczywiście usłyszała serię strzałów.

Całym ciałem odbierała huk i trzaski i chociaż już nie widziała Lisbeth – widok zasłaniaли jej biegnący ludzie – wyobrażała sobie, jak siostra ginie pod gradem kul, pada zakrwawiona na chodnik. Ale nie... coś było nie tak. To nie strzały, tylko... co?... bomba, wybuch? Potworny hałas wylewał się z głębi restauracji i chociaż Camilla nie chciała stracić ani sekundy z widoku poniżenia i śmierci siostry, spojrzała w tłum. Nie była w stanie tego zrozumieć.

Skrzypkowie przestali grać i spoglądali przerażeni na salę. Wielu gości stało, zatykając uszy rękami. Inni chwyтали się za pierś albo krzyczeli ze strachu. Większość rzuciła się w panice do wyjścia i dopiero gdy drzwi restauracji otworzyły się i pierwsi ludzie wybiegli na deszcz, Camilla zrozumiała. To nie bomba, tylko

muzyka nagłośniona do takiego poziomu, że nie dawało się jej odbierać jako sekwencji dźwięków, bardziej jak wibrujący atak w przestrzeni, i nie zdziwiło jej, kiedy starszy łyсы mężczyzna zaczął krzyczeć:

– Co to jest?! Co to jest?!

Jakaś niespełna dwudziestoletnia kobieta w krótkiej granatowej sukience padła na kolana, osłaniając głowę rękami, jakby myślała, że dach na nią runie. Stojący tuż obok Kuzniecowa mruknął coś niezrozumiale, zagłuszony przez hałas; w tym momencie Camilla zorientowała się, że popełniła błąd, bo odwróciła uwagę. Wściekła spojrzała w stronę chodnika, ale siostry już tam nie było.

Jakby zapadła się pod ziemię. Camilla, zdesperowana, rozejrzała się wśród oszalałych, krzyczących i dezorientowanych gości, sama zdążyła zakląć i wrzasnąć, kiedy poczuła gwałtowne uderzenie w ramię i padła na ziemię. Uderzyła łokciem i głową w chodnik, czoło pulsowało bólem, z warg ciekła krew i wśród tupotu stóp dokładnie nad sobą usłyszała mrozący w żyłach znajomy głos: „Zemsta przyjdzie, siostrze, jeszcze przyjdzie”, ale była zbyt zamroczona, żeby zareagować.

Kiedy uniosła głowę i rozejrzała się, nie było śladu po Lisbeth, jedynie tłum ludzi wybiegających z restauracji. Krzyknęła: „Zabijcie ją!”, lecz już sama w to nie wierzyła.

WŁADIMIR KUZNIECOW nie odnotował, że Kira padła na ziemię. Prawie nie zauważał rozgrywającego się szaleństwa, ale wyłapał coś, co przeraziło go znacznie bardziej niż to wszystko, co się działo: kilka słów, które zostały wykrzyczane w tętniącym

rytmie. Długo nie chciał wierzyć, że to prawda.

Kręcił głową, mamrocząc „nie, nie”, i usiłował zbyć to jako koszmarne urojenie, wybryk swojej wybuchającej wyobraźni. Ale to naprawdę była ta piosenka – pieśń z jego koszmarów – więc chciał tylko zapaść się pod ziemię i umrzeć.

– To nieprawda, nieprawda – mamrotał, a refren grzmiał jak podmuch wybuchającego granatu.

Killing the world with lies.

Giving the leaders

The power to paralyze

Feeding the murderers with hate,

Amputate, devastate, congratulate.

But never, never

Apologize.

Żadna piosenka na świecie nie budziła w nim takiego lęku jak ta, nie chodziło nawet o to, że impreza, na której tak mu zależało, została doszczętnie zepsuta, nawet o groźbę pozwów sądowych od wściekłych oligarchów i polityków za popękane błony bębenkowe. Myślał tylko o muzyce, w czym nie było nic dziwnego. Sam fakt, że była grana tu i teraz, wskazywał, że ktoś dotarł do jego najstraszniejszej tajemnicy. Groziła mu kompromitacja przed całym światem, poczuł taką panikę, że aż nie mógł oddychać. Mimo to próbował nadrabiać miną, kiedy jego ludzie zdołali w końcu wyłączyć nagłośnienie. Udał nawet westchnienie ulgi.

– Przepraszam państwa – oświadczył. – Najwyraźniej nigdy nie

można ufać technice. Przepraszam po tysiąckroć. A teraz kontynuujmy naszą zabawę. Obiecuję, że nie będę oszczędzał na alkoholu, zresztą na innych atrakcjach też nie...

Poszukał wzrokiem kilku skąpo ubranych call girls, jakby odrobina kobiecego piękna mogła uratować sytuację. Ale jedyne dziewczyny, jakie dostrzegł, stały przerażone, opierając się o ścianę, więc nie dokończył zdania. W jego głosie zabrakło przekonania, co natychmiast zauważyli goście. Dostrzegli, że ich gospodarz jest w stanie rozsypki, a kiedy muzycy demonstracyjnie minęli go, wychodząc na ulicę, większość ludzi pospiesznie ruszyła do domu, z czego Kuzniecowa właściwie się ucieszył. Wolał zostać sam na sam ze swoimi myślami i swoim przerażeniem.

Chciał zadzwonić do swoich adwokatów i znajomych na Kremlu, by w najlepszym razie pocieszyli go, że nie trafi na łamy zachodnich gazet, które nazwą go zbrodniarzem wojennym i hańbą dla swego kraju. Władimir Kuzniecowa miał moźnych protektorów, niewątpliwie sam był prominentem, ale też sprawcą straszliwych zbrodni, które nie przyprawiły go o szczególne wyrzuty sumienia. Lecz w gruncie rzeczy nie był silny, zwłaszcza gdy *Killing the World* zostało odegrane na jego prywatnej popisowej imprezie.

W takich chwilach był tym co na początku, drobnym łobuzem, podrzędnym złodziejaszkiem, który kiedyś wskutek cudownego zbiegu okoliczności znalazł się w tureckiej łaźni razem z dwoma deputowanymi do Dumy i opowiedział im kilka niestworzonych historii. Poza tym nie objawiał żadnych talentów, nie miał wykształcenia ani szczególnych uzdolnień, ale umiał zmyślać i więcej nie było trzeba.

Dawno temu spędził jedno popołudnie w łaźni, pijąc i bajerując, zdobył w ten sposób wpływowych przyjaciół i wziął się do ciężkiej pracy. Dziś miał setki pracowników, w większości znacznie inteligentniejszych od siebie, matematyków, analityków, psychologów, konsultantów z FSB i GRU, hakerów, informatyków, inżynierów, programistów i specjalistów od robotyki. Był bogaty i miał władzę, przede wszystkim jednak nikt z zewnątrz nie łączył go z fabrykami trolli i fake newsami.

Udało mu się zrećźnie ukryć swój współdział w tym procederze, za co dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie, nawet nie w związku z przyczynieniem się do krachu giełdowego, przeciwnie, to akurat postrzegał jako powód do chwały, głównie chodziło mu o zadania, które wykonał w Czeczenii, a które trafiły do mediów, doprowadzając do protestów i burzy w ONZ oraz – co gorsza – do powstania piosenki rockowej, która oczywiście stała się światowym przebojem.

Grali ją podczas każdej cholernej demonstracji przeciwko dokonywanym mordom, a on za każdym razem był przerażony, że w tym kontekście padnie jego nazwisko, i dopiero w ostatnich tygodniach, kiedy planował swoją imprezę, wydawało się, że życie wróciło na normalne tory. A wraz z nim jego śmiech, dowcipy i blagi. Dziś podchodzili do niego jeden za drugim szacowni goście, a on krygował się i rozkoszował tą sytuacją, gdy nagle piosenka zagrziała tak, że głowa pękała.

– Kurwa jego mać.

– Co takiego?

Spoglądał na niego starszy dystyngowany mężczyzna

w kapeluszu i z laską, którego w tym zdenerwowaniu nie umiał zidentyfikować, najchętniej posłałby go na drzewo, ale się przestraszył, że może ten człowiek jest od niego potężniejszy, więc odpowiedział na tyle uprzejmie, na ile go było stać.

– Proszę wybaczyć, ale jestem wściekły.

– Powinien pan sprawdzić swoje bezpieczeństwo cyfrowe.

Cholera, przecież nic innego nie robię, pomyślał.

– To nie ma z tym nic wspólnego – odparł.

– Czyli co to jest?

– Coś z... elektryką.

Z elektryką. Zgłupiał czy co? Zwarcie i co, kable same włączyły *Killing the World with Lies*? Zawstydził się i odwrócił wzrok, pomachał żałośnie ostatnim gościom, którzy wyszli do taksówek. Kiedy restauracja opustoszała, poszukał wzrokiem Felixa, młodego szefa techniki. Łobuz jeden, gdzie on się podziewa?

W końcu dostrzegł go, rozmawiającego przez telefon pod samą estradą, z tą jego idiotyczną szpicbródką i smokingiem, który wisiał na nim jak worek. Wydawał się zdenerwowany, rzeczywiście miał powody. Idiota, obiecywał, że nic się nie zepsuje, a tymczasem niebo zważyło im się na głowę. Kuzniecowa przywołał go gniewnym kiwnięciem.

Felix machnął ręką, żeby mu nie przeszkadzał. Kuzniecowa miał ochotę obić mu mordę albo grzmotnąć jego głową o ścianę. Gdy w końcu Felix przytruchtał do niego, Kuzniecowa zareagował zupełnie inaczej. Sprawiał wrażenie bezradnego.

– Słyszałeś, co to była za piosenka?

– Słyszałem – odparł Felix.

- To znaczy, że ktoś niepowołany wie.
- Wydaje się, że tak.
- I jak myślisz, co będzie?
- Nie wiem.
- Dostaniemy niedługo list od szantażysty?

Felix milczał, przygryzając wargę, a Kuzniecowa patrzył tępo na ulicę.

– Wydaje mi się, że musimy się przygotować na coś znacznie gorszego – powiedział Felix.

Nie mów tak, pomyślał. *Nie mów tak.*

– Dlaczego?

Głos mu się załamał.

– Bo przed chwilą dzwonił Bogdanow...

– Bogdanow?

– Mąż Kiry.

Kira, pomyślał, cudna, straszna Kira. Wtedy przypomniał sobie: przecież to od niej się zaczęło, od jej pięknej twarzy wykrzywionej straszliwym grymasem, jak krzyczała „strzelajcie, zabijcie”, jej oczu skierowanych na ciemną postać pod ścianą budynku. W jego pamięci wszystko zlało się z potwornym hałasem, który potem nastąpił.

– I co ci powiedział? – spytał.

– Że wie, kto nas zhakował.

Elektryka, pomyślał. Jak, u diabła, mogło mi przyjść do głowy, żeby powiedzieć „elektryka”?

– Czyli ktoś nas zhakował.

– Niestety na to wygląda.

– Przecież to miało być wykluczone. Ty idioto cholerny, zaklinałeś się, że to niemożliwe.

– Ale ta osoba...

– Jaka osoba?

– Ona jest niezwykle sprytna.

– Więc to ona.

– Tak, i podobno nie chodzi jej o pieniądze.

– A o co?

– O zemstę – odparł Felix, Kuzniecowa aż się zatrząsł i strzelił Felixa w pysk.

Potem sobie poszedł, żeby upić się szampanem i wódką.

WCHODZĄC DO SWEGO pokoju hotelowego, Lisbeth wyglądała na całkiem spokojną i nawet się nie spieszyła. Nalała sobie porcję whisky i wypła jednym haustem, pojadła orzeszki z miseczki stojącej na stoliku przy kanapie. Potem się spakowała, w jej ruchach nie było śladu emocji ani nerwowości.

Dopiero gdy się wyprostowała po zamknięciu walizki, widać było, że jej sylwetka jest nienaturalnie spięta; szukała wzrokiem czegoś, co mogłaby rozbić, jakiś wazon, obraz, żyrandol. W końcu weszła do łazienki i spojrzała w lustro, jakby dokładnie badała rysy własnej twarzy, ale w rzeczywistości nic nie widziała.

W myślach była wciąż na ulicy Twerskiej. Myślała o swojej dłoni, która sięgnęła po broń i potem się cofnęła. Przypomniała sobie, co wydawało jej się łatwe, a co okazało się takie trudne, i zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od początku lata nie wie, co ma zrobić. Była... no właśnie, jaka?... Zagubiona, i nie poczuła

się silniejsza nawet wtedy, gdy wzięła do ręki swój smartfon, z którego dowiedziała się adresu Camilli.

Z satelity na Google Earth spojrzała na duży kamienny dom, posiadłość obejmującą tarasy, ogrody, baseny i posągi, i chociaż próbowała sobie wyobrazić, jak to wszystko zapłonie – jak ojciec w swoim mercedesie na Lundagatan – wcale jej to nie pomogło. To, co przed chwilą było perfekcyjnym planem, teraz stanowiło jeden wielki galimatias. Przypomniała sobie swoje dzisiejsze wahanie. Kiedyś, dawno temu zdała sobie sprawę, że to wahanie jest dla niej śmiertelnie niebezpieczne, bo ją upośledza. Mruknęła coś pod nosem i napiła się jeszcze whisky.

Zapłaciła rachunek online, wzięła walizkę i wymknęła się z hotelu; dopiero po przejściu kilku przecznic wrzuciła pistolet do studzienki kanalizacyjnej. Potem wsiadła do taksówki, posługując się jednym ze swoich fałszywych paszportów, zabukowała wczesny poranny lot do Kopenhagi i zameldowała się w Sheratonie, tuż obok lotniska Szeremietiewo.

Nad ranem odkryła, że Mikael wysłał jej esemesa. Pisał, że martwi się o nią. Przypomniał jej się filmik z monitoringu na Fiskargatan i postanowiła dostać się do jego komputera. Trudno powiedzieć dlaczego. Może musiała odpocząć od własnych myśli, nie wałkować ciągle tego samego, więc usiadła za biurkiem.

Po chwili znalazła kilka zaszyfrowanych dokumentów, które wydawały się dla niego ważne. Jednocześnie najwyraźniej chciał, żeby je przeczytała. W plikach, które dla niej stworzył, podsuwał jej tropy i klucze zrozumiałe tylko dla niej. Poskakała trochę po jego serwerze, a potem zagłębiła się w długi artykuł o krachu na giełdzie

i fabrykach trolli. Udało mu się sporo wygrzebać, choć mniej niż jej, więc po dwukrotnym przeczytaniu jego tekstu zrobiła dopisek, dodając link do dokumentów i wymiany maili, ale w tym momencie była tak zmęczona, że nie zauważyła, że zrobiła błąd w nazwisku Kuzniecowa ani że pisze zupełnie inaczej niż Mikael. Wiedziała tylko, że się wylogowała, a potem położyła się na łóżku na wznak, nie zdjęwszy ani ubrania, ani butów.

Potem przyśnił jej się ojciec, stał pośród morza ognia i mówił jej, że jest słaba, że z Camillą nie ma żadnych szans.

ROZDZIAŁ 5

16 SIERPNIA

W NIEDZIELNY PORANEK Mikael obudził się o szóstej rano. Myślał, że z gorąca. Panował duszny upał jak przed burzą. Prześcieradła i poszewki były mokre od potu. Głowa go bolała i przez chwilę, zanim wrócił pamięcią do wczorajszego wieczoru, zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest chory. Przypomniało mu się, że długo siedział w nocy i pił, wtedy sklął siebie i poranne światło przeciskające się spod zasłon, naciągnął kołdrę na głowę i próbował znów zasnąć.

Ale zrobił głupstwo, bo spojrzął na komórkę, sprawdzając, czy Lisbeth odpowiedziała na jego esemesa, oczywiście nie, i zaczął znów o niej rozmyślać, co nie było najlepszym sposobem, żeby się uspokoić. W końcu usiadł na łóżku.

Na nocnym stoliku leżała sterta zaczętych, ale nie doczytanych książek, więc przez chwilę rozważał, czy jeszcze poleżeć i poczytać, czy wstać i dokończyć artykuł. Poszedł do kuchni i przygotował sobie cappuccino. Następnie przyniósł niedzielne gazety, przestudiował ostatnie wiadomości, odpowiedział na jakieś maile, poukładał trochę rzeczy w mieszkaniu i posprzątał jeszcze w łazience.

Wpół do dziesiątej dostał esemesa od Sofie Melker, młodej

koleżanki redakcyjnej, która z mężem i dwoma synami niedawno zamieszkała w jego okolicy. Chciała omówić z nim pomysł na reportaż, na co Mikael nie miał wielkiej ochoty, ale lubił Sofie, więc zaproponował, żeby za pół godziny spotkali się na kawie w Kaffebar przy S:t Paulsgatan. W odpowiedzi dostał emotikon z uniesionym kciukiem. Nie lubił emotikonów. Wystarczał mu język, jaki jest. Jednak by nie wydać się staroświeckim, postanowił wysłać coś wesołego.

Niestety przycisnął nie to co trzeba i zamiast uśmiechniętej buźki wysłał czerwone serduszko. Na pewno mogło zostać odebrane opacznie. Ale o co chodzi... i tak nastąpiła totalna dewaluacja tego rodzaju przekazów. Serce nic już nie znaczy, prawda? Uściski zamiast „cześć”, a serce... to coś w stylu „moja droga”. Zostawił to, wziął prysznic, ogolił się, włożył džinsy i jasnoniebieską koszulę.

Wyszedł. Niebo było błękitne, świeciło słońce. Zszedł po kamiennych schodkach na Hornsgatan, skręcił w Mariatorget i rozejrzał się zdziwiony, że po wczorajszej imprezie zostało tak niewiele śladów. Ani jednego peta na ścieżkach. Kosze na śmieci opróżnione, a dalej po lewej, przed hotelem Rival, szła młoda dziewczyna w pomarańczowej kamizelce z długimi szczypcami, którymi wyszukiwała śmieci na trawniku. Minął ją i pomnik na środku skweru.

Żadnego pomnika nie mijał tak często jak tego. Mimo to nie wiedział, kogo przedstawia. Nigdy go to nie zaciekawiało – jak wiele rzeczy, które mamy przed oczami – i gdyby go ktoś pytał, pewnie zgadywałby, że Świętego Jerzego pokonującego smoka. W istocie

był to Thor zabijający węża Midgardu. Przez te wszystkie lata nie chciało mu się przeczytać napisu na cokole, teraz też patrzył obok pomnika, w stronę placu zabaw, gdzie młody tata ze znudzoną miną bujał synka, i trawnika, na którym ludzie siedzieli, wystawiając twarze do słońca. Wszystko wyglądało jak w zwykły niedzielny poranek. Mimo to Mikael miał wrażenie, jakby czegoś brakowało, chociaż zaraz odsunął od siebie tę myśl, może to jakieś głupstwo, złudzenie. Znowu przyspieszył, skręcił w S:t Paulsgatan i nagle zrozumiał.

Brakowało postaci, której nie widział już od tygodnia, a wcześniej siedziała koło pomnika na kawałku kartonu, nieruchomo jak mnich pogrążony w medytacji. Człowiek ten miał ucięte palce, wyschniętą, bardzo starą twarz i wielką niebieską kurtkę puchową. Na pewien czas stał się jakby częścią obrazu dzielnicy Mikaela, chociaż w okresach jego intensywnej pracy obraz ten stanowił raczej fragment scenografii.

Był za bardzo skupiony na sobie, żeby go świadomie widzieć. A jednak ten biedak był tam naprawdę, jak cień w jego podświadomości, i dopiero gdy zniknął, stał się wyraźniejszy. Mikael potrafił teraz bez trudu odtworzyć w pamięci szereg szczegółów: czarną plamę na policzku, spierzchnięte wargi i wrażenie pewnej dumy w postawie, stanowiącej kontrast z cierpieniem, które wyrażała jego sylwetka. Jak mógł go zapomnieć? Gdzieś w środku znał odpowiedź.

Kiedyś na ulicy taki człowiek zwracałby uwagę, jak otwarta rana. Dziś prawie nie sposób przejść więcej niż pięćdziesiąt metrów, żeby ktoś nie próbował naciągnąć cię na kilka koron. Na

chodnikach, przed sklepami i koło śmietników, przy zejściach do metra siedzieli żebracy, kobiety i mężczyźni. Pojawił się jakiś nowy, sponiewierany Sztokholm i w okamgnieniu wszyscy się do tego przyzwyczaili. Taka była smutna prawda.

Żebraków przybyło mniej więcej w tym samym czasie, kiedy sztokholmczycy przestali nosić przy sobie gotówkę, i Mikael, tak jak inni, nauczył się odwracać wzrok. Często nie miał nawet wyrzutów sumienia z tego powodu, ale teraz zrobiło mu się przykro, niekoniecznie z powodu tamtego mężczyzny, raczej z powodu upływu czasu i tego, że życie zmienia się prawie niepostrzeżenie.

Przed Kaffebarem stała ciężarówka, zaparkowana zderzak w zderzak, tak że Mikael nie wyobrażał sobie, jak stamtąd wyjedzie, a w środku byli prawie sami znajomi. Nie miał ochoty się z nimi zadawać, więc tylko powiedział „dzień dobry”, zamówił podwójne espresso i tosta z kurkami, usiadł przy stoliku pod oknem wychodzącym na S:t Paulsgatan i zatopił się w myślach. Po chwili poczuł czyjąś rękę na plecach. Sofie. W zielonej sukience, z rozpuszczonymi włosami, uśmiechała się niepewnie. Zamówiła herbatę z mlekiem i butelkę wody Perrier, po czym podsunęła mu swoją komórkę z czerwonym serduszkiem.

- Flirt czy troska o pracowników? – spytała.
- Niewprawne paluchy – odparł.
- Zła odpowiedź.
- No to troska o personel. Na rozkaz Eriki.
- Nadal zła odpowiedź, ale już lepiej.
- Jak twoja rodzinka? – spytał.

– Jako matka uważam, że letnie wakacje są stanowczo za długie, bo dzieci bezustannie domagają się rozrywek. Łobuzy jedne.

– Jak dawno tutaj mieszkacie?

– Zaraz będzie pięć miesięcy, a ty?

– Sto lat.

Zaśmiała się.

– Oczywiście w pewnym sensie – wyjaśnił. – Kiedy mieszka się tu tak długo jak ja, przestaje się dostrzegać pewne rzeczy. Człowiek porusza się po swojej okolicy jak ślepiec.

– Naprawdę?

– W moim przypadku tak. Ale ty jako nowa tutaj pewnie masz oczy otwarte.

– Pewnie tak.

– Pamiętasz, że na Mariatorget siedział żebrak w grubej puchowej kurtce? Miał na policzku czarną plamę i prawie nie miał palców u rąk.

Uśmiechnęła się smutno.

– O tak, bardzo dobrze go pamiętam.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo niełatwo go zapomnieć.

– Ja zapomniałem.

Sofie spojrzała zdziwiona.

– Jak to?

– Widziałem go z dziesięć razy, a mimo to jakbym nie do końca go zarejestrował. Ożył w mojej pamięci dopiero po swojej śmierci.

– Nie żyje?

– Wczoraj dzwoniła do mnie lekarka sądowa.

– Dlaczego?

– Facet miał w kieszeni kartkę z moim numerem telefonu, więc pewnie myślała, że mogę pomóc w ustaleniu jego tożsamości.

– Ale nie możesz?

– W ogóle.

– Pewnie uważał, że ma dla ciebie jakąś interesującą historię.

– Przypuszczalnie.

Sofie wypić herbatę, przez chwilę milczeli.

– A tydzień temu zaczepił Catrin Lindås – odezwała się w końcu.

– Jak to zaczepił?

– Zupełnie oszalał na jej widok. Obserwowałam to z pewnej odległości, byłam na Swedenborgsgatan.

– Czego od niej chciał?

– Chyba widział ją w telewizji.

Catrin Lindås występowała czasem w telewizji. Czołowa komentatorka i felietonistka, konserwatystka, często brała udział w debatach na temat prawa i ładu społecznego, dyscypliny i szkolnictwa. Ładna w taki powściągliwy sposób, zawsze w idealnie skrojonych garsonkach i bluzkach z wiązaniem pod szyją, żaden kosmyk nie śmiał się wymknąć z jej fryzury. Mikaelowi wydawała się surowa i pozbawiona wyobraźni. Pisała o nim krytycznie na łamach „Svenska Dagbladet”.

– I co się stało? – spytał.

– Złapał ją za ramię i coś wykrzykiwał.

– Co?

– Nie mam pojęcia. Wymachiwał przy tym jakąś gałęzią czy

laską. Catrin była kompletnie roztrzęsiona. Staralam się ją uspokoić i pomagałam jej usunąć jakąś plamę z żakietu.

– Ojej, to musiała być dla niej trudna sytuacja.

Nie chciał być złośliwy, w każdym razie nie miał takiego zamiaru. Ale Sofie nieoczekiwanie natarła na niego.

– Nigdy jej nie lubiłeś, co?

– To nie tak – odparł defensywnie. – Pewnie jest okej, tylko trochę za bardzo prawicowa i jak dla mnie za porządna.

– Piczka zasadniczka, co?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale pomyślałeś. Gdybyś miał pojęcie, jak na nią plują w sieci. Ludzie biorą ją za bogaczkę, która ukończyła szkołę Lundsberg¹ i patrzy z góry na zwyczajnych ludzi. A wiesz, jak jest naprawdę?

– Nie wiem, Sofie.

Nie potrafił zrozumieć, skąd jej się nagle wzięła taka złość.

– No to ci opowiem.

– Bardzo proszę.

– Wychowała się w okropnej biedzie. W znarkotyzowanej hipisowskiej komunie w Göteborgu. Rodzice jechali na LSD i heroinie, w domu był jeden wielki bajzel, pełno śmieci i ćpunów. Te garsonki i porządność to jej sposób na przeżycie. Bo ona jest fighterką. Buntowniczką na swój sposób.

– Ciekawe – zauważył.

– Właśnie, wiem, że uważasz ją za reakcjonistkę, ale ona robi dużo dobrego w walce z New Age, nową duchowością i podobnym gównem, znanym jej z domu. Jest dużo bardziej interesująca, niż się ludziom wydaje.

– Przyjaźnicie się?

– Przyjaźnimy się.

– Dzięki, Sofie. Następnym razem spróbuję spojrzeć na nią w innym świetle.

– Nie wierzę – odparła, zaśmiała się przepraszająco i mruknęła coś, jakby sprawa była dla niej drażliwa.

Następnie spytała, jak mu idzie pisanie nowego reportażu. Odpowiedział, że na razie bez większego sukcesu i że jeśli chodzi o rosyjski ślad, to utknął.

– Ale masz dobre źródła, prawda?

– Czego nie wiedzą moje źródła, tego nie wiem i ja.

– Może powinieneś skoczyć do Petersburga i powęszyć wokół tej fabryki trolli. Jak ona się nazywa?

– New Agency House?

– To jakiś ośrodek, tak?

– Wydaje mi się, że i te drzwi są zamknięte.

– Czyżbym usłyszała w głosie Blomkvista niezwykły jak na niego pesymizm?

Sam słyszał, ale nie miał ochoty jechać do Petersburga. Roi się tam od dziennikarzy, a nikomu nie udało się dowiedzieć, kto kieruje fabryką ani do jakiego stopnia jest związana ze służbami albo władzą. Miał dość tej historii. W ogóle miał dość newsów i nieciekawego rozwoju międzynarodowej sytuacji, wypił więc swoje espresso i spytał Sofie o jej pomysł na reportaż.

Sofie chciała pisać o antysemitycznych wątkach w kampanii dezinformacyjnej; to również nie było nic nowego, bo trolle nie mogły się powstrzymać, by nie sugerować, że krach na giełdzie to

wynik żydowskiego spisku. Ten sam rysztok co od setek lat, mimo niezliczonych opisów i analiz tego zjawiska. Jednak Sofie chciała przedstawić to od bardziej praktycznej strony.

Chodziło jej o to, jak uderza to w ludzi w życiu codziennym, w uczniów, nauczycieli, intelektualistów, zwyczajnych ludzi, którzy do tej pory nie zastanawiali się nad swoją żydowskością. Mikael powiedział tylko: dobra, rób to, potem zadał kilka pytań i dodał jej otuchy, rzucił kilka ogólnikowych uwag o hejcie w społeczeństwie, o populistach i ekstremistach, wreszcie idiotach nagrywających się na jego pocztę głosową. W końcu znudzony sam sobą uściskał Sofie, powiedział „cześć” i „przepraszam” – sam nie wiedział za co – a potem wrócił do domu, gdzie się przebrał, i wyszedł pobiegać.

ROZDZIAŁ 6

16 SIERPNIA

KIRA LEŻAŁA w łóżku w swoim wielkim domu na Rublowce na zachód od Moskwy, gdy przekazano jej, że chce z nią rozmawiać główny haker Jurij Bogdanow. Odparła, że musi poczekać. Dla pewności rzuciła jeszcze szczotką do włosów w swoją gosposię Katię i naciągnęła kołdrę na głowę. Miała za sobą piekielną noc. Prześladowało ją wspomnienie potwornego hałasu w restauracji, kroków, sylwetki siostry, ciągle dotykała barku, który bolał od uderzenia o chodnik, chociaż był to nie tyle ból fizyczny, ile poczucie jakiejś lepkiej obecności.

Dlaczego to się nie może skończyć? Tak ciężko pracowała i tyle osiągnęła. A jednak tamto wciąż wracało, chociaż za każdym razem w innej postaci. Jej dzieciństwo nigdy nie było dobre, lecz niektóre chwile na swój sposób kochała. Teraz nawet to wydzierano jej krok po kroku.

Camilla już jako dziecko odczuwała rozpaczliwe pragnienie, by się wyrwać z Lundagatan, jak najdalej od siostry i matki, biedy i poczucia, że jest bezbronna. Wcześniej doszła do przekonania, że zasługuje na coś lepszego. Pewnego razu znalazła się w Ogrodzie Świetlnym domu towarowego NK, gdzie zobaczyła kobietę w futrze i wzorzystych spodniach, która śmiała się i była niezwykle

piękna, jak z innego świata. Camilla podeszła bliżej, w końcu stanęła tuż obok jej nóg, a wtedy podeszła jakaś równie elegancka przyjaciółka, ucałowała kobietę w oba policzki i spytała:

– O, to twoja córka?

Kobieta odwróciła się, spojrzała w dół, zobaczyła Camillę i odpowiedziała z uśmiechem:

– *I wish she was.*

Camilla nie zrozumiała, domyśliła się tylko, że odpowiedź była dla niej pochlebna; odchodząc, usłyszała jeszcze: „Jaka śliczna dziewczynka. Gdyby tak matka ją lepiej ubierała”. Te słowa ugodziły ją boleśnie, spojrzała na Agnetę – już wtedy mówiła na matkę Agneta – stała trochę dalej, razem z Lisbeth oglądały świąteczne dekoracje, i wówczas dostrzegła różnicę, która była wręcz przepastna. Tamte kobiety promieniały, jakby życie miało być dla nich samą przyjemnością, podczas gdy Agneta była zgarbiona i blada, w podniszczonym, brzydkim ubraniu. W tym momencie zrodziło się w niej dojmujące poczucie niesprawiedliwości. Źle trafiłam, pomyślała, nie tam, gdzie powinnam.

W dzieciństwie było wiele takich chwil, kiedy czuła się jednocześnie wyróżniana i piętnowana; wyróżniana, kiedy ludzie mówili o niej, że jest śliczna jak mała księżniczka, a piętnowana, bo należała do rodziny, która żyła na mrocznym marginesie.

To prawda, że aby móc kupować sobie ubrania i spinki do włosów, zaczęła wykradać z domu różne rzeczy, nie tak dużo, głównie monety, trochę banknotów, starą broszkę po babci, rosyjski wazonik z regału. I również prawda, że przypisywano jej znacznie

więcej. Camilla uważała, że Agneta i Lisbeth zmawiają się przeciwko niej. Często czuła się obco we własnym domu, jak odmieniec, na którego ciągle mają oko, a kiedy zjawiał się Zala i odganiał ją od siebie jak wiejskiego kundla, też nie było lepiej.

W takich chwilach czuła się najbardziej samotną osobą na świecie, marzyła o ucieczce, marzyła, żeby zaopiekował się nią ktoś, kto by na nią zasługiwał. Z czasem pojawiło się światełko, być może fałszywe, ale przecież jedyne. Zaczęło się od drobnych obserwacji – złoty zegarek, zwitki banknotów w kieszeniach spodni, rozkazujący ton podczas rozmowy przez telefon, drobne oznaki, że Zala nie jest tylko oprawcą swojej rodziny, ale kimś więcej. Zaczęła dostrzegać jego niekwestionowany autorytet, obycie i władczość.

Przede wszystkim jednak zorientowała się, że zaczął zwracać na nią uwagę. Stawał przed nią, mierzył ją wzrokiem od stóp do głów i czasem się uśmiechał. Nie umiała się temu oprzeć, bo poza tym nigdy się nie uśmiechał, stąd jej reakcja, jakby skierował na nią reflektor. W pewnym momencie przestała bać się jego wizyt, zaczęła sobie nawet wyobrażać, że on zabierze ją stamtąd do jakiegoś bogatego i piękniejszego miejsca.

Pewnego wieczoru, kiedy miała jedenaście albo dwanaście lat, a Agnety i Lisbeth nie było w domu, ojciec siedział w kuchni i pił wódkę. Podeszła do niego, a on pogłaskał ją po głowie i poczęstował kieliszkiem, do którego dolał soku. Nazwał to *screwdriver* i opowiedział jej, że wychował się w domu dziecka w Swierdłowsku na Uralu, gdzie codziennie dostawał lanie, ale udało mu się wybić, stał się człowiekiem potężnym i bogatym, dziś

ma kolegów na całym świecie. Dla niej brzmiało to jak bajka. Położył palec na ustach i szepnął, że to tajemnica, a ją przeszedł dreszcz i odważyła się opowiedzieć mu, że Agneta i Lisbeth są dla niej bardzo niedobre.

– Zazdrozczą ci. Ludzie zawsze zazdrozczą takim jak ty i ja – odparł i obiecał, że dopilnuje, żeby były dla niej lepsze. Od tamtej pory wszystko się zmieniło.

Zala stał się dla niej wielkim światem, który przychodził w odwiedziny. Pokochała go nie tylko jako swojego wybawiciela. Nic nie mogło go ruszyć. Nawet przychodzący czasem poważni panowie w szarych płaszczach, nawet barczyści policjanci, którzy zapukali pewnego ranka. Za to ona mogła.

Camilla sprawiła, że stał się dla niej miły i troskliwy, ale długo nie rozumiała, jaką zapłaci za to cenę, a tym bardziej, do jakiego stopnia się oszukiwała. Wydawało jej się, że nadszedł dla niej najlepszy czas. Wreszcie czuła się dostrzegana i szczęśliwa, cieszyła się, że ojciec przychodził coraz częściej, podsuwając jej w tajemnicy prezenty i pieniądze. I właśnie wtedy, gdy wydawało się, że już u drzwi czeka na nią coś nowego i wielkiego, Lisbeth wszystko jej odebrała; od tej pory nienawidziła jej z dziką furją, a ta nienawiść stała się jej najbardziej niewzruszonym fundamentem. Chciała odpłacić jej za wszystko z nawiązką, zmiażdżyć ją i nie zamierzała się zawahać tylko dlatego, że Lisbeth akurat wyprzedziła ją o krok.

Za zasłonami w oknie paliło słońce, które wyszło po deszczowej nocy. Z trawników dochodziły odgłosy kosiarek i gwar rozmów, Camilla zamknęła oczy i przypomniała sobie kroki zbliżające się

nocą do ich pokoju na Lundagatan. Zacisnęła prawą pięść, kopnięciem zrzuciła z siebie puchową kołdrę i wstała.

Inicjatywa musi wrócić do niej.

JURIJ BOGDANOW czekał już od godziny. Nie siedział jednak beczynn timer. Na kolanach miał laptopa i dopiero teraz spojrzał niespokojnie w stronę tarasu i znajdującego się dalej wielkiego ogrodu. Nie miał dobrych wiadomości, nie spodziewał się zatem niczego dobrego, wyłącznie reprimendy i dalszej ciężkiej pracy, mimo to czuł się silny i zmotywowany, zmobilizował całą swoją sieć. Zadzwoił jego telefon. Odrzucił połączenie. Znowu ten cholerny Kuzniecowa. Głupi histeryk.

Jedenasta dziesięć, ogrodnicy zrobili sobie przerwę na drugie śniadanie. Czas uciekał, Bogdanow spojrzał na swoje buty. Był teraz bogaty, nosił garnitury szyte na miarę i kosztowne zegarki. Jednak rynsztok go nie opuścił. Dawniej był narkomanem, wychował się na ulicy i tamto życie pozostawiło niezatarty ślad w jego spojrzeniu i sposobie poruszania się.

Wysoki i chudy, kanciasta, bliznowata twarz, cienkie wargi, samodzielnie wykonane tatuaże na ramionach. Kira wołała wprawdzie nie pokazywać się z nim na salonach, ale był dla niej bezcenny i teraz, kiedy usłyszał stukot jej obcasów na marmurowej posadzce, ta świadomość go umocniła. Podeszła do niego, jak zwykle nieziemsko piękna, ubrana w błękitną garsonkę i czerwoną bluzkę rozpiętą pod szyją, i usiadła na fotelu obok.

– A więc co mamy? – spytała.

– Problem – odparł.

– Dawaj.

– Kobieta...

– Lisbeth Salander.

– Brak potwierdzenia, ale owszem, to musi być ona, przede wszystkim ze względu na poziom hakerskiego ataku.

– A co w nim nadzwyczajnego?

– Kuzniecowa ma takiego fioła na punkcie bezpieczeństwa swojego systemu cyfrowego, że bez przerwy sprawdza go od początku do końca i z powrotem. Zapewniali go, że tego systemu nie da się złamać.

– Ale najwyraźniej się mylili.

– Mylili się, a my wciąż nie wiemy, jak ona to zrobiła, chociaż sama operacja – kiedy już się włamała – była stosunkowo prosta. Podłączyła się do Spotify i do głośników zainstalowanych na ten wieczór i włączyła znaną piosenkę rockową.

– Przecież ludzie o mało nie oszaleli.

– Bo tam był jeszcze equalizer, niestety również cyfrowy i parametryczny, podłączony do systemu wi-fi.

– Mów tak, żebym zrozumiała.

– Equalizer ustawia dźwięk, koryguje basy i dyszkanty, Salander się do niego podłączyła i spowodowała koszmarny szok dźwiękowy. Skrajnie nieprzyjemny dla serca. Właśnie dlatego wiele osób łapało się za pierś, nawet nie zdając sobie sprawy, że z powodu dźwięków.

– Czyli chciała wywołać zamieszanie.

– Przede wszystkim chciała dać przekaz. Piosenka nosi tytuł *Killing the World with Lies*, napisały ją Pussy Strikers.

– Te rude wywłoki?

– Właśnie – odparł Bogdanow, nie przyznając się, że według niego Pussy Strikers są całkiem odjazdowe.

– Mów dalej.

– Piosenka powstała po pierwszych doniesieniach o mordowaniu gejów w Czeczenii, ale właściwie nie opowiada o mordercach, nawet nie o aparacie władzy, tylko o człowieku, który w mediach społecznościowych zorkiestrował kampanię hejtu, poprzedzającą przemoc.

– Czyli o Kuzniecowie.

– Właśnie, tylko że...

– O tym nie miał prawa wiedzieć nikt z zewnątrz – wpadła mu w słowo.

– Nikt nie powinien wiedzieć nawet tego, że Kuzniecowa odpowiada za biura informacyjne.

– To skąd wiedziała Lisbeth?

– Sprawdzamy i uspokajamy osoby, których to dotyczy. Kuzniecowa szaleje. Jest przerażony i taki schlany, że aż sztywny.

– A to dlaczego? Przecież nie pierwszy raz szczył ludzi na siebie.

– Może i nie, jednak w Czeczenii przegięli. Bywało nawet, że ludzi zakopywali żywcem – powiedział Bogdanow.

– To jego problem.

– Jasne. Ale niepokoi mnie...

– Gadaj.

– ...że tej Salander nie chodzi najbardziej o Kuzniecowa. Nie możemy wykluczyć, że ona wie o naszym zaangażowaniu w biura

informacyjne. Ona chce się zemścić na tobie, nie na nim, prawda?

– Trzeba było ją zabić dawno temu.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której ci nie mówiłem.

– Co?

Bogdanow wiedział, że nie ma co tego dłużej odkładać.

– Po tym, jak cię wczoraj popchnęła, potknęła się – ciągnął. – Straciła równowagę i runęła do przodu – w każdym razie tak to wyglądało – i musiała się oprzeć ręką o twoją limuzynę w miejscu dokładnie nad tylnym kołem. W pierwszej chwili wydało mi się to naturalne. Obejrzałem zapis monitoringu jeszcze raz i jeszcze raz i wtedy zobaczyłem, że może jednak nie upadła. Nie tyle się oparła, ile przycisnęła coś do karoserii. To, proszę.

Podsunał prostokątne pudełeczko.

– Co to jest?

– Nadajnik GPS, który przyjechał tu z samochodem.

– Czyli teraz wie, gdzie mieszkam?

CAMILLA MRUKNEŁA coś przez zaciśnięte zęby, w ustach miała metaliczny smak krwi.

– Obawiam się, że tak – przyznał.

– Idioci – syknęła.

– Przedsięwzięliśmy wszelkie środki ostrożności – ciągnął Bogdanow coraz bardziej nerwowo. – Wzmocniliśmy ochronę, w pierwszym rzędzie systemu informatycznego.

– A więc jesteśmy w defensywie, to chcesz powiedzieć?

– Nie, wcale nie. Po prostu mówię.

– No to ją znajdźcie, do diabła.

– Niestety nie jest to takie proste. Sprawdziliśmy wszystkie kamery monitoringu w najbliższej okolicy. Nigdzie jej nie zauważyliśmy, nie możemy też zlokalizować jej przez telefon albo komputer.

– To przeszukajcie hotele. Ogłóście poszukiwania. Przenicujcie każdą informację.

– Pracujemy nad tym. Jestem przekonany, że ją dopadniemy.

– Żebyście jej tylko nie zlekceważyli.

– Nie lekceważę jej ani trochę, ale naprawdę wydaje mi się, że straciła swoją szansę i teraz sytuacja zmieniła się na naszą korzyść.

– Jak możesz mówić coś takiego, kiedy ona wie, gdzie mieszkam?

Bogdanow zawahał się, szukał słów.

– Myślałaś, że ona cię zabije, prawda?

– Byłam tego pewna. Ale widać szykuje coś gorszego.

– Uważam, że się mylisz.

– Co masz na myśli?

– Sądzę, że naprawdę chciała cię zastrzelić. Nie wydaje mi się, żeby ten atak miał inny sens. Wystraszyła Kuzniecowa, ale poza tym... co osiągnęła? Nic. Tylko się odsłoniła.

– Więc twierdzisz, że...

Spojrzała na ogród. Gdzie, u diabła, podziali się ogrodnicy?

– Twierdzą, że się zawahała, nie była w stanie. Że jednak nie ma w sobie dość siły.

– Przyjemna myśl – zauważyła Kira.

– I wydaje mi się, że mam rację. Inaczej to się nie spina.

Poczuła się nieco lepiej.

- Poza tym ma ludzi, na których jej zależy – wtrąciła.
- Swoje kochanki.
- I swojego Kallego Blomkvista – dodała. – Zwłaszcza Mikaela Blomkvista.

ROZDZIAŁ 7

16 SIERPNIA

BYŁA DZIEWIĘTNASTA TRZYDZIEŚCI. Mikael znajdował się w restauracji Gondolen koło Slussen, gdzie spotkał się na kolacji z Draganem Armanskim, właścicielem Milton Security. Teraz tego żałował. Bolały go nogi i plecy po przebieżce w Årstaviken, poza tym, szczerze mówiąc, nudził się. Wysłuchiwał idiotyzmów o szansach rozwoju na Wschodzie, a może na Zachodzie, a w środku tego wszystkiego jeszcze opowieść o koniu, który wtargnął do namiotu na Djurgården, gdzie odbywało się przyjęcie.

– Potem ci idioci wciągnęli do basenu również fortepian.

Mikael nie zrozumiał, czy miało to coś wspólnego z koniem. Zresztą nieuważnie słuchał. W głębi siedziała grupka znajomych z „Dagens Nyheter”, wśród nich Mia Cederlund, z którą miał nieudany romans, a kawałek dalej aktor teatru Dramaten, Mårten Nyström, który nie wypadł najlepiej w reportażu „Millennium” o nadużyciach w tym teatrze. Żadne z nich nie przepadało za nim, więc patrzył w stół, popijał wino i rozmyślał o Lisbeth.

Stanowiła zresztą wspólny mianownik dla jego znajomości z Draganem. Dragan był jedynym pracodawcą, jakiego miała kiedykolwiek, co raczej nie dziwiło. Zatrudnił ją dawno temu w ramach pewnego projektu dobroczynnego, a stała się

najbliższą pracownicą, jaka mu się kiedykolwiek trafiła, i przez pewien czas prawdopodobnie się w niej kochał.

– Szaleństwo jakieś – odezwał się Mikael.

– Mało powiedziane, a ten fortepian...

– To ty też nie wiedziałeś, że Lisbeth się wyprowadzi? – przerwał mu.

Dragan nie bez wysiłku zmienił temat, może dotknięty, że jego opowieść nieszczególnie rozbawiła Mikaela. W końcu fortepian wpadł do basenu. Tej historii pozazdrościłaby niejedna gwiazda rocka. Jednak zaraz spowaźniał.

– Właściwie nie powinienem tego mówić – rzekł.

Według Mikaela był to całkiem niezły początek, aż pochylił się nad stołem.

LISBETH ZDAŹYŁA przespać się po obiedzie i wziąć prysznic, siedziała już przed swoim laptopem w hotelu w Kopenhadze, gdy Plague – jej najbliższy kolega z Republiki Hakerów – przesłał jej zaszyfrowaną wiadomość. Krótkie, konwencjonalne pytanie, mimo to irytujące.

W porządku? – pisał.

Do dupy, pomyślała.

Już mnie nie ma w Moskwie, odpisała.

Dlaczego nie?

Nie dałam rady zrobić tego, co zamierzałam.

Czego nie dałaś rady?

Miała ochotę pójść w miasto i o wszystkim zapomnieć.

Doprowadzić do końca.

Czego?

Pa, pa, Plague, pomyślała.

Niczego, odpisała.

Dlaczego nie dałaś rady doprowadzić do końca niczego?

Nie twoja sprawa, mruknęła.

Bo coś mi się przypomniało.

Co ci się przypomniało?

Kroki, pomyślała, szept ojca, swoje wahanie, niemożność zrozumienia, a potem sylwetka siostry, która wstała z łóżka i wyszła z pokoju z Zalą, tą świnią.

Gównno, odpowiedziała.

Jakie gównno?

Miała ochotę cisnąć laptopem o ścianę, ale odpisała:

Mamy jakieś kontakty w Moskwie?

Boję się o ciebie, Wasp. Odpuść sobie Rosję. Pryskaj jak najdalej.

Spadaj, pomyślała.

Jakie mamy kontakty w Moskwie?

Dobre.

Kto mógłby zainstalować IMSI-catchera w trudnym miejscu?

Plague odpisał po dłuższej chwili.

Na przykład Katja Flip.

Kto to jest?

Taka jedna. Mniej lub bardziej świrnięta. Dawniej była w Szaltaj Boltaj.

Co pewnie znaczy, że to będzie kosztowało.

Można jej zaufać?

Zależy od ceny.

Prześlij mi jej namiary, napisała.

Zamknęła laptopa i poszła się przebrać. Uznała, że czarny spodnium może jeszcze być, chociaż podczas wczorajszego deszczu się pogniótł, a na prawym rękawie miała plamę, no i nie zrobiło mu najlepiej, że w nim spała. Trudno. Postanowiła, że znów się nie umaluje. Poprawiła ręką włosy, wyszła z pokoju, zjechała windą do baru na parterze i usiadła nad szklanką piwa.

Przed wejściem do hotelu rozpościerał się Kongens Nytorv, na niebie było trochę ciemnych chmur. Ale Lisbeth niczego nie widziała. W pamięci miała ulicę Twerską i swoje wahanie, ciągle przewijała w głowie film z przeszłości. Nie zwracała na nic uwagi, dopóki ktoś obok nie zadał tego samego pytania co wcześniej Plague, tylko po angielsku.

– *Are you okay?*

Zdenerwowała się. Nie twój interes, pomyślała, nie podnosząc głowy. Odnotowała tylko, że dostała nowego esemesa od Mikaela.

DRAGAN ARMANSKI nachylił się i zaczął konfidencjonalnie szeptać:

– Lisbeth zadzwoniła do mnie na wiosnę z prośbą, żebym porozmawiał z zarządem spółdzielni mieszkaniowej o zainstalowaniu kamer monitoringu przed wejściem do jej domu na Fiskargatan. Pomyślałem, że to dobry pomysł.

– Czyli ty tego dopilnowałeś.

– To nie jest coś, co da się przeprowadzić jednym ruchem.

Trzeba zgody władz wyższego szczebla itd., itp. Ale udało się. Przedstawiłem obraz zagrożeń, komisarz Bublanski napisał odpowiedni raport.

– Cześć mu i chwała.

– Obaj się postaraliśmy i już na początku lipca mogłem posłać tam dwóch facetów, którzy zainstalowali dwie zdalnie sterowane kamery, nie muszę dodawać, że starannie zaszyfrowane. Nikt poza nami nie miał dostępu do zapisów. Uprzedziłem swoich ludzi na stacji monitoringu, żeby uważnie śledzili obraz na ekranach. Bałem się o Lisbeth. Obawiałem się, że ją dopadną.

– Jak my wszyscy.

– Jednak nie przypuszczałem, że moje obawy ziszczą się tak szybko. Już sześć dni później, o wpół do drugiej w nocy, nasz dyżurny operator Stene Grandlund usłyszał przez ułożony na miejscu mikrofon warkot motocykli i właśnie miał przesterować kamery, kiedy zrobił to ktoś inny.

– Jasny gwint.

– Właśnie. Stene nie miał dużo czasu do namysłu. To byli dwaj goście w skórzanych kurtkach ze Svavelsjö MC.

– O cholera.

– Otóż to. Czyli adres Lisbeth nie był już tajemnicą, a Svavelsjö MC nie ma zwyczaju przyjeżdżać z kawą i ciastkami.

– Raczej nie.

– Niemniej na widok kamer goście zawrócili, a my natychmiast zawiadomiliśmy policję, która ustaliła ich tożsamość – pamiętam, że jeden nazywał się Kovic, Peter Kovic. Jednak problem nie został tym samym rozwiązany, więc zadzwoniłem do Lisbeth, żeby

natychmiast się ze mną spotkała, na co niechętnie się zgodziła. Przyszła do mojego biura i wyglądała jak marzenie każdej teściowej.

– Chyba lekka przesada.

– Oczywiście jak na nią. Żadnych piercingów, ostrzyżona na krótko, wyglądała całkiem przyzwoicie. Poczuję, cholera, jak bardzo mi brakowało tej pokręconej dziewczyny, i nawet odeszła mi ochota, żeby ją skrzyczyć, bo oczywiście domyśliłem się, że to ona zhakowała nasze kamery. Powiedziałem jej, żeby uważała, bo na nią polują. Zawsze na mnie polowali, odparła. Wtedy się wściekłem. Warknąłem, że powinna ubiegać się o ochronę, bo inaczej ją zabiją. I dopiero wtedy mnie naprawdę wystraszyła.

– Co zrobiła?

– Patrząc w podłogę, odpowiedziała, że nie zabiją, jeśli wyprzedzi ich o krok.

– Co chciała przez to powiedzieć?

– Właśnie się nad tym zacząłem zastanawiać, kiedy przypomniała mi się historia z jej ojcem.

– W jakim sensie?

– Bo tamtym razem obroniła się przez atak, więc przeczuwałem, że teraz też ma taki plan: uderzyć pierwsza, i przeraziło mnie to. Widziałem jej spojrzenie, więc co z tego, że wyglądała jak marzenie teściowej, czy co tam jeszcze. W oczach miała czarną przepaść.

– Chyba przesadzasz. Lisbeth nie ryzykuje bez potrzeby. Działa racjonalnie.

– Tak, ale na swój własny szalony sposób.

Mikaelowi przypomniało się, co Lisbeth powiedziała mu podczas kolacji w Kvarnen: że zamierza być kotem, nie myszą.

– No i co dalej? – spytał.

– Nic. Poszła sobie i od tamtej pory nie dała znaku życia. Czekałem tylko, aż przeczytam w gazecie, że wyleciał w powietrze lokal klubowy MC Svavelsjö albo że jej siostra zginęła w płonącym samochodzie w Moskwie.

– Camilla jest pod ochroną rosyjskiej mafii. Lisbeth nigdy by z nimi nie zadarła.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Sam nie wiem. Ale jestem pewien, że ona by nigdy...

– Co?

– Nic – odparł Mikael, przygryzając wargę; poczuł się naiwny, wręcz głupi.

– To się nie skończy, dopóki się nie skończy. Tak to odebrałem. Żadna z nich – ani Lisbeth, ani Camilla – się nie podda, dopóki druga nie będzie martwa.

– Chyba przesadzasz – zauważył Mikael.

– Tak myślisz?

– Mam taką nadzieję – poprawił się. Napił się jeszcze wina i przeprosił Dragana na chwilę.

Sięgnął po komórkę i wysłał esemesa do Lisbeth.

Ku swojemu zdziwieniu od razu dostał odpowiedź:

Spoko, Blomkvist. Jestem na urlopie. Schowałam się. Nie robię żadnych głupstw.

URLOP TO za dużo powiedziane. Jednak dla Lisbeth radość wiązała się z bólem; bólem, który ustępuje. Popijając piwo w barze

w Hôtel d'Angleterre, poczuła właśnie to: ulgę, jakby ktoś zdjął z niej ciężar, jakby dopiero teraz do niej dotarło, w jakim napięciu żyła przez całe lato; polowanie na siostrę doprowadziło ją do granic szaleństwa. Jeszcze nie do końca się odprężyła, w jej głowie nie przestawały się przewijać wspomnienia z dzieciństwa. Miała jednak wrażenie, jakby rozszerzył jej się ogląd spraw, i nawet zaczęła tęsknić, niekoniecznie za czymś konkretnym, raczej za tym, aby uciec od wszystkiego, i to wystarczyło, żeby dać jej poczucie wyzwolenia.

– *Are you okay?*

Dotarły do niej panujący gwar i ponowione pytanie, więc się odwróciła i popatrzyła na stojącą obok młodą kobietę, która szukała jej spojrzenia.

– A dlaczego pytasz?

Tamta miała ze trzydzieści lat, ciemną karnację, przenikliwie patrzące lekko skośne oczy i długie czarne, kręcone włosy. Ubrana w dżinsy, granatową bluzkę i botki na wysokim obcasie. Było w niej coś zdecydowanego i jednocześnie proszącego. Na prawym ramieniu miała bandaż.

– Sama nie wiem – odparła. – To po prostu pytanie, które ludzie zadają.

– Pewnie tak.

– Miałaś minę, jakby ci się wszystko spieszyło.

Lisbeth niejedną raz w życiu słyszała tę uwagę. Ludzie podchodzili do niej i mówili, że wygląda, jakby była niezadowolona, zła albo właśnie jakby wszystko jej się spieszyło. Nienawidziła tego. Jednak tym razem to kupiła i odparła:

- I pewnie tak było.
- Ale już jest lepiej?
- W każdym razie inaczej.
- Mam na imię Paulina i też jestem poharatana.

PAULINA MÜLLER spodziewała się, że tamta również się przedstawi. A tu nic, nawet nie kiwnęła głową. Ale też nie odtrąciła jej. Paulina zwróciła na nią uwagę ze względu na jej chód: jakby zupełnie nie zważała na otoczenie i nie miała najmniejszego zamiaru przypodobać się nikomu; było w tym coś dziwnie pociągającego i Paulina pomyślała, że może i ona chodziła w podobny sposób, zanim Thomas jej to odebrał.

Jej życie było niszczone tak powoli i stopniowo, że ledwo to zauważała. Po przeniesieniu się do Kopenhagi zaczęła zdawać sobie sprawę, jak daleko to zaszło, lecz widząc tę kobietę, zrozumiała to jeszcze lepiej. Stojąc obok niej, poczuła, że nie jest wolna. Od tamtej wprost biła niezależność, która była niezwykle pociągająca.

- Mieszkaś tu? – spytała ostrożnie.
- Nie – odparła tamta.
- Właśnie się tu przenieśliśmy z Monachium. Mój mąż został przedstawicielem firmy farmaceutycznej Angler na całą Skandynawię – ciągnęła z dumą.
- Aha.
- Ale dziś uciekłam od niego.
- Okej – powiedziała kobieta.
- Byłam dziennikarką w czasopiśmie „Geo”, wiesz, to taki magazyn naukowy, ale odeszłam stamtąd, kiedy się tu

przeprowadziliśmy.

– Aha.

– Pisałam głównie o medycynie i biologii.

– Okej.

– Bardzo to lubiałam – mówiła dalej. – Ale mąż dostał tę pracę, no i stało się, jak się stało. Pracuję trochę jako wolny strzelec.

Odpowiadała na niezadane pytania, a kobieta mówiła „aha” albo „okej”, aż w końcu spytała, czego się napije. Paulina odparła, że może być cokolwiek, i dostała whiskey Tullamore Dew z lodem i z uśmiechem, a może raczej zwiastunem uśmiechu. Kobieta miała na sobie czarny spodniom, któremu przydałaby się pralnia chemiczna, i białą koszulę, była zupełnie nieumalowana i miała zapadnięte oczy, jakby od dłuższego czasu nie spała. Mroczne spojrzenie, mocne i niepokojące, a Paulina próbowała śmiać się i żartować.

Nie bardzo jej szło. Tyle że nieznajoma przysuwała się coraz bardziej, co jej się spodobało i może dlatego zerknęła nerwowo na ulicę, jakby się bała, że pojawi się Thomas. Wtedy kobieta zaproponowała, żeby napiły się u niej w pokoju.

Paulina odpowiedziała, że nie, nie ma mowy. „Mojemu mężowi bardzo by się to nie podobało”. Potem zaczęły się całować i poszły do pokoju, gdzie się kochały. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przeżyła coś podobnego, tyle gniewu i namiętności, a potem opowiedziała o Thomasie i swojej domowej tragedii; tamta słuchała z miną, jakby była zdolna zabić. Paulina nie miała tylko pewności, czy chodziło o Thomasa czy o resztę świata.

ROZDZIAŁ 8

20 SIERPNIA

PRZEZ NASTĘPNY tydzień Mikael nie chodził do redakcji i nie spojrział na swój tekst o fabrykach trolli. Sprzątał w mieszkaniu, biegał, przeczytał dwie powieści Elizabeth Strout i spotkał się na kolacji ze swoją siostrą Anniką Giannini, głównie dlatego, że była adwokatką Lisbeth. Jednak Annika wiedziała niewiele więcej od niego, tylko tyle, że Lisbeth odezwała się do niej z prośbą o namiary na niemieckich adwokatów zajmujących się sprawami rodzinnymi.

Poza tym po prostu spędzał czas. Niekiedy godzinami leżał, gawędząc przez telefon z przyjaciółką i koleżanką redakcyjną Eriką Berger o kolejnym zwrocie akcji w jej procesie rozwodowym; paradoksalnie było w tym coś rozbijającego, jakby znów byli nastolatkami, zwierającymi się ze swoich problemów miłosnych. Swoją drogą proces był dla niej trudny, więc kiedy w czwartek zadzwoniła do niego i już zupełnie innym tonem chciała rozmawiać z nim o pracy, doszło między nimi do spięcia. Erika zaklęła i zarzuciła mu, że się pieści.

– Ja się nie pieścę, Ricky, tylko jestem skonany. Potrzebuję urlopu.

– Mówiłeś, że tekst jest w zasadzie gotowy. No to go przyslij,

dopracujemy.

– To są same odgrzewane kotlety.

– Nie wierzę w to ani trochę.

– Niestety, to prawda. Czytałaś analizę w „Washington Post”?

– Nie czytałam.

– Są lepsi ode mnie w każdym punkcie.

– Mikael, to nie muszą być aż takie rewelacje. Wystarczy, że przedstawiś swój punkt widzenia. Nie zawsze możesz mieć newsa. To absurd, żeby tak myśleć.

– Ale ten tekst nie jest dobry. Jest wymęczony. Dajmy sobie z nim spokój.

– Nic z tego. Ale okej... odłożmy go do następnego numeru. Obecny chyba i tak uda mi się jakoś poskładać.

– Na pewno ci się uda.

– To co będziesz robił?

– Pewnie wybiorę się do Sandhamn.

Nie była to może ich najlepsza rozmowa, jednak poczuł, jakby mu kamień spadł z serca. Z szafy w sypialni wyciągnął walizkę i zaczął się pakować. Szło mu powoli, jakby na to też nie miał ochoty, i co pewien czas wracał myślami do Lisbeth. Właściwie myślał o niej cały czas, aż zaklął głośno, że nie może się od tego uwolnić: choćby nie wiem jak mu obiecywała, że nie zrobi żadnego głupstwa, ciągle się o nią martwił, a może i złościł, że jest taka zamknięta w sobie i tajemnicza. Pomyślał, że musi dowiedzieć się czegoś więcej o tych zagrożeniach, kamerach monitoringu, o Camilli i Svavelsjö MC.

Powinien przyjrzeć się temu wszystkiemu od każdej strony,

sprawdzić, co mógłby zrobić, żeby jej pomóc. Znow wrócił do tego, co powiedziała tamtego wieczoru w Kvarnen, i przypomniał sobie jej oddalające się kroki na Medborgarplatsen. Przerwał pakowanie, poszedł do kuchni i napił się jogurtu prosto z kartonu. W tym momencie zadzwoniła komórka. Nieznany numer. Pomyślał jednak, że skoro dostał wolne, mógłby odebrać, a nawet powiedzieć wesoło: „O rany, jak fajnie, że dzwonicie, żeby mnie znów opieprzyć”.

LEKARKA SĄDOWA Fredrika Nyman wróciła do domu w Trångsund pod Sztokholmem. Jej obie nastoletnie córki siedziały na kanapie w dużym pokoju, wpatrując się w swoje smartfony, co jej nie dziwiło, tak jak nie dziwiło jej, że za oknem jest jezioro. Dziewczyny poświęcały cały swój wolny czas na oglądanie na komórkach filmików z YouTube’a czy czegoś podobnego. Miała ochotę warknąć, żeby odłożyły telefony i poczytały jakąś książkę, pograły na pianinie i nie opuszczały treningu koszykówki albo po prostu wyszły na słońce.

Zabrakło jej sił. Miała za sobą beznadziejny dzień, dopiero co skończyła rozmowę z pewnym policjantem, kompletnym durniem, który – jak to dureń – uważał się za bystrzaka. Powiedział, że wszystko sprawdził, co znaczyło tyle, że poczytał w Wikipedii, dzięki czemu poczuł się ekspertem od buddystów. *Siedzi taki pajac pod drzewem i czuje się oświecony.* Było to tak głupie i pozbawione elementarnego szacunku, że nic nie odpowiedziała, a teraz usiadła obok córek na szarej kanapie przed telewizorem, licząc, że któraś chociaż powie „cześć, mamó”. Żadna się nie odezwała. Josefin

przynajmniej odpowiedziała na pytanie, co tak ogląda.

– Taką jedną rzecz.

Taką jedną rzecz.

Fantastycznie wyczerpująca odpowiedź. Fredrika miała ochotę krzyknąć, ale wyszła do kuchni, starła blat i stół kuchenny, na swoim smartfonie przewinęła Facebooka, żeby pokazać, że nie jest gorsza, i odpłynęła, surfując w sieci, po czym sama nie wiedząc, jak to się stało, utknęła na jakiejś stronie o urlopach w Grecji.

W tym momencie przyszło jej do głowy zupełnie co innego, być może zainspirowało ją zdjęcie na tej stronie – starego, pomarszczonego mężczyzny siedzącego w nadbrzeżnej kafejce – i wtedy przypomniał jej się Mikael Blomkvist. Nie miała ochoty dzwonić do niego. Nie chciała wyjść na namolną pańnię, która znów zawraca głowę wspianiałemu panu redaktorowi. Jednak wydał jej się jedynym człowiekiem, którego ta myśl mogłaby zainteresować, więc zadzwoniła.

– O, halo – powiedział – fajnie, że dzwonisz!

Zabrzmiało to tak radośnie, że poczuła, że to najlepsze, co ją dziś spotkało, a to wiele mówiło o jej dniu.

– Pomyślałam... – powiedziała.

– Wiesz co – przerwał jej. – Przypomniało mi się, że faktycznie widziałem tego twojego żebraka, to musiał być on.

– Okej.

– Wszystko się zgadza, puchowa kurtka, plama na twarzy, amputowane palce. To nie mógł być nikt inny.

– Gdzie go widziałeś?

– Na Mariatorget. Niesamowite – ciągnął – że o nim

zapomniałem. Nie mieści mi się to w głowie. Ale wiesz, facet siedział nieruchomo na kawałku kartonu pod pomnikiem na skwerze. Musiałem mijać go z dziesięć, może ze dwadzieścia razy.

Zaraził ją swoim entuzjazmem.

– Fajnie, że to mówisz. Jakie robił na tobie wrażenie?

– Taak... sam nie wiem. Pewnie nie byłem zbyt uważny. Utkwił mi w pamięci jako człowiek kontuzjowany, ale dumny – trochę tak, jak go postrzegałaś po śmierci. Zawsze siedzący prosto z podniesioną głową, niczym filmowy wódz indiański. Nie rozumiem, jak wytrzymywał takie siedzenie całymi godzinami.

– Myślisz, że był pod wpływem alkoholu albo prochów?

– Nie wiem – odparł. – Może i był. Ale gdyby był pijany lub naćpany, nie dałby rady długo utrzymywać tej pozycji. Bo co?

– Dziś rano dostałam wynik badania screeningowego. Facet miał dwa i pół mikrograma zopiklonu na gram krwi, to bardzo wysokie stężenie.

– Co to jest zopiklon?

– Substancja wchodząca w skład niektórych środków nasennych. Musiał przyjąć dwadzieścia tabletek rozpuszczonych w wódce, do tego dekstropoksyfen, przeciwbólowy środek z grupy opiatów.

– A co na to policja?

– Że albo przedawkował, albo popełnił samobójstwo.

– Na jakiej podstawie?

Prychnęła.

– Na tej, że jak się domyślam, tak jest najłatwiej. Prowadzący dochodzenie sprawiał wrażenie, że przede wszystkim nie chce mu się pracować.

- Jak się nazywał?
- Dochodzeniowiec?
- Tak.
- Hans Faste.
- O, nie – stęknął Mikael.
- Znasz go?

MIKAEL ZNAŁ Hansa Faste aż za dobrze. Hans Faste wierzył kiedyś, że Lisbeth należy do lesbijskiej satanistycznej grupy rockowej, i bez jakichkolwiek podstaw – poza własną niewątpliwą mizoginią i ksenofobią – uznał ją za podejrzaną o morderstwo. Bublanski mawiał, że Faste to kara za grzechy całej policji.

- Niestety tak – odparł.
- Powiedział na tego człowieka „farmazon”.
- Cały Faste.
- Kiedy mu przekazałam wyniki screeningu, skomentował, że ten pajac za bardzo polubił tabletki.
- A ty nie jesteś przekonana, że tak było.
- Przedawkowanie wydaje się rozsądnym wyjaśnieniem, niemniej zastanawia mnie zopiklon. Oczywiście można go nadużyć, jednak osoby uzależnione częściej sięgają po benzodiazepiny, ale kiedy zrobiłam tę uwagę, dodając, że ten facet prawdopodobnie był buddystą, Faste natychmiast to podchwycił.
- To znaczy?
- Zadzwoił po kilku godzinach i powiedział, że zdokumentował sprawę. Dokumentacja polegała na tym, że poczytał Wikipedię, z której dowiedział się, że buddysta, który uzna siebie za

szczególnie oświeconego, ma prawo odebrać sobie życie. Najwyraźniej bardzo mu się to spodobało. Skomentował, że gościu siedział se pod drzewem i doświadczał oświecenia.

– O Boże.

– Właśnie, wpadłam w szal. A jednak nic mu nie powiedziałam. Nie miałam siły się awanturować, w każdym razie nie dziś. Wróciłam do domu, zła na wszystko, i nagle uderzyło mnie, że to się po prostu nie składa.

– W jakim sensie?

– Przypomniała mi się jego sekcja. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tyle przeszedł. Całe ciało, każde ścięgno, nawet najmniejszy mięsień wskazuje, że jego życie było jedną wielką walką. Może powiem jak jakiś psycholog amator, ale nie chce mi się wierzyć, żeby taki człowiek nagle przestał walczyć i nafaszerował się tabletkami. Moim zdaniem nie można wykluczyć, że ktoś pozbawił go życia.

Mikael drgnął.

– Musisz im to powiedzieć. Powinni włączyć do dochodzenia jeszcze kogoś.

– Oczywiście, zrobię to, ale i tak chciałam ci o tym powiedzieć na wypadek, gdyby policja się nie spisała.

– Bardzo ci dziękuję – odparł. Przyszła mu na myśl Catrin Lindås, o której mu opowiadała Sofie.

Przypomniała mu się jej wyprasowana garsonka, plama na żakiecie i hipisowska komuna, w której dorastała. Zastanawiał się, czy o niej wspomnieć. Mogłaby chyba powiedzieć policji coś istotnego. Jednak doszedł do wniosku, że na razie lepiej chronić ją

przed Hansem Fastem, więc tylko spytał:

– Wciąż nie znacie jego tożsamości?

– Nie, w rejestrze osób zaginionych nie ma nikogo o takich znakach szczególnych. Dopiero co dostałam z NFC sekwencje jego DNA, ale na razie jest to sekwencjonowanie płytkie, autosomalne. Zamówię również analizę jego mitochondrialnego DNA i chromosomu Y, wtedy być może posunę się naprzód.

– Swoją drogą powinno go pamiętać sporo osób – zauważył Mikael.

– Co masz na myśli?

– Facet zwracał uwagę. Ja byłem tego lata wyjątkowo skupiony na sobie, ale inni, jak słyszę, widzieli go. Policja powinna porozmawiać z ludźmi z okolic Mariatorget.

– Przekażę im.

Mikael poczuł, że się rozkręcił.

– I wiesz co...

– Tak?

– Jeśli przyjął te tabletki, to mało prawdopodobne, żeby przepisał je lekarz – ciągnął. – Facet nie sprawiał wrażenia kogoś, kto by się zapisywał na wizytę u psychiatry, poza tym wiem nie od dziś, że istnieje czarny rynek takich leków. Policja na pewno ma informatorów w tym środowisku.

Fredrika Nyman milczała przez sekundę, może dwie.

– O cholera – powiedziała.

– Przepraszam?

– Idiotka ze mnie.

– Nie wydaje mi się.

– Naprawdę. Ale wiesz co... bardzo się cieszę, że go pamiętasz. To dla mnie ważne.

Mikael spojrzał na swoją częściowo spakowaną torbę i poczuł, że już mu się nie chce jechać do Sandhamn.

MIKAEL BLOMKVIST odpowiedział coś uprzejmie. Fredrika Nyman nie dosłyszała. Zakończyła rozmowę, ale ledwo zwróciła uwagę na Amandę, która stanęła przed nią i spytała, co z kolacją, a nawet przeprosiła za swoje wcześniejsze niemiłe zachowanie. Fredrika mruknęła, żeby dziewczyny zamówiły sobie jedzenie do domu.

– Co? – spytały.

– Cokolwiek – odparła. – Pizzę, jedzenie hinduskie, tajskie, chipsy, żelki.

Nie przejęła się, kiedy spojrzały po sobie, jakby uważały, że oszalała. Zamknęła się w swoim pokoju i napisała wniosek do Zakładu Chemii i Toksykologii Sądowej o pilną segmentową analizę włosów, co naturalnie powinna zrobić już na początku.

Analiza ujawni nie tylko poziom zopiklonu i dekstropropoksyfenu u denata w chwili śmierci, ale również tydzień po tygodniu kilka miesięcy wstecz. Innymi słowy będzie jasne, czy nadużywał tych substancji przez dłuższy czas, czy też zażył je ten jeden jedyny raz. To istotna część układanki; świadomość tego sprawiła, że zapomniała o córkach, o bólu w kręgosłupie, bezsenności i poczuciu bezsensu, chociaż zupełnie tego nie rozumiała. Przecież ciągle zajmuje się podejrzanymi zgonami i nieczęsto zdarza jej się angażować emocjonalnie.

Jednak ten człowiek ją zafascynował, może nawet miała nadzieję, że przytrafiło mu się coś dramatycznego. Jakby to pokiereszowane ciało zasłużyło na coś takiego. Dlatego przez kilka godzin siedziała, przyglądając się zdjęciom, i ciągle odkrywała jakieś nowe szczegóły. Patrzyła i w myślach pytała:

Coś ty przeżył, przyjacielu?

Przez co musiałeś przejść?

MIKAEL ZASIADŁ przed laptopem i wygooglował Catrin Lindås. Wiek trzydzieści siedem lat, magister politologii i ekonomii na Uniwersytecie Sztokholmskim, znana konserwatywna dziennikarka i panelistka. Popularna autorka podcastów, publicystka „Svenska Dagbladet”, magazynów „Axess” i „Fokus”, również branżowej gazetki „Journalisten”.

Zwolenniczka zakazu żebractwa, często zabierająca głos na temat uzależnienia od zasiłków społecznych i niedostatków szwedzkiego szkolnictwa. Monarchistka, domagająca się zwiększenia wydatków na obronę i wsparcia dla rodzin, choć sama chyba nie miała rodziny. Deklarująca się jako feministka, ale często krytykowana przez feministki. Spotykająca się z intensywnym hejtem w sieci zarówno z prawa, jak i z lewa. Lista cytatów z jej wypowiedzi była nieprzyjemnie długa. „Trzeba wymagać”, mawiała często. „Człowiek rośnie od stawianych mu wymagań i obowiązków”.

Pisała, że nie cierpi mętniactwa, zabobonów i religijnych przesądów, chociaż akurat na ten temat wypowiadała się z większą

ostrożnością. Na łamach „Svenska Dagbladet” zamieściła wywód o konstruktywnym dziennikarstwie – reportażu, który nie poprzestaje na demaskowaniu nieprawości, ale również wskazuje drogi naprawy – gdzie napisała, że „Mikael Blomkvist twierdzi, że zwalcza populistów, a w rzeczywistości dostarcza im paliwa, przedstawiając czarny obraz społeczeństwa”.

Wyrażała także niepokój, że Blomkvist jest przez młodych dziennikarzy postrzegany jako wzór, tymczasem zbyt łatwo przychodzi mu postrzeganie ludzi jako ofiar, bezrefleksyjnie opowiada się przeciw establishmentowi, a powinien szukać rozwiązań, zamiast wynajdywać same problemy. To chyba w porządku, pomyślał.

Bywało gorzej, zresztą może rzeczywiście coś w tym jest. Mimo to, śmieszna rzecz, ta kobieta napawała go lekkim strachem. Sprawiała wrażenie, jakby potrafiła przejrzeć go na wylot, odkryć, że nie pozmywał naczyń albo się nie wykąpał, nie zapiął rozporoka, a jogurt pił prosto z kartonu. Uznał, że w jej spojrzeniu jest coś oskarżycielskiego, jakaś kostyczność, wzmocniona zimną urodą.

Nie mógł przestać myśleć o niej i o żebraku, o ich paradoksalnym spotkaniu – królowej śniegu z nędzarzem. Odszukał jej numer telefonu i zadzwonił. Nie odebrała, może i dobrze. Przecież to nic takiego. Cała ta historia to nic takiego, powinien wyprawić się do Sandhamn, i to zaraz, zanim będzie za późno. Wyjął z szafy kilka koszul i marynarkę, w razie gdyby chciał pójść na imprezę w Seglarhotellet. W tym momencie zadzwonił telefon. Catrin Lindås odezwała się surowym tonem pasującym do jej wyglądu.

– O co chodzi?

Pomyślał, że na początek powie jej kilka miłych słów na temat jej komentarzy, żeby schowała kolce. Ale nie mógł się przemóc, więc tylko spytał, czy nie przeszkadza.

– Jestem zajęta – odparła.

– W takim razie dzwoniemy się później.

– Dzwoniemy się, jeśli się dowiem, o co chodzi.

Miał ochotę odpowiedzieć, że właśnie pisze złośliwy komentarz na jej temat.

– Sofie Melker mówiła mi, że miałaś niedawno nieprzyjemny incydent z pewnym bezdomnym w obszernej kurtce puchowej.

– Mam wiele nieprzyjemnych incydentów – odpowiedziała. – To nieodłączna część tej pracy.

O Boże, pomyślał.

– Chciałbym się dowiedzieć, co wtedy mówił.

– To był bełkot.

Znów spojrzał na zdjęcia Catrin z sieci.

– Jesteś jeszcze w pracy? – spytał.

– Bo co?

– Może bym zajrzał, żebyśmy o tym porozmawiali? Pracujesz na Mäster Mikael's Gata, prawda?

Nie bardzo wiedział, dlaczego to robi. Ale jeśli chce się czegoś dowiedzieć, to na pewno nie uda mu się przez telefon. Miał wrażenie, jakby odgradzał go od niej drut kolczasty.

– Okej, na krótko – zgodziła się. – Za godzinę.

NA PLACU REPUBLIKI przed jej hotelem w Pradze zadzwonił

tramwaj. Lisbeth znów za dużo piła, przyklejona do laptopa pod osłoną klatki Faradaya. To prawda, że bywały chwile, kiedy miała poczucie wyzwolenia i zapomnienia o przeszłości, ale zawsze łączyły się z alkoholem i seksem, a potem wracała wściekłość i bezradność.

Dostawała szału, kiedy uświadamiała sobie, że przeszłość wciąż wiruje jej w głowie, często dochodziła do wniosku, że to nie jest życie. Tak się nie da. Musi coś zrobić, zamiast tylko czekać, nasłuchiwać kroków w korytarzach i na ulicach albo uciekać, dlatego próbowała przejąć inicjatywę. Jednak nie przychodziło to łatwo.

Osoba ukrywająca się pod ksywą Katja Flip, którą polecił jej Plague, podobno była szaleńczo odważna. Ale Lisbeth przez dłuższy czas miała wrażenie, że to takie gadki szmatki. Katja wciąż tylko domagała się więcej pieniędzy i mówiła, że nikt nie zadrze z tym odłamek mafii – zwłaszcza odkąd do akcji wkroczył Iwan Galinow.

Cholernie dużo było tego gadania o Galinowie, zresztą również o Kuzniecowie i akcjach odwetowych, i dopiero po długich namowach przez *dark web* udało jej się skłonić Katję do umieszczenia IMSI-catchera w rododendronie rosnącym sto metrów od domu Camilli na Rublowce; potem z odbywających się stamtąd połączeń wyłowiła numer referencyjny, zwany IMEI, i to już było coś. Jednak nie dawało jej żadnej gwarancji i nie pomogło oderwać się od przeszłości, która wciąż w niej buzowała i huczała, więc często – jak teraz – przez zhakowany link satelitarny wpatrywała się w dom Camilli, wpychając w siebie śmieciowe jedzenie

i opróżniając minibarek z alkoholu.

Co samo w sobie było szaleństwem – nawet nie miała siły trenować czy choćby wyjść. Usłyszawszy pukanie, wstała, żeby otworzyć Paulinie, która nie przestawała trajkotać. Lisbeth nie usłyszała z tego ani słowa, aż Paulina zawołała:

– Co się stało?

– Nic.

– Wyglądasz...

– Jakby wszystko mi się spieprzyło – dopowiedziała Lisbeth.

– Coś w tym rodzaju. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Trzymaj się z daleka, pomyślała. Trzymaj się z daleka. Mimo to położyła się na łóżku i spytała, czy Paulina zdobędzie się na to, żeby położyć się obok.

MIKAEL PRZYWITAŁ się z Catrin Lindås. Mocno uścisnęła mu dłoń, ale nie patrzyła w oczy. Miała na sobie spódnicę, błękitny żakiet i szal w szkocką kratę, białą bluzkę zapiętą pod szyję i czarne pantofle na obcasach. Włosy upięła w kok i choć jej ubranie było dopasowane, podkreślające kształty, wyglądała sztywno, jak nauczycielka z angielskiej szkoły. Najwyraźniej była sama w redakcji. Na tablicy nad biurkiem wisiało jej zdjęcie, na którym rozmawia z Christine Lagarde, prezeską Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Wyglądały jak matka i córka.

– Robi wrażenie – odezwał się, wskazując na fotografię.

Nie skomentowała. Poprosiła, żeby usiadł na sofie zaraz za jej biurkiem, sama zaś usiadła wyprostowana na fotelu naprzeciwko i skrzyżowała nogi. Odniósł absurdalne wrażenie, jakby była

królową niechętnie udzielającą audiencji poddanemu.

– Dziękuję, że zgodziłaś się mnie przyjąć.

– Nie ma za co.

Przyglądała mu się podejrzliwie, aż miał ochotę spytać, dlaczego go tak nie lubi.

– Nie zamierzam pisać o tobie, możesz się odprężyć – powiedział.

– Możesz o mnie napisać, co ci się żywnie podoba.

– Będę pamiętał.

Uśmiechnął się. Nie odpowiedziała uśmiechem.

– Właściwie jestem na urlopie – ciągnął.

– Bardzo dobrze.

– Nawet świetnie.

Odczuwał niezrozumiałą ochotę, żeby się z nią podrażnić.

– Dlatego zainteresowałem się tym żebrakiem. Kilka dni temu został znaleziony martwy, a w kieszeni miał kartkę z moim numerem telefonu.

– Okej – powiedziała.

Mogłabyś, do cholery, jakoś zareagować na to, że facet nie żyje, pomyślał.

– Wydaje się, że chciał mi coś przekazać, dlatego ciekawi mnie, co ci powiedział.

– Niewiele mówił, raczej krzyczał, wymachując jakąś ułamaną gałęzią, śmiertelnie mnie wystraszył.

– Co wykrzykiwał?

– Zwykle brednie.

– Co to są zwykle brednie?

– Ogólnie rzecz biorąc, że Johannes Forsell to zakłamany typ.

– Wykrzykiwał tak?

– W każdym razie wrzeszczał coś o Forsellu. Szczerze mówiąc, najbardziej byłam zajęta tym, żeby się od niego uwolnić. Szarpał mnie za ramię, co było bardzo nieprzyjemne, więc wybacz, że nie zatrzymałam się, by grzecznie wysłuchać jego teorii spiskowych.

– Rozumiem. Naprawdę – odpowiedział Mikael, choć nie mógł ukryć rozczarowania.

Niejeden raz, aż do znudzenia, słyszał te pierdoły na temat ministra obrony, jeden z ulubionych tematów trolli internetowych. Cała ta historia stawała się z dnia na dzień coraz gorsza. Oskarżenie Forsella o prowadzenie pizzerii dla pedofilów wydawało się tylko kwestią czasu; do pewnego stopnia było to spowodowane jego niewzruszoną postawą wobec prawicowych ekstremistów i ksenofobów, jak również otwarcie wyrażanymi obawami przed coraz bardziej agresywną polityką Rosji. Zresztą na pewno przyczyniał się do tego fakt, że był bogaty, świetnie wykształcony, oprócz tego był znany jako sportowiec: maratończyk i pływak; czasem sprawiał wrażenie wyniosłego, co drażniło ludzi.

Mimo to Mikael go lubił. Czasem wpadali na siebie w Sandhamn, wymieniając uprzejmości, sumiennie sprawdził też powtarzające się plotki, jakoby Forsell miał się wzbogacić na krachu na giełdzie, a być może nawet się do niego przyczynił. Mikael nie znalazł żadnych podstaw do tych twierdzeń. Majątek Forsella znajdował się pod zarządem powierniczym, ani przed krachem, ani w trakcie nie robił żadnych interesów, a spadki giełdowe z całą pewnością go nie wzmocniły. W tym momencie był

najbardziej znieawidzonym członkiem rządu, a jedyne, co tak naprawdę udało mu się zrealizować, to zwiększenie środków na MUST, czyli wywiad wojskowy, oraz MSB, Urząd Zarządzania Kryzysowego i Ratownictwa. Z drugiej strony były to działania oczywiste, zważywszy na to, co się wydarzyło.

– Mam dość tych wszystkich kłamstw – powiedziała.

– Ja w zasadzie też – przyznał.

– Przynajmniej w tym jesteśmy zgodni.

Rozdrażniło go to.

– Rozumiem, że nie jest łatwo konwersować z facetem, który wrzeszczy i wymachuje nad tobą gałęzią – powiedział.

– To ładnie z twojej strony.

– Czasem jednak warto posłuchać choćby bredni, bo nawet w bredniach bywa ziarno prawdy.

– Będziesz mi teraz udzielał rad zawodowych?

Jej ton doprowadzał go do szału, coraz wyraźniej czuł, że musi ją dopaść.

– I wiesz co... – dodał. – Myślę, że można oszaleć, kiedy nikt ci nie wierzy. Zwariować.

– Co?

– Człowiek się rozsypuje, kiedy go ciągle ignorują.

– A więc gość popadł w bezdomność i w psychozę, bo osoby takie jak ja nie mają siły go słuchać? – spytała.

– Nie miałem tego na myśli.

– Ale tak to zabrzmiało.

– W takim razie przepraszam.

– Dziękuję.

– Słyszałem, że tobie też nie było lekko.

– A co to ma do rzeczy?

– Pewnie nic.

– Właśnie, dziękuję za wizytę – powiedziała.

– Boże – mruknął. – Co się z tobą dzieje?

– Co się ze mną dzieje? – powtórzyła za nim, wstając. Przez kilka sekund patrzyli sobie z wściekłością w oczy.

Mikael miał absurdalne wrażenie, że uczestniczy w pojedynku, jakby byli pięściarzami na ringu, i nagle, nieświadomi, jak to się stało, znaleźli się tuż obok siebie. Poczł jej oddech, zobaczył jej płonące oczy, uniesioną pierś, lekko przechyloną na bok głowę; i wtedy ją pocałował. Przemknęła mu myśl, że zrobił niewybaczalne głupstwo. Ale Catrin odwzajemniła pocałunek, przez kilka sekund patrzyli na siebie ze zdumieniem, jakby żadne z nich nie rozumiało, co się dzieje.

A potem chwyciła go za kark i przyciągnęła do siebie, moment i stracili panowanie nad sobą, wylądowali na sofie, potem na podłodze, i w samym środku tego oblędu Mikael zdał sobie sprawę, że pożądał jej od chwili, kiedy pierwszy raz spojrział na jej zdjęcia w sieci.

ROZDZIAŁ 9

24 SIERPNIA

W LABORATORIUM Zakładu Medycyny Sądowej Fredrika Nyman rozmyślała o swoich córkach, zastanawiając się, gdzie popełniła błąd.

– Nie rozumiem – powiedziała, zwracając się do swego kolegi Mattiasa Holmströma.

– Czego nie rozumiesz? – spytał.

– Dlaczego tak się złościę na Josefin i Amandę. Aż się trzęsę.

– A co cię tak denerwuje?

– Że są takie aroganckie. Nawet nie mówią „cześć”.

– O co ci chodzi, przecież są nastolatkami. To zupełnie naturalne. Nie pamiętasz, jaka byłaś w ich wieku?

Fredrika pamiętała. Jako dziewczynka zachowywała się wręcz wzorowo: była świetną uczennicą, grała na flecie poprzecznym i trenowała siatkówkę, śpiewała w chórze, była uprzejma i dobrze wychowana. Zawsze uśmiechnięta i „tak, mam, oczywiście, tato”, jak pogodny żołnierz. Na pewno zdarzało się, że bywała niemożliwa, ale jednak... Żeby nawet nie odpowiadać, kiedy do ciebie mówią?

To wprost nie do pojęcia; nic dziwnego, że ciągle się złości, a wieczorami wydziera się na córki. Jest przemęczona. Powinna się

wreszcie wyspać i zaznać trochę spokoju, a sobie wypisać coś na sen, najlepiej od razu jakiś lek narkotyczny. Skoro kiedyś była taką grzeczną nastolatką, to teraz mogłaby trochę zaszaleć z czerwonym winem i tabletkami przeciwbólowymi. Zaśmiała się do siebie. Odpowiedziała coś zdawkowo Mattiasowi, który uśmiechnął się tak miło, że na niego też miałaby ochotę nawrzeszczyć.

Znów przypomniał jej się żebrak. W pracy tylko ta sprawa zajmowała ją naprawdę, udawała przed sobą, że policja wcale jej nie zlekceważyła. Zamówiła datowanie węglowe: analizę C14 zębów, która ustali wiek mężczyzny z dokładnością do dwóch lat, i C13, która ujawni nawyki żywieniowe w dzieciństwie, kiedy wykształcały się zęby, i określi stosunek izotopowy strontu i tlenu.

Porównała autosomalne wyniki DNA z bazą danych internationalgenome.org i okazało się, że mężczyzna najprawdopodobniej pochodził z południowych rejonów Azji Środkowej. Jednak niewiele jej to dało i wciąż czekała na analizę segmentową włosów. W najgorszym razie odpowiedź będzie dopiero za parę miesięcy, więc jak tylko mogła, naciskała na Zakład Chemii i Toksykologii Sądowej, a teraz postanowiła jeszcze raz zadzwonić do swojej sekretarki medycznej.

– Ingela, wiem, że zanudzam – zaczęła.

– Z was wszystkich ty akurat zanudzasz najmniej. Dopiero ostatnio się poprawiłaś w tym względzie.

– Są już wyniki analizy włosów?

– Tego bezimiennego?

– Właśnie.

– Czekaaj, zajrzę do raportów.

Fredrika bębniła po stole, patrząc na zegar. Dwadzieścia po dziesiątej, a już by zjadła lunch.

– Proszę, proszę – odezwała się po chwili Ingela. – Przyspieszyli. Już mam. Zaraz ci przyniosę.

– Powiedz tylko, co tam napisali.

– Napisali... Zaczekaj chwilę.

Fredrika poczuła dziwne zniecierpliwienie.

– Musiał mieć długie włosy – ciągnęła Ingela. – Mamy tu całe trzy segmenty i wszystkie są... negatywne. Ani śladu opiatów czy benzo.

– Czyli nie był polinarkomanem.

– Tylko najnormalniejszym, regularnym alkoholikiem. Nie, czekaj... tu mam... dawniej brał arypiprazol, czyli neuroleptyk, tak?

– Właśnie, stosowany w schizofrenii.

– Ale to jedyne, co tu widzę.

Fredrika rozłączyła się i przez chwilę siedziała zamyślona. Zatem facet nie brał żadnych psychotropów, jeśli nie liczyć arypiprazolu. Jak to rozumieć? Przygryzła wargę i spojrzała ze złością na Mattiasa, który znów się głupio uśmiechnął. To chyba dosyć oczywiste, prawda? Albo facet nagle – może przypadkiem – trafił na takie mnóstwo tabletek nasennych i połknął wszystkie, albo ktoś pozbawił go życia, dodając mu te tabletki do flaszki. Tak czy owak, nie miała pojęcia, jak może smakować mieszanka zopiklonu z wódką. Pewnie nie najlepiej, choć domyślała się, że facet nie był wybredny. Z drugiej strony po co ktoś miałby go zabijać? Trudno powiedzieć, przynajmniej na tym etapie.

Przyjmując ten scenariusz, i tak mogła wykluczyć nieumyślne zabójstwo. Bez wątplenia nie było to zabójstwo w afekcie. Potrzeba pewnej wiedzy, aby zmieszać tabletki z wódką i jeszcze doprawić opiatem. Dekstropropoksyfenem.

Dekstropropoksyfen.

Zrodziło to pewne podejrzenie. Z dodatkiem dekstropropoksyfenu ten koktajl stał się aż za dobry – jakby wyszedł spod ręki farmaceuty albo kogoś, kto konsultował się z lekarzem. Podekscytowała ją ta myśl i zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Mogła zadzwonić do Hansa Fastego i usłyszeć od niego kolejny wykład na temat zachowania takich pajaców. Nie, nie ma na to ochoty. Skończyła pisać raport i zadzwoniła do Mikaela Blomkvista. Skoro raz puściła farbę, równie dobrze może to kontynuować.

CATRIN LINDÅS siedziała w domku Mikaela w Sandhamn, usiłując sklecić komentarzyk redakcyjny do „Svenska Dagbladet”. Nie za bardzo jej szło. Brakowało motywacji, miała dość deadline’ów i zniechęcała ją sama myśl o posiadaniu jakichś poglądów. Ogólnie rzecz biorąc, miała dość wszystkiego poza Mikaelem Blomkvistem, co rzecz jasna było idiotyczne. Ale nie mogła nic na to poradzić. Powinna pojechać do domu, zająć się kotem i swoimi kwiatkami, i w ogóle wykazać się samodzielnością.

Nic z tego nie wychodziło. Przykleiła się do niego i – o dziwo – nawet się nie kłócili, tylko się kochali i rozmawiali całymi godzinami, co oczywiście mogło mieć związek z tym, że kiedyś, ze sto lat temu, się w nim podkochiwała, jak większość młodych

dziennikarek. Ale tak naprawdę podejrzewała, że wynikało to przede wszystkim ze zdumienia – siły tego, co niespodziewane. Była pewna, że Mikael ją lekceważy i chce ją zdyskredytować, dlatego przybrała postawę defensywną i arogancką, jak zwykle, kiedy czuła się pod presją, więc chciała tylko, żeby wyszedł z jej pokoju redakcyjnego, aż tu nagle dostrzegła w jego oczach jakiś głód, jak u wyposzczonego mnicha, i wtedy wszystko runęło. Stała się wręcz antytezą osoby, za jaką ją uważano, nie zważała nawet na to, że do pokoju może ktoś wejść. Rzuciła się na niego z żarem, który nie przestawał jej zdumiewać, potem poszli na wino, które piła duszkiem, chociaż nigdy dotąd nie piła niczego duszkiem.

Późną nocą dopłynęli taksówką wodną do Sandhamn, wtoczyli się do jego domku, dni mijały, a oni przeważnie leżeli spleceni w łóżku, przesiadywali w ogrodzie albo pływali jego łódką. Ciągle nie śmiała wierzyć, że to coś poważnego, i dlatego nie powiedziała mu ani słowa o najtrwalszym elemencie jej życia, jakim był lęk, który nigdy jej nie opuszczał; zresztą mówiła sobie, że jutro wraca do domu, może nawet jeszcze dziś wieczorem. Z drugiej strony wczoraj i przedwczoraj mówiła sobie to samo. Jednak zostawała, teraz było wpół do jedenastej, na jeziorze wiało; spojrzała w niebo, po którym błędził nerwowo zielony latawiec. Obok coś zabrzęczało.

Komórka Mikaela, który poszedł pobiegać. Catrin nie zamierzała zajmować się jego telefonem, mimo to spojrzała na wyświetlacz. *Fredrika Nyman*. Lekarka sądowa, o której jej opowiadał, więc odebrała.

– Telefon Mikaela Blomkvista, słucham – powiedziała.

- Chciałabym z nim rozmawiać.
- Poszedł biegać. Czy coś mu powtórzyć?
- Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił. I przekazać,

że mam wyniki badań.

- Chodzi o żebraka w kurtce puchowej?
- Właśnie.
- A wie pani, że się z nim zetknęłam? – powiedziała.
- Naprawdę?

Catrin dosłyszała zaniepokojenie w głosie lekarki.

- Rzucił się na mnie – dodała.
- Przepraszam, kim pani jest?
- Mam na imię Catrin, jestem przyjaciółką Mikaela.
- Jak to było?
- Zaczepił mnie na Mariatorget i wykrzykiwał coś.
- Czego chciał?

Już żałowała, że o tym napomknęła. Przypomniała sobie swoje ówczesne odczucie, jakby wróciło coś strasznego, zimne tchnienie przeszłości.

- Porozmawiać o Johannesie Forsellu.
- O ministrze obrony?

– Pewnie chciał go obsobaczyć, jak wszyscy, ale uciekłam, jak tylko mogłam najszybciej.

- Czy ma pani jakieś wyobrażenie o tym, skąd mógł pochodzić?
- Catrin pomyślała, że owszem.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Co to za wyniki badań, o których pani wspomniała?

- Wolałabym o tym porozmawiać z Mikaelem.

– No tak. Powiem mu, żeby oddzwonił.

Rozłączyła się i znów przeniknął ją strach, przypomniała sobie żebraka; klęczał pod pomnikiem na Mariatorget, a ona miała wrażenie *déjà vu*, jakby wróciła do podróży odbytej w dzieciństwie, może nawet uśmiechnęła się nerwowo, tak jak dawniej uśmiechała się do takich biedaków. W każdym razie gość widocznie odebrał to jako zachętę. Zerwał się, złapał leżącą obok ułamaną gałąź i chwiejnym krokiem ruszył w jej stronę, wołając:

– *Famous lady, famous lady.*

Zaskoczyło ją, że ją rozpoznał. Znalazł się bardzo blisko, zobaczyła kikuty palców, czarną plamę na twarzy, desperację w oczach i poślizgniętą cerę. Zupełnie zdrętwiała, nie mogła się ruszyć, dopiero kiedy złapał ją za żakiet i zaczął bredzić o Forsellu, udało jej się wyrwać i uciec.

– Nie pamiętasz, co mówił? – pytał ją Mikael.

Odpowiedziała, że te same brednie co wszyscy. Może jednak nie. Teraz te słowa wróciły do niej i już nie wydawały się ani niezrozumiałe, ani powtarzane przez wszystkich. Teraz mówiły jej coś zupełnie innego.

MIKAEL ZBLIŻAŁ SIĘ do domku. Bardzo zmęczony i spocony. Obejrzał się za siebie, nikt za nim nie szedł. Znów pomyślał, że coś sobie uroił, że to głupstwa. Od kilku dni odnosił wrażenie, że jest obserwowany, bo trochę za często natykał się na brodatego czterdziestolatka z włosami związanymi w kitkę, z tatuażami na ramionach; wprawdzie był ubrany jak zwykły turysta, ale jak na urlopowicza miał zbyt czujne spojrzenie.

Mikael nie podejrzewał, aby miało to coś wspólnego z nim, zresztą w momencie, kiedy zatapiał się w Catrin, zapominał o całym świecie. Jednak co pewien czas wracało ukłucie niepokoju i wtedy prawie zawsze przychodziła mu na myśl Lisbeth. Przed oczami stawały mu koszmarne sceny. Zasapany spojrzał w niebo. Było bezchmurne. Czytał, że upał powinien się utrzymać, ale miało wiać, może nawet będzie sztorm. Zatrzymał się przed domkiem i ogródkiem z dwoma krzakami porzeczek; powinien był je przyciąć. Dysząc wciąż, oparł ręce na kolanach i spojrzał na morze i kąpiących się ludzi.

Wszedł do środka, spodziewając się wspaniałego powitania ze strony Catrin; rozpaskudziła go tymi powitaniami, jak powracającego z frontu żołnierza, nawet jeśli nie było go tylko dziesięć minut. Tymczasem zastał ją siedzącą na łóżku sztywno, z zaciętą miną, więc zaniepokoił się i znów przypomniał sobie faceta z kitką.

– Stało się coś? – spytał.

– Co... nie.

– Był tu ktoś?

– A spodziewałeś się kogoś? – odparła, co trochę go uspokoiło.

Pogłaskał ją po głowie i spytał, co się dzieje.

Odparła, że wszystko w porządku. Nie do końca uwierzył. Z drugiej strony nie pierwszy raz dostrzegł u niej ten mroczny rys. Do tej pory zawsze znikał równie szybko, jak się pojawiał, więc kiedy powiedziała, że dzwoniła lekarka sądowa, postanowił dać jej spokój i zadzwonić do Fredriki Nyman. Opowiedziała mu o wynikach badania włosów.

– Rozumiem – powiedział. – Jaki jest twój wniosek z tych badań?

– Szczerze mówiąc, ciągle im się przyglądam i uważam, że są podejrzone – odparła Fredrika Nyman.

Mikael spojrzał na Catrin, która siedziała, obejmując rękami brzuch. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała sztucznym uśmiechem, wtedy spojrzał w okno. Na morzu pojawiły się grzywiaste fale, na których podskakiwała jego łódka, niestarannie wyciągnięta na ląd.

– Co mówi Faste?

– Jeszcze nie wie. Ale napisałam to wszystko w raporcie.

– Musisz mu to przekazać.

– Przekażę. Twoja przyjaciółka powiedziała, że żebrak mówił coś o Johannesie Forsellu.

– Forsell szerzy się jak wirus – odparł. – Rzuca się na mózg wszystkim szaleńcom.

– Nie wiedziałam.

– W pewnym sensie przypomina mi to zabójstwo Palmego, dotykało to nawet ludzi w stanach psychozy. Jestem zarzucany idiotycznymi teoriami spiskowymi na temat Forsella.

– Skąd to się wzięło?

Spojrzał na Catrin, która poszła do toalety.

– Nie wiadomo tak do końca – odparł. – Niektóre osoby publiczne działają w ten sposób na wyobraźnię. Jednak w tym przypadku hejt był zaplanowaną zemstą, bo Forsell bardzo wcześniej wskazał na Rosję jako zamieszaną w krach giełdowy, a w ogóle jest rzecznikiem twardej, nieprzejednanej linii wobec

Kremla. Są liczne dowody, że był celem kampanii dezinformacyjnej.

– Forsell nie jest przypadkiem ryzykantem? Poszukiwaczem przygód?

– Mnie on się wydaje okej. Sprawdziłem dość dokładnie jego interesy – mówił dalej Mikael. – Nadal nie wiesz, skąd pochodził ten żebrak?

– Wiem tyle, ile wynika z analizy C13. Prawdopodobnie wzrastał w wielkiej biedzie, ale tego domyślałam się już wcześniej. Przypuszczalnie żywił się głównie warzywami i zbożem. Rodzice mogli być wegetarianami.

– Trochę dziwne to wszystko, prawda? – zauważył.

– W jakim sensie?

– Że pewnego dnia gość pojawia się jakby znikąd, po jakimś czasie zostaje znaleziony martwy, a potem okazuje się, że jest nafaszerowany mieszanką śmiertelnych trucizn.

– Też tak uważam.

Przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Wiesz co? Mam w wydziale zabójstw dobrego znajomego, komisarza, który kiedyś pracował z Hansem Fastem i uważa go za kompletnego durnia – ciągnął.

– Jakiś mądry człowiek.

– Bardzo. Mógłbym go spytać, czy znalazłby czas, żeby się przyjrzeć sprawie, w ten sposób moglibyśmy to przyspieszyć.

– Fajnie by było.

– Dzięki za rozmowę – powiedział. – Odezwę się.

Rozłączył się, zadowolony, że ma powód, by zadzwonić do

Bublanskiego. Znali się od wielu lat, choć ich stosunki nie zawsze były łatwe. Jednak w ostatnich latach się zaprzyjaźnili; rozmowa z nim zawsze przynosiła Mikaelowi pewne ukojenie, jakby Bublanski siłą swojej rozwagi wpływał na jego ogląd rzeczywistości. Dzięki temu Mikael uwalniał się od zalewu wiadomości, które były jego życiem, ale jednocześnie budziły w nim poczucie, że utonie w sensacjach i obłądnie.

Ostatni raz widzieli się na pogrzebie Holgera, rozmawiali wtedy o Lisbeth i jej wystąpieniu w kościele, kiedy mówiła o smokach, i umówili się, że wkrótce się spotkają. Ale jak to bywa, jakoś do tego nie doszło. Teraz Mikael chwycił za telefon, żeby do niego zadzwonić. Jednak zawahał się i zapukał do drzwi toalety.

– Wszystko w porządku? – spytał.

CATRIN NIE MIAŁA ochoty odpowiadać, ale rozumiała, że powinna. Mruknęła „zaczekaj chwilę”, wstała z sedesu i opłukała twarz, jednak nie pomogło to na jej zaczerwienione oczy.

Wyszła z toalety, usiadła na łóżku i poczuła dyskomfort, bo Mikael usiadł tuż obok i pogładził ją po głowie.

– Jak ci poszło z pisaniem artykułu?

– Nijak. Do dupy.

– Znam to. Ale chodzi o coś jeszcze, prawda?

– Ten żebrak... – zaczęła.

– Co z nim?

– Wpędził mnie w histerię.

– Zauważyłem.

– Ale nie rozumiałeś dlaczego.

– Nie do końca – przyznał.

Chwilę się wahała, a potem zaczęła opowiadać, patrząc na swoje ręce.

– Miałam dziewięć lat, kiedy rodzice powiedzieli mi, że przez rok nie będę chodziła do szkoły. Mama przekonała dyrekcję, że wspólnie z ojcem będą mnie sami uczyć; domyślałam się, że dostali mnóstwo materiałów, których potem nie zobaczyłam na oczy. Następnie poleciliśmy do Indii i Goa, z początku było nawet fajnie. Spaliśmy na plaży albo w hamakach, biegałam z innymi dziećmi, nauczyłam się robić biżuterię i strugać w drewnie, grałam w piłkę nożną i siatkówkę, wieczorami tańczyliśmy i paliliśmy ognisko. Tata grał na gitarze, mama śpiewała. Przez pewien czas mieliśmy kawiarnię w Arambol, gdzie podawałam i gotowałam zupę z soczewicy z mlekiem kokosowym, którą nazwaliśmy *Catrin's soup*. Z czasem schodziło to coraz bardziej na złe tory. Zdarzało się, że ludzie przychodzili do kawiarni nago, mieli na rękach ślady po igłach. Inni byli kompletnie odjechani, niektórzy próbowali się do mnie dobierać albo straszili jakimiś idiotyzmami.

– Straszne.

– Pewnej nocy obudziłam się i zobaczyłam, jak oczy mamy płoną w ciemności. Zrobiła sobie strzała. Tata stał kawałek dalej, kiwając się, sennym głosem mówił tylko „ojejej”. Wkrótce zaczęliśmy mieć poważne problemy. Ciągłe się mówiło o szajbach taty. Pytałam: co się dzieje z tatą? Nic, trochę mu odbija, mówiła mama. Odbija mu szajba. Przeprowadziliśmy się, jakby w nadziei, że zostawimy za sobą również te szajby. Pamiętam, jak całymi godzinami, dniami i tygodniami ciągnęliśmy wózek na

drewnianych zmurszałych kołach, załadowany szalami, ciuchami i świecidełkami, które mama próbowała opchnąć. Wylądowaliśmy w Benaresie, a na koniec w Katmandu, gdzie zamieszkaliśmy na Freak Street, ulicy hipisów; wtedy już rozumiałam, że nasz biznes przekształcił się w coś zupełnie innego. Rodzice nie tylko byli na heroinie, również ją sprzedawali. Ludzie przychodzili do nas do domu, mówiąc *please, please*, czasem gonili nas na ulicy jacyś mężczyźni. Wielu nie miało palców, czasem całego ramienia albo nogi, ich ubrania były w strzępach, mieli żółtą cerę i plamy na twarzy. Wciąż ich widuję w snach.

– I żebrak ci o nich przypomniał.

– Jakby tamto nagle wróciło.

– Przykro mi.

– Jest jak jest. Żyję z tym od wielu lat.

– Nie wiem, czy ci to pomoże, ale ten facet nie był narkomanem.

Nic nie brał.

– Ale wyglądał jak oni – odparła. – Jak desperat.

– Lekarka sądowa uważa, że został zamordowany – ciągnął Mikael zupełnie zmienionym tonem, jakby już zapomniał, co mu właśnie opowiedziała. Catrin poczuła się dotknięta, a może tylko miała dość samej siebie, bąknęła, że musi na chwilę wyjść na dwór. Próbował ją powstrzymać, jednak bez przekonania, bo myślami był już gdzie indziej.

Stając w drzwiach, obejrzała się, już dzwonił do kogoś; pomyślała, że nie musi mu opowiadać wszystkiego, zresztą zważywszy na wszystkie okoliczności, mogłaby sama sprawdzić tę rzecz.

ROZDZIAŁ 10

24 i 25 SIERPNIA

JAN BUBLANSKI był człowiekiem nieustannego zwątpienia, w tym momencie jego wątpliwości dotyczyły tego, czy zasłużył na lunch. Może powinien popracować i poprzestać na kanapce z automatu w korytarzu, ale kanapka to też niedobrze. Sałatka albo nic. Podczas urlopu w Tel Awiwie – był tam z narzeczoną Farah Sharif – skoczyła mu waga i stracił więcej włosów. Nic to, nie ma się czym przejmować. Skupił się na pracy. Właśnie się zagłębił w protokół z przesłuchania (źle napisany) i w kryminalistyczne badanie z Huddinge (przeprowadzone niestarannie) i może to dlatego myślał o czym innym, bo kiedy zadzwonił Mikael Blomkvist, zupełnie szczerze, jak sądził, powiedział:

– Zabawne, właśnie o tobie myślałem.

Chyba że w istocie myślał o Lisbeth Salander albo miał takie wrażenie.

– Jak się masz? – ciągnął.

– Chyba dobrze.

– Miło, że zrobiłeś to zastrzeżenie. Nie najlepiej reaguję na wesółków niemających żadnych wątpliwości. Byłeś już na urlopie?

– Właśnie próbuję być.

– Chyba kiepsko ci idzie, skoro do mnie dzwonisz. Oczywiście

chodzi o tę twoją dziewczynę?

– Nigdy nie była moją dziewczyną – odparł Mikael.

– Wiem, wiem. Nikt nie jest tak niezależny jak ona. Ona jest trochę jak upadły anioł z raju, prawda? Nikomu nie służy, do nikogo nie należy.

– To zdumiewające, że jesteś policjantem, Janie.

– Mój rabin mówi, że powinienem przejść na emeryturę. A tak w ogóle, miałeś od niej jakąś wiadomość?

– Twierdzi, że trzyma się z boku i nie robi żadnych głupstw. W tym momencie chyba nawet jej wierzę.

– Cieszę się. Nie podoba mi się atmosfera zagrożenia wokół niej, że chodzą za nią faceci ze Svavelsjö – powiedział Bublanski.

– Nikomu się nie podoba.

– Oczywiście wiesz, że proponowaliśmy jej ochronę.

– Słyszałem.

– I słyszałeś, że odmówiła i od tamtej pory nie mamy z nią kontaktu?

– Owszem, tak...

– Chociaż...

– Żadne chociaż – ciągnął Mikael. – Pocieszam się, że nikt tak dobrze nie opanował sztuki ukrywania się jak ona.

– Masz na myśli ukrywanie się przed rozpoznaniem elektronicznym i tak dalej.

– No, nie da się wpaść na jej ślad za pośrednictwem jakiejś stacji bazowej albo adresu IP.

– Zawsze coś. Czyli czekamy.

– Chyba tak. Chciałbym prosić cię o coś zupełnie innego.

– Dawaj.

– Chodzi o pewne dochodzenie, które trafiło do Hansa Fastego.

Wydaje mi się, że nic nie robi w tej sprawie.

– Często lepiej, jak nie robi, niż przeciwnie.

– Hm, może i tak. Tu chodzi o pewnego żebraka, który według lekarki sądowej Fredriki Nyman prawdopodobnie został zamordowany.

Mikael opowiedział całą historię o żebraku. Następnie Bublanski wyszedł ze swojego pokoju, w automacie w korytarzu kupił dwie kanapki z serem i wafel czekoladowy, a potem zadzwonił do koleżanki, inspektor kryminalnej Sonji Modig.

CATRIN WŁOŻYŁA ogrodową rękawicę, która leżała na trawie, i zaczęła wyrywać pokrzywy wyrosłe pod krzakami porzeczek Mikaela. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła groźnie wyglądającą sylwetkę mężczyzny z kitką i w kurtce dżinsowej, oddalającego się w stronę morza. Nie poświęciła mu więcej uwagi i znów zaczęła błędzić niespokojnie myślami, jak przedtem w domku.

Może i prawda, że żebrak z Mariatorget nie do końca przypominał ćpunów z Freak Street. Mimo to miała pewność, że pochodził z tej samej części świata i trafił na tych samych niedbałych lekarzy. Przypomniała sobie jego okaleczone palce i charakterystyczny chód, jakby brakowało mu punktu ciężkości pod stopami. I mocny chwyt, któremu towarzyszyły słowa:

– *I know something horrible about Johannes Forsell.*

Catrin była pewna, że będą to te same pomyje, z którymi

codziennie miała do czynienia w mailach, również w hejcie skierowanym pod jej adresem, więc przeraziła się, że facet zrobi jej coś złego. Ale po chwili, kiedy aż zeszywniała ze strachu, puścił jej ramię i smutnym głosem powiedział:

– *Me took him. And I left Mamsabiv, terrible, terrible.*

Może nie powiedział „Mamsabiv”, tylko coś w tym rodzaju, jakieś długie słowo z akcentem na pierwszą i trzecią sylabę. Brzmiało jej jeszcze w uszach, kiedy od niego odbiegała, i na Swedenborgsgatan wpadła na Sofie Melker. Musiała je potem zapomnieć, dopiero teraz w domku Mikaela, po telefonie od lekarki sądowej, znów jej się przypomniało i zaczęła się zastanawiać, co mogło znaczyć. Może jednak warto się temu przyjrzeć.

Zdjęła rękawicę i zaczęła sprawdzać na smartfonie, wrzucając do wyszukiwarki różne warianty tego słowa, nie mogła trafić na nic podobnego w żadnym języku, tyle że Google spytał, czy chodzi o Matsa Sabina. Może i tak, „Matssabin” wymówione jednym tchem. Nie było to całkiem bez sensu, zwłaszcza gdy odkryła, że Mats Sabin był majorem w Artylerii Nadbrzeżnej, następnie historykiem wojskowości w Wyższej Szkole Obrony Narodowej, mógł więc zetknąć się z Forsellem, dawnym oficerem wywiadu i specem od Rosji.

Catrin chciała sprawdzić, czy tak było, i od razu wpadła na informację, że nie tylko się stykali, ale nawet byli wrogami, w każdym razie zagorzałymi oponentami. Chciała wejść do domku, opowiedzieć o tym Mikaelowi. Jednak nie, wydało jej się za bardzo naciągane, została więc jeszcze w ogrodzie, ponownie włożyła rękawicę i wróciła do wrywania chwastów i obłamywania suchych

gałązek, lecz co pewien czas, targana sprzecznymi myślami, zerkąła na brzeg morza.

LISBETH WCIAŻ tkwiła w swoim pokoju w hotelu Kings Court w Pradze. Siedząc przy biurku pod oknem, znów patrzyła na wielki dom Camilli na Rublowce na zachód od Moskwy. Nie było to jednak wyłącznie natręctwo ani nawet element w procesie zapamiętywania. Ten dom przypominał jej bardziej twierdzę i centralę dowodzenia. Ludzie ciągle przychodzili i wychodzili, również szuchy w rodzaju Kuzniecowa, wszyscy byli poddawani rewizji osobistej, a ochroniarzy było z każdym dniem coraz więcej; nie miała też żadnych wątpliwości, że bez przerwy sprawdzano bezpieczeństwo sieci.

Dzięki stacji bazowej, którą umieściła, a po kilku dniach zabrała Katja Flip, Lisbeth mogła poprzez sygnał z komórki Camilli śledzić każdy krok siostry. Jednak do tej pory nie udało jej się zhakować systemu IT, więc mogła się jedynie domyślać, co się dzieje w środku. Pewność miała tylko w jednym punkcie, mianowicie, że aktywność wzrosła.

Cały dom pulsował nerwową energią jak przed wielką operacją, a wczoraj Camilla została zawieziona do tak zwanego Akwarium, czyli wywiadu, głównej siedziby GRU w Chodynce na przedmieściu Moskwy, co również nie było dobrym znakiem. Wyglądało na to, że Camilla szuka pomocy gdzie się tylko da.

Jak dotąd nie miała chyba pojęcia, gdzie jest jej siostra, co mimo wszystko dawało Lisbeth jakieś poczucie bezpieczeństwa. Ani jej, ani Paulinie nie powinno nic grozić, dopóki siostra siedzi w swoim

domu na Rublowce. Jednak pewności nigdy nie ma.

Lisbeth wyłączyła przekaz z satelity i sprawdziła, co robi Thomas, mąż Pauliny. Wydawało się, że nic. Na obrazie z kamerki internetowej spoglądał z tą samą co zwykle obrażoną miną.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że Lisbeth była ostatnio szczególnie otwarta. Ale wieczorami przez wiele godzin słuchała opowieści Pauliny, dlatego wiedziała sporo o jej życiu, przede wszystkim zaś poznała historię o żelazku. Kiedy mieszkali w Niemczech, Thomas – w tym momencie wycierał nos przed kamerką – zawsze oddawał swoje koszule do pralni. Natomiast w Kopenhadze kazał je prasować Paulinie, „żeby miała co robić w ciągu dnia”. Pewnego razu przez cały dzień nie tknęła żelazka ani garów, ale chodząc w samych majtkach i jednej z nieuprasowanych koszul Thomasa, popijała whisky i czerwone wino.

Poprzedniego wieczoru spuścił jej manto. Miała spuchniętą wargę i chciała się upić na tyle, żeby odejść albo postawić wszystko na ostrzu noża. Coraz bardziej pijana, niechcący zbiła wazon, potem już nie tak niechcący szklanki i talerze, dziwnym sposobem poplamiała winem koszulę, a whisky rozlała na prześcieradła i na dywan, w końcu zasnęła, pijana i zbuntowana, z myślą, że wreszcie odważy się mu powiedzieć, żeby szedł w cholerę.

Jednak kiedy się obudziła, Thomas siedział na jej rękach i bił ją po twarzy. Następnie położył ją na desce do prasowania i zaczął prasować koszulę na niej. Paulina, jak mówiła potem, właściwie nic nie pamiętała poza swądem przypalonej skóry i potwornym bólem, i jeszcze jak biegła do drzwi wyjściowych. Lisbeth czasami myślała o tym i chociaż – jak teraz – patrzyła prosto w oczy Thomasa, jego

twarz zlewała jej się z twarzą jej ojca.

Kiedy była zmęczona, w ogóle wszystko jej się zlewało – Camilla, Thomas, dzieciństwo, Zala. Miała wrażenie, że na piersi i czole zaciska jej się obręcz, zdarzało się, że nie mogła wtedy złapać tchu. Z zewnątrz dochodziła muzyka, ktoś stroił gitarę. Wychyliła się z okna. Na dworze było mnóstwo ludzi, jedni wchodzili do galerii handlowej Palladium, inni z niej wychodzili. Po prawej znajdowała się duża biała estrada, gdzie trwały przygotowania do koncertu. Może dziś sobota albo święto, zresztą wszystko jedno. Gdzie ta Paulina? Pewnie znów na długim spacerze po mieście; Lisbeth zajrzała do swojej skrzynki mailowej w nadziei, że uda jej się rozproszyć myśli.

Żadnej wiadomości od Republiki Hakerskiej, na co liczyła, ani odpowiedzi na pytania, które zadała w ciągu dnia, natomiast kilka sporych zaszyfrowanych dokumentów od Mikaela; wtedy mimo wszystko lekko się uśmiechnęła. Czyli wreszcie się zabrałeś do czytania własnego artykułu, pomyślała. Jednak nie, w tych plikach nie było nic o Kuzniecowie ani jego kłamstwach. Było to raczej... właśnie, co?

Niekończące się szeregi liter i cyfr, XY, 11, 12, 13, 19. Sekwencja DNA – ale czyja i czego? Przejrzała dokumenty i załączony raport z sekcji, wynikało z nich, że dotyczą mężczyzny, który sądząc po wynikach analizy C14, był w wieku pięćdziesięciu czterech do pięćdziesięciu sześciu lat. Pochodził z jakiegoś południowego rejonu Azji Środkowej. Miał amputowane palce u rąk i nóg, był wycieńczony i zalkoholizowany. W raporcie stwierdzono, że zmarł na skutek zatrucia zopiklonem

i dekstropropoksyfenem.

Mikael napisał:

Jeśli rzeczywiście jesteś na urlopie i nie robisz żadnych głupstw, to może spróbujesz się dowiedzieć, kto to jest. Policja nie ma na niego nic, nie da się ustalić nazwiska. Kompetentna lekarka sądowa Fredrika Nyman uważa, że facet został zamordowany.

Został znaleziony martwy pod drzewem w Tantolunden 15 sierpnia. Załączam analizę DNA – autosomalną – i trochę innych materiałów, wyniki badania C13 i analizy włosa, jak również zdjęcie kartki z jego charakterem pisma. (Tak, to mój numer telefonu).

M

A w życiu! – mruknęła pod nosem. Mam zamiar iść poszukać Pauliny i upić się, zresztą cokolwiek, byle nie ślęczeć nad analizami DNA i nie konferować z jakimiś patologami.

Jednak nie wyszła, bo w korytarzu rozległy się po chwili kroki Pauliny, wtedy wyjęła z minibaru dwie buteleczki szampana i otworzyła ramiona, usiłując nie wyglądać, jakby jej się wszystko spieszyło.

CAŁY TEN pomysł był rzecz jasna szalony. Mimo to zrobiło mu się smutno, kiedy Catrin oznajmiła, że musi wracać do domu, żeby zająć się kotem i kwiatkami – zachwyciło go zwłaszcza, że przegrał rywalizację z kwiatkami – więc odprowadziwszy ją do portu, wrócił do domku i zadzwonił ponownie do Fredriki Nyman.

Powiedział jej, że zna renomowaną genetyczkę, która prawdopodobnie mogłaby zinterpretować analizę DNA. Fredrika oczywiście chciała wiedzieć, kto to i jaką ma specjalizację. Odparł ogólnikowo, że to osoba ciesząca się niezwykłym autorytetem, jest

profesorem w Londynie, specjalizuje się w badaniach nad pochodzeniem człowieka. Naturalnie wszystko zmyślił. Ale Lisbeth była rzeczywiście niezrównana w analizowaniu DNA. Zainteresowała się tym, żeby zrozumieć, co sprawiło, że wśród jej krewnych było tyle osobowości skrajnych. Nie tylko ojciec. Zala był człowiekiem wybitnie inteligentnym i złym. Z kolei jej przyrodni brat, Ronald Niedermann, był potwornie silny i niezdolny do odczuwania bólu. Dalej Lisbeth ze swoją fotograficzną pamięcią. W rodzinie było wiele osób o wyjątkowych cechach i choć Mikael nie miał pojęcia, co ustaliła, to wiedział, że w krótkim czasie opanowała cały aparat naukowy, więc tak długo wiercił dziurę w brzuchu Fredrice Nyman, aż dostał od niej wszystkie materiały.

A potem przesłał jej Lisbeth, chociaż nie bardzo wierzył, że to ma sens. Może chodziło mu raczej o nawiązanie kontaktu. Co będzie, to będzie. Spojrzał w stronę morza. Wiało coraz bardziej, ostatni plażowicze pakowali się. Mikael pograżył się w myślach.

Co się stało z tą Catrin? Przez tych kilka dni tak się do siebie zbliżyli, że już myślał... no co myślał? Że będą ze sobą? Co za nonsens. Przecież są jak dzień i noc, powinien dać sobie spokój z nią i zadzwonić do Eriki. Jakoś jej wynagrodzić to, że wstrzymał publikację swojego artykułu, przez co miała kłopot ze skompletowaniem numeru. Wyjął komórkę i zadzwonił – do Catrin. Samo tak wyszło i z początku kontynuowali rozmowę mniej więcej tak, jak ją skończyli, czyli sztywno, ostrożnie. A potem Catrin powiedziała:

– Przepraszam.

- Za co?
 - Za to, że uciekłam.
 - Żaden kwiatek nie powinien uschnąć z mojego powodu.
- Zaśmiała się smutno.
- Co będziesz teraz robić? – ciągnął.
 - Sama nie wiem. Może siedzieć, nie mogąc nic napisać.
 - To niewesoło.
 - Niewesoło – przyznała.
 - Ale czułaś, że musisz wyjechać, czy tak?
 - Chyba tak.
 - Widziałem przez okno, jak wyrywałaś chwasty.
 - Widziałaś?
 - Miałaś zmartwioną minę.
 - Może rzeczywiście.
 - Coś się stało?
 - Nie do końca.
 - Ale trochę?
 - Myślałam o żebraku.
 - I co myślałaś?
 - Że nie powiedziałam ci, co bredził na temat Forsella.
 - Mówiłaś, że to samo, co już wiadomo.
 - Może jednak nie.
 - Skąd ci się to wzięło tak nagle?
 - Bo sobie przypomniałam, kiedy zadzwoniła ta lekarka sądowa.
 - A co wtedy mówił?
 - Coś jak *Me took Forsell. I left Mamsabiv, terrible, terrible.*

Coś w tym rodzaju.

– Dziwne.

– Właśnie.

– Jak to rozumiesz?

– Sama nie wiem. Ale kiedy wrzuciłam do przeglądarki „Mamsabiv”, „Mansabin” i podobne słowa, wyskoczył mi Mats Sabin. Okazało się, że był najbliższym szukanego słowa.

– Ten historyk wojskowości?

– Słyszałeś o nim?

– Kiedyś byłem chłopakiem, który czytał wszystko o drugiej wojnie światowej.

– A wiesz, że Sabin zmarł cztery lata temu podczas górskiej wycieczki do Abisko? Zamarzł nad jeziorem. Przypuszcza się, że dostał wylewu do mózgu i nie zdołał poszukać schronienia przed zimnem.

– Nie wiedziałem.

– Nie żebym podejrzewała, że ma to związek z Forsellem...

– Ale... – wtrącił.

– Nie mogłam się oprzeć i zaczęłam sprawdzać, czy był między nimi jakiś związek, no i doczytałam się, że Forsell i Sabin starli się w mediach.

– O co?

– O Rosję.

– W jakim sensie?

– Po przejściu na emeryturę Mats Sabin zmienił poglądy i z jastrzębia przeniósł się na pozycje przyjaźniejsze wobec Rosji. W wielu artykułach – między innymi na łamach „Expressen” – pisał, że Szwecja cierpi na paranoiczny lęk przed Rosją,

tymczasem powinniśmy odnosić się do niej z większym zrozumieniem. Forsell odpowiedział mu, że dokładnie to samo głosi rosyjska propaganda, i zasugerował, że Sabin jest płatnym sługusem, a wtedy rozpętało się piekło. Groźenie pozwem o zniesławienie i tak dalej, wreszcie Forsell się wycofał i przeprosił.

– Gdzie jest tu miejsce dla naszego żebraka?

– Nie mam pojęcia. Chociaż...

– Co takiego?

– Powiedział *I left Mansabin* czy coś w tym rodzaju, a to by pasowało, przynajmniej teoretycznie. Mats Sabin umarł w samotności i opuszczeniu.

– To jest jakiś trop – zauważył Mikael.

– Z pewnością bez sensu.

– Niekoniecznie.

Zapadło milczenie, Mikael znów spojrział na morze.

– Nie mogłabyś wrócić, żebyśmy to rozwikłali, zajęli się sensem życia i wszystkim innym? – ciągnął.

– Następnym razem, Mikaelu. Następnym razem.

Chciał przekonywać, prosić i błagać. Ale wydawało mu się, że byłoby to żalosne, więc życzył jej miłego wieczoru i się rozłączył. Wyjął piwo z lodówki i zaczął się zastanawiać, co robić. Najlepiej byłoby oczywiście nie zaprzętać sobie głowy myślami o Catrin i żebraku. Bo, jak sądził, nigdzie go to nie zaprowadzi. Powinien wrócić do swojego artykułu o fabrykach trolli i krachu na giełdzie albo – jeszcze lepiej – mieć prawdziwy urlop.

Jednak Mikael był jaki był, zapewne durny i uparty. Nie potrafił zostawić pewnych spraw, więc kiedy już pozmywał, posprzątał

w aneksie kuchennym i znów popatrzył na morze, wrzucił do wyszukiwarki „Mats Sabin” i zainteresował się dłuższym nekrologiem w „Norrländska Socialdemokraten”.

Mats Sabin pochodził z Luleå, został oficerem, majorem Artylerii Nadbrzeżnej – a w latach osiemdziesiątych brał udział w poszukiwaniach radzieckich łodzi podwodnych na szwedzkich wodach przybrzeżnych – ale studiował również historię i na pewien czas odszedł z wojska, aby w Uppsali obronić pracę doktorską na temat hitlerowskiej inwazji na Związek Radziecki. Zwieńczeniem jego kariery było stanowisko docenta w Wyższej Szkole Obrony Narodowej, ale jak wiedział Mikael, publikował też popularnonaukowe książki o drugiej wojnie światowej. Przez wiele lat był orędownikiem szwedzkiego członkostwa w NATO. Miał pewność, że w poszukiwaniach, w których uczestniczył, naprawdę nie chodziło o nic innego, jak rosyjskie mini-U-Booty. Jednak w ostatnich latach życia stał się sympatykiem Rosji, bronił interwencji na Ukrainie i aneksji Krymu, i wyrażał się z wielkim uznaniem o polityce rosyjskiej na rzecz pokoju w Syrii.

Z nekrologu nie wynikało, dlaczego zmienił zdanie, poza jego własnym stwierdzeniem, że „poglądy są po to, żeby je zmienić, kiedy się zestarzejemy i zmądrzejemy”. Mats Sabin uchodził za znakomitego biegacza terenowego i nurka. Dożył sześćdziesięciu siedmiu lat. Wkrótce po owdowieniu wyruszył w klasyczną trasę trekkingową z Abisko do Nikkaluokta ². W nekrologu napisano, że był „w formie”, był początek maja, a prognozy pogody dobre. Jednak trzeciego maja wieczorem przyszedł mróz, minus osiem stopni. Sabin przypuszczalnie dostał udaru, upadł niedaleko rzeki

Abiskojåkka i już nie udało mu się dotrzeć do którejś z chat znajdujących się na pieszym szlaku. Rankiem czwartego maja znalazła go martwego grupa wędrowców z Sundbybergu. Nie stwierdzono żadnych podejrzanych okoliczności ani śladów przemocy.

Mikael postanowił jednak sprawdzić, gdzie w tym czasie przebywał Johannes Forsell, również amator sportów na świeżym powietrzu. W sieci nie dało się tego ustalić. Chodziło o maj 2016, a więc prawie półtora roku przed tym, jak Forsell został ministrem obrony; nie interesowała się nim wtedy nawet lokalna prasa w miejscu jego zamieszkania w Östersund. Mikael zdołał jednak ustalić, że Forsell prowadził jakieś interesy w tamtym rejonie. W każdym razie nie można wykluczyć, że był wówczas w Abisko.

Uznał, że to zbyt miłkie podstawy do wyciągania jakichkolwiek poważnych wniosków. Wtedy wstał i spojrzął na regał z książkami w sypialni. W większości były to kryminały, wszystkie już czytał. Zatelefonował do Pernilli, swojej córki, potem do Eriki, ale do żadnej z nich się nie dodzwonił, w końcu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, poszedł na kolację do Seglarhotellet w porcie. Kiedy późnym wieczorem wrócił do domku, czuł się, jakby zeszło z niego powietrze.

PAULINA SPAŁA, Lisbeth gapiała się w sufit. Zwykły porządek rzeczy, chyba że akurat nie spały obie. Żadna nie sypiała dużo i nie było im z tym zbyt dobrze. Tego wieczoru udało im się trochę pocieszyć za pomocą szampana, piwa i jeszcze paru orgazmów. Szybko usnęły, ale niewiele to pomogło, bo niedługo potem Lisbeth

drgnęła, obudziła się i dopadły ją pytania o czas dzieciństwa na Lundagatan; czuła się, jakby przeszył ją lodowaty wiatr. Co z nimi wszystkimi było nie tak?

Zanim jeszcze zainteresowała się nauką, mawiała, że w jej rodzinie wystąpiła jakaś skaza genetyczna, co znaczyło tylko tyle, że było w niej wiele złych osób, charakteryzujących się skrajnymi zachowaniami. Jakiś rok temu postanowiła to sprawdzić i po serii hakerskich ataków na Sądowe Laboratorium Genetyczne w Linköpingu udało jej się dostać do chromosomu Y Zalachenki.

Potem nocami uczyła się go analizować i czytała wszystko, co się da, na temat haplogrup. We wszystkich pokoleniach występowały niewielkie mutacje. Haplogrupy pokazują, do którego zmutowanego odłamu należy każdy z nas, więc wcale się nie zdziwiła, że grupa ojca była wyjątkowa, zresztą potwierdziło się to również, gdy zagłębiła się w jeszcze dalszą przeszłość. Wśród jego przodków występowała nadreprezentacja nie tylko wysokiej inteligencji, lecz także psychopatów, co jej wcale nie ucieszyło, ale też nie stała się od tego mądrzejsza.

Niemniej opanowała technikę analizowania DNA i właśnie w momencie, kiedy minęła druga w nocy i nie była w stanie robić nic innego, jak tylko wspominać, wzdrygać się i wpatrywać w czujnik pożarowy na suficie, mrugający jak czerwone złe oko, pomyślała, że mogłaby jednak zerknąć na materiały od Mikaela. Przynajmniej zajmie się czymś innym.

Ostrożnie wstała, usiadła przy biurku i otworzyła pliki. No to zobaczymy, mruknęła. Co to jest? Wstępne autosomalne DNA wraz z pewną liczbą wybranych markerów, tzw. STR – *short tandem*

repeats. Uruchomiła swój Bam Viewer z Broad Institute, który miał jej pomóc w analizie markerów. Początkowo robiła to dość machinalnie i z przerwami, podczas których spoglądała na satelitarny obraz domu Camilli. Po pewnym czasie jednak coś ją zafascynowało w tych materiałach; stwierdziła, że człowiek nie miał żadnych przodków ani krewnych na północy Europy.

Pochodził z daleka, a kiedy ponownie przeczytała protokół z sekcji, zwłaszcza analizę C13 i opisy jego urazów i amputacji, uderzyła ją pewna myśl i długo siedziała nieruchomo, w pochylonej pozycji, przyciskając dłoń do starej rany postrzałowej na ramieniu.

Potem, mrużąc pod nosem, zaczęła szukać w sieci. Czy to możliwe? Trudno było jej w to uwierzyć; już się nastawiła, że zhakuje serwer lekarki sądowej.

Wtedy wpadła na niekonwencjonalny jak na nią pomysł, aby najpierw poszukać w sposób tradycyjny. Napisała maila, z minibarku wzięła sobie resztę tego, co tam zostało, czyli coca-colę i buteleczkę koniaku, godziny mijały, zaczęło świtać, może się nawet zdrzemnęła na krześle. Mniej więcej w chwili, gdy Paulina otworzyła oczy, a z korytarza dobiegły jakieś odgłosy, rozległ się sygnał komórki; wtedy znów włączyła obraz satelitarny i chociaż z początku patrzyła zmęczonym wzrokiem, mrużąc oczy, nagle oprzytomniała.

Na ekranie zobaczyła, jak siostra i trzech mężczyźni – jeden z nich był wyjątkowo wysoki – wychodzą z domu na Rublowce i wsiadają do limuzyny. Lisbeth obserwowała ich przez całą drogę na podmoskiewskie lotnisko Domodiedowo.

ROZDZIAŁ 11

25 SIERPNIA

FREDRIKA NYMAN przewracała się na łóżku, w końcu spojrzała na budzik na nocnym stoliku. Miała nadzieję, że jest przynajmniej wpół do szóstej. Aż zaklęła, bo było dopiero dwadzieścia po czwartej. Spała nie więcej niż pięć godzin. Nawet nie próbowała ponownie zasnąć. Jako doświadczona w bezsenności wiedziała, że nic z tego nie będzie, a więc wstała i w kuchni przygotowała sobie dzbanek zielonej herbaty. Poranne gazety jeszcze nie przyszły. Usiadła przy stole ze smartfonem i słuchała ptaków. Tęskniła za miastem. Za mężczyzną albo kimś, kto nie byłby nastolatkiem.

„Dziś też kiepsko spałam, boli mnie głowa i kręgosłup” – chciałaby powiedzieć tej osobie, i powiedziała, ale do siebie, zatem sama sobie musiała odpowiedzieć: „Biedna jesteś”.

Po nocnym szkwale wody jeziora były spokojne, w oddali mignęły dwa miejscowe łabędzie. Sunęły naprzód tuż obok siebie. Czasem im zazdrościła, nie dlatego, że fajnie byłoby być łabędziem, ale tego, że były w parze. Mogły razem kiepsko sypiać i narzekać do siebie w ptasim języku. Sprawdziła pocztę mailową. Dostała wiadomość od niejakiej Wasp.

Otrzymałam od Blomkvista markery i raport z sekcji włók. Mam pewien

pomysł co do pochodzenia mężczyzny. Interesująca analiza C13. Jednak potrzebna mi jest całościowa sekwencja genomu. Zgaduję, że najszybciej byłoby przez UGC. Proszę ich zmotywować, żeby przyspieszyli. Nie mam czasu czekać.

Co za cholerne maniery, mruknęła, w dodatku bez podpisu. Sama się sekwencjonuj. Nie znosiła takich aspergeropodobnych naukowców. Jej mąż był dokładnie taki sam, beznadziejny, jak się nad tym zastanowić. Uspokoila się i przeczytała list jeszcze raz. W tonie był obcesowy i arogancki, ale zgodny z jej przemyśleniami, bo już tydzień temu przesłała próbkę krwi do UGC, czyli Ośrodka Badań Genomu w Uppsali, z prośbą o pełne sekwencjonowanie genów żebraka.

Nalegała, aby bioinformatycy zaznaczyli wszystkie niezwykłe mutacje i warianty. Odpowiedzi spodziewała się lada moment, więc napisała do nich, zamiast do tej cholерnej Wasp, a skoro już, to użyła tego samego tonu.

Potrzebna mi ta sekwencja na już, napisała.

Liczyła, że zaimponuje im parą, o której to wysłała. Nie było jeszcze piątej, nawet te łabędzie na jeziorze wydawały się oklapnięte i niezbyt uszczęśliwione tym, że są parą. Jednak.

SKLEP ZE SPRZĘTEM elektronicznym Kurta Widmarka na Hornsgatan nie był jeszcze otwarty. Jednak inspektor kryminalna Sonja Modig dostrzegła w środku starszego przygarbionego mężczyznę, więc zapukała, a wtedy ten poczłapał do drzwi, siląc się na uśmiech.

– Trochę wcześniej, ale zapraszam – powiedział.

Kiedy Sonja przedstawiła się i wyjaśniła, o co chodzi, mężczyzna zeszywniał, a jego spojrzenie wyrażało lekką irytację; chwilę powzdychał. Miał bladą, lekko asymetryczną twarz i łysinę zaczesaną długim pasmem włosów opadającym na czoło. Gorzki rys wokół ust.

– Branża jest i tak wystarczająco trudna – mówił dalej. – Przejmują ją sklepy internetowe i domy towarowe.

Sonja postarała się o uśmiech pełen zrozumienia. Spędziła cały ranek, krążąc po okolicy i wypytyując ludzi, w końcu od młodego faceta u fryzjera tuż obok dowiedziała się, że żebrak, o którym mówił Bublanski, często przystawał przed sklepem, gapiąc się na wystawione telewizory.

– Kiedy zobaczył go pan po raz pierwszy? – spytała.

– Władował się tutaj kilka tygodni temu i wpatrywał się w jeden z telewizorów – odparł Kurt Widmark.

– Co wtedy było w telewizji?

– Wiadomości i ostry wywiad z Johannesem Forsellem na temat krachu giełdowego i obrony totalnej.

– Dlaczego tak bardzo zainteresowało to tego żebraka?

– Nie mam pojęcia.

– Ani trochę?

– Nie, skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? Próbowałem usunąć go ze sklepu, choć nie byłem nieuprzejmy. Każdy może sobie wyglądać, jak chce. Ale on odstraszał mi klientów.

– W jaki sposób?

– Mamrotał do siebie, śmierział i robił wrażenie szurniętego.

– Słyszał pan, co mówił?

– O, tak, pytał mnie bardzo wyraźnie po angielsku, czy Forsell jest teraz sławny, na co z lekkim zdziwieniem odpowiedziałem, że Boże, owszem. Jest ministrem obrony i bardzo bogatym człowiekiem.

– Myśli pan, że znał Forsella, zanim stał się sławny?

– Tego nie wiem, ale pamiętam jego słowa: *Problem, now he has problem?* Wypowiedział to, jakby pytał i oczekiwał potwierdzenia.

– I co mu pan odpowiedział?

– Że zdecydowanie, facet ma wielkie problemy. Kombinował z akcjami i manipulował, robił zakulisowe przewroty pałacowe.

– To chyba tylko plotki?

– Ale ja to słyszałem z wielu stron.

– I co z tym żebrakiem? – przypomniała.

– Zaczął się wydzierać, więc chwyciłem go pod ramię i chciałem wyprowadzić. Jednak gość był silny, pokazał na swoją twarz. *Look at me. See what happened to me! And I took him. And I took him!*, wrzeszczał. Coś w tym rodzaju. Wydawał się kompletnie zrozpaczony, więc dałem mu jeszcze chwilę postać, a po wywiadzie z Forsellem nastąpił kawałek o szwedzkim szkolnictwie i wtedy na ekranie pojawiła się ta jędzowata damulka.

– Jaka znów jędzowata damulka?

Sonja Modig czuła narastające rozdrażnienie.

– Ta cała Lindås. Ta to dopiero zadziera nosa. Ale żebrak patrzył na nią, jakby zobaczył anioła, i mruknął: *Very, very beautiful woman. Is she critical to Forsell also?* Próbowałem mu tłumaczyć, że ten kawałek nie ma nic wspólnego z poprzednim. Jakby nie rozumiał. Wydawał się kompletnie zdesperowany i niedługo potem

zniknął.

– Ale przychodził jeszcze?

– Codziennie o tej samej porze, krótko przed zamknięciem, trwało to jakiś tydzień. Stał na ulicy, zaglądając do środka, i wypytywał o dziennikarzy i inne osoby, do których mógłby zadzwonić. W końcu tak mnie zezłościł, że zgłosiłem to na policję, ale rzecz jasna palcem nie kiwnęli.

– Więc nie poznał pan jego nazwiska ani żadnej innej informacji na jego temat?

– Powiedział, że nazywa się Sardar.

– Sardar?

– Kiedy pewnego wieczoru chciałem go pogonić, powiedział: *Me Sardar*.

– Zawsze coś. – Sonja Modig podziękowała i ruszyła w stronę Mariatorget.

Jadąc metrem do Fridhemsplan i komendy policji, poguglowała i dowiedziała się, że Sardar to stare perskie słowo na określenie księcia i arystokraty albo ogólnie przywódcy jakiejś grupy czy plemienia. Używane na Bliskim Wschodzie, w Azji Środkowej i Południowo-Wschodniej. Zapisywane również jako Sirdar, Sardaar i Serdar. Książę, pomyślała. Książę w stroju żebraka. To ci dopiero. Jednak życie to nie bajka.

MINEŁO SPORO CZASU, nim wyruszyli, nie tylko dlatego, że nie udało im się trafić na żaden ślad Lisbeth Salander. Iwan Galinow, dawny agent GRU, był zajęty innymi sprawami, a Camilla za wszelką cenę chciała, by do nich dołączył. Galinow,

lat sześćdziesiąt trzy, świetnie wykształcony, miał za sobą długoletnie doświadczenie w wywiadzie i infiltracji.

Był poliglotą. Mówił płynnie jedenastoma językami, potrafił przechodzić na różne dialekty i narzecza, mógł uchodzić za rodowitego Brytyjczyka, Francuza albo Niemca. I był bez wątpienia przystojny mimo nieco ptasiej urody; wysoki, szczupły i zgrabny, siwy z białymi baczkami, zawsze uprzejmy, miał doskonałe maniery. Mimo to budził lęk, a o jego życiu opowiadano historie, które funkcjonowały jak dodatek do jego charakteru albo przedłużenie jego ciała.

Jedna z tych historii opowiadała o jego oku, które utracił na wojnie w Czeczenii. Zastąpił je emaliowanym, ponoć najlepszym, jakie było na rynku. Według tej historii – zainspirowanej starym kawałem o szefie bankowego działu pożyczkowego – nikt nie potrafił odróżnić fałszywego oka od prawdziwego, aż jeden z podwładnych Galinowa wpadł na najprostsze i prawdziwe rozwiązanie, że „to oko, w którym jest choćby promyk człowieczeństwa, jest sztuczne”.

Krążyła też opowieść o krematorium znajdującym się na kondygnacji minus dwa w głównej siedzibie GRU na Chodynce. Galinow podobno zabrał tam kolegę, który sprzedał tajne materiały Brytyjczykom, i spalił go żywcem. Opowiadano, że torturując swoich wrogów, spowalniał ruchy i przestawał mrugać powiekami. W większości było to najpewniej zwykłe gadanie, zmitologizowana przesada, ale gdyby nawet Camilla chciała wykorzystać siłę tego przekazu do przeprowadzenia swoich planów, nie to było powodem, że się do niego zwróciła.

Galinow był zaprzyjaźniony z jej ojcem, kochał go i podziwiał tak jak ona, i tak jak ona został przez niego zdradzony, co mocno ich ze sobą związało. Galinow nigdy nie pokazywał się jej ze swojej okrutnej strony, okazywał zrozumienie i ojcowską troskę, nigdy też nie miała problemu z ustaleniem, które oko jest prawdziwe. Galinow nauczył ją iść do przodu, a nie tak dawno, kiedy zrozumiała, jakim ciosem dla niego stała się ucieczka Zalachenki do Szwecji, spytała:

- Jak ty to przeżyłeś?
- Tak samo jak ty, Kira.
- A ja jak?
- W ten sposób, że się do niego upodobniłaś.

Nigdy nie zapomniała tych słów. Przeraziły ją, a jednocześnie dodały jej sił i często, jak teraz, kiedy dopadała ją przeszłość, chciała mieć Galinowa przy sobie. Przy nim nie bała się być małą dziewczynką. Tylko on jeden widział ją płaczącą, a teraz, lecąc swoim prywatnym samolotem na sztokholmskie lotnisko Arlanda, wypatrywała jego uśmiechu.

- Dziękuję ci, że jedziesz ze mną – powiedziała.
- Złapiemy ją, serce moje. Dopadniemy – odparł, głaszcząc ją czule po rękę.

LISBETH WIDOCZNIE musiała położyć się do łóżka po tym, jak zobaczyła, że Camilla i jej świta udali się na lotnisko, bo obudzwszy się, zauważyła na stoliku nocnym kartkę od Pauliny, że zeszła na śniadanie. Było dziesięć po jedenastej, jadalnia zamknięta. Lisbeth zaklęła, przypomniawszy sobie, że opróżniła minibar ze

śmięciowego jedzenia. Napiła się wody z kranu i zjadła okruchy chipsów, które leżały wokół laptopa. Następnie wzięła prysznic, włożyła dżinsy i czarny T-shirt, usiadła przy biurku i sprawdziła pocztę. Dostała dwa pliki objętości przeszło dziesięciu gigabajtów, a pod nimi wiadomość od lekarki sądowej Fredriki Nyman.

Cześć, nie jestem idiotką. Oczywiście już wcześniej zamówiłam całościowy genom. Dostałam go dziś rano. Nie wiem, na ile dokładni byli bioinformatycy, ale zaznaczyli kilka dziwnych rzeczy. Mam własnych specjalistów, jednak nie zaszkodzi, jeśli również na to spojrzysz. Przesyłam zarówno opracowany plik z notatkami, jak i FASTQ z samymi danymi, jeśli wolisz sama je opracować.

Będę wdzięczna za kontakt.

F

Lisbeth nie wyczuła między wierszami irytacji Fredriki Nyman, zresztą nie była za bardzo skupiona. Jednocześnie odnotowała, że Camilla już jest w Szwecji, jedzie E-4 z Arlandy w kierunku centrum Sztokholmu, więc zacisnąwszy pięści, zastanawiała się, czy też nie powinna tam jechać. Na razie pozostała przy biurku i otworzyła pliki od Fredriki Nyman, przesuając strony jak mikrofilm. Czy dać sobie z tym spokój?

Pomyślała, że równie dobrze może przejrzeć materiał, jednocześnie układając swój plan postępowania. Zabrała się do roboty, do której miała prawdziwą smykałkę, zresztą dobrze o tym wiedziała.

Lisbeth zazwyczaj umiała szybko stworzyć sobie całościowy obraz nawet w przypadku niejasnych dokumentów, dlatego – zgodnie z przypuszczeniem Fredriki – wolała sama przeanalizować

dane, by nie sugerować się czymś punktem widzenia czy notatkami, więc za pomocą programu Sam Tools przekształciła przesyłkę w tak zwany plik BAM, dokument zawierający cały genom, czyli niemało.

W pewnym sensie był to gigantyczny szyfr: A, C, G, T, a więc zasady azotowe: adenina, cytozyna, guanina i tymina. Na pierwszy rzut oka sprawiało to wrażenie niezrozumiałej masy. Jednak zawierało się w niej życie, toteż Lisbeth zaczęła od wypatrywania w skorowidzu i na wykresach jakichkolwiek odchyień. Następnie uruchomiła swój Bam Viewer, swoje IGV i porównywała wybrane i przypadkowe części sekwencji DNA innych ludzi, znalezione w *1000 Genomes Project* – który zbiera informacje genetyczne z całego świata – i właśnie wtedy odkryła anomalię we frekwencji rs2902 w tak zwanym genie *EPAS1*, regulującym wytwarzanie przez organizm hemoglobiny.

Zwróciła uwagę na coś tak spektakularnie odmiennego, że natychmiast zaczęła tego szukać w bazie danych PubMed, i już po chwili zakłęła, kręcąc głową. Czy to możliwe? Przeczowała coś w tym stylu, ale nie sądziła, że tak szybko będzie miała to czarno na białym, i tak się tym zajęła, że zapomniała nawet o siostrze w Sztokholmie i nie zauważyła wejścia Pauliny, która wołała do niej „halo, halo”, a potem poszła do łazienki.

Pochłonęło ją uczenie się tej mutacji genu *EPAS1*. Był nie tylko bardzo niezwykły. Równie niezwykłe było jego pochodzenie, wywodzące się od Człowieka z Denisowej Jaskini, odłamu rodzaju *Homo* wymarłego czterdzieści tysięcy lat temu.

Człowiek z Denisowej Jaskini pozostawał długo nieznaną nauce,

aż w 2008 roku rosyjscy archeolodzy znaleźli ząb i fragment palca w jaskini w górach Ałtaj na Syberii. Denisowianie łączyli się z przedstawicielami *Homo sapiens* z Azji Południowej, przenosząc na nich część swoich genów, które występują u dzisiejszych ludzi, wśród nich ten wariant genu *EPAS1*.

Jest to mutacja, która pozwala organizmowi przyswajać tlen nawet tam, gdzie jest go mało w powietrzu. Krew jest rzadsza i krąży szybciej, co zmniejsza ryzyko zakrzepów i odmy. Mutacja ta jest niesłychanie korzystna dla tych, którzy żyją i pracują w wysokich górach, gdzie zawartość tlenu w powietrzu jest mniejsza, co zgadzało się z pierwszym przypuszczeniem Lisbeth, wysnutym z urazów żebraka, amputowanych palców i analizy C13.

Jednak mimo tak wyraźnej poszlaki jeszcze nie miała pewności. Mutacja genowa była niezwykła, ale występowała w różnych częściach świata, dlatego wychodząc od chromosomu Y mężczyzny i mitochondrialnego DNA, poszukała jeszcze w sieci; wtedy zobaczyła, że należy do haplogrupy C4a3b1, i już nie miała żadnych wątpliwości.

Grupa ta występuje jedynie u ludzi mieszkających wysoko na zboczach Himalajów w Nepalu i Tybecie, często pracujących jako tragarze albo przewodnicy ekspedycji wysokogórskich.

Ten człowiek był Szerpą.

CZEŚĆ 2

LÓD GÓR

Szerpowie to lud zamieszkujący Himalaje i Nepal.

Wielu Szerpów pracuje jako tragarze i przewodnicy wypraw wysokogórskich.

W większości są wyznawcami ningmy, najstarszej tradycji buddyzmu, według której bogowie i duchy żyją w górach. Bogów należy szanować i czcić zgodnie z religijnymi rytuałami.

Uważa się, że w chorobie lub nieszczęściu Szerpie może pomóc lhawa, szaman.

ROZDZIAŁ 12

25 SIERPNIA

NA ZATOCE WIAŁO. Mikael siedział w swoim domku w Sandhamn i surfował po sieci, niby bez planu, jednak ciągle natykał się na informacje o Forsellu. Latem czasem wpadał na niego w sklepie spożywczym i w porcie, ale zrobił z nim również wywiad. Było to zaraz po tym, jak Forsell w październiku 2017 objął stanowisko ministra obrony. Pamiętał, jak czekał w dużym pokoju obwieszonym mapami, aż Johannes Forsell wychylił głowę przez drzwi, jak wesoły chłopczyk, który właśnie przyszedł się pobawić.

– Mikael – powiedział. – Ależ się cieszę.

Politycy nie mieli zwyczaju witać go w ten sposób, być może powinien to zbagatelizować, uznać za próbę przypodobania się. Ale w sposobie zachowania się Forsella był entuzjazm, który wydał mu się szczery, zresztą Mikael wciąż pamiętał, jak go zainspirowała ta rozmowa. Forsell był błyskotliwy, odcytany i odpowiadał tak, jakby pytania naprawdę go interesowały i zupełnie nie zajmowała go polityka partyjna. Jednak najlepiej zapamiętał stojący na stole talerz drożdżówek, chociaż Forsell nie wyglądał na człowieka, który je jada.

Wysoki i sprawny fizycznie, był okazem tężyzny, mógł wręcz

uchodzić za modela. Mówił, że codziennie przebiega pięć kilometrów i robi dwieście pompek, nic nie wskazywało, żeby sobie folgował. Może te drożdżówki były próbą okazania jakiejś słabości, chęci stworzenia wrażenia, że jest zwyczajnym człowiekiem; w wywiadzie dla „Aftonbladet” powiedział na przykład, że zawsze uwielbiał Melodifestivalen³, ale potem nie potrafił odpowiedzieć na żadne pytanie o ten festiwal.

Odkryli z Mikaelem, że są rówieśnikami, chociaż Forsell na pewno wyglądał młodziej i wypadłby lepiej w testach sprawnościowych. Tryskał energią i optymizmem. „Obraz dzisiejszego świata jest mroczny, ale jest postęp, a wojen jest mniej, nie zapominaj o tym”, powiedział, dając Mikaelowi książkę Stevena Pinkera, która do tej pory leżała gdzieś nieprzeczytana.

Johannes Forsell urodził się w Östersund w rodzinie drobnych przedsiębiorców, właścicieli pensjonatu i wioski domków kempingowych w Åre. W szkole szybko został prymusem, potem obiecującym narciarzem biegowym, ukończył liceum narciarskie w Sollefteå, a po wstąpieniu do wojska został skierowany do szkoły tłumaczy, gdzie nauczył się rosyjskiego i został oficerem wywiadu. Lata w MUST, wywiadzie wojskowym, z oczywistych względów były najbardziej tajemniczą częścią jego życiorysu. Prawdopodobnie zajmował się rozpracowaniem działalności GRU na terenie Szwecji; takie sugestie na podstawie przecieków znalazły się w brytyjskim „The Guardian”, gdy jesienią 2008 Forsell został wydalony z Rosji, gdzie pracował w ambasadzie szwedzkiej.

W lutym następnego roku zmarł mu ojciec, Forsell odszedł wówczas z wojska i przejął rodzinną firmę, którą w krótkim czasie

rozbudował do rozmiarów koncernu. Wybudował hotele w Åre, Sälen i Vemdalen, również w Järvsö, a także w Geilo i Lillehammer w Norwegii. W 2010 roku mógł dzięki temu sprzedać spółkę niemieckiemu koncernowi turystycznemu za prawie dwieście milionów koron, ale zachowując część udziałów w Åre i Abisko.

W tym samym roku wstąpił do partii socjaldemokratycznej i mimo braku doświadczenia politycznego został wybrany na radnego w Östersund. Szybko stał się popularny i znany ze swojej skuteczności, jak również z zagorzałego kibicowania miejscowej drużynie piłkarskiej. Potem raz-dwa został ministrem obrony, co przez dłuższy czas wyglądało na znakomity ruch PR-owy dla rządu.

Przedstawiany był jako bohater i poszukiwacz przygód, głównie ze względu na dwa wyczyny, których dokonał niezależnie od kariery zawodowej, mianowicie latem 2002 roku przepłynął wpływ kanał La Manche, a sześć lat później, w maju 2008, wszedł na Mount Everest. Jednak wkrótce powiały niesprzyjające wiatry, co najprawdopodobniej należało łączyć z jego zdecydowanym stwierdzeniem, że podczas kampanii wyborczej do Riksdagu Rosjanie skrycie wspierali ksenofobiczną partię Szwedzkich Demokratów.

Ataki na niego stawały się coraz bardziej zajadłe. Ale najgorsze miało jeszcze nastąpić. Po czerwcowym krachu giełdowym media zalały fake newsy na jego temat, nietrudno było współczuć jego norweskiej żonie, Rebecce, która w wywiadzie dla „Dagens Nyheter” mówiła o bezwstydnym kłamstwach i opowiadała, że nawet ich dzieci muszą mieć ochronę. Forsell stał się obiektem coraz ostrzejszej nagonki.

Na zdjęciach z ostatniego okresu już nie wyglądał na człowieka o niespożytej energii. Wydawał się zmęczony i wychudzony, a w ostatni piątek poinformowano, że wziął dodatkowy tydzień urlopu; krążyły nawet pogłoski o jego załamaniu. Jakkolwiek by na to spojrzeć, Mikael mógł tylko współczuć Forsellowi. Z drugiej strony może to głupie, skoro teraz miał badać jego ewentualne związki z żebrakiem, a może też z historykiem Matsem Sabinem.

A jeśli założyć, że Forsell nie jest samą „czystą żywą wełną” i entuzjastą prawdy? W kampanii oszczerstw przeciwko niemu pojawiła się informacja, że podczas przepłynięcia kanału La Manche zabrał się na gapę do towarzyszącej mu łódki, i jeszcze, że wbrew temu, co twierdził, nie wszedł na Mount Everest. Mikael nie znalazł jednak żadnych podstaw do któregośkolwiek z tych twierdzeń, poza tym, że dramat na Evereście wynikał ze strasznego chaosu, swego rodzaju greckiej tragedii, z której nie dało się wysnuć niezbitych wniosków, choć tyle na ten temat napisano.

W tym przypadku nie dotyczyło to Forsella. Znajdował się daleko od epicentrum dramatu, rozgrywającego się na wysokości ośmiu tysięcy trzystu metrów, gdzie błyskotliwa i niebywale bogata Amerykanka Klara Engman zginęła razem ze swoim przewodnikiem Wiktoorem Grankinem, dlatego Mikael już się tym nie zajmował, tylko skupił na karierze wojskowej Forsella.

Sama informacja, że był agentem wywiadu, powinna pozostać ściśle tajna, a wyszła na jaw w związku z wydaleniem z Rosji. W obecnej kampanii nienawiści pojawiały się nawet najbardziej niedorzeczne pogłoski, jednak głównodowodzący szwedzkich sił zbrojnych Lars Granath niezmiennie określał działania Forsella

w Moskwie jako „wyłącznie chwalebne”.

Poza tym było niewiele faktów, więc w końcu Mikael dał sobie z tym spokój, stwierdziwszy jedynie, że Johannes i Rebecka Forsellowie mają dwóch synów, jedenastoletniego Samuela i dziewięcioletniego Jonathana. Mieszkają w Stocksund pod Sztokholmem, oprócz tego posiadają również letni dom niedaleko stąd, po południowej stronie Sandön. Może teraz też tam są?

Mikael dostał od Forsella jego prywatny numer. „Gdybyś miał jakieś pytania, to po prostu dzwoń”, powiedział wtedy na swój niebanalny sposób. Jednak Mikael nie widział powodu, żeby mu teraz przeszkadzać. Przeciwnie, powinien zostawić to i uciąć sobie drzemkę. Był bezgranicznie zmęczony. Oczywiście nie odpoczął, tylko zadzwonił do komisarza Bublanskiego, znów porozmawiał z nim o Lisbeth, potem powtórzył, że żebrak mógł wymienić nazwisko Mats Sabin, chociaż na wszelki wypadek dodał:

– To pewnie nic takiego.

PAULINA MÜLLER wyszła z łazienki w białym szlafroku, zobaczyła, że Lisbeth nadal wpatruje się w ekran laptopa, i położyła delikatnie rękę na jej ramieniu. Ale Lisbeth już nie patrzyła na wielki dom pod Moskwą, czytała jakiś artykuł, a Paulina jak zwykle za nią nie nadążała. Nigdy nie spotkała kogoś, kto czytałby tak szybko. Zdania na ekranie przelatywały jedno za drugim.

Coś jednak wychwyciła... *Denisovan genome and that of certain South Asian...* wtedy się zainteresowała. Pisała kiedyś na łamach „Geo” o pochodzeniu człowieka, jego pokrewieństwie z neandertalczykami i denisowianami.

– Pisałam o tym.

Lisbeth nie odpowiedziała, Paulina dostawała od tego białej gorączki. Wprawdzie Lisbeth fundowała jej wszystko i opiekowała się nią, mimo to często czuła się samotna i odrzucona. Nie wytrzymywała milczenia Lisbeth ani jej niekończącego się siedzenia przy laptopie. Noce doprowadzały ją do szału, a i bez tego były ciężkie, bo wracało do niej wszystko, co jej zrobił Thomas; marzyła wtedy o zemście i właśnie w takich chwilach potrzebowałaby Lisbeth najbardziej.

Tymczasem Lisbeth sama przeżywała piekło. Czasem była tak spięta, że Paulina nie miała odwagi się do niej przytulić. Czy można tak mało sypiać? Kiedykolwiek się budziła, Lisbeth leżała obok z otwartymi oczami, nasłuchując odgłosów z korytarza, albo siedziała przy biurku, przeglądając obrazy z kamer monitoringu lub z satelity. Paulina czuła coraz wyraźniej, że już tego nie wytrzyma, zwłaszcza że żyły ze sobą tak blisko, więc chciała krzyknąć: *Kto cię ściga? Czym ty się zajmujesz?*

A spytała tylko:

– Co robisz?

Teraz też nie dostała odpowiedzi. Jednak Lisbeth odwróciła się i rzuciła jej spojrzenie, które Paulina odebrała jak wyciągniętą rękę. A jednak. W oczach Lisbeth Paulina dostrzegła jakieś nowe, łagodniejsze światło.

– Co robisz? – powtórzyła.

– Próbuję ustalić tożsamość pewnego mężczyzny – odparła Lisbeth.

– Mężczyzny?

– Tak, Szerpy, przeszło pięćdziesięcioletniego, już nie żyje. Prawdopodobnie pochodził z doliny Khumbu w północno-wschodnim Nepalu, ewentualnie z Sikkimu albo Dardżylingu w Indiach, choć wiele przemawia za Nepalem i okolicą Namcze Bazar. Mógł też pochodzić ze wschodniego Tybetu. Wydaje się, że w dzieciństwie w jego diecie było skrajnie mało tłuszczów – odpowiedziała. Jak na nią był to wykład, więc Paulina się rozpromieniła i usiadła na krześle obok.

– Coś jeszcze? – spytała.

– Mam jego DNA i raport z sekcji. Zważywszy na jego urazy, jestem prawie pewna, że był tragarzem albo przewodnikiem wypraw wysokogórskich. Myślę również, że był w tym bardzo dobry.

– Dlaczego?

– Bo miał niezwykle dużo włókien mięśniowych typu I, czyli mógł dźwigać spore ciężary, nie tracąc zbyt dużo energii. Ale przede wszystkim ze względu na gen w jego organizmie, regulujący stężenie hemoglobiny we krwi. Ten człowiek musiał być silny i wytrzymały w środowisku ubogim w tlen. Domyślam się, że miał za sobą jakieś straszne przeżycie. Miał poważne odmrożenia i pęknięcia. Większość palców u rąk i nóg została amputowana.

– Masz dane z jego chromosomu Y?

– Mam cały genom.

– To może byś sprawdziła w Y-full?

Y-full, rosyjska firma – o której Paulina pisała nie dalej jak rok temu – prowadzona przez grupę matematyków, biologów i programistów, zbierająca DNA chromosomu Y ludzi z różnych

stron świata, uczestników badań naukowych albo osób, które same pobrały swoją próbkę DNA, by dowiedzieć się więcej o swoim pochodzeniu.

– Zamierzałam sprawdzić w Familytree i Ancestry, ale mówisz, że Y-full, tak?

– Według mnie są najlepsi. Prowadzą to tacy jak ty, grupa totalnych nerdów.

– Okej – odparła Lisbeth. – Choć przypuszczam, że to będzie trudne.

– Dlaczego?

– Domyślam się, że ten gość należy do grupy, która raczej nie robi sobie analizy DNA.

– A czy w sprawozdaniach naukowych nie będzie materiałów genetycznych od krewnych? Wiem, że robiono badania, dlaczego Szerpowie są tacy wydolni podczas wspinaczek wysokogórskich – powiedziała Paulina, dumna, że nagle może się na coś przydać.

– To prawda – odparła Lisbeth, ale już nie była obecna tak do końca.

– Zresztą to mała populacja, prawda?

– Na całym świecie jest niewiele ponad dwadzieścia tysięcy Szerpów.

– No więc? – Paulina nabrała nadziei, że może zrobią to razem.

Tymczasem Lisbeth przeszła na inną stronę, która wyglądała na mapę Sztokholmu.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

– Nie jest ważne.

Oczy Lisbeth znów pociemniały. Paulina wstała zakłopotana,

w milczeniu ubrała się i ponownie wyszła do miasta, w stronę praskiego zamku.

ROZDZIAŁ 13

25 SIERPNIA

REBECKA FORSELL, wówczas Rebecka Loew, zakochała się w Johannesie, człowieku silnym i o pogodnym usposobieniu. Uczestniczyła jako lekarka w wyprawie Wiktora Grankina na Everest, długo miała różne wątpliwości co do swojego udziału w niej i nie pozostała niewrażliwa na krytykę, z jaką się spotkali. W tamtych latach mówiło się dużo o komercjalizacji Everestu.

Krążyły historie o klientach kupujących sobie miejsce na szczycie, tak jak inni kupują porsche; uważało się, że profanują samą ideę wspinaczki górskiej. Oprócz tego argumentowano, że zwiększają zagrożenia na samej górze, a Rebecka martwiła się, że kilku członków ich grupy nie ma doświadczenia we wspinaczce, zwłaszcza Johannes, który nawet nie był nigdy na wysokości powyżej pięciu tysięcy metrów.

Kiedy jednak już dotarli do pierwszego obozu bazowego, ludzi zaatakował kaszel i ból głowy, do tego jeszcze ogarnęły ich wątpliwości co do całego przedsięwzięcia. To nie Johannes był powodem jej największych zmartwień; posuwał się naprzód skokami, zaprzyjaźniał się i kumplował ze wszystkimi, łącznie z miejscowymi, może dlatego, że odnosił się do nich jednocześnie z szacunkiem i bez. Nabijał się z nich, jak ze wszystkich, śmiał się

i opowiadał dowcipy.

Taki był i już, uważany za bardzo naturalnego. Rebecka nie wiedziała, czy jest tak naprawdę. Widziała w nim raczej intelektualistę, który świadomie postanowił, że będzie postrzegał świat w jasnych barwach. Dzięki temu zdawał się jeszcze bardziej czarujący. Często czuła, że chciałyby pójść za nim, biorąc się za bary z życiem.

Prawdą było, że po śmierci Klary i Wiktora przeszedł głęboki kryzys. Z jakiegoś powodu przeżył tę tragedię boleśniej od pozostałych.

W końcu jednak wróciła mu energia i pogoda ducha. Po powrocie zabrał ją do Paryża i Barcelony, a w kwietniu następnego roku – zaledwie kilka miesięcy po śmierci jego ojca – wzięli ślub w Östersund; wtedy zostawiła swój dom w Bergen w Norwegii, aby już nigdy za nim nie zatęsknić.

Podobało jej się Östersund, jak również Åre i jazda na nartach, kochała męża i wcale jej nie dziwiło, że jego firma rośnie, a ludzie do niego lgną, nawet po tym, jak stał się bogaty i został ministrem. Był zjawiskowy. Wydawało się, jakby ciągle biegł, a mimo to miał czas się zastanowić, więc tylko czasami się na niego złościła, może zresztą właśnie dlatego. Nigdy się nie zatrzymywał, uważał, że każdy problem da się rozwiązać, jeśli tylko człowiek zakasze rękawy i bardziej się postara, może dlatego często aż za bardzo poganiał synów.

– Dajcie z siebie jeszcze trochę – powtarzał i choć zawsze był gotów mobilizować, to rzadko miał czas ją wysłuchać, kiedy się martwiła.

Najczęściej tylko ją całował, mówiąc: „Dasz radę, Becka, dasz radę”. Odkąd został ministrem, miał coraz więcej obowiązków, często pracował do późnych godzin nocnych, mimo to zrywał się wcześniej, żeby przebiec pięć kilometrów i potem zrobić Navy Seals, jak nazywał swój trening. Jego tempo było wręcz nadludzkie. Jednak najwyraźniej lubił to, nie przejmował się nawet, że wiatr się zmienił i tak jak go przedtem podziwiali, tak teraz nienawidzili.

To ona przejmowała się najbardziej. Nie mogąc się powstrzymać, wieczorami i wczesnym rankiem wrzucała do przeglądarki jego nazwisko; ciągle natykała się na jakieś koszarne pomówienia i oszczerstwa i czasem, w najgorszych chwilach, myślała sobie, że to wszystko przez nią – przez jej żydowskie pochodzenie. Bo nawet Johannes, który wyglądał jak wzorzec Aryjczyka, padał ofiarą antysemitycznych kampanii nienawiści, mimo to po pewnym czasie się otrząsał i nie tracił nadziei:

– Będziemy od tego tylko silniejsi, Becka, to się wkrótce zmieni.

W końcu jednak hejt dosięgnął i jego, choć nie jęczał i ani przez moment nie narzekał. Jego entuzjazm funkcjonował jakby na autopilocie, ale w piątek – bez słowa wyjaśnienia – wziął tydzień urlopu, co musiało nastreczyć sporo problemów członkom jego sztabu. Dlatego znajdowali się teraz na Sandön, w swoim wielkim domu nad morzem. Chłopcy byli u babci, a im towarzyszyli ochroniarze, zawsze ci sami, których Rebecka zabawiała rozmową. Johannes zaszył się w swoim gabinecie na piętrze. Wczoraj słyszała, jak krzyczał do telefonu. Tego ranka nawet nie ćwiczył. W milczeniu zjadł śniadanie, potem wrócił na górę, schował się.

Rebecka czuła, że coś jest zdecydowanie nie tak. Czuła to

wyraźnie. Wiatr się wzmógł. Rebecka stała w kuchni, robiąc sałatkę z buraków z fetą i orzeszkami piniowymi. Zbliżała się pora lunchu, a ona czuła opór na samą myśl, że powinna go zawołać.

Jednak poszła do niego na górę i choć nie powinna, weszła bez pukania, wtedy on nerwowym ruchem schował jakieś papiery; gdyby nie zachował się tak podejrzanie, nawet by nie zauważyła. A tak zdążyła zobaczyć, że były to papiery pacjenta z oddziału psychiatrycznego, co ją zdziwiło. Może tylko sprawdzali jakiegoś współpracownika pod kątem bezpieczeństwa? Spróbowała uśmiechnąć się jak zwykle.

– O co chodzi? – spytał.

– Pora na lunch.

– Nie jestem głodny.

Kurde, przecież ty zawsze jesteś głodny! – krzyknęła w myślach.

– Co się stało? – spytała jeszcze.

– Nic.

– Daj spokój, przecież widzę.

Poczuła buzującą w środku irytację.

– Nic, mówię ci.

– Jesteś chory czy co? – spytała.

– Co masz na myśli?

– Widzę, że czytasz historię choroby pacjenta, więc to chyba jasne, że pytam – syknęła, i to był błąd.

Natychmiast zdała sobie z tego sprawę. W jego spojrzeniu pojawił się lęk, który dopiero ją przeraził. Mruknęła „przepraszam” i wyszła na miękkich nogach.

Co się stało? – myślała.

A jeszcze niedawno byliśmy tacy szczęśliwi.

LISBETH WIEDZIAŁA, że Camilla przebywa teraz w mieszkaniu przy sztokholmskiej ulicy Strandvägen. Wiedziała również, że siostrze towarzyszą jej haker Jurij Bogdanow i dawny agent GRU, obecnie gangster Iwan Galinow. Domyślała się, że powinna działać. Tylko wciąż nie miała pewności jak, więc choć postanowiła porzucić pracę nad Szerpą od Mikaela, znów się do niej zabrała. Może była to swego rodzaju ucieczka. Dzięki Bam Viewerowi uzyskała sześćdziesiąt siedem markerów wyróżniających się w segmencie DNA; przejrzała kolejno jeden za drugim i w końcu uzyskała haplogrupę również w linii męskiej.

Nosiła nazwę D-M174 i też była bardzo niezwykła, co było i dobrą informacją i złą, zależy, jak na to patrzeć; wrzuciła ją do wyszukiwarki Y-full w Moskwie, firmy sekwencjonującej DNA, o której mówiła Paulina, i czekała na wynik. Długo to trwało, aż zakłęła.

– Co to za tępe gówno?

Nie wierzyła w to, sama nie rozumiała, po co to robi. Powinna rzucić to w cholerę i skupić się na Camilli. I wtedy przyszła odpowiedź, aż gwizdnęła. Uzyskała dwieście dwanaście trafień podzielonych między sto pięćdziesiąt sześć nazwisk. To lepiej, niż myślała. Zamknęła oczy i sama uderzyła się kilka razy po twarzy. Sprawdziła wszystko, szukając innych niezwykłych mutacji w segmencie, lecz za każdym razem wyskakiwało jej to samo nazwisko. Wydawało się, że to musi być błąd. Jednak ciągle się powtarzało. Robert Carson z Denver w Kolorado. Wprawdzie

rzeczywiście miał trochę azjatyckie rysy, ale poza tym był typowym Amerykaninem, maratończykiem, narciarzem zjazdowcem i geologiem na miejscowym uniwersytecie; miał czterdzieści dwa lata, był ojcem trojga dzieci, politycznie aktywnym demokratą i zagorzałym przeciwnikiem lobbystycznej organizacji National Rifle Association, NRA, odkąd w szkole jego najstarszego syna w Seattle doszło do strzelaniny.

W wolnym czasie Robert Carson zajmował się badaniami genealogicznymi, a dwa lata temu zrobił sobie rozległą analizę chromosomu Y. Okazało się, że ma mutację *EPAS1*, a więc tę samą co żebrak.

„Jestem posiadaczem supergenu” – napisał na stronie rootsweb.ancestry.com i dołączył zdjęcie, na którym rozradowany, ubrany w kombinezon i czapkę drużyny hokejowej Colorado Avalanche, pręży bicepsy nad potokiem w Górach Skalistych.

Carson napisał również, że jego dziadek ze strony ojca, Dawa Dorje, mieszkał w południowym Tybecie, niedaleko Everestu, ale w 1951 roku uciekł spod chińskiej okupacji i osiedlił się wśród swoich krewnych w dolinie Khumbu, niedaleko buddyjskiego klasztoru Tengbocze w Nepalu. W sieci znajdowało się zdjęcie owego dziadka razem z sir Edmundem Hillarym podczas uroczystości otwarcia szpitala we wsi Kunde. Dziadek miał sześcioro dzieci, między innymi Lobsanga – „postrzeleńca, przystojniaka i wierzcie lub nie, ale wielkiego fana Rolling Stonesów”, napisał Robert.

I dalej:

Nie poznałem go. Jednak mama mówiła mi, że był najwytrzymalszym wspinaczem z całej grupy, a już na pewno najprzystojniejszym i najbardziej charyzmatycznym. (Z drugiej strony mama na pewno była tu nieobiektywna, ja zresztą też).

Najwyraźniej Lobsang Dorje uczestniczył w angielskiej wyprawie, która we wrześniu 1976 miała zdobyć Everest od strony zachodniej. W wyprawie wzięła również udział Amerykanka Christine Carson. Była ornitolożką, podczas dojścia badała ptaki – „wielość wróblowatych” – żyjące na zboczach Himalajów. Niezameżna i bezdzietna Christine Carson miała wówczas czterdzieści lat, była profesorem Uniwersytetu Michigan. W pierwszej bazie dostała bardzo silnych mdłości i ostrego bólu głowy, postanowiła więc wrócić do Namcze Bazar, by szukać pomocy lekarskiej. Dziewiątego września dowiedziała się, że sześcioro członków wyprawy, wśród nich Lobsang Dorje, zginęło niedaleko szczytu.

Po powrocie do kraju Christine zorientowała się, że jest w ciąży, spodziewała się dziecka Lobsanga Dorjego. Sytuacja była delikatna. Lobsang był od niej dwadzieścia jeden lat młodszy, miał zaledwie dziewiętnaście lat i był zaręczony z dziewczyną z doliny Khum. Christine postanowiła donosić ciążę i w kwietniu 1977 roku urodziła Roberta w Ann Arbor w stanie Michigan. Wprawdzie nie da się tego stwierdzić z absolutną pewnością – w doborze genetycznym zawsze istnieje pewna przypadkowość – jednak Robert i żebrak najprawdopodobniej byli kuzynami trzeciego albo czwartego stopnia. Powinni mieć wspólnego przodka, który żył w XIX wieku, czyli było to niezbyt bliskie pokrewieństwo. Lisbeth

przypuszczała, że Mikaelowi uda się bez problemu uzupełnić luki, zwłaszcza że Robert Carson wydawał się bardzo zainteresowany, kontaktowy i pełen energii. Lisbeth znalazła jego zdjęcia z zeszłorocznego spotkania z krewnymi ojca w dolinie Khumbu.

Napisała do Mikaela:

Twój gość to Szerpa. Prawdopodobnie był tragarzem albo przewodnikiem wypraw wysokogórskich w Nepalu, zapewne na Lhotse, Everest albo Kanczendzongę. Jego krewniak mieszka w Denver. Informacje w załączniku. Nie sprawdzisz swojego artykułu o fabrykach trolli?

Ostatnie zdanie skreśliła. Sam odpowiada za to, jak się sprawuje w pracy. Następnie wysłała wiadomość i wyszła szukać Pauliny.

JAN BUBLANSKI spacerował wzdłuż Norr Mälarstrand z Sonją Modig. Narada podczas spaceru była jednym z jego nowych zwyczajów. „Uważam, że lepiej nam się myśli w ten sposób”, oznajmił. Prawdopodobnie jednak chodziło mu bardziej o zabicie nadwagi i poprawę kondycji.

Sapał z byle powodu i nie było mu łatwo dorównać kroku Sonji. Rozmawiali o wielu rzeczach, właśnie doszli do żebraka, o którym opowiadał mu Mikael. Sonja zreferowała mu swoją rozmowę w sklepie z artykułami elektronicznymi na Hornsgatan, a Bublanski wzdychał. Dlaczego wszyscy tak się uczepili Forsella? Jakby uwierzyli, że odpowiada za całe zło w tym kraju. W Bogu nadzieja, że nie ma to nic wspólnego z żydowską żoną Forsella, pomyślał Bublanski.

– Rozumiem – powiedział.

- Wydaje się to strasznie odjechane.
- Nie sądzisz, że może chodzić o inny motyw?
- Ewentualnie zawiść.
- A czego można zazdrościć temu biednemu człowiekowi?
- Zawiść występuje nawet między ludźmi żyjącymi na samym dnie.
 - W zasadzie tak.
 - Rozmawiałam z pewną kobietą z Rumunii, ma na imię Mirela – ciągnęła Sonja. – Opowiadała mi, że ten facet wyciągał więcej pieniędzy niż wszyscy inni żebracy w okolicy. W jego postawie była taka duma, że ludzie chętnie mu coś wrzucali, i wiem, że wściekało to innych żebraków, którzy byli tam dłużej od niego.
 - Nie wydaje się, żeby to mógł być powód do morderstwa.
 - Może i nie. Ale ten gość miał stosunkowo dużo pieniędzy. Był częstym klientem budki z hot dogami poniżej Bysistorget, również w McDonalddie na Hornsgatan, no i rzecz jasna w monopolowym na Rosenlundsgatan, gdzie kupował wódkę i piwo. Dalej...
 - Tak?
 - Ponoć kilka razy widziano go przed świtem w okolicy Wollmar Yxkullsgatan, gdzie kupował lewy alkohol.
 - Popatrz, popatrz.
 - Bublanski zatopił się w myślach.
 - Wiem, o co ci chodzi – powiedziała Sonja. – Powinniśmy pogadać z handlarzami.
 - Właśnie – potwierdził Bublanski i zaczerpnął tchu, żeby pokonać podejście na Hantverkargatan. Znów pomyślał o Forsellu i jego żonie Rebecce, poznał ją w gminie żydowskiej i był pod jej

wielkim urokiem.

Smukła i wysoka, ponad sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, lekki, elegancki chód, wielkie czarne oczy promieniujące ciepłem i energią. Przez krótką chwilę prawie rozumiał, skąd się bierze hejt przeciwko tej parze.

To jasne, że ludzie wściekają się na osoby promieniujące tak niespożytą energią, bo czują się przy nich bezsilni i godni pożałowania.

ROZDZIAŁ 14

25 SIERPNIA

MIKAEL PRZECZYTAŁ wiadomość od Lisbeth i mruknął: „A niech to!”. Była piąta po południu. Niespokojnie wstał od biurka i spojrzął na zatokę. Coraz bardziej wiało, w oddali halsowała żaglówka. Szerpa, pomyślał, Szerpa. Przecież to musi coś znaczyć.

W zasadzie nie wierzył, że ma to coś wspólnego z ministrem obrony. A jednak... Nie dało się pominąć faktu, że Johannes Forsell wszedł na Everest w maju 2008, dlatego Mikael postanowił dotrzeć do samego sedna tamtych wydarzeń. Materiałów opisujących tamten dramat nie brakowało, a powodem była – jak już zdążył stwierdzić – Klara Engelman.

Klara Engelman była celebrytką, która aż się prosiła o plotki, ładna, farbowana blondynka z poprawionymi ustami i biustem, za męża miała słynnego magnata przemysłowego Stana Engelmana, właściciela hoteli i nieruchomości w Nowym Jorku, Moskwie i Petersburgu. Klara, dawna modelka, nie była osobą z towarzystwa; przyjechała z Węgier, w młodości zwyciężyła w jakimś konkursie Miss Bikini w Las Vegas, gdzie poznała Stana, który był członkiem konkursowego jury, pikantny szczegół, którym zachłysnęły się tabloidy.

W 2008 roku miała już trzydzieści sześć lat i była matką ich

dwunastoletniej wówczas córki Juliette. Ukończyła studia na kierunku public relations w St. Joseph's College w Nowym Jorku i najwyraźniej chciała udowodnić, że potrafi osiągnąć coś na własną rękę. Dziś z dystansu ponad dekady niełatwo było zrozumieć oburzenie, jakie wzbudziła w bazie w Himalajach. W swoim blogu na łamach „Vogue'a” zamieszczała wprawdzie sporo pretensjonalnych stylizowanych zdjęć w modnych ciuchach, jednak z dzisiejszej perspektywy widać było wyraźnie, że komentarze pod jej adresem były pisane w seksistowsko lekceważącym tonie. Media przesadziły z jej wizerunkiem laluni, dla której nie ma miejsca w tych górach ani wśród miejscowych. Stała się symbolem wulgarności bogatego Zachodu w konfrontacji ze szlachetną czystością Wschodu.

Klara Engelman uczestniczyła w tej samej wyprawie co Johannes Forsell i jego przyjaciel Svante Lindberg, obecnie podsekretarz stanu. Wszyscy zapłacili po siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za wprowadzenie ich na szczyt, co na pewno wzbudziło niemałe oburzenie. Everest – mówiono wtedy – stał się dla bogaczy miejscem i okazją do podbudowania swego ego. Rosjanin Wiktor Grankin był właścicielem i szefem ekspedycji, w której skład wchodził trzech przewodniczących i szef bazy, lekarz i czternastu Szerpów – do tego dziesięcioro klientów. Aby dotarli na szczyt, potrzeba było wielu ludzi.

Może żebrak był jednym z tych Szerpów? Ta myśl od razu przyszła do głowy Mikaelowi, więc postanowił sprawdzić wszystkich po kolei. Czy któryś z nich trafił do Szwecji albo miał jakieś szczególne powiązania z Forsellem? Niełatwo było to ustalić,

a ci, których znalazł w internecie, raczej ich nie mieli. Najbliższym trafieniem był młody Szerpa Jangbu Chiri.

Trzy lata później Chiri i Forsell spotkali się w Chamonix, na piwie. Oczywiście mogli stać się później śmiertelnymi wrogami, ale na zdjęciu w sieci mieli aż przesadnie wesołe miny i uniesione w górę kciuki. Z tego, co ustalił Mikael, żaden Szerpa z ekspedycji nie powiedział o Forsellu złego słowa. Owszem, były anonimowe oskarżenia – pojawiły się w kampanii dezinformacyjnej – jakoby Forsell przyczynił się do śmierci Klary Engelman, spowalniając wspinaczkę całej grupy. Jednak naoczni świadkowie byli zgodni, że było przeciwnie: spowalniała ją Klara, a kiedy na stoku rozgrywał się śmiertelny dramat, Forsell i Svante Lindberg byli już gdzie indziej, bo zostawiwszy grupę, dotarli sami na szczyt.

Nie, Mikael nadal nie wierzył. A może nie chciał wierzyć? W trakcie dokumentacji zazwyczaj bardzo czujnie – bo to część jego pracy – pilnował się, by nie wpaść w pułapkę życzeniowego myślenia, mimo to nie chciało mu się wierzyć, że człowiek, którego internetowe trolle nienawidziły z taką pasją, mógł być zamieszany w otrucie jakiegoś zapijaczonego biedaka w Sztokholmie. Chociaż... niech to.

Ponownie przeczytał wiadomość od Lisbeth i informację w załączniku na temat domniemanego krewnego żebraka, Roberta Carsona z Kolorado. Robert Carson wydał mu się – choć może zasugerował się tym, co czytał wcześniej – człowiekiem w typie Forsella, pogodnym i energicznym, więc bez zastanowienia zadzwonił na numer telefonu, który podała mu Lisbeth.

– Bob, słucham – usłyszał.

Mikael przedstawił się, ale dalej nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Zaczął więc od pochlebstwa.

– Przeczytałem w internecie, że jest pan posiadaczem supergeny.
Robert Carson zaśmiał się.

– Imponujące, co?

– Bardzo. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Ani trochę, czytam nudną pracę naukową. Wolę porozmawiać o moim DNA. Pracuje pan dla jakiegoś naukowego pisma?

– Niezupełnie. Sprawdzam pewien podejrzany przypadek zgonu.

– Ojej!

Jakby się zaniepokoił.

– Chodzi o bezdomnego, wiek pięćdziesiąt cztery, może pięćdziesiąt sześć lat, amputowane palce u rąk i nóg. Jakiś czas temu znaleźli go martwego pod drzewem w Sztokholmie. Miał tę samą mutację genu *EPAS1* co pan. Najprawdopodobniej byliście spokrewnieni w trzecim albo czwartym stopniu.

– Smutna sprawa. Jak się nazywał?

– Właśnie o to chodzi, że nie wiemy. Jego pokrewieństwo z panem to najbliższe, co nam się udało ustalić do tej chwili.

– Jak mogę pomóc?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Moja koleżanka zakłada, że był tragarzem wypraw wysokogórskich i że uczestniczył w jakimś dramatycznym wydarzeniu, podczas którego doznał licznych urazów. Czy wśród pana krewnych są Szerpowie, którzy pasowaliby do tego opisu?

– Mój Boże, domyślałam się, że wielu, jeśli uwzględnić całą rodzinę. Mamy skłonność do skrajności, by tak rzec.

– Może jakaś konkretna podpowiedź?

– Na pewno, ale potrzebuję czasu do namysłu. Sporządziłem drzewo genealogiczne i zapisałem w nim dane biograficzne. Nie ma pan przypadkiem więcej danych, żeby mi przysłać?

Mikael zastanowił się chwilę.

– Jeśli obieca mi pan zachować dyskrecję, to prześlę raport z sekcji zwłok i analizę DNA.

– Obiecuję.

– W takim razie zaraz wysyłam. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan mógł od razu się temu przyjrzeć.

Robert Carson milczał przez chwilę.

– Wie pan co – odezwał się. – To dla mnie zaszczyt. Myśl, że miałem krewnego w Szwecji, jest bardzo miła, chociaż przykro mi, że było mu ciężko.

– Niestety na to wygląda. Moja przyjaciółka go poznała.

– Jak to było?

– Był bardzo wzburzony i mówił coś nieskładnie o naszym ministrze obrony, Forsellu, który wszedł na Everest w maju dwa tysiące ósmego roku.

– Powiedział pan w maju dwa tysiące ósmego?

– Tak.

– Czy to nie wtedy zginęła Klara Engelman?

– Właśnie.

– Zabawna rzecz.

– W jakim sensie?

– Jeden z moich krewnych uczestniczył w tej wyprawie, był niemal legendarną postacią. Ale nie żyje od trzech, może czterech

lat.

– To raczej nie mógł pojawić się w Sztokholmie.

– Rzeczywiście.

– Podałem panu nazwiska Szerpów, o których wiem, że byli wtedy na Evereście, może naprowadzą pana na następne tropy.

– Przydałoby się.

– Właściwie to nie wierzę, żeby to miało coś wspólnego z Everestem – dodał Mikael, mówiąc bardziej do siebie niż do Roberta Carsona. – Związek między tym człowiekiem a naszym ministrem obrony wydaje się bardzo odległy.

– Czyli poszukiwanie bez przyjętego z góry założenia.

– Chyba tak. Lektura o pana życiu była bardzo ciekawa.

– Dziękuję – odparł Robert Carson. – Odezwę się.

Rozłączywszy się, Mikael pogrążył się w myślach. Potem napisał mail z podziękowaniem do Lisbeth, opowiedział jej również o Forsellu i Evereście, wspomniał Matsa Sabina i całą resztę. Dobrze, żeby miała całościowy obraz.

LISBETH ZAUWAŻYŁA mail o dziesiątej wieczorem, ale go nie przeczytała. Miała co innego na głowie. W dodatku była w samym środku awantury.

– Mogłabyś nie gapić się bez przerwy w ten cholerny komputer

– syknęła Paulina.

Lisbeth przestała się gapić w swój cholerny komputer i podniosła wzrok na stojącą przy biurku Paulinę z rozpuszczonymi kręconymi włosami; jej skośnawe, wyraziste oczy były pełne łez i gniewu.

– Thomas mnie zabije.

– Przecież możesz pomieszkać u swoich rodziców w Monachium, tak mówiłaś.

– Przyjedzie tam i totalnie ich zmanipuluje. Oni go uwielbiają. A przynajmniej w to wierzą.

Lisbeth kiwnęła głową, zastanawiała się. Może się jednak wstrzymać? Nie, nie, postanowiła. Nie może się teraz wycofać, a już na pewno nie może zabrać Pauliny do Sztokholmu. Musi tam jechać – sama. Nie może dłużej być bierna i tkwić w przeszłości. Musi znów przystąpić do działania, obserwować pościg z bliska. W przeciwnym razie będą inne ofiary, zwłaszcza kiedy na miejscu są ludzie pokroju Galinowa.

– Mam z nimi porozmawiać?

– Z moimi rodzicami?

– Tak.

– W życiu!

– Dlaczego nie?

– Bo w stosunkach z innymi ludźmi jesteś jak ufo, Lisbeth, nie wiesz o tym? – Paulina złapała torebkę i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Lisbeth zastanawiała się, czy pójść za nią. Ale jak zwykle nie ruszyła się od laptopa, jakby była do niego przyrośnięta, i ponowiła próbę zhakowania kamer monitoringu wokół mieszkania na Strandvägen, gdzie znajdowała się Camilla. Opornie jej szło. Nie dawały jej spokoju też inne rzeczy, nie tylko wybuch Pauliny. Za dużo tego wszystkiego. No i mail od Mikaela, chociaż akurat w tej sytuacji nie wydawał się najpilniejszy.

Brzmiał następująco:

Nie rozumiem, jak ty to robisz. Oklaski, oklaski. Czapki z głów. Powinienem chyba dodać, że żebrak bredził coś na temat Johanna Forsella. „Me took him. I left Mamsabin”. Coś w tym stylu mówił. (Może Mats Sabin). To niejasne. Ale Johannes Forsell naprawdę zdobył Everest w maju 2008 roku, w pewnym momencie o mało nie zginął. Przesyłam ci listę Szerpów, którzy w tym czasie znajdowali się po południowej stronie Everestu. Może i w tym przypadku coś znajdziesz. Rozmawiałem z Robertem Carsonem, który spróbuje mi pomóc.

Dbaj o siebie i dziękuję!

M

PS Był jeden Mats Sabin, dawny major w Artylerii Nadbrzeżnej i historyk wojskowości z Wyższej Szkoły Obrony Narodowej, który kilka lat temu umarł podczas pieszej wędrówki po Abisko, a wcześniej wdał się w piekielną awanturę z Forsellem.

– Aha – mruknęła. – Aha. – Tylko tyle. Odłożyła to, by wrócić do kamer monitoringu. Możliwe jednak, że jej palce prowadziły jakieś osobne życie, niezależne od niej. Bo pół godziny później zaczęła guglować Forsella i Everest, a potem ugrzęzła w lekturze niekończących się artykułów o kobiecie, która nazywała się Klara Engelman.

Stwierdziła, że Klara Engelman przypominała trochę Camille, jakby była pospolitszą wersją jej siostry; bił od niej podobny blask, miała ten sam oczywisty nawyk, żeby znajdować się w centrum zainteresowania. Lisbeth nie chciała się nią zajmować, miała co innego do roboty. A jednak czytała dalej, co prawda bez większego skupienia. Napisała do Plague'a w sprawie kamer, zadzwoniła do Pauliny, która nie odebrała, jednocześnie krok po kroku stworzyła

sobie obraz sytuacji, zwłaszcza wspinaczki Forsella.

Forsell i jego przyjaciel Svante Lindberg zdobyli szczyt o pierwszej po południu trzynastego maja 2008. Niebo było bezchmurne. Postali tam chwilę, podziwiając widok, porobili zdjęcia i zaraportowali do bazy. Ale krótko potem, na wąskim skalnym uskoku, tak zwanym Stopniu Hillary'ego, w drodze na Wierzchołek Południowy, zaczęli mieć problemy, a czas płynął.

O wpół do czwartej – gdy zeszli dopiero do tak zwanego Balkonu na wysokości ośmiu tysięcy pięciuset metrów – zaniepokoiili się, że zabraknie im tlenu i nie dotrą do obozu czwartego. Widoczność się pogorszyła i chociaż Forsell nie wiedział, co się dzieje niedaleko od nich, czuł, że wydarzyło się coś poważnego.

Komunikując się przez radio, wychwycił jakieś zrozpaczone głosy. Jednak, jak mówił później, w tym momencie był zbyt wyczerpany, aby zrozumieć sens słów. Posuwał się w dół, potykając się i ledwo trzymając się na nogach.

Krótko potem nad Everestem rozpięta się burza, zapanował jeden wielki, kotłujący się chaos. Skrajnie zimno, około minus sześćdziesięciu stopni, potwornie marzli, ledwo się orientując, gdzie góra, gdzie dół, nic więc dziwnego, że kiedy w końcu dotarli do namiotów na południowo-wschodnim zboczu, żaden nie był w stanie złożyć zbyt szczegółowego raportu.

Jeśli jednak w ogóle był jakiś przedział czasowy, gdy mogło stać się coś, co nie zostało dotąd ujawnione, musiało to nastąpić między dziewiętnastą a dwudziestą trzecią. Lisbeth dostrzegła też pewne – choć niezbyt duże – rozbieżności w sprawozdaniach, zwłaszcza co

do stanu Forsella.

Jakby jego kryzys przedstawiano potem w łagodniejszych barwach. Mimo to, jak sądziła, nie było w tym nic szczególnego, zwłaszcza w porównaniu z prawdziwym dramatem rozgrywającym się po południu w innym miejscu, gdzie umierali Klara Engelman i jej przewodnik Wiktor Grankin. Nic dziwnego, że powstały na ten temat niekończące się relacje. Dlaczego spośród wszystkich osób znajdujących się tego dnia na górze zginęła akurat ona, najbardziej prestiżowa klientka wyprawy? Dlaczego akurat ta najchętniej opisywana i wyszydzana?

Przez pewien czas mówiło się, że stały za tym zazdrość, nienawiść klasowa i mizoginia. Jednak gdy pierwsze emocje opadły, okazało się, że nie można mówić o braku prób ocalenia Klary Engelman i że od początku – od chwili, kiedy nagle upadła w śnieg – nie było dla niej ratunku. Drugi przewodnik, Robin Hamill, powiedział nawet: „Dla ratowania Klary nie uczyniono za mało, tylko wręcz za dużo. Dla Wiktora i jego wyprawy była tak ważna, że naraziliśmy na niebezpieczeństwo wiele innych osób”. Według Lisbeth brzmiało to rozsądnie.

Wartość marketingowa Klary Engelman była tak wielka, że nikt nie odważył się odesłać jej do bazy, gdy był jeszcze na to czas, kiedy wlokła się, opóźniając całą wyprawę. Bo gdy tuż przed pierwszą po południu w odruchu dziwnej desperacji zerwała maskę tlenową i dodatkowo się osłabiła, było już za późno.

Padła na kolana, a potem na twarz. Wybuchła panika, Wiktor Grankin, który tamtego dnia najwyraźniej też nie był sobą, krzyknął, żeby się zatrzymali, podjęto poważne wysiłki, żeby

sprowadzić ją na dół. Wkrótce nastąpiło załamanie pogody, uderzyła w nich burza śnieżna. Kilka osób z grupy – zwłaszcza Duńczyk Mads Larsen i Niemka Charlotte Richter – poczuło się bardzo źle, przez kilka godzin zanosilo się na to, że wyprawę czeka katastrofa na wielką skalę.

Szerpowie, głównie ich sirdar Nima Rita, pracowali ciężko, ściągając ludzi na linach albo prowadząc ich pod ręce. Kiedy nadszedł wieczór, wszyscy byli uratowani z wyjątkiem Klary Engelman i Wiktora Grankina, który odmówił opuszczenia jej, jak kapitan podejmujący decyzję, by zostać na swoim tonącym okręcie.

Dochodzenie było bardzo szczegółowe, wydawało się, że wszelkie wątpliwości zostały wyjaśnione. Jedyna nie do końca rozwiana – choć i tu zakładano, że powodem były huraganowe porywy wiatru – dotyczyła faktu, że ciało Klary Engelman znaleziono kilometr niżej, chociaż wszyscy świadkowie mówili, że ona i Wiktor Grankin umarli w śniegu razem, tuż obok siebie.

Lisbeth pomyślała o nich i o wielu innych zwłokach leżących na zboczach rok za rokiem, bo nie można ich ściągnąć, żeby pogrzebać, i podczas gdy mijały godziny, wczytywała się w relacje ze wszystkich stron, aż doszła do wniosku, że rzeczywiście coś się nie zgadza; wtedy postanowiła poczytać na temat wspomnianego przez Mikaela Matsa Sabina, ale i to zostawiła. Zaczęła przeglądać wątki plotkarskie, w głowie pojawiła się zupełnie nowa myśl, lecz w tym momencie musiała przerwać.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Wróciła Paulina – bardzo pijana – i zwymyślała ją od dziwolągów; Lisbeth nie pozostała jej dłużna. W końcu rzucili się na siebie, żeby się wściekle kochać we

wspólnym dla obu poczuciu desperacji i bezdomności.

ROZDZIAŁ 15

26 SIERPNIA

PRZED POŁUDNIEM Mikael przebiegł brzegiem zatoki całe dziesięć kilometrów, a gdy dotarł do swego domku, zadzwonił telefon. Była to Erika Berger. Następnego dnia miał pójść do druku kolejny numer „Millennium”, Erika nie była może całkiem zadowolona, ale też nie do końca niezadowolona.

– Wróciliśmy na zwykły poziom – powiedziała i spytała go, co robi.

Odparł, że ma urlop, trenuje bieganie i że zainteresował się ministrem obrony i trwającą na niego nagonką; Erika skomentowała, że to zabawne.

– Dlaczego zabawne? – spytał.

– Sofie Melker podjęła ten temat w swoim artykule.

– Co pisze?

– O atakach na dzieci Forsella, że policja musi patrolować okolice szkoły żydowskiej.

– Czytałem.

– Słuchaj...

Sądząc po jej tonie, przeczuwał, że zaraz zaproponuje mu temat na reportaż.

– Jeśli nadal nie chcesz ciągnąć sprawy krachu na giełdzie, to

może nakreśliłbyś sylwetkę Forsella ukazującą go od takiej bardziej ludzkiej strony. Pamiętam, że się dogadywaliście.

Mikael spojrzał na morze.

– Chyba tak.

– Czyli co? Mógłbyś czytelnikom pomóc w ustaleniu niektórych faktów.

Mikael przez chwilę milczał.

– Może i niezły pomysł – odezwał się w końcu.

Pomyślał o Szerpie i o Evereście.

– Właśnie przeczytałam, że Forsell wziął dodatkowy tydzień urlopu. Czy on przypadkiem nie ma letniego domu gdzieś niedaleko ciebie?

– Z drugiej strony wyspy.

– No właśnie.

– Zastanowię się.

– Kiedyś się nie zastanawiałeś, tylko działałeś i już.

– Ja też miewam urlop – podkreślił.

– Ty nigdy nie miewasz urlopu.

– Niby dlaczego?

– Poczucie winy sprawia, że jesteś starym pracoholikiem, który nie wie, co to urlop.

– Więc nawet nie warto próbować?

– Nie warto – zaśmiała się. Z pewnym przymusem też się zaśmiał i poczuł ulgę, że nie spytała, czy ma do niego przyjechać.

Nie chciał komplikować sobie relacji z Catrin, więc pożegnał się, życząc Erice wszystkiego dobrego, i zamyślił się, patrząc na wzburzone morze. Co ma robić? Udowodnić, że wie, co to urlop?

Czy popracować?

Doszedł do wniosku, że mógłby spotkać się z Forsellem, ale w takim razie powinien przebrnąć przez cały ten gnój, którym go obrzucano. Postękał i powzdychał, wziął prysznic i zabrał się do pracy; z początku wydało mu się to beznadziejne i obrzydliwe, jakby znalazł się w takim samym bagnie jak wtedy, gdy dokumentował fabryki trolli.

Potem zaczęło go to wciągać, włożył wiele wysiłku w to, żeby dotrzeć do pierwotnych źródeł wszystkich enuncjacji, a potem ustalił, jakimi drogami były rozpowszechniane i przeinaczane. Znow zaczął zbliżać się do wydarzeń na Evereście, gdy zadzwonił telefon; tym razem nie była to Erika, tylko Bob Carson z Denver.

Był wyraźnie podniecony.

CHARLIE NILSSON siedział na ławce przed Prima Maria, przychodnią dla uzależnionych – albo, jak ją nazywał, Suszarnią – i marszczył czoło. Nie lubił gadać z policją, zwłaszcza na oczach kumpli. Ale ta kobieta, nazywała się Modig czy Stark⁴, nastraszyła go, a on nie chciał mieć kłopotów.

– Pani da spokój – odezwał się. – Nigdy bym nie sprzedał lewej flaszki.

– Nie sprzedałbyś? Każdej próbujesz?

– Pani żartuje.

– Ja żartuję? Nie masz pojęcia, jak bardzo nie żartuję.

– Pani przestanie – spróbował. – Przecież każdy mógł mu sprzedać zatrutą wodę, prawda? Wiesz pani, jak mówią na to miejsce?

– Nie, Charlie, nie wiem.

– Trójkąt Bermudzki. Ludzie chodzą od Suszarni i monopolowego do tamtej budy z piwem i nagle znikają.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że tu się robi całą masę podejrzanych interesów, kręcą się jakieś dziwne typy, opylają lipne narkotyki i podejrzane prochy. Nas, którzy prowadzimy poważny interes, stercząc tu w pogodę i niepogodę, noc w noc, nigdy by nie było stać na taki towar. Nasz musi być czysty, żebyśmy następnego dnia mogli za niego odpowiadać, inaczej koniec z nami.

– Nie wierzę ci ani trochę – powiedziała Modig albo Stark. – Nie wierzę, że jesteście tacy wymagający, i chciałabym zauważyć, że kiepsko teraz stoisz. Widzisz tamtych panów w policyjnych mundurach?

Charlie widział ich. Cały czas widział i czuł na sobie ich złe spojrzenia.

– Zgarniemy cię, jeśli zaraz nie powiesz, co wiesz. Mówiłeś, że sprzedałeś mu wódę – ciągnęła Modig, a może Stark.

– Sprzedałem. Ale trzymałem się od niego jak najdalej, bo wydawał się jakiś obrzydliwy.

– W jakim sensie?

– Miał coś takiego w oczach, zamiast palców kikuty i obrzydliwą plamę na twarzy, w dodatku mamrotał i bredził coś o księżycu. Luna, luna, mówił. To księżyc, tak?

– Chyba tak.

– Przynajmniej raz tak powiedział. Przywłókł się od strony Krukmarkargatan, kulał, walnął się dłonią w pierś i powiedział, że

Luna jest sama i go wzywa, ona i jakiś Mam Sabib, cholera wie, więc się wystraszyłem. Miał totalnego schiza, więc mu dałem, co sobie życzył, chociaż nie miał tyle pieniędzy co trzeba, i wcale się nie zdziwiłem, że się potem pobił.

– Pobił się?

O kurwa, pomyślał Charlie Nilsson. Obiecał, że nic nie powie. No trudno, niech się dzieje, co chce.

– Ale nie ze mną.

– A z kim?

– Z Heikkim Järvinenem.

– A to kto?

– Tak się składa, że jeden z moich lepszych klientów. Heikki nadział się na niego na Norra Bantorget w samym środku nocy. To na pewno był on, bo Heikki mówił, że był mały Chińczyk bez palców, w wielkiej kurtce puchowej. Bredził coś, że był w chmurach czy gdzieś, a kiedy Heikki powiedział, że nie wierzy, dostał taką fangę, że mu zadzwoniło w uszach. Mówił, że ten Chinol był silny jak niedźwiedź.

– Gdzie znajdziemy Heikkiego Järvinena?

– Z nim to nigdy nie wiadomo.

Policjantka, Modig czy może Stark, notowała, kiwając głową, trochę go jeszcze przycisnęła. Potem poszła, a Charlie Nilsson westchnął z ulgą. Przecież domyślał się, że ten Chińczyk to jakiś podejrzany, więc szybko zadzwonił do Järvinena, zanim go dopadnie policja.

MIKAEL OD RAZU usłyszał zmianę w głosie Boba Carsona,

jakby był niewyspany albo miał początki przeziębienia.

– U ciebie jest chyba cywilizowana pora dnia, prawda? – spytał Amerykanin.

– Jak najbardziej.

– A tutaj nie. Mam wrażenie, że mi zaraz czaszka pęknie. Pamiętasz, mówiłem ci, że miałem krewniaka wśród uczestników wyprawy na górę w dwa tysiące ósmym roku?

– Pamiętam.

– I pamiętasz, że mówiłem, że nie żyje.

– Oczywiście.

– Tak było. W każdym razie tak przypuszczano. Ale może lepiej zacznę od początku.

– Rzeczywiście.

– Zadzwoiłem do mojego stryja w Khumbu. On jest tam kimś w rodzaju centrali informacyjnej, więc we dwóch przerobiliśmy listę, którą mi przysłałeś. No i jedynym krewniakiem, którego na niej znaleźliśmy, był ten gość, więc od razu chciałem zrezygnować. Skoro nie żyje, to nie żyje, nie mógł pojawić się w Sztokholmie i umrzeć ponownie. Ale okazało się, że jego ciała nigdy nie odnaleziono. Wtedy przyjrzałem się jego opisowi i stwierdziłem, że zgadza się wiek i wzrost.

– Jak się nazywał?

– Nima Rita.

– Był jednym z liderów, czy tak?

– Był sirdarem, szefem grupy szerpów, i tym, który najbardziej się zasłużył tamtego dnia.

– Wiem, wiem, uratował Madsa Larsena i Charlotte jak jej tam.

– Dzięki niemu nie doszło do totalnej katastrofy. Ale zapłacił za to wysoką cenę. Jak wyrobnik pędził w górę i w dół, nabawił się ciężkich odmrożeń na twarzy i na piersi. Amputowali mu większość palców u rąk i nóg.

– Więc sądzisz, że to naprawdę on?

– To musi być on. Na nadgarstku miał wytatuowane buddyjskie koło życia.

– Boże jedyny.

– Właśnie, czyli wszystko się zgadza. Nima Rita był moim – jak mówią – bratem stryjeczno-stryjecznym, więc to by się zgadzało, że u nas obu wystąpiła ta szczególna mutacja chromosomu Y, którą odkryła twoja uczona koleżanka.

– A możesz wyjaśnić, jak znalazł się w Szwecji?

– Nie mogę, za to znam dalszy ciąg historii po wydarzeniach na Evereście.

– Opowiadaj. Nie zdążyłem stworzyć sobie całościowego obrazu wydarzeń.

– Zaczniemy od tego, że chwała za akcję ratunkową, a po śmierci Klary Engelman i Grankina raczej resztki chwały, przypadła asystentom głównego przewodnika, Robertowi Hamillowi i Martinowi Norrisowi – ciągnął Bob Carson. – Jednak po ukazaniu się dłuższych relacji stało się jasne, że decydującą rolę tak naprawdę odegrali Nima Rita i jego szerpowie. Chociaż nie jestem pewien, czy Nima odczuwał z tego powodu szczególną satysfakcję.

– Dlaczego?

– Przeżywał piekło. Miał odmrożenia czwartego stopnia, potwornie bolesne, a lekarze zwlekali do końca z amputacją.

Wiedzieli, że utrzymuje się wyłącznie ze wspinaczki. Wprawdzie Nima Rita dużo zarobił, ale dużo jak na mieszkańca doliny Khumbu, a mało jak na Europejczyka, co gorsza trwonił pieniądze. Pił, a oszczędności nie miał. Najgorsze, że obmawiali go za plecami, w dodatku dręczyły go własne demony.

– Jak to?

– Okazało się, że w tajemnicy dostał pieniądze od Stana Engelmana, żeby specjalnie czuwał nad Klarą, co niestety mu się nie udało, a po jej śmierci jeszcze go oskarżali, że ją sekował. Nie wierzę w to. Nima był bardzo lojalny. Ale jak wielu Szerpów był przesądny, Everest postrzegał jako żywą istotę, która karze wspinaczy za ich grzechy, a Klara Engelman... pewnie czytałeś o niej?

– Czytałem, co o niej wtedy pisali.

– Drażniła wielu Szerpów. Już w pierwszym obozie szeptali, że na górze ściągnie na nich nieszczęście, Nimę na pewno też drażniła. W każdym razie potem robił sobie potworne wyrzuty. Podobno miał halucynacje, być może częściowo na podłożu neurologicznym. Na skutek częstego przebywania powyżej ośmiu tysięcy metrów miał zmiany w mózgu, był coraz bardziej rozgoryczony i dziwny. Stracił wielu przyjaciół. Nikt nie mógł z nim wytrzymać. Nikt poza jego żoną Luną.

– Luna Rita, jak się domyślam. Gdzie jest teraz?

– Właśnie o to chodzi. Luna utrzymywała go po jego operacjach. Piekła chleb, uprawiała ziemniaki, czasem chodziła do Tybetu kupować tam wełnę i sól, a potem sprzedawała w Nepalu. Jednak nie starczało im na życie, więc zaczęła się wspinąć. Była dużo

młodsza od Nimy, silna, szybko awansowała z podkuchennej na wspinającą się Szerpani. W dwa tysiące trzynastym roku pracowała przy holenderskiej wyprawie na Czo Oju, szósty szczyt ziemi, gdzie na dużej wysokości wpadła w szczelinę. Warunki były złe, zeszła lawina i mocno wiało, wspinacze musieli pospiesznie zejść w dół. Zostawili Lunę w tej szczelinie na pewną śmierć. Nima szalał z rozpaczy, dopatrzył się w tym rasizmu. Wykrzykiwał, że gdyby chodziło o Sahiba, od razu by go wyciągnęli.

– A chodziło o ubogą kobietę z miejscowej ludności.

– Nie mam pojęcia, czy miało to jakieś znaczenie, ale wątpię. Bardzo cenię osoby z kręgów wspinaczy. Niemniej Nimie nie dawało to spokoju, próbował zorganizować wyprawę, która by sprawiła jej godny pogrzeb. Nikt nie chciał, więc w końcu poszedł sam, mimo że był na to za stary i przypuszczalnie niezbyt trzeźwy.

– O Boże.

– Dla moich krewniaków z Khumbu ze wszystkich jego wspinaczek na Everest właśnie ta była naprawdę wielka. Dotarł do szczeliny, gdzie zobaczył Lunę, zachowaną na wieki przez mróz, i postanowił zejść do niej, położyć się obok, żeby znów być razem z nią. Ale wtedy...

– Tak?

– Bogini gór szepnęła mu, żeby poszedł w świat i opowiedział tę historię.

– To brzmi jak...

– ...szaleństwo, owszem – ciągnął Bob Carson. – Rzeczywiście poszedł w świat, a w każdym razie do Katmandu, ale nikt nie rozumiał jego opowieści. Mówił coraz bardziej nieskładnie, czasem

ludzie widzieli, jak płakał pod flagami nad stupą świątyni Bodnath. W dzielnicy handlowej rozlepił czasem kartki zapisane kiepską angielszczyzną i jeszcze gorszym charakterem pisma. I ciągle mówił o Klarze Engelman.

– Co mówił?

– W tamtym okresie był już ciężko chory psychicznie, nie zapominaj o tym. Możliwe, że wszystko mu się pomieszało, Luna z Klarą i całą resztą. Całkiem odjechał, a kiedy zaatakował angielskiego turystę i spędził dzień w areszcie, krewni umieścili go w szpitalu psychiatrycznym Jeetjung Marg w Katmandu. Było to pod koniec września dwa tysiące siedemnastego.

– I co dalej?

– To, co wiele razy wcześniej. Urwał się, żeby pić. Podobno odnosił się bardzo nieufnie do podawanych mu leków, mówił, że jedynie alkohol jest w stanie zagłuszyć krzyki w jego głowie, podejrzewam też, że personel godził się na to dla świętego spokoju. Pozwalali mu na ucieczki, bo zawsze wracał. Ale pewnego razu nie wrócił, wtedy się zaniepokoiili. Wiedzieli, że ktoś miał go odwiedzić, bo go to wprawilo w ogromne podniecenie.

– Kto miał go odwiedzić?

– Nie wiem. Niewykluczone, że jakiś dziennikarz. Z okazji zbliżającej się dziesiątej rocznicy śmierci Klary Engelman i Wiktora Grankina w mediach przygotowywano trochę artykułów i filmów dokumentalnych. Podobno Nima bardzo się ucieszył, że ktoś go wreszcie wysłucha.

– Ale nie wiesz, co zamierzał powiedzieć?

– Tylko tyle, że było to strasznie zagmatwane i dużo o duchach.

– Było coś o Forsellu, naszym ministrze obrony?

– Z tego, co wiem, to nie. Mam tylko informacje z drugiej ręki i nie sądzę, żeby szpital chciał udostępnić jego dokumentację.

– I co się stało, kiedy nie wrócił?

– Oczywiście szukali go, przede wszystkim w miejscach, które zwykle odwiedzał, ale nie znaleźli nawet śladu. Ktoś twierdził, że widział jego zwłoki niedaleko rzeki Bagmati, gdzie się kremuje zmarłych, jednak niczego nie znaleziono i po roku czy dwóch sprawę umorzono. Już nie było nadziei, krewni zorganizowali w Namcze Bazar niewielką uroczystość ku jego pamięci, czy raczej... jak by to powiedzieć?... modły. Podobno było pięknie. W ostatnich latach miał złą opinię, ale wtedy został nieco zrehabilitowany. Nima Rita wszedł jedenaście razy na szczyt Everestu, bez tlenu, a jego wspinaczka na Czo Oju...

Bob Carson, bardzo podniecony, opowiadał dalej. Mikael nie słuchał już zbyt uważnie. Wyguglował Nimeę; było tego dość sporo, również w angielskiej i niemieckiej Wikipedii, ale znalazł tylko dwa zdjęcia. Na jednym z 2001 roku Nima Rita stał obok wybitnego austriackiego wspinacza Hansa Mosela po zdobyciu Everestu od strony północnej. Na drugim, z późniejszego okresu, stał odwrócony profilem przed kamiennym domem we wsi Pangbocze w dolinie Khumbu; podobnie jak pierwsze zdjęcie, także to było zrobione ze zbyt dużej odległości – na pewno zbyt dużej dla programu do rozpoznawania twarzy. Jednak Mikael nie miał żadnych wątpliwości. Rozpoznał go po oczach, włosach i po czarnej plamie na twarzy.

– Jesteś tam? – odezwał się Bob Carson.

– Tak, tak, tylko jestem nieco zszokowany.

– Rozumiem. Niezła zagadka ci się przytrafiła.

– Można tak powiedzieć. Ale wiesz, Bob, szczerze mówiąc...

– Tak?

– Przekonałem się, że rzeczywiście macz supergeny. Jesteś fantastyczny.

– Supergen dotyczy wspinania się na dużych wysokościach, a nie pracy detektywa.

– Myślę, że powinieneś się zbadać również pod kątem genu detektywa.

Bob Carson zaśmiał się, słysząc było, że jest zmęczony.

– Czy mogę cię prosić, żebyś na razie nie mówił o tym nikomu?

– ciągnął Mikael. – Byłoby niedobrze, gdyby to się rozeszło, zanim wyjaśnimy więcej.

– Powiedziałem już mojej żonie.

– W takim razie zatrzymajcie to dla siebie.

– Obiecuję.

Mikael napisał jeszcze do Fredriki Nyman i Jana Bublanskiego o tym, czego się dowiedział. Następnie poczytał o Forsellu, a późnym popołudniem zadzwonił do niego, licząc na wywiad.

JOHANNES NAPALIŁ w kominku. Rebecka poczuła zapach aż w kuchni, słyszała też, jak chodził po pokoju. Bardzo jej się to nie podobało, denerwowała się z powodu jego milczenia i dziwnego błysku w oczach. Zrobiłaby wszystko, żeby znów się uśmiechał.

Coś jest nie tak, pomyślała. Już chciała pójść do niego na górę i domagać się, żeby z nią porozmawiał, kiedy zszedł po krętych

schodach. W pierwszej chwili się ucieszyła. Ubrał się w strój i buty do biegania, jakby wróciła mu chęć do życia. Jednak w jego postawie było coś nowego, co ją przestraszyło; podeszła do niego i pogłaskała go po policzku.

– Kocham cię – powiedziała.

Spojrzał na nią z taką rozpaczą, że aż się wzdrygnęła, jego odpowiedź też jej nie uspokoiła.

– To ja ciebie kocham.

Zabrzmiało to jak pożegnanie, zaczęła go całować. Odsunął ją i spytał, gdzie są ochroniarze. Wstrzymała się na chwilę z odpowiedzią. Na posesji znajdowały się dwie altanki, ochroniarze siedzieli w zachodniej, bliżej zatoki. Jak zwykle muszą się przebrać i pobiec razem z nim i jak zwykle będzie im trudno dotrzymać mu kroku. Czasem truchtał tylko, żeby ich zanadto nie zmęczyć.

– W zachodniej – odparła. Wtedy się zawahał.

Wydawało się, jakby chciał jej coś powiedzieć; uniosła mu się klatka piersiowa i spiął ramiona, a na szyi pojawiły się czerwone plamy, czego nigdy u niego nie widziała.

– O co chodzi? – spytała.

– Chciałem napisać do ciebie list, ale mi się nie udało.

– Na litość boską, po co miałbyś do mnie pisać list? Przecież stoję przed tobą.

– Ale ja...

– ...ale co?

Poczuła, że zaraz się rozsypie, ale postanowiła się nie poddawać, dopóki mąż nie powie jej, co się dzieje. Chwyciła go za rękę i spojrzała mu w oczy. Wtedy stało się najgorsze.

Wyrwał się, powiedział „przepraszam” i pobiegł, ale nie w stronę altany z ochroniarzami, tylko do lasu, i w jednej chwili zniknął. Zaczęła rozpaczliwie krzyczeć, a gdy ochroniarze wpadli do domu, wykrztusiła:

– Uciekł ode mnie, uciekł ode mnie.

ROZDZIAŁ 16

26 SIERPNIA

JOHANNES FORSELL biegł szybko, pulsowało mu w skroniach, a w myślach przesuwał się film z całego życia. Nawet najszcześniejsze wspomnienia nie wnosiły choćby odrobiny światła. Starał się myśleć o żonie i synach, ale wtedy widział tylko ich oczy, w których czytał rozczarowanie i wstyd, a kiedy z oddali, jakby z innego świata, słyszał ptaki, nie rozumiał, jak można śpiewać i chcieć żyć.

Cały jego świat pogrzyżył się w mroku i beznadziei. A przecież nie do końca wiedział, czego chce. Gdyby był w mieście, może rzuciłby się pod ciężarówkę albo pociąg metra. A tu była tylko woda. Zdawał sobie sprawę, że jest zbyt dobrym pływakiem i że mimo rozpaczki ma w sobie nieokiełznaną chęć życia, której być może nie będzie umiał odciąć.

Dlatego teraz nie biegł tak jak zwykle, ale tak, jakby chciał uciec od życia. Dlaczego tak się stało? Nie potrafił tego zrozumieć. Do tej pory był przekonany, że wszystko może. Że ma niespożyte siły. A jednak popełnił błąd i został wplątany w coś, z czym nie da się żyć. To prawda, że początkowo był gotów oddać im zawiązkę, walczyć z nimi. Ale go dopadli. Wiedzieli, że go mają, i oto jest. Nad nim fruwały ptaki, kawałek przed nim uskoczyła przestraszona

sarna. *Nima, Nima*. Ze wszystkich ludzi akurat on. Nie było w tym żadnej logiki.

Kochał Nimeę, chociaż „kochał” to niewłaściwe słowo, jednak... istniała między nimi więź, swoiste przymierze. To Nima pierwszy zorientował się, że Johannes nocami zakrada się do namiotu Rebecki w bazie, i bardzo go to zaniepokoiło. Jego bogini na Evereście będzie urażona, że na jej boskich zboczach ktoś uprawia seks.

Makes mountain very angry – mówił, a Johannes nie mógł się powstrzymać, aby z niego nie żartować, i choć wszyscy go ostrzegali – „z tego człowieka nie można żartować” – to Nima śmiał się, a sytuację przypuszczalnie ratował fakt, że i Rebecka, i Johannes byli singlami.

Gorzej z Wiktorem i Klarą, każde z nich było w związku. Gorzej pod każdym względem; i wtedy przypomniał sobie Lunę, odważną i cudowną Lunę, która czasem przynosiła rano świeży chleb, kozi ser i masło z mleka jaków, więc chciał im pomóc i pewnie od tego się zaczęło. Dawał im pieniądze – jakby spłacał dług, o którego istnieniu jeszcze nie wiedział.

Trudno, niech będzie, co ma być. Pędził przed siebie ku morzu, na plaży zrzucił buty i ubranie, potem brnął przez wodę, wreszcie zaczął płynąć, ale tak samo jak wcześniej biegł, czyli gwałtownie i wściekle, jakby finiszował w biegu na setkę; wkrótce zorientował się, że na falach pojawiły się grzywy, a dalej od brzegu jest zimniej, niż myślał, i są prądy podwodne. Ale zamiast zwolnić tempo, jeszcze przyspieszył.

Popłynie i zapomni o wszystkim.

OCHRONIARZE ZADZWONILI po posiłki. Rebecka, nie wiedząc, co robić, poszła na piętro do gabinetu Johannesesa. Może liczyła, że zrozumie, co się dzieje. Jednak nie dostrzegła niczego, co mogłoby dać jej jakąś wskazówkę, poza śladami w postaci spalonych papierów w kominku; uderzyła dłonią w blat biurka i wtedy tuż obok coś zabrzęczało, pomyślała nawet, że sama to wywołała.

Komórka Johannesesa. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Mikael Blomkvist, niech dzwoni. Dziennikarze to ostatni ludzie, z którymi chciałaby rozmawiać. Zatruli im życie. Chciało jej się krzyczeć i płakać: *Wracaj, głupku. Przecież cię kochamy*. Nie potrafiłaby powiedzieć, co się działo dalej. Być może ugięły się pod nią nogi.

Nagle okazało się, że siedzi na podłodze i modli się – choć od dzieciństwa tego nie robiła – wtedy komórka znów zabrzęczała; Rebecka wstała na chwiejących się nogach i zobaczyła, że to znowu Blomkvist. Czy on ich przypadkiem nie bronił? Chyba tak, może on coś wie. Nie jest to wykluczone, prawda, więc odruchowo odebrała i zdając sobie sprawę, że w jej głosie słyhać rozpacz, powiedziała:

– Telefon Johannesesa Forsella, mówi Rebecka.

MIKAEL OD RAZU zrozumiał, że coś złego się stało, chociaż nie umiał ocenić skali wydarzenia. Mogło chodzić o kłótnię małżeńską, cokolwiek. Spytał więc ostrożnie:

– Może przeszkadzam?

– Tak... chociaż nie.

Domyślił się, że jest kompletnie roztrzęsiona.

– Może zadzwonić później?

– On uciekł! – krzyknęła. – Po prostu uciekł przed ochroniarzami. Co tu się dzieje?

– Jesteście teraz na Sandön?

– Co... tak – mruknęła.

– Jak pani myśli, co się stało?

– Potwornie się boję, że coś sobie zrobi – odparła.

Wtedy powiedział kilka pocieszających słów, że na pewno wszystko się ułoży.

Pobiegł do swojej motorówki zacumowanej przy pomoście i ruszył. Łódka nie płynęła zbyt szybko. Sandön ma pięćdziesiąt cztery hektary powierzchni, a ich dom znajdował się spory kawałek od jego domu. Dopłynięcie zabierze sporo czasu. Łódka była mała i niepewna, tymczasem wiało mocno, woda pryskała mu na twarz. Mikael zaklął pod nosem. Co on wyprawia? Sam nie bardzo wiedział. Ale tak właśnie zachowywał się w momentach kryzysowych. Działał. Przyspieszył, wkrótce usłyszał lecący helikopter.

Założył, że ma to związek z Forsellem, i pomyślał o jego żonie. Jakby mówiła do wszystkich i do nikogo: *Co tu się dzieje?* W jej głosie dosłyszał przejmujący lęk. Spojrzał na wodę. Wiatr wiał mu w plecy, to dobrze, zbliżał się teraz do południowej części wyspy. Z naprzeciwka, nie zachowując należytej ostrożności, nadpłynęła łódź wyścigowa, fale przyboju rzucały jego motorówką na wszystkie strony. Starał się nie złościć, nie wymyślać tamtemu od smarkaczy napakowanych hormonami.

Dodał gazu i cały czas się rozglądał, na brzegu nie było zbyt dużo ludzi. Chyba nikt nie pływał. Już się zastanawiał, czy gdzieś przycumować i szukać w lesie, kiedy daleko przed sobą zobaczył kropkę, która to wynurzała się z fal, to w nich znikła, więc skierował się w tamtą stronę, krzyząc:

– Halo, czekaj!

WIATR ZAGŁUSZYŁ wołanie, Johannes Forsell znajdował się we własnym świecie. Potworny wysiłek mięśni, początki skurczu w ramionach odbierał niemal jak wyzwolenie. Skupił się na tym, by przeć naprzód do momentu, gdy będzie mógł odpuścić, zagłębić się w wodzie, uwalniając od życia. A jednak nie było to łatwe. Nie chciał żyć, ale nie był pewien, czy znaczy to, że chce umrzeć. Po prostu znikła nadzieja. Został tylko wstyd i głuchy gniew, siła wyłącznie implodująca, jak miecz skierowany w siebie, już nie miał siły. Nie mógł tego wytrzymać.

Pomyślał o synach, Samuelu i Jonatanie, wtedy już wyraźnie poczuł, że nie do zniesienia jest i jedno, i drugie. Jego śmierć będzie dla nich bolesnym zawodem. Życie również, gdy ujrzą jego hańbę. Dlatego wciąż płynął, jakby morze mogło udzielić mu odpowiedzi. Z góry dobiegł go warkot helikoptera, zachłysnął się. Myślał, że od zalewającej go fali, ale to siły zaczęły go opuszczać.

Z trudem utrzymywał się na powierzchni, zaczął płynąć żabką. Niewiele mu to pomogło. Nogi ciążyły i nagle, sam nie wiedział, jak to się stało, znalazł się pod wodą. Nie mógł się wynurzyć, poczuł paniczny strach, zaczął młócić rękami i wtedy poczuł z całą wyrazistością: że nawet jeśli chciał umrzeć, to nie w ten sposób.

Wydostał się na powierzchnię, złapał oddech i zawrócił w stronę brzegu, płynąc pięć, może dziesięć metrów naprzód.

Ale znów zaczął opadać na dno, wtedy na dobre ogarnął go strach. Wstrzymał oddech. Jednak dłużej się nie dało. Łykał coraz więcej wody, dopadło go to, co lekarze nazywają odruchowym skurczem krtani. W ogóle nie oddychał. Ciało ochraniało go, dopóki się dało, ale w galopującym lęku przed śmiercią zaczął – co było nieuniknione – hiperwentylować, wciągając wodę do płuc i żołądka.

Pierś i głowę rozsadzał mu ból i strach, tracił przytomność, by ją zaraz odzyskać. Jednak opadał już na dno, myśląc – na ile jeszcze myślał – o rodzinie, o wszystkim i niczym; jego wargi wypowiedziały „przepraszam”, a może „pomocy”, nie wiadomo.

GŁOWA WŚRÓD fal zniknęła, potem znów się wynurzyła, Mikael krzyknął: „Czekaj, już płynę!”. Jednak jego motorówka była zbyt wolna i kiedy znów spojrzał, widział już tylko wodę, nurkującą mewę, a w oddali błękitną żaglówkę. Starał się uzmysłwić sobie, gdzie widział ostatnio tę głowę. To mogło być tam... albo tam. Pozostawało zaryzykować i mieć nadzieję. Wyłączył silnik i uważnie wpatrywał się w wodę. Była mętna, wiedział dlaczego, wskutek deszczu, kwitnienia alg i od chemikaliów, jak również drobin próchnicy; machnął ręką do znajdującego się nad nim helikoptera – chociaż nie miał pojęcia, z jakim skutkiem. Zdjął buty i skarpetki, przez moment stał w motorówce, która mocno kołysała się na wietrze. Wreszcie wskoczył.

Było zimniej, niż się spodziewał; zanurkował pod wodę

i rozejrzał się, ale kompletnie nic nie widział. To bez sensu. Po minucie wynurzył się, aby nabrać powietrza, i zorientował się, że jego motorówka zdążyła odpłynąć spory kawałek. Trudno. Znowż zanurkował, teraz w przeciwną stronę, i nieco dalej zobaczył ciało bez życia, opadające na dno jak podcięta kolumna, podpłynął więc i chwycił je pod ramiona. Było ciężkie jak ołów. Mikael wyteżył wszystkie siły i pracując nogami, powoli, centymetr po centymetrze wynurzył się razem z nim. I tu popełnił błąd psychologiczny.

Myślał, że skoro tylko wypłyną na powierzchnię, będzie łatwiej. Miał jednak wrażenie, jakby dźwigał kłodę. Tamten był w złym stanie i równie ciężki jak przedtem. Nie wykazywał żadnych oznak życia, a Mikael znowż zdał sobie sprawę, że do brzegu jest daleko i nie da rady go dociągnąć. A jednak się starał. Dawno temu, w młodości, uczył się ratownictwa, więc cały czas usiłował zmieniać technikę i chwycić go mocniej.

Tamten stawał się tylko coraz cięższy. Mikael daremnie się szarpał, sam się zachłysnął, poczuł skurcze w mięśniach. Dłużej tak się nie da. Będzie musiał go puścić, inaczej sam pójdzie pod wodę, w jednej sekundzie chciał dać za wygraną, w następnej zmieniał zdanie. Zmagał się, aż mu pociemniało przed oczami.

ROZDZIAŁ 17

26 SIERPANIA

JAN BUBLANSKI tkwił w swoim gabinecie w komendzie policji, surfując po portalach informacyjnych. Minister obrony Johannes Forsell leżał nieprzytomny na oddziale intensywnej terapii szpitala Karolinska. O mało nie utonął, jego stan był wciąż krytyczny. Nawet jeśli odzyska przytomność, istnieje ryzyko poważnego uszkodzenia mózgu. Podobno miał zatrzymanie akcji serca, obrzęk płuc i hipotermię, arytmie i porażenie mózgowe. Nie wyglądało to dobrze.

Nawet poważne media podały, że mogła to być próba samobójcza, czyli przeciek musiał pochodzić od kogoś z najbliższego otoczenia. Wiadomo było powszechnie, że Forsell był znakomitym pływakiem, w innej sytuacji można by uznać, że przecenił swoje siły, wypływając za daleko, a tam go pociągnęły zimne prądy podwodne. Trudno powiedzieć. Media informowały, że został uratowany przez jakąś prywatną osobę, następnie podjęty przez łódź straży przybrzeżnej i przetransportowany śmigłowcem do szpitala.

Pod tymi informacjami znajdowały się artykuły przypominające nekrologi, sławiące Forsella jako „silnego, zdecydowanego ministra, reprezentującego podstawowe ludzkie wartości”. Autorzy

pisali, że „walczył z nietolerancją i niszczycielskim nacjonalizmem”, był „niepoprawnym optymistą, który zawsze poszukiwał rozwiązań opartych na porozumieniu”. Wspomnieli również, że stał się celem „głęboko niesprawiedliwej kampanii nienawiści”, której ślady prowadzą do fabryk trolli w Rosji.

– Teraz to mówią – mruknął Bublanski, pokiwał głową i zatopił się w komentarzu Catrin Lindås w „Svenska Dagbladet”. Pisała, że to oczywisty skutek „klimatu społecznego, który sprzyja hejtowi i demonizowaniu ludzi”.

Zwrócił się do Sonji Modig, która siedziała na podniszczonym fotelu obok, z otwartym laptopem na kolanach.

– No – odezwał się. – Uzyskaliśmy jakąś jasność w tej historii?

Sonja podniosła wzrok nieco zdezorientowana.

– Nie mogłabym tego powiedzieć. Wciąż nie znaleźliśmy Heikkiego Järvinena. Ale właśnie rozmawiałam z osobą z personelu lekarskiego szpitala psychiatrycznego w Katmandu, w którym przebywał Nima Rita, o czym wspomniał Blomkvist.

– I co ci powiedział?

– To kobieta. Powiedziała, że Nima Rita cierpiał na ciężką psychozę, często słyszał głosy i wołania o pomoc. Rozpaczał, że nie może na to nic poradzić. Według niej sprawiał wrażenie, jakby wciąż na nowo coś przeżywał.

– Co takiego?

– Doświadczenia z gór, z chwil, kiedy uważał, że zawiódł. Mówiła, że próbowali terapii lekowej i elektrowstrząsów, ale było ciężko.

– Pytałaś, czy wymienił nazwisko Forsella?

– Powiedziała, że je rozpoznaje, tylko tyle. Przeważnie mówił o żonie i o Stanie Engelmanie. Bał się go. Według niej było to bardzo wyraźne i wydaje mi się, że powinniśmy to sprawdzić. Jak się zdążyłam zorientować, Engelman jest człowiekiem pozbawionym skrupułów. Przede wszystkim jednak dowiedziałam się innej ciekawej rzeczy.

– Czego?

– Po dramacie na Evereście w dwa tysiące ósmym wszyscy dziennikarze chcieli rozmawiać z Nimą. Potem zainteresowanie nim opadło. Dowiedzieli się, że Nima jest chory, że pomieszało mu się w głowie, i coraz bardziej popadał w zapomnienie. Przed dziesiątą rocznicą katastrofy odezwała się do niego dziennikarka magazynu „The Atlantic”, niejaka Lilian Henderson, która właśnie pisała książkę o tych wydarzeniach. Rozmawiała z nim przez telefon.

– Czego się dowiedziała?

– Z tego, co wiem, właściwie niczego. Niemniej umówili się, że się spotkają, ponieważ wybierała się do Nepalu na dokumentację. Ale kiedy tam dotarła, jego już nie było, ostatecznie książka nie powstała. Wydawnictwo przestraszyło się pozwów sądowych.

– Czyich?

– Engelmana.

– A czego on się bał?

– Właśnie tego, moim zdaniem, powinniśmy się dowiedzieć.

– Czy mamy pewność, że żebrak i Nima Rita to jedna i ta sama osoba? – ciągnął Bublanski.

– Uważam, że tak. Za dużo rzeczy się zgadza, podobieństwo jest

ewidentne.

– Jak się tego dowiedział Mikael Blomkvist?

– Wiem tylko tyle, co ci napisał. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbiera i nie wiadomo, gdzie się znajduje, nawet Erika Berger tego nie wie. Powiedziała mi, że się o niego martwi. Proponowała mu, żeby napisał coś w rodzaju sylwetki Forsella, ale po wypadku wydzwaniała do niego bez skutku.

– Czy on przypadkiem też nie ma letniego domku na Sandön? – spytał Bublanski.

– Owszem, w Sandhamn.

– A może MUST albo Säpo położyły na nim łapę? Wokół tego wydarzenia jest strasznie dużo tajemniczości.

– Istotnie. Poinformowaliśmy dowództwo armii, ale w zamian niczego nie dostajemy.

– Słabo.

– Zresztą nie wiemy, czy Mikael powiedział nam wszystko. Może wykrył jakiś związek między Szerpą a Forsellem.

– Nie uważasz, że cała ta historia jest bardzo nieprzyjemna? – zauważył Bublanski.

– W jakim sensie?

– Forsell krytykuje Rosję i oskarża ją o ingerencję w szwedzkie wybory, nagle staje się obiektem powszechnej nienawiści, rozsiewane są kłamstwa na jego temat, co doprowadza go do rozpaczy. Ni stąd, ni zowąd pojawia się martwy Szerpa, którego śmierć wskazuje prosto na niego. Odnoszę wrażenie, że ktoś chce go zrobić.

– Niezbyt ładnie to wygląda, kiedy tak to ujmujesz.

– Rzeczywiście – przyznał. – Nadal nie wiadomo, w jaki sposób żebrak dostał się do Szwecji.

– Właśnie otrzymałam informację z Urzędu Migracyjnego, że nie figuruje w żadnym z ich rejestrów.

– Dziwne.

– Powinien był się pojawić w naszych bazach danych.

– Może i tu wywiad maczał palce – mruknął.

– Nie zdziwiłabym się.

– Z żoną Forsella też nie możemy rozmawiać?

Sonja Modig pokręciła głową.

– Wkrótce musimy ją przesłuchać, na pewno zdają sobie z tego sprawę. Nie mogą utrudniać nam pracy – ciągnął.

– Niestety chyba uważają, że mogą.

– Mają pietra?

– Odnoszę takie wrażenie.

– Cóż. Trzeba zaakceptować sytuację, jaka jest, a pociągnąć wątki, które już mamy.

– Tak jest.

– Co za bajzel. – Bublanski nie mógł się powstrzymać i znów spojrzał na portale informacyjne.

Stan Johanna Forsella był nadal krytyczny.

THOMAS MÜLLER późno wrócił z pracy. Z lodówki wziął sobie piwo i zauważył, że blat jest brudny, a naczynia ze śniadania nie zostały wstawione do zmywarki; zaklął głośno i obszedł swoje duże mieszkanie, znajdujące się na poddaszu przy kopenhaskiej Østerbrogade. W ogóle nie zostało posprzątane.

Sprzątaczkę najwyraźniej się na niego wypięły. Jakby i bez tego nie było mu ciężko. W pracy nic, tylko marudzenie i narzekania. Jego sekretarka zachowuje się, jakby nie miała mózgu. Tak się dzisiaj na nią wydarł, że go głowa rozbolała, do tego ta Paulina. Nie wytrzyma tego wszystkiego. Jak ona mogła! Po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Kiedy się poznali, była nikim, jakąś kiepską dziennikareczką w miejscowej gazecie. Wszystko jej dał i nawet – co już było poważnym błędem – nie sporządził intercyzy. Lesba pierdolona.

Kiedy wróci do niego z podkulonym ogonem, zrobi dobrą minę, ale później jej pokaże. Mowy nie ma, żeby wybaczył, zwłaszcza po tej pocztówce, którą przysłała. **Odeszłam od Ciebie**, tak napisała. **Poznałam kobietę. Jestem zakochana.** To wszystko. Ze złości rozbił swoją komórkę i kryształowy wazon, musiał wziąć zwolnienie. Nie, nie chciał o tym myśleć.

Zdjął marynarkę, rozsiadł się na kanapie z piwem w dłoni i zastanawiał się, czy zadzwonić do Fredrike, swojej kochanki. Nie, znudziła mu się. Włączył telewizor, dowiedział się, że szwedzki minister obrony walczy ze śmiercią. Nic go to nie obchodziło. Wiadomo, że to poprawny politycznie głupek, hipokryta i oszust. Przełączył się na Bloomburga i wiadomości gospodarcze, ale ciągle błędził myślami, pewnie z dziesięć razy zmienił jeszcze kanał, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Zaklął. Kto, u diabła, przyłazi o dziesiątej wieczorem? Postanowił nie zwracać uwagi.

Potem pomyślał, że może to Paulina, więc się podniósł i szarpnięciem otworzył drzwi. Nie stała w nich żona, tylko niewysoka czarnowłosa dziewczyna w dżinsach i bluzie

z kapturem, miała skwaszoną minę. Trzymała torbę i patrzyła w podłogę.

– Nie potrzebuję niczego – powiedział.

– Ja w sprawie sprzątanania – wyjaśniła.

– To przekaz swojej szefowej, żeby poszła w cholerę – odparł. – Nie będę tracił czasu na sprzątaczkę, które nie pilnują roboty.

– Firma sprzątająca jest niewinna – odparła dziewczyna.

– Co ty gadasz?

– To ja odwołałam sprzątananie.

– Co takiego?

– Odwołałam sprzątaczkę, sama posprzątam.

– Nie rozumiesz? Już nie chcę żadnego sprzątanania. Zjeżdżaj – syknął i chciał trzasnąć drzwiami.

Zablokowała je nogą, weszła przez próg i dopiero wtedy się zorientował, że jest w niej coś dziwnego. Miała dziwaczny sposób chodzenia, z nieruchomą górną połową ciała, głową lekko przechyloną na bok, jakby patrzyła na jakiś odległy punkt w okolicy okien; pomyślał, że może to kryminalistka albo jakaś świruska. Spojrzenie jej błyszczących oczu było chłodne, jakby nie była do końca obecna. Musiał przywołać cały swój autorytet.

– Jeśli zaraz nie wyjdiesz, zadzwonię po policję.

Nie odpowiedziała. Jakby w ogóle nie słyszała. Nachyliła się, z torby wyjęła długi sznur i przyklepiec; w pierwszej chwili aż go zatkało.

– Won! – krzyknął i złapał ją za rękę.

Ale dziwna rzecz, bo w końcu to ona chwyciła jego rękę i popchnęła go w stronę stołu; wtedy się jednocześnie wściekł

i przestraszył. Wyrwał się, chciał ją uderzyć albo popchnąć na ścianę, jednak nie zdążył. Rzuciła się na niego, padł tyłem na stół, sekunda, może dwie, a już siedziała na nim i patrzyła tym swoim mrozącym błyszczącym spojrzeniem. Błyskawicznie przywiązała go do stołu, po czym bezbarwnym głosem oznajmiła:

– Teraz uprasuję ci koszulę.

Zakleiła mu usta przylepcem i spojrzała na niego tak, jak drapieżnik patrzy na zdobycz, a Thomas Müller poczuł, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

MIKAEL RÓWNIEŻ został zabrany helikopterem do szpitala w związku z silnym wyiębieniem i sporą ilością wody w płucach. Posłuchał niechętnie, kiedy mocno zbudowany oficer kazał mu oddać komórkę. Podobno istniało ryzyko podsłuchu i szpiegostwa, więc dopiero późnym wieczorem, po obchodzie lekarskim i trzech przesłuchaniach przez wywiad wojskowy, oddali mu jego rzeczy i pozwolili wrócić do domu, ale z zakazem wypowiedzania się, wydanym przez niejakiego prokuratora Mattsona. Chciał zaprotestować i zadzwonić do swojej siostry, adwokatki Anniki Giannini. Podstawa prawna nakazująca dziennikarzom milczenie była mocno wątpliwa; w ogóle uważał, że zachowanie facetów z wywiadu było dość samowolne. Jednak dał spokój. I tak nie napisze ani słowa na ten temat, dopóki nie zgłębi całej sprawy aż do spodu. Na razie siedział na łóżku, usiłując się pozbierać. Jego spokój nie trwał długo.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła wysoka kobieta około czterdziestki o ciemnoblonde włosach i przekrwionych oczach;

dopiero po dłuższej chwili – może dlatego, że akurat patrzył na wyświetlacz telefonu i wszystkie nieodebrane połączenia – domyślił się, że to Rebecka Forsell. Była ubrana w szary żakiet i biały T-shirt, ręce jej drżały. Powiedziała, że musiała przyjść podziękować mu, zanim wyjdzie.

– Poprawiło mu się? – spytał.

– Najgorsze minęło, ale nadal nie wiadomo, czy nie doznał urazu mózgu. Za wcześnie, by to stwierdzić.

Zaprosił ją, by usiadła obok.

– Rozumiem – powiedział.

– Mówią, że mało brakowało, a przy okazji i ty byś się przejechał.

– Przesada.

– A jednak... zdajesz sobie sprawę, ile zrobiłeś... dla nas? Rozumiesz to? To naprawdę wielka rzecz.

– Jestem wzruszony – odparł. – Dziękuję.

– Czy możemy coś dla ciebie zrobić? – spytała.

Powiedzieć wszystko, co wiecie na temat Nimy, pomyślał. Prawdę.

Ale odparł krótko:

– Dopilnuj, żeby Johannes wyzdrowiał i znalazł sobie spokojniejszą robotę.

– To był straszny czas.

– Domyślam się.

– Wiesz...

Z zakłopotaną miną nerwowo pocierała ramię.

– Tak?

– Czytam teraz o Johannesie w sieci. Nagle ludzie znów się stali dla niego mili, rzecz jasna nie wszyscy, ale wielu. To aż nie do wiary i jeszcze mocniej uświadamia mi, w jakim koszmarze żyliśmy.

Nachylił się i chwycił jej rękę.

– To ja zadzwoniłam do „DN” i powiedziałam, że próbował popełnić samobójstwo, chociaż nie miałam pewności. Uważasz, że to z mojej strony paskudne? – spytała.

– Myślę, że miałaś swoje powody.

– Chciałam, żeby zrozumieli, jak daleko to zaszło.

– Wydaje się rozsądne.

– Faceci z MUST powiedzieli mi coś bardzo dziwnego. – Patrzyła z rozpaczą.

– Co takiego? – spytał jak najspokojniej.

– Że dowiedziałeś się, że w Sztokholmie został znaleziony martwy Nima Rita.

– Tak, to bardzo dziwne. Znaliście go?

– Nie wiem, czy mogę powiedzieć cokolwiek. Cały czas mnie naciskają, żebym nic nie mówiła na ten temat.

– Na mnie też – przyznał i dodał: – A musimy ich słuchać?

Uśmiechnęła się smutno.

– Może nie musimy.

– To jak, znaliście go?

– Przez pewien czas, kiedy byliśmy w bazie. Bardzo go polubiliśmy, on nas chyba też. Ciągłe mówił *Sahib, sahib* na Johanna. *Very good person*. Miał cudowną żonę.

– Lunę.

– Lunę – powtórzyła. – Rozpieszczała nas i ciągle gdzieś biegła, coś robiła. Potem pomogliśmy im wybudować dom w Pangbocze.

– To ładnie.

– Sama nie wiem. Wszyscy mieliśmy wyrzuty sumienia z jego powodu.

– Nie wiesz, jak to się stało, że zniknął z Katmandu, gdzie został uznany za zmarłego, a trzy lata później pojawił się w Sztokholmie i ponownie umarł?

– Niedobrze mi się robi od tego wszystkiego – powiedziała.

– Rozumiem.

– Powinieneś widzieć tych chłopaczków w Khumbu.

– Dlaczego?

– Uwielbiali go. Ratował ludziom życie i zapłacił straszną cenę.

– Skończył się jako wspinacz.

– Został oczerniony przed ludźmi.

– Chyba nie wszyscy w to uwierzyli?

– Ale wielu.

– A kto uwierzył?

– Ludzie z otoczenia Klary Engelman.

– Jak na przykład jej mąż?

– No tak, oczywiście on też.

Zabrzmiało to jak unik.

– Dziwna odpowiedź.

– Możliwe. Widzisz... ta historia jest bardziej skomplikowana, niż się wszystkim zdaje, było w nią zamieszanych wielu adwokatów. W zeszłym roku amerykańskie wydawnictwo musiało wycofać się z publikacji książki na ten temat.

– Adwokaci Engelmana, czy tak?

– Właśnie. Engelman jest potentatem w dziedzinie handlu nieruchomościami, przedsiębiorcą, ale na papierze, bo w gruncie rzeczy to gangster, mafioso, przynajmniej takie jest moje zdanie, i nie wiem, czy pod koniec był taki zachwycony swoją żoną.

– Dlaczego?

– Bo Klara zakochała się w naszym przewodniku, Wiktorze Grankinie, i chciała odejść od Stana. Powiedziała, że się rozwiedzie, pójdzie do prasy i ujawni, że zachowywał się wobec niej jak samolubna świnia. Engelmanowi udało się właśnie to wyciszyć, chociaż na stronach plotkarskich znajdzie się jeszcze co nieco.

– Rozumiem – powiedział.

– Strasznie zapalny temat.

– Nima Rita wiedział o tym?

– Utrzymywali romans w ścisłej tajemnicy, ale na pewno wiedział. Przecież jej usługiwał.

– O tym też milczał?

– Chyba tak. Przynajmniej dopóki był w nie najgorszej formie psychicznej, ale po śmierci żony popadał w coraz większy obłęd, więc nie zdziwiłabym się, gdyby chodził i o tym opowiadał, i innych rzeczach też.

Mikael spojrzał na Rebeckę Forsell, na jej oczy i wysoką postać, garbiącą się w fotelu. Potem powiedział niechętnie:

– Pod koniec również o twoim mężu.

REBECKA ZAGOTOWAŁA SIĘ ze złości, mimo to starała się

nie pokazać nic po sobie. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że Mikael Blomkvist ma taką pracę. Uratował życie jej mężowi. Jednak jego słowa przypomniały jej o najbardziej niepokojącym podejrzeniu, że Johannes ukrywa przed nią coś w związku z wyprawą na Everest i Nimą, bo prawdę mówiąc, nie była przekonana, że do załamania doprowadziła go kampania nienawiści.

Johannes był fighterem, walecznym i aż przesadnie optymistycznym narwańcem, który parł do przodu nawet wtedy, gdy nie miał szans na powodzenie. Jedyne sytuacje, kiedy widziała go załamanego, to ostatnio na Sandön, a wcześniej po zdobyciu Everestu. Dlatego sama zaczęła podejrzewać, że musi być jakiś związek między przeszłością i terażniejszością, teraz zaś uświadomiła sobie, że właśnie to ją rozzłościło, a nie słowa Mikaela. Jakby chciała strzelać do posłańca.

– Nie rozumiem tego – powiedziała.

– Nic a nic?

Milczała. Wreszcie się odezwała i od razu pożałowała swoich słów.

– Powinieneś porozmawiać ze Svantem.

– Lindbergiem?

– Właśnie.

Już nie lubiła Svantego i ostro pokłóciła się z mężem, kiedy mianował go swoim podsekretarzem stanu. Svante był pozornie kopią Johannaesa, miał tę samą energię i wojskową zuchowatość, ale w gruncie rzeczy był zupełnie inny. Podczas gdy Johannes dopatrywał się dobra we wszystkim i u każdego człowieka – aż do

chwili, gdy przekonał się, że jest inaczej – Svante był wyrachowany i obłudny.

– O czym może mi powiedzieć Svante Lindberg? – spytał.

Powie to, co będzie leżało w jego interesie, pomyślała.

– O tym, co się wydarzyło na Evereście – odparła, zastanawiając się, czy te słowa nie są zdradą wobec męża.

Z drugiej strony, jeśli Johannes nie powiedział jej o wszystkim, co się wtedy wydarzyło na górze, to on dopuścił się zdrady wobec niej. Rebecka wstała, uściskała Mikaela Blomkvista, jeszcze raz mu podziękowała i wróciła na oddział intensywnej terapii.

ROZDZIAŁ 18

NOC Z 26 NA 27 SIERPNIA

PIERWSZE PRZESŁUCHANIE pokrzywdzonego inspektor kryminalna Ulrike Jensen przeprowadziła w kopenhaskim Rigshospitalet. Thomas Müller zgłosił się tam dziesięć minut po jedenastej wieczorem z poparzeniami na piersi i rękach. Ulrike miała czterdzieści cztery lata i małe dzieci, od wielu lat zajmowała się przestępczością seksualną. Ostatnio została przeniesiona do wydziału do walki z przestępczością przeciwko zdrowiu i życiu, często brała nocne dyżury – dla jej rodziny było to obecnie najlepsze rozwiązanie – zatem już niejedno słyszała, jeśli chodzi o zeznania różnych świrów i pijaków. Jednak to, co usłyszała tym razem, pobiło ich wszystkich na głowę.

– Domyślam się, że bardzo pana boli i znajduje się pan pod działaniem morfiny – powiedziała. – Ale niech pan spróbuje rzeczowo opisać jej wygląd.

– Jak żyję, nie widziałem takich oczu – wymamrotał.

– Już pan mówił. Niech pan powie coś bardziej konkretnego.

Coś ją wyróżniało?

– Była młoda, niskiego wzrostu, miała czarne włosy i mówiła jak duch.

– To znaczy jak?

– Kompletnie bez emocji albo... jakby myślała o czymś innym.
Wydawała się nieobecna.

– Co mówiła? Może pan powtórzyć, żebyśmy uzyskali jaśniejszy obraz zdarzenia?

– Powiedziała, że nigdy nie prasuje własnych ubrań, dlatego jej to kiepsko wychodzi, więc powinienem leżeć spokojnie.

– To okrutne.

– To było chore.

– Nic więcej?

– Powiedziała, że wróci, jeśli nie...

– Jeśli nie... co takiego?

Thomas Müller przekręcił się niespokojnie na łóżku i spojrzał bezradnie.

– Jeśli nie co? – powtórzyła.

– Jeśli nie zostawię w spokoju mojej żony. Mam się z nią nigdy więcej nie spotykać. Mam się z nią rozwieść.

– Mówił pan, że żona wyjechała, tak?

– Tak, ona...

Mruknął coś niezrozumiale.

– Zrobił pan coś swojej żonie? – ciągnęła.

– Nic a nic. To ona...

– Co takiego?

– Zostawiła mnie.

– Dlaczego to zrobiła, jak pan myśli?

– Bo jest cholerną...

Już miał powiedzieć coś strasznego, ale zachował dość rozsądku, żeby nie kończyć zdania, a Ulrike Jensen domyśliła się, że historia,

która to poprzedziła, musiała być dość nieładna. Na razie zostawiła to.

– Przypomina pan sobie coś, co by nam pomogło? – spytała.

– Ona powiedziała, że mam pecha.

– W jakim sensie?

– Że tego lata nazbierało jej się tyle gówna, że prawie od tego oszalała.

– O co mogło jej chodzić?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– I jak to się skończyło?

– Zdarła mi z ust taśmę i jeszcze raz wszystko powtórzyła.

– Żeby się pan trzymał z dala od żony?

– Tak zrobię. Nie chcę jej więcej widzieć.

– Okej – powiedziała. – Na tę chwilę wydaje się to rozsądne.

A więc dziś wieczorem też pan nie rozmawiał z żoną?

– Nawet nie wiem, gdzie ona jest, mówiłem przecież. Do cholery...

– No co?

– Ruszcie się, zróbcie coś. Ta kobieta jest chora na głowę. Jest niebezpieczna.

– Postaramy się – odparła Ulrike Jensen. – Obiecuję. Jednak wydaje się...

– Co się wydaje?

– Jakby wszystkie kamery monitoringu w najbliższej okolicy były wtedy wyłączone, więc nie bardzo jest się na czym oprzeć – dokończyła i poczuła, że ma serdecznie dość swojej pracy.

BYŁO TROCZĘ po północy. Lisbeth siedziała w taksówce jadącej z Arlandy i guglowała adwokata rozwodowego, którego jej poleciła Annika Giannini, gdy dostała zaszyfrowaną wiadomość od Mikaela. Była tak zmęczona i zmaltretowana psychicznie, że nie miała siły tego czytać, przestała też sprawdzać adwokata i tylko patrzyła tępo przez okno. Co się z nią dzieje?

Polubiła Paulinę. Może nawet pokochała na swój pokrętny sposób. I jak to okazała? Odesłała ją, kompletnie zrozpaczoną, do rodziców w Monachium i napadła na jej męża, jakby sam akt zemsty mógł zrekompensować niedostateczną miłość. Swojej siostry – która wyrządziła tyle złego – nie potrafiła zabić, ale w Kopenhadze mogłaby bez zmruczenia oka wykończyć Thomasa Müllera.

Kiedy siedziała na nim, trzymając żelazko, przed oczami miała Zalachenkę i adwokata Bjurmana, a wśród tych kreatur jeszcze psychiatrę Teleboriana. Czuła, jakby coś w niej pękło i chciała zemścić się za całe swoje życie, i tylko siłą woli powstrzymała się przed tym, żeby zupełnie się nie stoczyć. Niech to wszyscy diabli. Musi wziąć się w garść.

Inaczej nadal będzie właśnie tak: wahanie, kiedy powinna działać zdecydowanie, i szaleństwo, kiedy wymagany jest spokój.

Na ulicy Twerskiej uzmysłowiła sobie kilka rzeczy, które wbiły jej się w świadomość i wytrąciły ją z równowagi. Nie tylko to, że nie była zdolna do jakiegokolwiek działania, kiedy Zala przychodził nocą po Camillę. Chodziło też o mamę. Co wiedziała? Czy również zamykała oczy na to, co się dzieje? Ta myśl doskwierała jej coraz bardziej. Lisbeth przestraszyła się samej siebie, a raczej swojego

niezdecydowania; tego, że w czekającej ją nieodwołalnie największej walce w życiu będzie kiepskim wojownikiem.

Dzięki temu, że Plague pomógł jej zhakować kamery monitoringu wokół mieszkania na Strandvägen, wiedziała, że Camillę odwiedzili ludzie ze Svavelsjö MC. Domyślała się, że siostra ściga ją wszelkimi dostępnymi środkami i na pewno się nie zawaha, jeśli dostanie swoją szansę. Dlatego Lisbeth powinna być silna i konsekwentna. A na początek musi znaleźć sobie jakiś dach nad głową.

Mieszkania w Sztokholmie już nie miała, zaczęła więc rozważać różne możliwości i wtedy jednak przeczytała mail od Mikaela. Dotyczył Forsella i Szerpy, temat na pewno interesujący z wielu względów, ale nie miała siły się w to angażować. W nagłym odruchu, który ją samą zdziwił, po prostu odpisała:

Jestem w mieście. Spotkajmy się zaraz. W hotelu.

Propozycja nie tyle była nieprzyzwoita – sama tak uważała – ani nawet nie wynikała z jej poczucia samotności i beznadziei, ile miała być... swego rodzaju zabezpieczeniem, bo całkiem możliwe – prawda? – że nie mogąc trafić na jej ślad, Camilla i jej sługusy rzucą się na kogoś z osób jej najbliższych, a w takim razie byłoby dobrze zamknąć Kallego Blomkvista w jakimś pokoju hotelowym.

Z drugiej strony sam mógłby się gdzieś zamknąć, więc kiedy nie odpowiedział w ciągu dziesięciu, piętnastu, dwudziestu minut, prychnęła, zamknęła oczy i poczuła, że mogłaby spać całą wieczność, i może naprawdę przysnęła, bo kiedy Mikael

odpowiedział, drgnęła, jakby ktoś ją napadł.

MIKAEL WRÓCIŁ do swego mieszkania na Bellmansgatan z myślą, że zaraz padnie na łóżko. Mimo to usiadł przy komputerze i zaczął szukać informacji na temat biznesmena Stana Engelmana, obecnie siedemdziesięcioletka, ponownie żonatego, podejrzanego o łapówkarstwo i groźby karalne w związku ze sprzedażą trzech hoteli w Las Vegas, i choć pewności nie było – sam oczywiście temu zaprzeczał – jego imperium najwyraźniej się chwiało. Ponoć zabiegał o pomoc za pośrednictwem kontaktów biznesowych w Rosji i Arabii Saudyjskiej.

Stan Engelman nie wypowiedział się ani razu na temat Nimy Rity. Natomiast wściekle atakował zmarłego przewodnika wyprawy Wiktora Grankina, który zatrudnił Nimę jako sirdara, pozwał też firmę Grankina Everest Adventures Tours i doprowadził do ugody przed moskiewskim sądem, który natychmiast postawił firmę w stan upadłości. Bez wątpienia kryła się za tym wściekłość na organizatorów wyprawy, w której uczestniczył Nima Rita, ale nie wyjaśniało to, dlaczego Szerpa pojawił się w Sztokholmie, więc Mikael postanowił na razie to zostawić – był zbyt zmęczony, by badać interesy Engelmana w dziedzinie nieruchomości, jego romanse i idiotyczne zagrywki. Postanowił poszukać informacji na temat Svantego Lindberga, który powinien wiedzieć najlepiej, jak to było z Forsellem na Evereście.

Svante Lindberg miał stopień generała dywizji, przypuszczalnie był również oficerem wywiadu, a z Forsellem przyjaźnił się od młodości. Był doświadczonym himalaistą. Przed Everestem zdobył

trzy inne ośmiotysięczniki: Broad Peak, Gaszerbrum i Annapurnę, zapewne dlatego Wiktor Grankin zgodził się, żeby razem z Johannesem poszli przodem na szczyt, kiedy przed południem trzynastego maja 2008 grupa spowolniła. Ale tym, co naprawdę wydarzyło się na górze, postanowił zająć się później, może jutro. Na razie stwierdził jedynie, że Svante Lindberg też był obiektem hejtu w kampanii przeciw Forsellowi.

Niektórzy twierdzili, że w rzeczywistości to on rządzi ministerstwem obrony. Raczej nie udzielał wywiadów, Mikael znalazł tylko jeden tekst opisujący bliżej Lindberga, zamieszczony trzy lata wcześniej na łamach pisma „Runner’s World”, być może nawet go czytał. Przypominał sobie zdanie: „Kiedy jesteś zupełnie wykończony, pozostało ci jeszcze siedemdziesiąt procent”. Ale wtedy widocznie musiał przysnąć.

Po jakimś czasie obudził się przed komputerem. Cały się trząsał, przed oczami miał Johanna Forsella, jak opada na dno, wówczas zdał sobie sprawę, że jest nie tylko zupełnie wykończony, ale również w stanie szoku. Z największym trudem trafił do łóżka, myśląc, że zapadnie od razu w sen, jednak w głowie miał gonitwę myśli. W końcu sięgnął po komórkę i zobaczył, że Lisbeth odpowiedziała.

Jestem w mieście. Spotkajmy się zaraz. W hotelu.

Był tak zmęczony, że musiał to przeczytać dwa razy. A potem poczuł się... jak? Zażenowany? Zrobiło mu się głupio? Sam nie wiedział. Chciał udąć, że nie przeczytał jej esemesa, chociaż

pewnie się zabezpieczyła i już wie, że tak. Co robić? Nie potrafił odmówić. A zdecydowanie nie chciał potwierdzić. Zamknął oczy, próbując uporządkować myśli. A więc ona jest w Sztokholmie i chce się z nim zaraz spotkać w hotelu? Czy znaczy to coś więcej niż to, że chce się z nim spotkać?

– Do diabła, Lisbeth – mruknął.

Wstał i zaczął chodzić nerwowo po mieszkaniu, jakby wpędziła go w jeszcze większy rozstrój. W pewnym momencie spojrzął przez okno wychodzące na ulicę koło Bishops Arms i zobaczył sylwetkę, którą od razu rozpoznał. Facet z kitką, którego widział w Sandhamn; drgnął, jakby dostał cios w brzuch, bo już nie było żadnych wątpliwości, prawda?

Śledzą go. Zaklął. Serce mu waliło, zrobiło mu się sucho w ustach, pomyślał, że powinien od razu skontaktować się z Bublanskim albo z kimś innym z policji. Zamiast tego odpisał Lisbeth:

Śledzą mnie.

Odpisała:

To przeze mnie. Pomogę ci ich zgubić.

Miał ochotę wrzasnąć, że nie ma siły uciekać, chce tylko spać i korzystać ze swojego urlopu, zapominając o wszystkim.

Odpisał:

Okej.

ROZDZIAŁ 19

27 SIERPNIA

KIRA Z PRZYJEMNOŚCIĄ odcięłaby się od Svavelsjö MC. Pogoniłaby wytatuowanych bandytów w kretyńskich kamizelach z nitami i kapturami. Jednak znów ich potrzebowała, dlatego zasypała ich pieniędzmi, powołując się na Zalachenkę, i przedstawiła sprawę jako uczczenie jego pamięci, czyli kwestię honorową.

Miała ich po same uszy, najchętniej by ich zwymyślała od szumowin i frajerów, a potem posłała do fryzjera i do krawca. Ale zachowała godność i spokój, ciesząc się w duchu, że towarzyszy jej Galinow. Tego dnia miał na sobie biały lniany garnitur i brązowe buty, siedział w czerwonym fotelu naprzeciw niej i czytał artykuł o pokrewieństwie języka szwedzkiego z dolnoniemieckim, czy jakoś tak, zupełnie jakby był na wyjeździe naukowym. Ale zapewniał jej spokój i poczucie więzi z przeszłością, a najważniejsze: budził lęk u tych facetów.

Kiedy się buntowali, bo nie potrafili pogodzić się z tym, że rozkazy wydaje im kobieta, wystarczyło, że Galinow tylko odsunął okulary do czytania na czoło i skierował na nich lodowate spojrzenie niebieskich oczu, aby milkli i byli posłuszni. Domyślała się, że wiedzą bardzo dobrze, do czego jest zdolny, dlatego nie

przejmowała się, że nie bierze udziału w rozmowie.

Później przyjdzie jego czas, a tymczasem polowaniem na Lisbeth zajmuje się Bogdanow z bandytami. Jak dotąd nie znaleźli nic, ani śladu. Jakby ścigali ducha, a na dodatek ubiegłej nocy stracili jeszcze jedno dojście i dlatego wezwała do siebie Marka Sandströma, prezesa Svavelsjö, który właśnie wszedł do salonu w towarzystwie drugiego bandyty, chyba o imieniu Krille, chociaż to akurat zupełnie jej nie interesowało.

– Nie chcę słuchać żadnego tłumaczenia się – powiedziała. – Samą rzeczową relację. Jak mogło do tego dojść?

Marko uśmiechnął się niespokojnie, co jej się podobało. Był potężnie zbudowany i groźny jak wszyscy ze Svavelsjö. Natomiast miał na tyle dobry gust, że nie nosił brody ani długich włosów, brzucha też nie miał, za to twarz jak malowanie, a pierś, w którą mogłaby wbić paznokcie, jak za dawnych lat.

– To nierealne zadanie – stwierdził Marko, starając się, żeby zabrzmiało to pewnie, chociaż nie mógł się powstrzymać i zerknął na Galinowa, który nawet nie podniósł wzroku, co również jej się podobało.

– A to niby dlaczego? Chciałam jedynie, żeby był pod obserwacją, tylko tyle.

– Owszem, na okrągło przez całą dobę – odparł Marko. – To wymaga nakładów, poza tym nie mówimy o kimś anonimowym.

– Jak... to... się... mogło... stać? – powtórzyła, akcentując każde słowo.

– Ten skurwieli... – odezwał się ten drugi, chyba Krille.

Marko przerwał mu.

– Zostaw to mnie. Camillo...

– Kiro.

– Przepraszam, Kiro – ciągnął. – Wczoraj po południu Blomkvist nagle wypłynął motorówką. Nie było szans za nim nadążyć, wkrótce sytuacja zrobiła się nieprzyjemna. Na wyspie pojawiło się mrowie policji i wojska, nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podział, i musieliśmy się rozdzielić. Jorma został w Sandhamn, a Krille pomknął na Bellmansgatan i tam czekał.

– I Blomkvist przyjechał?

– Późnym wieczorem, taksówką. Wydawało się, że jest na ostatnich nogach. Nic nie wskazywało, żeby nie poszedł spać. Uważam, że należałoby pochwalić Krillego, że został. Światło w mieszkaniu Blomkvista zgasło. A jednak o pierwszej w nocy wyszedł z domu z walizką i poszedł do metra przy Mariatorget. Ani razu się nie obejrzał za siebie. Potem siedział na peronie z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Wyglądał, jakby był chory – wtrącił Krille.

– Właśnie – ciągnął Marko. – Uśpił naszą czujność. Opuściliśmy gardę. W metrze oparł głowę o szybę i zamknął oczy. Wyglądał na skonanego. I potem...

– Co?

– Na stacji Gamla Stan ⁵ drzwi już się miały zamknąć, kiedy wystrzelił jak z armaty i wyskoczył, a potem zniknął. Zgubiliśmy go.

Kira nie powiedziała ani słowa. Wymieniła spojrzenia z Galinowem, widziała, że Marko to zauważył. Siedząc nieruchomo, wpatrzyła się we własne ręce. Cisza, spokój może

przerazić bardziej niż wybuch, to była jedna z nauk, które przyswoiła sobie już na początku, więc chociaż miała ochotę wrzeszczeć i wymyślać im, powiedziała sucho i rzeczowo:

– Ta kobieta, którą Blomkvist zabrał ze sobą do Sandhamn, wiadomo, kto to jest?

– Oczywiście. Nazywa się Catrin Lindås, mieszka przy Nytorget sześć. Znana zdzira medialna.

– Jest kimś dla niego?

– No więc... – odezwał się znów Krille.

Krille miał kitkę, brodę i małe wodniste oczka, nie wyglądał na kogoś, kto wyznawałby się na miłosnych relacjach. Najwyraźniej jednak chciał podjąć próbę.

– Dla mnie wyglądali na zakochanych. Całymi dniami siedzieli w ogrodzie szepieni ze sobą – ciągnął.

– Okej, w takim razie chcę, żebyście ją też obserwowali – powiedziała.

– Kurde, Camilla... przepraszam, Kira, trochę za dużo od nas wymagasz. To znaczy, że mamy obserwować trzy różne adresy – odparł Marko.

Znów pomilczała, podziękowała im i ucieszyła się, gdy Galinow dźwignął swoje szczupłe, długie ciało i odprowadził ich do wyjścia, może jeszcze towarzyszyło temu kilka słów, które w pierwszej chwili odebrali jako uprzejmość, ale potem, gdy dotarły do nich, śmiertelnie ich przestraszyły.

Był specem w tej dziedzinie, uważała, że to się przyda. Znów straciła inicjatywę. Rozejrzała się gniewnie po mieszkaniu. Sto siedemdziesiąt metrów kwadratowych kupionych dwa lata temu

przez podstawione osoby, nadal bezosobowe i skąpo umeblowane. Trzeba się nim zadowolić z braku lepszego. Zakłęła i weszła bez pukania do narożnego pokoju po prawej stronie, gdzie siedział Jurij Bogdanow, pocąc się nad swoimi komputerami.

– Jak ci idzie z komputerem Blomkvista? – spytała.

– To zależy.

– W jakim sensie?

– Wszedłem na jego serwer, mówiłem ci.

– Ale nic nowego?

Zaczął się wiercić. Od razu wiedziała, że on również nie ma dla niej dobrych wiadomości.

– Blomkvist gugłował wczoraj Forsella, ministra obrony, to oczywiście ciekawe, nie tylko dlatego, że Forsell jest na celowniku GRU i że Galinow miał z nim do czynienia, ale dlatego, że Forsell wczoraj próbował...

– Mam to w dupie – syknęła. – Interesują mnie tylko zaszyfrowane linki, które przysły do Blomkvista i które sam wysyłał.

– Nie udało mi się ich rozszyfrować.

– Co to znaczy: nie udało się? Próbuj dalej.

Bogdanow patrzył w blat, zagryzając wargę.

– Już nie mam dostępu.

– O czym ty mówisz?

– W nocy ktoś wyrzucił mojego trojana.

– Jakim cudem, kurwa?

– Nie wiem.

– Podobno nikt nie pokona twoich trojanów?

– Niby tak, ale...

Bogdanow gryzł skórę przy paznokciu.

– Chcesz powiedzieć, że to jakiś cholerny geniusz? – syknęła.

– Na to wygląda – mruknął. Kira dostała szału, ale w tym momencie nasza ją zupełnie inna myśl i zamiast się wydzierać i rzucać ze złości, uśmiechnęła się.

Zrozumiała, że Lisbeth jest bliżej, niż śmiała marzyć.

MIKAEL LEŻAŁ w łóżku w hotelu Hellsten na Luntmakargatan, podczas gdy Lisbeth siedziała na czerwonym fotelu tuż przy zasłoniętym oknie i patrzyła na niego nieobecny wzrokiem. Przespał nie więcej jak kilka godzin. Miał wątpliwości, czy przyjazd tutaj był dobrym pomysłem. Nie przeżyli romantycznej nocy, nawet nie spotkali się jak starzy przyjaciele. Już na wejściu wszystko poszło nie tak.

Gapła się na niego tak, jakby od razu chciała zerwać z niego ubranie, i chociaż podczas jazdy do hotelu myślał o Catrin, pewnie nie mógłby się przed nią obronić. Jednak to nie na niego chciała się rzucić. Chodziło o jego komputer i smartfon. Porwała je, a potem zamknęła się między czarnymi ekranami, które rozłożyła na podłodze, siedząc w kucki w dziwnie wygiętej pozycji. Mimo to była zupełnie nieruchoma i milcząca, tylko jej palce pracowały w szalonym tempie, a czas płynął. Nie wytrzymał, warknął, że mało brakowało, a byłby się utopił, ratując życie pieprzonemu ministrowi. Teraz musi się przespać albo chociaż porozmawiać, niech mu przynajmniej powie, co w tej chwili robi.

– Cicho – rozkazała.

– Do ciężkiej cholery!

Wściekł się, najchętniej byłby wyszedł i więcej jej nie oglądał, jednak ostatecznie uznał, że ma to gdzieś. Rozebrał się, położył na połowie podwójnego łóżka i zasnął obrażony jak dziecko. Nad ranem położyła się obok i wyszeptała mu coś do ucha; zabrzmiało to jak uwodzicielskie, ale odjechane zakłęcie.

– Miałeś trojana, dupku. – I już nie zmrużył oka.

Przeraził się. Co z jego źródłami? Zażądał, żeby mu zaraz powiedziała, co się dzieje, zrobiła to niechętnie. Powoli zaczął pojmować całe to szaleństwo, oczywiście nie całe. Lisbeth jak zwykle nie mówiła wiele, wkrótce zaczęła mrugać powiekami, położyła głowę na poduszce i odpłynęła, zostawiając go całego w nerwach. Zaklął, był pewien, że już nie zaśnie. Widocznie jednak zasnął, a kiedy się obudził, Lisbeth siedziała na fotelu w majtkach i zdecydowanie za długiej czarnej koszuli; wyglądała, jakby znajdowała się w jakimś stanie pośrednim między snem a jawą. Ze zdziwieniem spojrzał na jej umięśnione nogi i ciemne sińce pod oczami, a potem na drzwi na korytarz. Usłyszał jej głos.

– Tam jest śniadanie.

– To dobrze – odparł i przyniósł dwie tace, które postawił na łóżku.

Potem zrobił kawę z maszyny nespresso stojącej pod oknem, ukucnął na materacu, ona zaś usiadła naprzeciwko. Spojrzał na nią jak na obcą, a jednocześnie jak na bliską przyjaciółkę, i poczuł wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd: rozumie ją – i jej nie rozumie.

– Dlaczego się zawahałaś? – spytał.

NIE PODOBAŁO jej się to pytanie. Jego wyraz twarzy też nie. Wolałaby uciec stąd albo zaciągnąć go do łóżka, uciszyć, potem pomyślała o Paulinie i jej mężu, o żelazku i o innych, jeszcze gorszych rzeczach z dzieciństwa i nie miała pewności, czy powinna odpowiadać. A jednak.

– Bo mi się coś przypomniało.

Mikael wpatrywał się w nią tak intensywnie, że już żałowała, że nie trzymała języka za zębami.

– Co ci się przypomniało?

– Nic.

– No mów.

– Przypomniała mi się moja rodzina.

– Co w związku z rodziną?

Daj sobie spokój, pomyślała. *No daj se.*

– Przypomniało mi się... – zaczęła, jakby nic nie mogła na to poradzić albo jakby coś kazało jej to powiedzieć.

– No co?

– Mama wiedziała, że Camilla nas okrada i kłamie przed policją, żeby chronić Zalę. Wiedziała, że Camilla donosi na nas do opieki społecznej, przykładając rękę do piekła w domu.

– Wiem – powiedział Mikael.

– Wiesz?

– Holger mi mówił.

– A wiedziałeś, że...

– Co?

Może dać sobie z tym spokój?

Wyrzuciła to z siebie:

– Że mama w końcu miała dość i zagroziła, że wyrzuci ją z domu?

– Nie wiedziałem.

– Ale tak było.

– Przecież Camilla była wtedy dzieckiem.

– Miała dwanaście lat.

– Jednak...

– Może ten wybuch mamy nic nie znaczył. Zawsze stała po mojej stronie, wiem to na pewno. Nie lubiła Camilli.

– Tak bywa w wielu rodzinach. Jedno dziecko staje się ulubieńcem.

– Ale to miało określone konsekwencje. Zaślepiło nas.

– Zaślepiło na co?

– Na to, co się działo.

– A co się działo?

Przestań, pomyślała. *Przestań.*

Chciała krzyczeć, pryskać stąd. Mimo to mówiła dalej, jakby popychała ją jakaś siła, nad którą już nie miała żadnej kontroli.

– Myślałyśmy, że Camilla ma Zale, że w tej wojnie w naszym domu są dwie osoby przeciw dwóm, mama i ja przeciw Zali i Camilli. Ale tak nie było. Camilla była sama.

– Każde z was było samo.

– Jej było najgorzej.

– W jakim sensie?

Lisbeth odwróciła wzrok.

– Nocą Zala czasem wchodził do naszego pokoju – powiedziała.

– Nie rozumiałam po co, zresztą nie zastanawiałam się nad tym. Był

zły i robił, co chciał. Tak było i już, ja wtedy myślałam tylko o jednym.

– Chciałaś, żeby skończyło się katowanie twojej mamy.

– Chciałam zabić Zalę, przecież wiedziałam, że Camilla się z nim zmówiła. Nie miałam powodu się nią przejmować.

– To rozumiałe.

– Jednak powinnam się zastanowić, dlaczego Zala się zmienił.

– W jaki sposób się zmienił?

– Coraz częściej zostawał u nas na noc, co nie zgadzało się z jego zwyczajami. Był przyzwyczajony do luksusu, że mu usługują. A tu nagle pasuje mu nasze małe mieszkanie, czego powodem musiało być pojawienie się jakiegoś nowego pionka w grze. Wtedy na ulicy Twerskiej zrozumiałam to. Ciągnęło go do Camilli, jak wszystkich facetów.

– A więc to dla niej przychodził w nocy.

– Zawsze prosił ją, żeby poszła z nim do dużego pokoju, a kiedy słuchałam ich głosów, brzmiały, jakby znów planowali jakieś świństwo przeciw mnie i mamie. Ale chyba słyszałam też inne rzeczy, których wtedy nie rozumiałam. Często wyjeżdżali razem samochodem.

– Gwałcił ją.

– Niszczył ją.

– Nie możesz siebie o to obwiniać – przekonywał.

Znów chciało jej się krzyczeć. A odparła:

– Odpowiedziałam tylko na twoje pytanie. Zrozumiałam, że ani ja, ani mama nie zrobiłyśmy nic, żeby jej pomóc. Nagle to do mnie dotarło i dlatego się zawahałam.

Mikael siedział w milczeniu na łóżku i wyglądał, jakby trawił to, co od niej usłyszał. Położył rękę na jej ramieniu. Odsunęła ją i spojrzała w okno.

– Wiesz, co ja myślę? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Myślę, że ty po prostu nie jesteś osobą, która zabija w ten sposób.

– Gówno prawda.

– Nie wierzę w to, Lisbeth. Nigdy nie wierzyłem.

Lisbeth wzięła croissanta z tacy i mruknęła bardziej do siebie niż do niego:

– Ale powinnam była ją zabić, bo teraz ona pogoni nas wszystkich.

ROZDZIAŁ 20

27 SIERPNIA

JAN BUBLANSKI wziął ze sobą butelkę dwunastoletniej Grant's – od lat stała w domu nietknięta – co oczywiście było sprzeczne z jego zasadami. Jednak świadek prosił o whisky, więc postanowił nie być taki pryncypialny. Od wczoraj był skupiony wyłącznie na dochodzeniu w sprawie śmierci Nimy Rity, dlatego zrobił wszystko, by odnaleźć świadka, który jako ostatni widział Szerpę żywego, i w końcu znalazł go tu, w Haninge, w małym mieszkanku żółtego czynszowego domu przy Klockarleden.

Mieszkanie nie było może z tych najgorszych, w jakich zdarzyło mu się bywać, ale widywał lepsze. Cuchnęło, wszędzie wały się butelki, popielniczki i resztki jedzenia. Jednak od samego świadka biła swego rodzaju artystowska elegancja. Miał na sobie białą koszulę i paryski beret.

- Panie Järvinen – odezwał się Bublanski.
- Panie komisarzu.
- Może być?

Podsunał mu butelkę, reakcją był lekki uśmiech, następnie obaj usiedli na niebieskich krzesłach w kuchni.

– W nocy z czternastego na piętnasty sierpnia spotkał pan człowieka, znanego nam dziś jako Nima Rita, czy tak? – spytał.

– No właśnie... tak... kompletny świr. Paskudnie się czułem, czekałem na gościa, który zwykle stoi na Norra Bantorget i sprzedaje gorzałę, no i wtedy pojawił się ten włóczęga, krzywy i pokręcony, oczywiście nie powinienem się w ogóle do niego odzywać. Z daleka było widać, że wariat. Ale że lubię sobie pogadać, więc uprzejmie i delikatnie spytałem, jak leci, a on zaczął się wydzierać.

– Po jakiemu?

– Po angielsku i po szwedzku.

– Czyli znał szwedzki?

– Znał, nie znał. W każdym razie powiedział kilka słów. To było kompletnie niezrozumiałe. Wydzierał się, że był w chmurach, walczył z bogami i rozmawiał ze zmarłymi.

– Mógł mówić o Mount Evereście?

– Pewnie mógł, ale nie słuchałem dokładnie. Telepało mną i nie miałem siły na dyrdymały.

– Więc nie pamiętasz, co konkretnie mówił?

– Powiedział, że uratował życie wielu ludziom. *I saved many lives*, potem pokazywał swoje kikuty.

– Wspomniał ministra obrony Forsella?

Heikki Järvinen spojrzał zdziwiony, nalał sobie szklanekę whisky i trzymając w drżącej ręce, wypił jednym haustem.

– Śmieszne, że to mówisz – zauważył.

– Dlaczego?

– Bo chyba rzeczywiście wspomniał. Właściwie nic dziwnego. Przecież wszyscy o nim mówią.

– Ale co powiedział konkretnie?

– Chyba to, że go znał. Że zna mnóstwo ważnych osób, w co ciężko było uwierzyć. Wbijał mi to do głowy, a ja już miałem dość. I palnąłem coś głupiego.

– W jakim sensie?

– To znaczy... nic takiego, żadnego rasizmu, ale może nie było to za mądre. Powiedziałem, że wygląda jak czing czong Kitajec, a on aż się zagotował i tak mi przyłożył, że mnie zatkało, nie miałem szans. Po prawdzie spuścił mi łomot. Kapujesz?

– Domyślam się, że paskudnie się poczułeś.

– Krew mi leciała jak z zarzynanego prosiaka – ciągnął wzburzony Järvinen. – Do tej pory mam ślad. O, tu.

Pokazał na wargę, rzeczywiście była rozcięta. Z drugiej strony cały był pokaleczony i w sińcach, więc nie zrobiło to wielkiego wrażenia na Bublanskim.

– I co było potem?

– Ulotnił się i miał niezły odlot, chociaż może nie powinienem tak mówić, skoro następnego dnia zmarł. Ale tak to wtedy odebrałem. Nadział się na handlarza przy Vasagatan.

Bublanski nachylił się nad stołem.

– Sprzedawcę wódki?

– Jakiś facet zatrzymał go na chodniku przed hotelem, wiesz, wyglądało to, jakby dał mu flaszkę. Ale stałem daleko, więc mogę się mylić.

– Co możesz powiedzieć o tym gościu?

– O handlarzu?

– Tak.

– Niewiele, szczupły, wysoki, ciemne włosy. Czarna kurtka,

dżinsy, czapka z daszkiem. Ale twarzy nie widziałem.

- Wyglądał na alkoholika?
- Raczej nie. Nie chodził w ten sposób.
- To znaczy?
- Za lekko i za szybko jak na alkoholika.
- Jak człowiek wysportowany.
- Może i tak.

Bublanski milczał, obserwując Järvinena; wyglądał na człowieka w stanie głębokiego upadku, który jednak stara się jeszcze zachować pozory. Wciąż był w nim duch bojowy.

- Widziałeś, gdzie potem poszedł?
- W stronę dworca. Myślałem nawet, żeby się pod niego podczepić, ale nie miałem szans, żeby go dogonić.

– To może nie sprzedawał alkoholu? Może tylko chciał dać flaszkę Nimie?

- Chcesz przez to powiedzieć...
- Nic nie chcę przez to powiedzieć. Nima Rita umarł, bo został otruty, a biorąc pod uwagę jego sposób życia, nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że truciznę przyjął w alkoholu, więc rozumiesz, że bardzo mnie interesuje ten mężczyzna.

– W takim razie powinienem chyba powiedzieć jeszcze jedną rzecz – odezwał się Järvinen, wypiwszy następną szklanekę.

- Co takiego?
- Mówił, że już go próbowali truć.
- W jaki sposób?
- No... nie dało się za bardzo zrozumieć. Wykrzykiwał coś o swoich fantastycznych osiągnięciach i wybitnych ludziach,

których zna. Ale miałem wrażenie, że siedział w wariatkowie i tam odmawiał przyjmowania leków. Krzyczał: *They tried to poison me! But I ran. I climbed down a mountain to the lake.* Mniej więcej taki był sens. Że zwiął jakimś lekarzom.

– Z góry do jeziora?

– Coś takiego.

– Jak uważasz, czy to był szpital w Szwecji, czy za granicą?

– Chyba w Szwecji. Pokazał palcem za siebie, jakby to było gdzieś tutaj. Z drugiej strony ciągle wymachiwał rękami w różne strony, jakby niebo i bogowie, z którymi walczył, też byli zaraz za rogiem.

– Rozumiem – odparł Bublanski. Chciał już wyjść jak najprędzej.

SIEDZĄC PRZY biurku w pokoju hotelowym, Lisbeth zobaczyła na laptopie, że ludzie ze Svavelsjö MC z prezesem Markiem Sandströmem opuścili dom przy Strandvägen. Zastanawiała się, co zrobić, ale do żadnych wniosków nie doszła.

Wyłączyła laptopa i zobaczyła, że Mikael siedzi w ubraniu na łóżku, czytając coś na smartfonie, pomyślała, że powinna zostawić go w spokoju. Miała dość rozmów o swoim życiu, tym bardziej jego teorii, że w gruncie rzeczy jest dobra albo coś w tym rodzaju, co ostatnio próbował jej przekazać.

– Co robisz? – spytała.

– Co?

– Co cię tak wciągnęło?

– Historia Szerpy.

- Doszedłeś do czegoś?
- Przyglądam się temu Stanowi Engelmanowi.
- Przyjemniaczek, co?
- Rzeczywiście. Całkiem w twoim typie.
- No i ten Mats Sabin – powiedziała.
- On też.
- I co o nim myślisz?
- Jeszcze do niego nie doszedłem.
- Myślę, że możesz o nim zapomnieć – powiedziała.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Dlaczego tak mówisz?

– Bo domyślałam się, że to jest taka sytuacja, kiedy człowiek wpada na coś i strasznie się podnieca, że mu się zgadza, ale ja w to nie wierzę.

- Dlaczego nie wierzysz?

Lisbeth podeszła do okna i przez szczelinę między zasłonami wyjrzała na Luntmakargatan, myślała o Camilli i Svavelsjö MC. Coś jej przyszło do głowy. Może by ich jednak przycisnąć.

- Dlaczego? – powtórzył.

– Jakoś za szybko na niego trafiłeś, nie? Zanim jeszcze ustaliłeś, co ten żebrak mówił.

- To prawda.

- Powinieneś chyba cofnąć się do czasów kolonialnych.

- Jak to?

– Czy cała ta historia z Everestem nie jest jakimś reliktem z czasów kolonialnych z białymi wspinaczami i kolorowymi tragarzami?

– Może i tak.

– Wydaje mi się, że powinieneś wziąć to pod uwagę i zastanowić się, jak w ogóle wyrażał się Nima Rita.

– A mogłabyś choć raz powiedzieć jasno, o co chodzi?

CZEKAŁ NA odpowiedź, ale Lisbeth znów odpłynęła, jak wcześniej na fotelu, więc pomyślał, że sam to sprawdzi. Zaczął się pakować. Trzeba ruszać, potem znów spotka się z Lisbeth. Schował laptopa do torby i wstał. Uściska ją i powie, żeby uważała na siebie. Jednak nie reagowała, nawet kiedy stanął obok.

– *Earth to Lisbeth* – odezwał się i zaraz poczuł się głupio. Wtedy oprzytomniała i spojrzała na jego torbę.

Jakby ta torba coś jej mówiła.

– Nie możesz jechać do domu – powiedziała.

– To pojedę gdzie indziej.

– Mówię serio – ciągnęła. – Nie możesz wrócić do domu ani do kogoś, z kim cię skojarzą. Oni cię obserwują.

– Sam zadbam o siebie.

– Nie potrafisz. Daj mi swoją komórkę.

– Odczep się. Znowu? Nie.

– Dawaj.

Mikael uznał, że już dość grzebała w jego smartfonie, i chciał włożyć go do kieszeni. Wyrwała mu telefon. Zdenerwował się, nawet zezłościł, ale nic mu to nie pomogło. Znów majstrowała przy programach kodowania. W końcu się jednak znecierpliwił i syknął:

– Co ty robisz?

Podniosła wzrok. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– To mi się podoba – powiedziała.

– Co ci się podoba?

– Te słowa.

– Które?

– „Co ty robisz?” – możesz to powtórzyć, ale w liczbie mnogiej?

Tym samym tonem?

– O czym ty mówisz?

– Po prostu powiedz to.

Podsunęła mu komórkę.

– Co?

– Co wy robicie?

– Co wy robicie? – powtórzył po niej.

– Dobrze, świetnie.

Pogrzebała jeszcze w jego telefonie i oddała mu.

– Coś ty zrobiła?

– Będę wiedziała, gdzie jesteś, i słyszała, co się z tobą dzieje.

– Kurwa!

– Właśnie.

– Czyli nie będę już miał żadnego życia prywatnego.

– Miej sobie życie prywatne, jakie tylko chcesz, nie będę cię podsłuchiwać bez potrzeby, w każdym razie dopóki nie wypowiesz tych słów.

– Więc nadal mogę cię obgadywać.

– Co?

– To był żart, Lisbeth.

– Okej.

Uśmiechnął się.

Może uśmiechnęła się w odpowiedzi, a może nie. Znowu spojrzął na nią i podziękował.

– Nie wychylaj się za bardzo – powiedziała.

– Tak jest.

– Dobra.

– Całe szczęście, że nie jestem znany.

– Co?

Znowu nie zajrzała. W końcu uściskał ją, wyszedł i spróbował włączyć się w życie miasta. Nie za bardzo mu to wychodziło, już przy Tegnératan jakiś facet chciał sobie zrobić z nim selfie. Doszedł do Sveavägen i choć nie powinien rzucać się w oczy, usiadł na ławce niedaleko biblioteki miejskiej i znowu wrzucił do wyszukiwarki Nimę Ritę, aż trafił na długi artykuł w magazynie „Outside” z sierpnia 2008.

Nigdzie nie dano mu się wypowiedzieć równie obszernie jak w tym artykule. Na pierwszy rzut oka nie powiedział nic takiego. Były to rzeczy, które Mikael czytał już wcześniej, słowa żalu w związku ze śmiercią Klary Engelman. A jednak zaraz aż podskoczył, chociaż w pierwszej chwili sam nie wiedział dlaczego. Chodziło o jedno zdanie przepełnione rozpaczą.

I really tried to take care of her. I tried. But Mamsahib just fell, and then the storm came, and the mountain was angry, and we couldn't save her. I am very, very sorry for Mamsahib.

Mamsahib.

No jasne. *Mamsahib*, tak też można, żeńska forma *sahib*, określenie białych używane w kolonialnych Indiach. Dlaczego nie

pomyślał o tym wcześniej? Przecież dokumentując temat, widział, że wielu Szerpów określało w ten sposób wspinaczy z Zachodu.

I took Forsell and I left Mamsahib.

Tak właśnie musiał powiedzieć, prawdopodobnie więc mówił o Klarze Engelman. Ale co to znaczy? Czyżby zamiast niej ratował Johanna Forsella? Nie zgadzało się to z kolejnością wydarzeń.

Klara i Johannes znajdowali się w różnych rejonach góry, Klara zapewne już nie żyła, kiedy Forsell znalazł się w kłopotach. A jednak... czyżby tam na górze wydarzyło się coś, co należało ukryć? To możliwe. Mikael poczuł przypływ energii, co odebrał jako oznakę, że koniec urlopu, i uzmysłowił sobie, że musi wyjaśnić tę historię aż do spodu. Ale najpierw wysłał esemesa do Lisbeth:

Dlaczego ty zawsze musisz być taka cholernie bystra??

ROZDZIAŁ 21

27 SIERPANIA

PAULINA MÜLLER siedziała na łóżku w swoim dawnym pokoju w Bogenhausen w Monachium. Była w piżamie, rozmawiała przez telefon i popijała gorącą czekoladę, a mama biegała koło niej, jakby znów miała dziesięć lat, co wcale nie było takie złe.

Chciała znów być dzieckiem, żeby móc się wypłakać i nie myśleć o czymś takim jak odpowiedzialność. Poza tym myliła się. Rodzice doskonale wiedzieli, jakim człowiekiem jest Thomas. Nie dostrzegła w ich oczach nawet cienia wątpliwości, kiedy im opowiedziała, co jej zrobił. A teraz zamknęła się w swoim pokoju i zawołała, żeby jej nie przeszkadzać.

– Czyli nie masz pojęcia, kim jest ta kobieta? – upewniła się przez telefon inspektor kryminalna Ulrike Jensen, ale takim tonem, jakby wcale w to nie wierzyła, zresztą mając ku temu powody.

Paulina nie tylko wiedziała, kim była kobieta z żelazkiem, ale również dostrzegła w tym jakąś mroczną logikę i przeraziła się, że w jakimś sensie sama to usankcjonowała. Ileż to razy podczas podróży do Monachium mówiła sobie: *Nie mogę się z nim znów spotkać, nie mogę. Wolałabym umrzeć.*

– Nie – odparła. – Nie wydaje mi się, żebym ją znała.

– Thomas zeznał, że poznałeś kobietę, w której się zakochałeś –

ciągnęła Ulrike Jensen.

– Napisałam tak, żeby mu zrobić na złość.

– A jednak wydaje się, jakby sprawczynię łączyła z tobą więź emocjonalna. Jakbyś ty była jej przekazem. Twój mąż musiał jej przysiąc, że nigdy więcej nie będzie cię niepokoił.

– Dziwne.

– Na pewno? Twoi sąsiedzi mówili, że przed swoim zniknięciem miałaś zabandażowane ramię. Tłumaczyłaś, że się oparzyłaś żelazkiem.

– Zgadza się.

– Ale nie wszyscy w to uwierzyli, Paulino. Słyszeli krzyki w twoim mieszkaniu. Krzyki i awantury.

Paulina zawahała się.

– Tak?

– Może w rzeczywistości było tak, że Thomas cię oparzył?

– Może.

– Rozumiesz więc, że podejrzewamy zemstę, ze strony osoby ci bliskiej.

– Nic o tym nie wiem.

– Nie wiesz.

I tak to trwało, tam i z powrotem, aż Ulrike Jensen nagle zmieniła ton.

– Poza tym...

– Tak?

– Chyba już nie musisz się go bać.

– W jakim sensie?

– Twój mąż chyba boi się tej kobiety. Przypuszczam, że będzie

się trzymał od ciebie jak najdalej.

Paulina znów się zawahała. Po chwili spytała:

– Czy to wszystko?

– Na razie tak.

– W takim razie dziękuję.

– Komu?

– Nie wiem – odparła, a potem dodała, sądząc, że tak wypada, że ma nadzieję, że Thomas wkrótce poczuje się lepiej.

Jednak to również nie było prawdą. Rozłączywszy się, wciąż siedziała na łóżku, usiłując przyswoić sobie tę informację, a wtedy telefon znów zadzwonił. Była to adwokatka Stephanie Erdmann, specjalizująca się w rozwodach, Paulina czytała o niej w gazetach. Stephanie Erdmann powiedziała, że będzie jej pełnomocniczką, a o honorarium Paulina może się nie martwić, zostało już zapłacone.

SONJA MODIG spotkała go na korytarzu w gmachu policji i pokręciła głową. Domyślił się, że Nima Rita nie figurował również w rejestrach służby zdrowia. Przynajmniej mieli zgodę na poszukiwania, co samo w sobie było małym zwycięstwem, bo przeszkód w tej sprawie nie brakowało. Rozmowy z wywiadem wojskowym miały do tej pory przebieg jednokierunkowy, co go coraz bardziej złościło. Spojrzał na Sonję i powiedział w zamyśleniu:

– Możliwe, że mamy podejrzanego.

– Naprawdę?

– Ale żadnego nazwiska, nawet rysopisu.

– I mówisz, że mamy podejrzanego?

– No to trop.

I Bublanski opowiedział jej o człowieku, którego Heikki Järvinen widział od strony Norra Bantorget między pierwszą a drugą w nocy z piątku na sobotę piętnastego sierpnia, a który być może dał Nimie butelkę gorzały.

Sonja notowała, idąc do jego gabinetu; tam usiedli naprzeciw siebie i z początku nic nie mówili. Bublanski wiercił się niespokojnie. Instynkt podpowiadał mu, że jest coś jeszcze.

– Czyli nie ma dowodów, żeby miał kontakt ze szwedzką służbą zdrowia?

– Jak do tej pory – odparła. – Ale się nie poddaję. Przecież mógł być zarejestrowany pod innym nazwiskiem, prawda? Staramy się teraz o zgodę sądu na dalsze poszukiwania na podstawie jego znaków szczególnych.

– A czy wiemy, jak długo był widywany w Sztokholmie? – spytał Bublanski.

– Wprawdzie ludzie zawsze mają kłopot z określeniem czasu występowania jakiegoś wydarzenia, ale nic nie wskazuje, aby przebywał w tamtej okolicy dłużej niż parę tygodni.

– Mógł przyjechać z innej dzielnicy albo z innego miasta?

– Według mnie raczej nie. Tak mi mówi moje przeczucie.

Bublanski odchylił się w fotelu, spojrzął w okno wychodzące na Bergsgatan i nagle wiedział już, czego szuka.

– Południowe Skrzydło – powiedział.

– Co?

– Psychiatryczny oddział zamknięty Południowego Skrzydła.

Myślę, że mógł tam siedzieć.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo to by się zgadzało.

– W jakim sensie?

– To jest takie miejsce, gdzie umieściłoby się gościa, którego chce się ukryć. Południowe Skrzydło nawet nie podlega publicznej ochronie zdrowia. To prywatna fundacja, zresztą wiem od dawna, że wojsko współpracuje z tą kliniką. Pamiętasz Anderssona? Szalonego żołnierza sił ONZ z Konga, który zaczął napadać ludzi na mieście? Siedział w Południowym Skrzydle.

– Pamiętam – powiedziała Sonja. – Ale dla mnie wciąż wygląda to na bezpodstawny domysł.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem.

– To dokończ, komisarzu.

– Według Järvinena Nima powiedział, że uciekł, schodząc z góry do jeziora, co również się zgadza, prawda? Południowe Skrzydło jest usytuowane dość widowiskowo, bo na skraju skały wznoszącej się nad Årstaviken. W dodatku nie jest to wcale daleko od Mariatorget.

– To może być strzał w ciemno. Ale zaraz to sprawdzę.

– Doskonale, chociaż...

– Co?

– To wciąż nie tłumaczy, w jaki sposób Nima Rita trafił do Szwecji i przeszedł kontrolę paszportową, bo jego nazwisko nie zostało zarejestrowane.

– Rzeczywiście nie tłumaczy – przyznała Sonja. – Jednak zawsze to jakiś początek.

– Dobrym początkiem byłaby również rozmowa z Rebecką Forsell. Ale nie pozwolą nam.

– Rzeczywiście – przyznała zamyślona, patrząc na niego.

– Co jest?

– Podobno w Sztokholmie jest jeszcze jedna kobieta, która знаła Nime, a także Klarę Engelman.

– Kto to jest?

Sonja powiedziała mu.

IDĄC W DÓŁ Götgatan, Catrin Lindås próbowała kolejny raz dodzwonić się do Mikaela. Zaklęła, gdy znów nie odebrał – choć czasem telefon był zajęty. Co ją obchodzi ten facet? Miała na głowie ważniejsze sprawy. Właśnie skończyła nagrywać podcast na temat kampanii medialnej przeciwko Johannesowi Forsellowi, jej rozmówcami byli minister kultury Alicia Frankel i profesor wydziału dziennikarstwa Jörgen Vrigstad. Była dość wytrącona z równowagi, co zresztą często jej się zdarzało po nagraniach.

Była niezadowolona z jakiegoś zdania albo źle postawionego pytania, teraz też miała obawy, że poszła za ostro i okazała się równie nieobiektywna jak media, które krytykowała: domagała się, żeby uwzględniały racje obu stron, choć sama tego nie zrobiła. Jednak zawsze była bardzo samokrytyczna i zdawała sobie sprawę, że hejt przeciwko Forsellowi strasznie zalaż jej za skórę. Może nawet chodziło jej bardziej o siebie niż o Forsella.

Świetnie wiedziała, jak niszczącą siłą są kłamstwa i nienawiść. Sama wprawdzie nie miała nigdy myśli samobójczych, ale zdarzało jej się tracić grunt pod nogami i cięła się, jak wtedy, gdy była

nastolatką. Dziś od samego rana, kiedy zaczęła przygotowywać się do nagrania, miała kiepskie samopoczucie, jakby wracało do niej coś mrocznego z przeszłości. Odepchnęła od siebie te myśli. Na Götgatan było mnóstwo ludzi. Na chodniku stała wrzeszcząca gromadka przedszkolaków z balonikami, więc skręciła w Bondegatan i dotarła do Nytorget, gdzie już mogła nieco odetchnąć.

Nytorget, uważany za jedno z najszykowniejszych miejsc w dzielnicy, funkcjonował również jako pejoratywny synonim układu w mediach; jej ta okolica dawała poczucie bezpieczeństwa, jakby trafiła do domu, a jednocześnie się od niego uwolniła. To prawda, że miała na szyi pętlę kredytową. Jednak odkąd jej program radiowy zyskał taki rozgłos – był to obecnie najważniejszy podcast w Szwecji – czuła się całkiem pewnie, zresztą zawsze mogła sprzedać mieszkanie i wyprowadzić się na przedmieścia. To, że w każdym momencie może wszystko stracić, było dla niej zupełnie oczywiste.

Przyspieszyła. Czyżby słyszała za sobą czyjeś kroki? Nie, to jakieś głupstwa, duchy z przeszłości. Mimo to chciała jak najprędzej znaleźć się w domu i zapomnieć o świecie, zatonać w jakiejś komedii romantycznej albo czymś innym, bez jakiegokolwiek związku z jej własnym życiem.

MIKAEL ZNAJDOWAŁ się na Östermalmie. Siedząc na balkonie, robił wywiad z kobietą, o której Bublanskiemu mówiła Sonja Modig. Przyszedł do niej prosto z Biblioteki Królewskiej, gdzie spędził cały dzień na lekturze, i teraz miał już jasność co do

przebiegu zdarzeń na Evereście, a tak naprawdę co do braków w relacjach i tego, czego musiał się jeszcze dowiedzieć.

Wprosił się do mieszkania Elin na Jungfrugatan. Elin, po mężu Felke, miała obecnie trzydzieści dziewięć lat i była kobietą atrakcyjną, choć o urodzie nieco surowej, miała wyraziste rysy i niezwykle szczupłą sylwetkę. W 2008 roku nazywała się Malmgård, była znaną gwiazdą fitnessu – z własną rubryką w „Aftonbladet”, gdzie odpowiadała na pytania czytelników – i uczestniczką wyprawy na Everest pod wodzą Amerykanina Grega Dolsona.

Ekipa Dolsona ruszyła na szczyt tego samego dnia co grupa Wiktora Grankina, czyli trzynastego maja. W okresie aklimatyzacji obie wyprawy przebywały obok siebie w obozie bazowym. Elin zbliżyła się do swoich rodaków, Forsella i Svantego Lindberga, zaprzyjaźniła się również z Klarą Engelman.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać – powiedział Mikael.

– Nie ma za co. Jak się domyślasz, mam już serdecznie dość tej historii. Miałam prawie dwieście wystąpień na ten temat.

– Musiałaś nieźle zarobić – zauważył.

– Wtedy, jak pamiętasz, też był kryzys finansowy, więc nie aż tak dużo.

– Szkoda. Ale opowiedz o Klarze Engelman. Wiem, co ją łączyło z Grankinem, więc nie musisz nic ukrywać.

– Będziesz się na mnie powoływał w tekście?

– Jeśli nie zechcesz, to nie. Przede wszystkim chcę zrozumieć.

– Okej, byli parą. Ale zachowywali dyskrecję. W obozie

wiedziało o nich niewiele osób.

– Ale ty wiedziałaś?

– Klara mi powiedziała.

– Czy to nie dziwne, że Klara znalazła się w wyprawie Wiktora Grankina? Z takimi pieniędzmi i kontaktami powinna chyba wybrać którąś z ekspedycji amerykańskich, jak choćby Dolsona, cieszącego się jednak większą renomą?

– Grankin też miał renomę, ale chodziło o jakieś kontakty Wiktora ze Stanem Engelmanem. Znali się.

– Mimo to Grankin poderwał mu żonę?

– Tak, to musiał być dla niego cios.

– Czytałem, że na początku pobytu w obozie Klara Engelman wydawała ci się nieszczęśliwa.

– Wcale nie – odparła. – Wydawała mi się arcyzarozumiała. Dopiero z czasem zorientowałam się, że rzeczywiście jest nieszczęśliwa i że przygoda z Everestem miała dla niej charakter pewnego wyzwolenia. Miała nadzieję, że nabierze odwagi, żeby się rozwieść. Pewnego wieczoru, kiedy popijałyśmy wino w jej namiocie, powiedziała mi, że wzięła adwokata.

– Charlesa Mestertona, tak?

– Chyba tak, nie jestem pewna, nawiązała też kontakt z pewnym wydawnictwem. Powiedziała, że zamierza opisać nie tylko swoją wyprawę na Everest, ale również historie Stana z prostytutkami i gwiazdkami filmów porno oraz jego kontakty ze światem przestępczym.

– Czyli Stan Engelman mógł poczuć się zagrożony.

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego?

– Bo o ile Klara miała jednego adwokata, o tyle on miał dwudziestu, zresztą wiem, że się go bała. Mówiła, że ją zmiażdży.

– I wtedy coś się stało.

– Wkroczył nasz bohater.

– Grankin.

– Właśnie.

– Co zrobił?

– Nie mam pojęcia. Wiktozem było łatwo się zauroczyć. We wszystkich sytuacjach, zarówno zwyczajnych, praktycznych, jak i trudnych, bił od niego cudowny spokój. Wystarczyło spojrzeć na niego i już czuliśmy: Wiktor sobie z tym poradzi. Miał misiówaty urok i wszystkie obawy zbywał cudownym śmiechem. Pamiętam, że zazdrościłam, że nie on jest szefem naszej wyprawy.

– I Klara wpadła.

– Po uszy.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Zastanawiałam się potem, czy również to nie miało czegoś wspólnego ze Stanem. Wyobraziła sobie, że z Wiktozem u swego boku potrafi wygrać z mężem. Wiktor wyglądał na takiego, który nawet pod gradem kul mógłby stać i się uśmiechać.

– A potem coś się zmieniło.

– Tak.

– Opowiadaj.

– Nawet u niego pojawiła się jakaś nerwowość, wszystkich to zaniepokoiło. Jakby spokojna dotąd stewardesa zaczęła się nagle denerwować. Człowiek zaczyna się wtedy bać, że naprawdę

samolot spadnie.

– Jak myślisz, co się stało?

– Nie mam pojęcia. Czy zestresował się tym skokiem w bok, czy zrozumiał, że ze Stanem nie ma żartów, że będą konsekwencje, i szczerze mówiąc...

– Co takiego?

– Ja się z tym zgadzam. Wtedy byłam młoda i ich romans wydawał mi się porywający. Jakbym poznała największą tajemnicę na świecie. Teraz po latach uważam, że było to z ich strony cholernie nieodpowiedzialne, i nie mam tu na myśli Stana ani żony Wiktora, tylko uczestników wyprawy. Wiktor miał się opiekować wszystkimi, nikogo nie faworyzując. A on zafiksował się na Klarze i uważam, że był to jeden z powodów, że poszło tak źle. Za wszelką cenę chciał wprowadzić ją na szczyt.

– A powinien był odesłać na dół.

– Zdecydowanie, ale widocznie nie potrafił się na to zdobyć. Nie tylko dlatego, że przedstawiała jakąś wartość medialną. Zresztą był wściekły na media, że obrzuciły ją błotem, i chciał pokazać całemu światu, że dała radę.

– Są pewne informacje, że podczas wspinaczki z obozu czwartego Grankin nie do końca był sobą.

– Też tak słyszałam. Możliwe, że się sforsował, starając się utrzymać grupę w całości.

– Jak się odnosił do Nimy Rity?

– Wiktor z ogromnym szacunkiem.

– A Klara?

– W sposób... szczególny.

– To znaczy jaki?

– Pochodzili z dwóch różnych światów.

– Źle się do niego odnosiła?

– Nima był bardzo przesądny.

– I robiła mu docinki z tego powodu?

– Może i tak, ale nie sędzę, żeby na niego to działało. Dalej robił swoje. Ich stosunki zepsuło coś innego.

– Co takiego?

– Miał żonę.

– Lunę.

– Właśnie. Miała na imię Luna i była dla niego wszystkim. Przypuszczam, że można byłoby mu wszystko powiedzieć, potraktować go jak powietrze albo jak śmiecia. Zupełnie to po nim spływało. Ale jedno złe słowo o jego żonie, a wzrok mu ciemniał. Pewnego ranka Luna przysłała do bazy, przynosząc w ozdobnym koszu świeży chleb, ser, mango, liczi i mnóstwo innych przysmaków. Chodziła między namiotami i rozdawała, wszyscy aż rozpromieniali się na jej widok i dziękowali. Przechodząc obok namiotu Klary, potknęła się na rakach do wspinaczki, a może na torebce, która z całą pewnością nie była tam potrzebna, dość, że wszystko wypadło z kosza na ziemię. Luna otarła sobie rękę, w sumie nic takiego. Ale Klara siedziała obok i zamiast pomóc zbierać rozsypane rzeczy, burknęła tylko: „Uważaj, jak chodzisz”. Zachowała się jak ostatnia kretyńka albo rozkapryszona primadonna, Nima wtedy o mało nie wybuchł. Aż się przestraszyłam, bo widziałam po nim, że zaraz się całkiem zagotuje. Jednak zanim cokolwiek się stało, Johannes Forsell

doskoczył, pomógł Lunie wstać, pozbierać chleb i owoce.

– Więc Forsell był z nimi zaprzyjaźniony?

– On był ze wszystkimi zaprzyjaźniony. Poznałeś go? Zanim został powszechnie znienawidzony?

– Zrobiłem z nim wywiad zaraz po jego nominacji.

– To nie zrozumiesz. Wszyscy go wtedy uwielbiali. Był jak wichur. W ciągłym ruchu, zawsze uśmiechnięty, z kciukiem uniesionym do góry, ale może masz rację, że był szczególnie blisko z Nimą. *Let me bow to the mountain legend*, mawiał ciągle, *What a wife you have! What a beautiful woman*, więc jasne, że Nima był w siódmym niebie.

– Czy Nima odpłacał mu tym samym?

– W jakim sensie?

Mikael nie wiedział, jak to ująć, nie chciał rzucać bezpodstawnych oskarżeń.

– Zastanawiam się, czy to możliwe, że Nima pomógł na górze Forsellowi kosztem Klary Engelman.

Elin spojrzała ze zdumieniem.

– Nie rozumiem, jak by to miało wyglądać – powiedziała. – Przecież Nima szedł z Wiktorem i Klarą, prawda? A Svante i Johannes wcześniej ruszyli sami na szczyt.

– Wiem, ale co było potem, co się stało? Wszędzie piszą, że Klara była nie do uratowania. Ale czy na pewno? – spytał, a wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Elin się zapieniła.

– Na pewno, kurde – syknęła. – Mam tego serdecznie dość. Tym idiotom wydaje się, że zjedli wszystkie rozumy, chociaż w życiu

nie byli na takiej wysokości. Ale ja ci powiem... – Aż nie znajdowała słów. – Czy ty masz pojęcie, jak tam jest? Człowiek nie ma nawet siły myśleć, jest zimno nie do wytrzymania i ciężko, w najlepszym razie jesteś w stanie stawiać krok za krokiem. Nikt, choćby był Nimą, nie potrafiłby sprowadzić na dół kogoś, kto na wysokości ośmiu tysięcy trzystu metrów leży w śniegu bez życia, z odmrożoną twarzą, a tak było z Klarą. Sami ich widzieliśmy, schodząc, wiedziałeś chyba? Ją i Wiktora wtulonych w siebie na śniegu.

– Wiem.

– Już było po wszystkim. Nie było takiej możliwości, żeby jej pomóc. Była martwa.

– Ja tylko staram się przyglądać kawałkom tej układanki ze wszystkich stron – odparł.

– Nie wierzę ci ani trochę. Chciałeś mi dać coś do zrozumienia, może nie? Chcesz dopaść Forsella, tak jak wszyscy.

Chciał krzyknąć, że nie, wcale nie chcę! Zaczepnął głęboko tchu.

– Przepraszam – powiedział. – Ja tylko uważam...

– Co uważasz?

– Że w tej historii coś się nie zgadza.

– Co na przykład?

– Klara potem nie leżała z Wiktorem. Wiem, że znaleźli ich dopiero rok później, w tym czasie mogło się zdarzyć wszystko, lawina, burze śnieżne. Jednak...

– Co jednak?

– Nie podoba mi się również relacja Svantego Lindberga.

Odnoszę wrażenie, że nie powiedział całej prawdy.

Elin uspokoiła się, spojrzała w dół na podwórko.

– To akurat rozumiem – odparła.

– Dlaczego akurat to?

– Bo Svante był wielką zagadką dla nas wszystkich w obozie.

ROZDZIAŁ 22

27 SIERPNIA

CATRIN PRZYCUPNEŁA obok kota na kanapie w swoim mieszkaniu przy Nytorget. Spojrzała na komórkę. Wydzwaniała do Mikaela aż za wiele razy, złościła się na siebie i wstydziła. Odsłoniła się, a w zamian dostała tylko zagadkowego esemesa:

Wydaje mi się, że żebrak powiedział do ciebie Mamsahib, jak Mamsahib Klara Engelman. Nie przypominasz sobie nic więcej? Cenne byłoby każde, nawet najmniejsze słówko.

Mamsahib, poszukała tłumaczenia: „Używane w Indiach określenie białej kobiety, wyrażające szacunek”. Rzeczywiście mógł tak powiedzieć, co tam, ale kim, do cholery, była Klara Engelman?

Miała to gdzieś, Mikaela też. Nie pozwolił sobie na choćby jedno miłe słowo, nawet zwykłe „cześć, co słyhać?”. Oczywiście nic w rodzaju „tęsknię za tobą”, jak napisała do niego w chwili niezrozumiałej słabości. Niech go szlag.

Poszła do kuchni po coś do jedzenia. Właściwie nie czuła głodu, więc trzasnęła drzwiami lodówki i z półmiska na stole wzięła jabłko, ale również go nie zjadła, może dlatego, że w tym samym momencie odezwał się dzwonek w tyle głowy. Klara Engelman?

Brzmi znajomo, jakoś celebrycko. Wrzuciła nazwisko do wyszukiwarki i wtedy przypomniała jej się cała historia.

Kiedyś przeczytała o niej reportaż w „Vanity Fair” i teraz, nie mając do roboty nic innego, obejrzała zdjęcia Klary Engelman, serię pozowanych fotografii z bazy, jak również zdjęcia Wiktora Grankina, który zginął na Evereście razem z nią. Klara była ładna, choć miała nieco pospolitą urodę, a na zdjęciach wydawała się smutna. Wprawdzie uśmiechała się, ale tak, jakby próbowała radzić sobie z depresją, podczas gdy ten Grankin wydawał się... właśnie, jaki?

Napisali o nim, że był inżynierem, zawodowym wspinaczem, konsultantem biur podróży w branży sportów ekstremalnych, ale według niej wyglądał bardziej na wojskowego, żołnierza sił specjalnych, zwłaszcza na zdjęciu z Everestu, gdzie stał wyprostowany obok... Johannesa Forsella. Zakłęła głośno, zapomniała nawet, że jest zła na Mikaela Blomkvista. Odpisała mu:

Coś ty takiego znalazł?

JESZCZE PRZED CHWILĄ Elin Felke była oburzona i wściekła na niego. Teraz miała minę niepewną, zadziwioną, jakby w ciągu sekundy wpadła z jednej skrajności w drugą.

– Mój Boże, i co ja mam ci powiedzieć o Svantem? Ten to miał wiarę w siebie! W głowie się nie mieści. Potrafił namówić ludzi do wszystkiego. Nawet zaczęliśmy popijać tę jego zupę jagodową. Powinien był zostać sprzedawcą czy co. Może na Evereście jednak nie wszystko poszło po jego myśli.

– To znaczy?

– Svante był jedną z osób, które wyniuchały, że Wiktor i Klara spiknęli się ze sobą, i dziwnie go to drażniło.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Takie odniosłam wrażenie. Może był zazdrosny, nie wiem, i wydaje mi się, że Wiktor to zauważył. Przypuszczam nawet, że był to jeden z powodów, że się coraz bardziej denerwował.

– Dlaczego?

– Coś nim zachwiało, już ci mówiłam. Najpierw był opoką dla wszystkich w obozie, potem stał się coraz bardziej nerwowy. Zastanawiam się czasem, czy on się przypadkiem nie obawiał Svantego.

– Dlaczego?

– Mógł się na przykład bać, że Svante doniesie Stanowi Engelmanowi.

– Czy cokolwiek wskazywało, że się kontaktują?

– Może nie, ale...

– Ale co?

– Zorientowałam się, że Svante jest dość podstępny, czasem mówił o Engelmanie w taki sposób, jakby go znał. Mówił „Stan” i brzmiało to jakoś tak... familiarnie. Ale możliwe, że to tylko moje złudzenie, zresztą po tylu latach trudno pamiętać. Wiem tylko, że nawet Svante pod koniec spuścił z tonu. Jakby chodził na paluszkach.

– Czyli też się czymś denerwował.

– Wszyscy się denerwowaliśmy.

– No jasne. Ale nazwałaś go wielką zagadką.

– Chyba o to chodzi. Był taki pewny siebie, istny król, a przy tym spięty, nerwowy. Wspaniałomyślny i hojny, a jednocześnie wredny. W jednej chwili ci się podlizywał, aby w następnej cię kolnąć.

– A jak się odnosił do Johannesesa Forsella?

– Wydaje mi się, że tak samo. Z jednej strony uwielbiał Johannesesa.

– A z drugiej...

– Miał na niego oko. Żeby mieć na niego haki.

– Dlaczego tak mówisz?

– Sama nie wiem. Chyba dlatego, że przeżywam ten hejt przeciwko Forsellowi.

– Co masz na myśli?

– Że to strasznie niesprawiedliwe. Czasem przychodzi mi do głowy, że Johannes cierpi z powodu czegoś, co zrobił Svante. Ale za dużo mówię.

Mikael zaśmiał się delikatnie.

– Może i tak. Mimo to cieszę się, że pomagasz mi myśleć, a jeśli chodzi o mój artykuł, to już ci mówiłem, że nie musisz się o nic martwić. Lubię pogdybać, ale kiedy piszę, trzymam się faktów.

– Szkoda.

– Ha, może. Przypuszczam, że to trochę jak ze wspinaczką. Nie możesz zgadywać, gdzie jest następna skalna półka. Musisz wiedzieć. W przeciwnym razie będzie z tobą kiepsko.

– To prawda.

Zerknął na smartfon i zobaczył, że Catrin odpowiedziała. Odpowiedziała pytaniem – równie dobry powód, by skończyć tę

rozmowę, jak każdy inny. A więc pożegnał się uprzejmie z Elin Felke i wyszedł na ulicę z walizką w rękę, bez pomysłu, dokąd iść.

FREDRIKA NYMAN wróciła późnym popołudniem do swojego domu w Trångsund, tam odebrała mail od psychiatry Farzada Mansoora, ordynatora psychiatrycznego oddziału zamkniętego w Południowym Skrzydle. Farzad Mansoor dostał od niej i od policji szczegółowe informacje z prośbą o sprawdzenie, czy Nima Rita był pacjentem jego kliniki.

Fredrika nie wierzyła w to. Według niej stan zdrowia Szerpy był tak zły, że nie mógł przebywać wcześniej w szpitalu, chociaż ślady leków przeciwpsychotycznych w jego krwi wskazywały na to, że jednak tak było. Dlatego była bardzo ciekawa, co napisał Farzad – i nie tylko ze względu na śledztwo.

Głos Farzada w telefonie brzmiał miękko i delikatnie, a to, co przeczytała o nim w sieci, również jej się podobało. Błysk w oku i ciepły uśmiech, owszem, również jego zainteresowanie szybownictwem, o czym napisał na Facebooku. Jednak w mailu – adresowanym zarówno do Bublanskiego, jak i do niej – tłumaczył się i aż buzował wściekłością.

Na wstępie chcę podkreślić, że jesteśmy wstrząśnięci i przygnębieni tym, co się stało, doszło do tego w najbardziej niefortunym momencie w roku, podczas jedyne go tygodnia w lipcu, kiedy i ja, i szef kliniki, Christer Alm, byliśmy nieobecni, co spowodowało, że sprawa wpadła w lukę w systemie.

Jakie wydarzenie? Jaka sprawa? Jaka luka? – pomyślała gniewnie, jakby ją uraziło, że sympatyczny szybownik tak się

pogubił. Jednak przejrzawszy szybko pełen różnych zwrotów długi mail, zrozumiała, że Nima Rita istotnie był pacjentem Południowego Skrzydła, choć pod innym nazwiskiem; że wieczorem dwudziestego siódmego lipca oddalił się, co nie zostało zgłoszone od razu, przede wszystkim dlatego, że osoby odpowiedzialne akurat miały wolne. Inny powód był taki, że wobec pacjenta zastosowano szczególne, tajne procedury, które zostały zignorowane – może ze strachu, a może w poczuciu winy.

Farzad Mansoor pisał, co następuje:

Jak wam być może wiadomo, wraz z Christerem Almem objęliśmy kierownictwo Południowego Skrzydła w marcu bieżącego roku. Odkryliśmy liczne nieprawidłowości, między innymi, że wielu pacjentów trzymano w zamknięciu, poddając przymusowym zabiegom, których oddziaływanie było według nas wyłącznie negatywne.

Jednym z tych pacjentów był mężczyzna przyjęty w październiku 2017 pod nazwiskiem Nihar Rawal. Nie posiadał żadnych dokumentów, z naszych danych wynika jednak, że miał pięćdziesiąt cztery lata, cierpiał na schizofrenię paranoidalną i trudne do oceny urazy natury neurologicznej. Podobno pochodził z górskich okolic Nepalu.

Fredrika wyjrzała z pokoju na córki. Jak zwykle tkwiły na kanapie ze swoimi smartfonami. Mansoor kontynuował:

Pacjent nie został nawet objęty leczeniem stomatologicznym ani konsultacją kardiologa, czego pilnie potrzebował. Zamiast tego podawano mu silne leki psychotropowe i czasowo przywiązywano do łóżka. Było to postępowanie niewłaściwe. Mieliśmy informacje, choć niestety nie mogę zdradzić szczegółów, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Być może nie zdawaliśmy sobie sprawy z powagi sytuacji, ale nie odżegnujemy się od odpowiedzialności. Zarówno dla mnie, jak i dla mojego szefa najważniejsze było dobro pacjenta. Chodziło o bardziej ludzkie podejście i odzyskanie jego

zaufania, bo był kompletnie zdezorientowany. Nie bardzo rozumiał, gdzie się znajduje. Jednocześnie była w nim złość, że nikt nie chce go słuchać, dlatego znacznie ograniczyliśmy leki i wdrożyliśmy psychoterapię. Obawiam się jednak, że również nie przyniosła efektów.

Jego urojenia były zbyt silne i mimo że bardzo chciał opowiadać, to jednocześnie był bardzo podejrzliwy wobec wszystkich w klinice. Udało nam się przynajmniej wyprostować niektóre nieporozumienia. Zaczynając od tego, że zwracaliśmy się do niego Nima, co było dla niego ważne, Sirdar Nima.

Pacjent był obsesyjnie zafiksowany na swojej zmarłej żonie Lunie. Często wołał ją, chodząc wieczorami po szpitalnych korytarzach. Mówił, że słyszy ją, jak płacze i wzywa pomocy. Podczas ostrych i nie do końca zrozumiałych ataków mówił również o jakiejś Madam, Mam Sahib. Wspólnie z doktorem Almem myśleliśmy, że to drugie określenie jego żony, bo między jego opowieściami było duże podobieństwo. Jednak teraz, kiedy zapoznałem się z waszymi ustaleniami, domyślam się, że przeżył nie jedną traumę, jak sądziliśmy, ale dwie.

Nasza niemożność wyjaśnienia jego historii może się wydawać dowodem niekompetencji z naszej strony. Jednak nasze uwarunkowania były od początku złe, a ośmielę się twierdzić, że poczyniliśmy pewne postępy. Pod koniec czerwca pacjent dostał swoją kurtkę puchową, o którą prosił, wydawało się, że dzięki temu poczuł się bezpieczniej. Wprawdzie ciągle prosił o alkohol, zapewne wskutek podawania mu mniejszych dawek środków uspokajających, ale bywały noce, kiedy nie uskarżał się, że słyszy głosy, i jego lęki nie były już tak silne.

Pamiętam, że obaj z doktorem Almem wyjeżdżaliśmy na urlop w dość optymistycznych nastrojach. Mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się na właściwej drodze, zarówno jeśli chodzi o Nimę, jak i ogólnie o klinikę.

Na pewno, pomyślała Fredrika. Na pewno. Jednak doprowadziło to do śmierci Nimy Rity, bo kierownictwo szpitala wyraźnie nie doceniło jego determinacji, żeby się stamtąd wydostać. Można zrozumieć, że pozwolili mu przebywać na tarasie. Jednak to, że mógł tam pójść sam, bez opieki, z pewnością było sprzeczne

z regulaminem.

Dwudziestego siódmego lipca po południu zniknął. Dowodem był strzęp materiału wyrwany ze spodni, kiedy się przeciskał przez wąski otwór między zadaszeniem tarasu a jego wysokim ogrodzeniem. Najwidoczniej zszedł potem po stromej skale, opuścił teren Årstaviken i zakotwiczył się w okolicy Mariatorget.

Jednak najbardziej wzburzyło ją to, że nikt nie zgłosił jego zaginięcia, dopóki Christer Alm nie wrócił z urlopu, co nastąpiło czwartego sierpnia, a nawet wówczas nie zgłoszono tego policji, chociaż było wyraźnie zaznaczone, że „wszelkie zdarzenia czy incydenty związane z pacjentem powinny być raportowane do wyznaczonej osoby kontaktowej”. Co za nowomowa, z daleka zalatywała tajnym przez poufne. W każdym razie Fredrika Nyman nie miała wątpliwości, że ukrywają przed nimi coś ważnego, więc kiedy już dowiedziała się więcej na temat Południowego Skrzydła i odbyła dłuższą rozmowę z komisarzem Bublanskim, zrobiła dokładnie to samo co poprzednim razem.

Zadzwoiła do Blomkvista.

MIKAEL NIE ODPOWIEDZIAŁ jeszcze Catrin. Siedział w Tudor Arms przy Grevgatan i popijając guinnessa, usiłował ułożyć jakiś plan. Powinien oczywiście skontaktować się ze Svantem Lindbergiem, kluczową postacią tego dramatu, był o tym coraz bardziej przekonany. Jednak coś mu mówiło, żeby lepiej się przygotować; oczywiście najchętniej porozmawiałby z Johannesem Forsellem.

Mikael nie wiedział, w jakim stanie jest Forsell, zresztą i tak nie

mógł się dodzwonić ani do niego i Rebecki, ani nawet do jego sekretarza prasowego Niklasa Kellera. W końcu postanowił, że zrobi sobie przerwę i poszuka dla siebie mieszkania. Musi mieć miejsce, gdzie mógłby pracować i się przespać. A potem wróci do pracy. Nie zdążył nic zrobić, bo zadzwonił telefon.

Była to Fredrika Nyman, powiedziała mu, że ma coś interesującego. Kazał jej się rozłączyć i wysłał esemesa, by zainstalowała sobie aplikację Signal, żeby mogli rozmawiać przez bezpieczne łącze.

Odpowiedziała:

**Nie mogę. Nie rozumiem. Nienawidzę aplikacji.
Doprowadzają mnie do szału.**

Odpisał:

Nie masz w domu nastoletnich córek, które cały czas wiszą nad smartfonem?

Oczywista oczywistość – odpisała Fredrika.

To niech ci zainstalują tę aplikację. Powiedz im, że muszą pomóc mamie zostać detektywem i szpiegiem.

Ha, spróbuję.

Trochę to trwało, Michael tymczasem popijał guinnessa i wyglądał przez okno na ulicę. Stały tam dwie kobiety z wózkami. Chwilę pobujał myślami, aż dostał kolejnego esemesa.

Serio jesteś TYM Mikaelem Blomkvistem?

Postanowił pokazać się jako człowiek zaawansowany technicznie i w odpowiedzi wysłał selfie, na którym zrobił znak „V” obiema rękami.

Ale cool.

Bez przesady.

Mama będzie detektywem-szpiegiem?

Jasne, odpisał. W odpowiedzi dostał buźkę i pomyślał, że jednak nie jest taki całkiem do tyłu. Żeby tylko znów nie wysłać czerwonego serduszka. Zaraz trafiłyby na pierwszą stronę „Expressen”, więc powiedział tej dziewczynie, Amandzie, co ma zrobić, a po piętnastu minutach Fredrika Nyman zadzwoniła przez aplikację. Mikael wyszedł na ulicę i odebrał.

- Zyskałam właśnie w opinii moich córek – powiedziała.
- Czyli zrobiłem dziś coś pożytecznego. Co się stało?

FREDRIKA NYMAN naląła sobie w kuchni kieliszek wina i zrelacjonowała, czego się dowiedziała.

- Czyli nikt nie wie, w jaki sposób ani dlaczego tam trafił – powiedział Mikael.
- Sprawa jest otoczona jakąś tajemnicą. Wydaje mi się, że wojskową.
- Jakby chodziło o bezpieczeństwo państwa?
- Nie wiem.
- A może chodzi bardziej o bezpieczeństwo pewnych osób niż państwa.
- To możliwe.
- Dziwne to wszystko, nie?
- Owszem – odpowiedziała powoli – a przy tym niezgorszy skandal. Wydaje się, że przez kilka lat mógł żyć w zamkniętym pokoiku bez możliwości spotkania z dentystą, w ogóle z kimkolwiek. Nie wiem, czy znasz to miejsce.

– Kiedyś czytałem manifest programowy Gustava Stavsjö – odparł.

– Ładny, prawda? Najlepszą opiekę należy kierować do najbardziej chorych. Wizerunek społeczeństwa definiuje sposób, w jaki zajmuje się swoimi najsłabszymi członkami.

– Był płomiennym orędownikiem tej sprawy, prawda?

– Na pewno – przyznała. – Jednak to były inne czasy, a jego wiara w sens rozmowy i indywidualnej terapii była naiwna, zwłaszcza gdy chodzi o ciężko chorych, zresztą cała psychiatria poszła w inną stronę, w farmakoterapię i środki przymusu. Budynek, położony tak pięknie nad wodą i wyglądający jak rezydencja, stawał się w coraz większym stopniu przechowalnią dla przypadków beznadziejnych, zwłaszcza uchodźców strauumatyzowanych wojną. Coraz trudniej było o pracowników. Klinika zyskała złą opinię.

– Tak to odebrałem.

– Powstał zaawansowany plan likwidacji kliniki i przejęcia pacjentów przez państwową służbę zdrowia. Jednak synom działającym w fundacji Gustava Stavsjö udało się temu zapobiec, bo przejął ją docent Christer Alm, który cieszył się doskonałą opinią. Alm przystąpił do zmodernizowania i odnowienia działalności i właśnie w ramach tego procesu zwrócili uwagę na Nimeę, czy też Nihara Rawala, jak został nazwany w dokumentach.

– Przynajmniej zachował inicjały.

– Fakt. Jednak coś mi tu śmierdzi. Do jego sprawy wyznaczono osobę kontaktową, której klinika nie chce ujawnić. Osoba ta miała mieć pierwszeństwo w otrzymywaniu wszelkich informacji na jego

temat. Odnoszę wrażenie, że to jakaś ważna postać, przed którą wystraszony personel chodzi na paluszkach.

– Jak podsekretarz stanu Lindberg.

– Albo minister obrony Forsell.

– Beznadziejna sprawa.

– Co masz na myśli?

– Nadal jest za dużo pytań.

– Zdecydowanie.

– I nie dowiedziałaś się, czy podczas tej próbnej terapii w klinice Nima wspomniał nazwisko Forsella?

– Nie dowiedziałam się.

– Rozumiem.

– Może jednak rację ma Bublanski, który uważa, że zafiksowanie na Forsellu powstało po tym, jak zobaczył go w telewizji w sklepie na Hornsgatan. Tym bardziej że zdobył twój numer telefonu.

– Muszę to wyjaśnić.

– Powodzenia – powiedziała.

– Dzięki, przyda się.

– Mogę cię spytać o coś innego? – dodała.

– Jasne.

– Ta specjalistka od DNA, z którą mnie skontaktowałeś, kto to jest?

– Moja przyjaciółka, po prostu.

– Ma paskudny sposób bycia.

– Ma ku temu powody – odparł.

Pożegnali się, życząc sobie miłego wieczoru. Fredrika patrzyła

samotnie na jezioro i łabędzie, które znów zamajaczyły w oddali.

ROZDZIAŁ 23

27 SIERPNIA

LISBETH SALANDER dostała zaszyfrowanego esemesa od Mikaela. Postanowiła nie zwracać uwagi, bo była zajęta czym innym. W ciągu dnia nie tylko załatwiła sobie nową broń, berettę 87 cheetah, taką samą jak w Moskwie, i IMSI-catchera, ale odebrała również swój motor kawasaki ninja, który wciąż stał w garażu przy Fiskargatan.

Odwiesiła spodnium, włożyła bluzę z kapturem, dzinsy i buty sportowe; teraz siedziała w pokoju w hotelu Nobis przy Norrmalmstorg, niedaleko Strandvägen, obserwując obrazy kamer monitoringu, i usiłowała wzbudzić w sobie pragnienie zemsty, jakie odczuwała na początku lata. Jednak przeszłość ciągle napierała i bardzo jej się to nie podobało.

Nie miała na to czasu.

Powinna się skupić, zwłaszcza że przyjechał Galinow. Galinow był człowiekiem bezwzględny. Wprawdzie nie miała o nim zbyt dużej wiedzy oprócz mnóstwa pogłosek krążących po darknecie, kilka faktów udało jej się jednak potwierdzić i zupełnie jej wystarczyły: Iwan Galinow był związany z jej ojcem, był jego uczniem i sojusznikiem w GRU.

Często działał pod przykryciem wśród rebeliantów albo

przemytników broni. Podobno miał dziwną cechę: zawsze umiał się wtopić w otoczenie, ale nie dlatego, że się dopasowywał albo miał talent aktorski. Przeciwnie, zawsze był sobą, co podobno budziło zaufanie, jakby człowiek o takim poczuciu własnej wartości po prostu musiał być jednym z nich.

Mówił płynnie w jedenastu językach, miał chłonny umysł i był erudytą, a dzięki swemu wzrostowi, postawie i dystyngowanym rysach twarzy dominował w każdym zgromadzeniu, co również przemawiało na jego korzyść. Nikt by nie uwierzył, że Rosjanie wysłaliby jako szpiega i infiltratora kogoś o takiej zdolności skupiania na sobie uwagi, i nigdy nie miał problemu ze sprostaniem wymogom lojalności. Okrucieństwo przychodziło mu z taką samą łatwością jak czułość i ojcowska troska.

Zaprzyjaźniał się z osobami, które potem bez skrupułów torturował. Minęło sporo czasu, odkąd odszedł z wywiadu albo pracował pod przykryciem, a teraz mówił o sobie, że jest biznesmenem i tłumaczem – takie eufemistyczne określenie gangstera. Głównie związany był z syndykatem zbrodni Zvezda Bratva, ale często współpracował z Camillą, stanowiąc jej wielki atut. Wystarczyło samo jego nazwisko.

Jednak tym, co najbardziej niepokoiło Lisbeth, były jego sieć kontaktów i więzy łączące go z GRU. Dysponował takimi środkami, że wcześniej czy później ją osaczy, więc zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej się dłużej wahać. Stojąc przy oknie wychodzącym na Norrmalmstorg, była już gotowa zrobić to, do czego się przygotowywała przez cały dzień: wywrze na nich presję, prowokując do popełnienia błędu. Ale najpierw zerknęła jeszcze na

esemesa od Mikaela:

Martwię się o ciebie. Wiem, że nienawidzisz, kiedy tak mówię, ale uważam, że powinnaś poprosić policję o ochronę. Bublanski się tym zajmie. Już z nim rozmawiałem.

A poza tym Nima Rita przebywał pod fałszywym nazwiskiem w klinice psychiatrycznej Południowego Skrzydła. Wydaje się, że za tą decyzją stało wojsko.

Nie odpowiedziała, sekundę później już zapomniała o esemesie. Schowała broń do szarej torby na ramię. Włożyła bluzę z kapturem, okulary słoneczne, opuściła pokój, zjechała windą na dół i zdecydowanym krokiem wyszła na ulicę.

Chmurzyło się. Plac wypełniały tłumy ludzi, tłoczno było także w ogródkach kawiarnianych i w sklepach. Skręciła w prawo w Smålandsgatan, doszła do Birger Jarlsgatan i na stacji Östermalmstorg zeszła do metra, którym pojechała na Södermalm.

REBECKA FORSELL siedziała przy łóżku męża w szpitalu Karolinska, kiedy znów zadzwonił Mikael Blomkvist. Już miała odebrać, gdy Johannes drgnął, jakby przyśnił mu się koszmar, więc pogładziła go po głowie i zignorowała telefon. Z korytarza patrzyło na nią trzech żołnierzy.

Czuła się obserwowana i miała wrażenie, jakby ktoś odbierał jej prawo do niepokoju. Jak oni mogą tak ich traktować? Zrewidowali nawet mamę Johannesesa. Skandal. A najgorszy był Klas Berg, szef MUST, no i oczywiście Svante Lindberg, współczujący i poruszony, myślałby kto!

Przyniósł czekoladę i kwiaty, oczy miał pełne łez, uzalał się nad

nią i przytulał do serca. Ale nie dała się oszukać. Za bardzo się pocił, miał rozbiegane oczy i co najmniej dwukrotnie pytał, czy podczas pobytu na Sandön Johannes mówił coś, o czym Svante powinien wiedzieć. Miała ochotę krzyknąć: „Co wy przede mną ukrywacie?”. Jednak nic nie powiedziała. Podziękowała za wsparcie i poprosiła, żeby sobie poszedł.

Powiedziała, że nie ma siły na odwiedziny, wtedy wyszedł niechętnie, i całe szczęście, bo chwilę potem Johannes się obudził i powiedział „przepraszam”, co wydawało się oznaką przytomności. Krótko porozmawiali o synach i jego samopoczuciu, ale na pytanie „Dlaczego, Johannes, dlaczego?” nie odpowiedział.

Może był taki słaby, a może po prostu chciał zniknąć, uciec od wszystkiego. Teraz spał albo znajdował się w półśnie, ale nie wyglądało to na stan szczęśliwości. Chwyliła jego dłoń i w tym momencie dostała esemesa. Znowu Blomkvist. Przepraszam, ale musi z nią porozmawiać przez zaszyfrowane łącze albo w cztery oczy. Rebecka czuła, że nie da rady. Spojrzała z rozpaczą na męża, który mówił coś przez sen.

JOHANNES FORSELL znajdował się ponownie na Mount Evereście. Chwiejnym krokiem, potykając się, brnął pośród szalejącej burzy śnieżnej, zimno nie do zniesienia, ledwie potrafił myśleć. Po prostu szedł, nasłuchiwał skrzypnięć kolców pod butami, a niebo grzmiało, wydawało się, że również przestrzeń wokół. Zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma.

Często towarzyszyła mu tylko świadomość swojego sapania pod maską tlenową, sylwetki Svantego tuż obok, a czasem i tego nie.

Krajobraz wydawał się zupełnie czarny, może szedł wtedy z zamkniętymi oczami, więc gdyby była tam przepaść, wpadłby i nawet by nie krzyknął, zupełnie się tym nie przejmując. Szedł w stronę bezdźwięcznej ciemnej otchłani, a jeszcze niedawno wspominał ojca, gdy go dopingował podczas zawodów biegowych: *Synku, daj z siebie jeszcze trochę. Jeszcze więcej.* Kiedy strach chwycił ich w kleszcze, czepiał się tych słów. Zawsze można dać z siebie jeszcze trochę. Ale już nie.

Teraz nie zostało nic. Patrzył na wzbijający się spod butów śnieg, zastanawiał się, czy zaraz padnie i się podda, i wtedy usłyszał krzyki rozpaczony niesione wiatrem, w pierwszej chwili wydawały się wręcz nieludzkie, jakby to lamentowała sama góra.

JOHANNES ODEZWAŁ się zupełnie przytomnie i wyraźnie, ale Rebecka nie była pewna, czy mówi przez sen czy do niej:

– Słyszysz?

Słyszała to samo co przez cały dzień, szum samochodów przejeżdżających pobliską trasą szybkiego ruchu, brzęczenie aparatury, kroki i głosy na korytarzu, więc nie odpowiedziała. Starła mu z czoła kropelkę potu i poprawiła grzywkę. Otworzył oczy, Rebecka poczuła przypływ nadziei i tęsknoty. *Mów do mnie, pomyślała. Powiedz mi, co się stało.*

Spojrzał na nią z takim lękiem, że się przestraszyła.

– Śniło ci się coś? – spytała.

– Znów te krzyki.

– Krzyki?

– Na Evereście.

Dawniej wielokrotnie rozmawiali o tym, co się wydarzyło na górze. Jednak nie przypominała sobie, by mówił o krzykach, zastanawiała się, czy tego nie zostawić. Sądząc po błyszczących oczach, chyba nie myślał zupełnie jasno.

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

– Myślałem, że to burza, nie pamiętasz? Wycie wiatru brzmiało niemal jak ludzki głos.

– Nie, kochanie, nie pamiętam. Nie byłem z tobą na górze. Cały czas byłem w bazie, przecież wiesz.

– Ale musiałem ci opowiadać.

Pokręciła głową i poczuła, że chce zmienić temat. Nie tylko dlatego, że bredził. Zrobiło jej się nieprzyjemnie, jakby już wtedy przeczuwała, że te krzyki zwiastowały zgubę.

– Może byś trochę odpoczął – powiedziała.

– Potem myślałem, że to dzikie psy.

– Co?

– Dzikie psy na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Wyobrażasz sobie?

– Możemy rozmawiać o Evereście, jeśli chcesz – powiedziała. –

Ale najpierw pomóż mi zrozumieć. Co cię popchnęło do tej ucieczki?

– Kiedy?

– Teraz na Sandön. Wypłynąłeś na zatokę.

Sądząc po jego spojrzeniu, całkiem oprzytomniał, ale niczego to nie zmieniło. Chyba czuł się lepiej wśród swoich dzikich psów na Evereście.

– Kto mnie uratował, Erik?

– Żaden z ochroniarzy.

– A kto?

Zastanawiała się, jak to powiedzieć.

– Mikael Blomkvist.

– Ten dziennikarz?

– Właśnie.

– Dziwne – odparł. Oczywiście, nawet bardzo dziwne, ale nieszczęśliwie go to zaskoczyło.

Miał słaby i smutny głos, patrzył obojętnie na swoje ręce, a ona czekała z lękiem na następne pytanie. W końcu padło, ale nie było w tym ciekawości.

– Jak to się stało?

– Zadzwoił, kiedy już odchodziłam od zmysłów. Przygotowuje reportaż.

– Jaki reportaż?

– Nie uwierzysz – powiedziała, chociaż podejrzewała, że uwierzy, może nawet za bardzo.

LISBETH WYSIADŁA na stacji Zinkensdamm. Idąc Ringvägen, doszła do Brännkyrkagatan, a przed oczami miała obrazy z przeszłości. Może dlatego, że wróciła do okolicy, w której mieszkała w dzieciństwie, albo dlatego, że odczuwała silne podniecenie przed akcją.

Spojrzała w niebo. Już było ciemne. Na pewno będzie padało, zupełnie jak w Moskwie. Ciśnienie powietrza jak przed burzą. Nieco dalej na chodniku stał młody człowiek, pochylony, jakby było mu niedobrze. Wszędzie widziała pijanych ludzi, może gdzieś

w sąsiedztwie trwała impreza. Może to dzień wypłaty, a może święto.

Skręciła w lewo i ruszyła schodami do góry. Zbliżając się do domu Mikaela od strony Tavastgatan, była już całkowicie skupiona, uważnie rejestrująca każdy szczegół i każdą postać. Jednak... nie ujrzała tego, czego się spodziewała. Czyżby się myliła? Nic podejrzanego oprócz kolejnych pijaków, chociaż zaraz, tam przy skrzyżowaniu...

Czyjeś plecy, szerokie, w welwetowej marynarce, w ręku książka. Bandyci nie chodzą w welwetowych marynarkach i nie czytają książek. Jednak ten człowiek miał w sobie coś takiego, że się spięła; ta jego postawa, sposób patrzenia. Minęła go niezauważenie, zerkając na niego przelotnie – był wysoki i miał lekką nadwagę – i od razu wiedziała, że miała rację. Marynarka i książka były dość śmiesznym kamuflażem, niezdarną próbą udawania hipstera z Söder, przekonała się również, że nie tylko wie, kim jest ten człowiek, ale nawet go rozpoznaje.

Conny Andersson do niedawna tylko się pałętał w klubie i był chłopcem na posyłki, czyli nikim ważnym, co rzecz jasna jej nie zdziwiło. Przypadło mu główniane zadanie: sterczeć tu, czekając na gościa, który prawie na pewno nie przyjdzie. Przy tym zdawała sobie sprawę, że Conny nie jest niedoświadczonym złotodziobem. Podczas egzekucji należności z racji swojego wzrostu – prawie dwa metry – występował w roli twardziela, a więc szła przed siebie z pochyloną głową, jakby go nie zauważyła.

Po chwili podniosła wzrok, sprawdzając szybko, co dzieje się na odcinku ulicy przed nią. Nieco dalej szło dwóch pijanych

dwudziestolatków, a jeszcze dalej spacerowała kobieta po sześćdziesiątce, bardzo powoli. Niefajnie. Lisbeth nie miała czasu. Nie będzie dobrze, kiedy Andersson odnotuje jej obecność, zatem spokojnie szła nadal przed siebie.

W pewnej chwili gwałtownie skręciła w prawo i szybko ruszyła w jego stronę, wtedy podniósł wzrok i sięgnął niezdarnie po broń. Więcej nie zdążył zrobić. Wystrzeliła kolaniem, trafiając go między nogi, a kiedy aż się zwinął, przywaliła mu dwa razy z główki. Stracił równowagę. W tym samym momencie – oczywiście – usłyszała, jak kobieta woła:

– Halo, co wy robicie?

Lisbeth nie miała innego wyjścia, jak to zignorować. Nie było czasu na uspokajanie starszej pani, zresztą była niemal pewna, że kobieta nie odważy się podejść. Niech sobie dzwoni na policję. Żaden policjant nie zdąży tu dojechać, nie teraz, gdy Lisbeth rzuciła się na Conny'ego Anderssona, który grzmotnął o jezdnię. Błyskawicznie usiadła na nim, zdjęła okulary słoneczne, z torby wyszarpnęła pistolet i przyłożyła mu lufę do grdyki. Spojrzał na nią przerażony.

– Zabiję cię – oznajmiła.

Mruknął coś – jednak nie był aż takim twardzielem – a Lisbeth ciągnęła swoim najbardziej upiornym głosem:

– Zabiję cię. Ciebie i wszystkich z twojego klubu, jeśli choćby tkniecie Mikaela Blomkvista. Chodzi wam o mnie, to mnie ścigajcie, nikogo innego. Słyszysz?

– Słyszę.

– Chociaż... przekaz Markowi, że wszystko mi jedno, czy

ruszycie Mikaela. I tak was wszystkich zmiażdżę. Nic z was nie zostanie, tylko wasze przerażone żony i dziewczyny.

Conny Andersson nie odpowiedział, a Lisbeth docisnęła mu pistolet do szyi.

– To jak będzie?

– Powiem im – wyjąkał Conny.

– Doskonale. I jeszcze coś...

– Tak.

– Tam stoi kobieta, patrzy na nas, więc nie będę odrzucać twojego pistoletu i tak dalej, żeby nie zwracać uwagi. Kopnę cię tylko w głowę, ale jeśli choćby pomyślisz o sięgnięciu do tego pistoletu, zastrzelę cię. Bo to jest tak, że...

Szybko przeszukała go lewą ręką i z kieszeni dżinsów wyciągnęła komórkę, nowy iPhone z funkcją rozpoznawania twarzy.

– ...i tak przekażę im wiadomość. Nawet gdybyś zginął.

Przycisnęła mu pistolet do podbródka.

– No już, Conny, uśmiechnij się ładnie.

– Co?

Odblokowała komórkę, trzymając ją nad jego twarzą, następnie błyskawicznie przeprowadziła dwa działania, już nie tak zaawansowane technicznie. Walnęła go z główki i zrobiła mu zdjęcie. Potem założyła okulary słoneczne i poszła w stronę Slussen i Starego Miasta, jednocześnie przeglądając jego kontakty. Było tam kilka zaskakujących nazwisk: znany aktor, dwóch polityków i gliniarz z wydziału do spraw narkotyków, prawdopodobnie przekupiony. Nie zainteresowała się nimi.

Odszukała namiary na pozostałych członków Svavelsjö MC i wysłała im zdjęcie, na którym przerażony i zdezorientowany Conny patrzy w obiektyw. Skopiowała zawartość telefonu i napisała:

CHŁOPTAŚ MA WAM COŚ DO PRZEKAZANIA.

A potem wrzuciła komórkę do Riddarfjärden [6](#).

ROZDZIAŁ 24

27 SIERPNIA

JOHANNES FORSELL chciał tylko skryć się w swoich snach i wspomnieniach. Jednak żona nieoczekiwanie ostrym głosem, w którym usłyszał powstrzymywany gniew, wymieniła Nimę Ritę, a wtedy od razu powrócił do rzeczywistości.

– Jak to możliwe, że tak po prostu zjawił się w Szwecji?
Myślałam, że on nie żyje.

– Kto tu był? – spytał.

Wyczuł jej rozdrażnienie, że znów zmienia temat.

– Już ci mówiłam.

– Ale zapomniałem.

– Oczywiście byli chłopcy i twoja mama. Zajmuje się nimi.

– Jak to przyjęli?

– Co ja mam ci na to odpowiedzieć? No co?

– Przykro mi.

– Dziękuję – odparła. Widać było, że próbuje się pozbierać, żeby znów być silną Rebecką.

Udało się tylko do pewnego stopnia, Johannes spojrzął w stronę żołnierzy na korytarzu. Możliwości wyjścia, ucieczki, szanse i zagrożenia przelatywały w jego myślach jak niespokojne ptaki.

– Nie mogę teraz rozmawiać o Nimie – powiedział.

– Jak chcesz.

Z największym trudem przywołała czuły uśmiech i znów pogłaskała go po głowie. Wzdrygnął się.

– A o czym możesz rozmawiać?

– Sam nie wiem.

– Ale jedno ci się udało – stwierdziła.

– Co takiego?

– Rozejrzyj się. Spójrz na te kwiaty. To tylko część, wszystkich nie mogliśmy wstawić. Nienawiść zamieniła się w miłość.

– Jakoś nie wierzę.

Podąa mu swój telefon.

– Wejdz do sieci, to zobaczysz.

Zbył ją ruchem ręki.

– To pewnie nekrologi.

– Nie, ładnie piszą, naprawdę.

– Byli tu ludzie z MUST? – spytał.

– Byli Svante i Klas Berg, i Sten Siegler, i kilku innych typów tego pokroju, setki razy. Dlaczego pytasz?

Dlaczego on pyta?

Przecież znał odpowiedź, jasne, że byli, widział podejrzliwość w jej oczach. Jej rękę pocierającą nasadę włosów. Z nieoczekiwaną siłą poczuł, że chce powiedzieć jej wszystko, oczywiście dlatego – jak wiedział – że mu tego nie wolno.

Na pewno jest na podsłuchu, musi się zastanowić. Ważył za i przeciw. Przypomniał sobie swoje desperackie pragnienie, żeby żyć, kiedy opadał na dno.

– Masz papier i długopis? – spytał.

– Co? Chyba mam.

Pogrzebała w torebce, wyjęła długopis, żółty bloczek kartek post-it i podała mu.

Napisał:

Musimy się stąd ulotnić.

REBECKA FORSELL przeczytała i spojrzała przestraszona w stronę strażników. Na szczęście ze znużeniem wpatrywali się w swoje telefony. Odpowiedziała mu, bazgrząc nerwowo:

Teraz?

Odpisał:

Już. Odłącz mnie od aparatury, zostaw swoją komórkę i torebkę, udamy, że schodzimy do kiosku.

Udamy?

Spływamy.

Oszalałeś?

Chcę ci powiedzieć, a tu nie mogę.

Co chcesz powiedzieć?

Wszystko.

Pisali szybko, podając sobie długopis. Nagle Johannes zawahał się, w jego oczach wciąż widać było smutek i zagubienie, ale pojawił się też ślad tego, czego od dawna jej brakowało, woli walki, i wtedy, mimo wszystko, poczuła nie tylko lęk.

Nie zamierzała z nim uciekać, a już z pewnością nie chciała opuszczać szpitala, uciekając przed strażnikami, wojskowymi i całą tą otaczającą go paranoją. Gdyby jednak naprawdę chciał rozmawiać, byłoby to wspaniałe, zresztą ruch by mu dobrze zrobił.

Tętno miał wprawdzie przyspieszone, ale wyrównane i był silny. Na pewno mogą pójść w jakieś miejsce, gdzie nikt ich nie podsłucha.

Z drugiej strony wiedziała, że nic nie zyskają, ignorując lekarzy, jeśli wbrew ich zaleceniom odłączą go od kroplówki i aparatury, więc na nowej kartce napisała:

Zadzwoń i wyjaśnij.

Nacisnęła dzwonek, Johannes tymczasem napisał:

Potem udamy się w jakieś miejsce, gdzie nas nie znajdą.

Przestań, pomyślała. Przestań. Ale napisała:

Przed kim chcesz uciec?

Przed MUST.

Chodzi o Svantego? – napisała.

Kiwnął głową, przynajmniej tak jej się zdawało, miała ochotę krzyknąć: *Wiedziałam!* i kiedy znów zaczęła pisać, trzęsła jej się ręka. Serce jej waliło, w ustach czuła suchość.

Zrobił coś złego?

Znów nie odpowiedział ani nie kiwnął głową. Patrzył przez okno na trasę szybkiego ruchu, potraktowała to jako potwierdzenie, że tak.

Musisz złożyć na niego doniesienie.

Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć, że nie zrozumiała.

Albo pójść do mediów. Właśnie dzwonił Mikael Blomkvist.

On jest po twojej stronie.

Po mojej stronie, mruknął. Skrzywił się, znów chwycił długopis, napisał coś nie do odczytania. Wpatrywała się w jego słowa.

Nie mogę odczytać, napisała, choć tak naprawdę chyba mogła,

więc napisał wyraźniej.

Nie jestem pewien, czy moja strona jest właściwa.

Odezwał się w niej z całą ostrością nowy instynkt przetrwania, jakby tymi słowami Johannes się od niej oddalił. Albo jakby odtąd nie było oczywiste, że tworzą jakieś „my” albo przymierze – są tylko mężem i żoną, którzy już niekoniecznie czują się związani ze sobą – i zastanawiała się, czy to raczej ona nie powinna uciec od niego.

Spojrzała w stronę strażników, usiłując wymyślić nowy plan. W tym samym momencie usłyszała kroki na korytarzu; wszedł lekarz, ten z rudą brodą, i spytał, czego sobie życzą. Powiedziała – nic innego nie przyszło jej do głowy – że u Johanna nastąpiła poprawa i ma akurat dość sił, aby zrobić mały spacer.

– Zejdziemy do kiosku kupić gazetę i jakąś książkę – zapowiedziała głosem, który brzmiał jak nie jej, jednak był zaskakująco władczy.

BYŁO WPÓŁ DO ÓSMEJ wieczorem, Jan Bublanski powinien dawno pójść do domu. Mimo to nadal siedział w swoim pokoju w komendzie policji, wpatrując się w młodą twarz promieniującą jakimś gniewnym idealizmem, który – jak się domyślał – mógł niejednego drażnić. Jemu w gruncie rzeczy podobała się taka postawa, może będąc w jej wieku, też był taki – uważał, że starsze pokolenie nie podchodzi do życia tak poważnie, jak należy – więc uśmiechnął się do niej serdecznie.

Odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. Domyślił się, że poczucie humoru nie jest jej najmocniejszą stroną, za to jej patos

będzie z wielką korzyścią dla świata. Kobieta miała dwadzieścia pięć lat, nazywała się Else Sandberg i była rezydentką w szpitalu S:t Görans; miała włosy obcięte na pazia i okrągłe okulary.

– Dziękuję, że poświęca mi pani swój czas – zaczął.

– Nie ma za co – odparła.

Znalazła ją Sonja Modig, kiedy dowiedziała się, że Szerpa przykleił zapisaną kartkę do wiaty przystanku przy Stockholms södra, i kazała kolegom przepytac osoby, które zwykle czekały tu na autobus.

– Słyszałem, że pani nie pamięta tego zbyt wyraźnie, ale przyda nam się wszystko, cokolwiek pani sobie przypomni – powiedział.

– Ciężko się czytało, bo było napisane bardzo gęsto, dla mnie to były jakieś paranoiczne urojenia.

– Niewykluczone – zauważył. – Mimo to przydałoby się, gdyby pani spróbowała sobie przypomnieć.

– W tych bazgrołach było strasznie dużo poczucia winy – ciągnęła.

Dziecko drogie, nie próbuj mi tłumaczyć, pomyślał.

– Co tam napisał? – spytał.

– Że wspiął się na górę. I jeszcze raz się wspiął. *One more time*. Ale źle widział. Była burza śnieżna, bolało go i było mu zimno. Już myślał, że jest stracony, gdy nagle usłyszał krzyki, które go poprowadziły.

– Co za krzyki?

– Chyba zmarłych.

– Niby jak?

– Trudno zrozumieć. Przez cały czas towarzyszyły mu duchy,

chyba taki był sens, jeden dobry i jeden zły, trochę...

W tym momencie zachichotała. Bublanski ucieszył się, że Else Sandberg nieoczekiwanie pokazała się z bardziej ludzkiej strony.

– Jak kapitan Baryłka od Tintina, kiedy marzy, żeby się napić. Na ramionach siedzi mu z jednej strony diabeł, a z drugiej anioł.

– A, tak – odparł Bublanski. – Ładna metafora.

– Ale ja nie odebrałam tego jak metaforę. Wydaje mi się, że dla niego to się działo naprawdę.

– Chciałem tylko powiedzieć, że też to znam. Jeden dobry głos i jeden zły, które szepczą mi do ucha, kiedy stoję wobec jakiejś pokusy. – Zawstydził się. – I co mu mówił zły duch? – spytał.

– Żeby zostawił ją na górze.

– Ją?

– Tak, wydaje mi się, że tak napisał. Została tam jakaś ona, madam czy mam, jakoś tak. Ale wtedy doszedł do Doliny Tęczy, Rainbow Valley, a tam zmarli wyciągali do niego ręce, prosząc o jedzenie. Strasznie to wszystko dziwne, jak mówiłam. Dalej było napisane, że pojawił się Johannes Forsell. Ciemna sprawa. A dalej już nie czytałam, szczerze mówiąc. Nadjechał autobus, jakiś facet kłócił się z kierowcą, więc się rozkojarzyłam. Tak czy inaczej, domyśliłam się, że ten człowiek cierpiał na schizofrenię paranoidalną. Napisał, że wciąż słyszy te krzyki, nie ucichły.

– W ten sposób można się czuć nawet bez schizofrenii.

– W jakim sensie?

Właśnie, w jakim sensie?

– Chodzi o to... – zaczął.

– No co?

– Że znam to. Są wydarzenia, których nigdy nie potrafimy wyprzeć z pamięci. Całymi latami nas dręczą i wołają do nas.

– No tak – przyznała, już z mniejszą pewnością siebie. – To prawda.

– Proszę chwilę poczekać, szukam czegoś.

Else Sandberg kiwnęła głową. Bublanski zalogował się do komputera i wrzucił do Google'a trzy słowa, po czym odwrócił do niej monitor.

– Widać?

– Straszne – odparła.

– Prawda? To jest Rainbow Valley na Mount Evereście. Nie wiedziałem nic o tamtym świecie. Od kilku dni czytam na ten temat, więc kiedy pani wymieniła tę nazwę, od razu wiedziałem, o co chodzi. Rainbow Valley to oczywiście określenie potoczne, ale dość często używane. To nawet zrozumiałe. Proszę tu spojrzeć.

Pokazał jej coś na monitorze, choć zastanawiał się, czy nie jest to zbędne okrucieństwo z jego strony. Chciał jednak, żeby poczuła powagę sytuacji. Na kolejnych zdjęciach widać ciała martwych himalaistów leżące w śniegu na wysokości powyżej ośmiu tysięcy metrów i choć wielu leży tam od lat, a może nawet dziesięcioleci, nadal wyglądają na muskularnych i silnych. Zamrożeni w czasie, w kolorowych kombinezonach, czerwonych, zielonych, żółtych i niebieskich, a wokół walające się butle tlenowe, resztki namiotów i buddyjskie modlitewne chorągiewki, również mieniące się kolorami. Rzeczywiście wyglądało to jak tęczy krajobraz, makabryczne świadectwo ludzkiego szaleństwa.

– Widzi pani – odezwał się – autor tego tekstu był kiedyś

tragarzem i przewodnikiem na Mount Evereście.

– Czyli to prawda.

– Był Szerpą, więc może nie powinien był użyć tych słów. Rainbow Valley to określenie wymyślone przez ludzi Zachodu, przejaw wisielczego humoru. Ale widocznie je przyswoił i włączył do swoich religijnych wizji o duchach i bogach. Do tej pory na Mount Everest wspięło się ponad cztery tysiące osób, trzysta trzydzieści zginęło na górze, wielu nie udało się ściągnąć stamtąd, więc naprawdę potrafię zrozumieć, jeśli ten człowiek, który zdobył Everest jedenaście razy, miał wrażenie, jakby zmarli mówili do niego.

– Ale... – odezwała się.

– Jeszcze nie skończyłem. Tam jest strasznie. Okropnie niebezpiecznie. Na przykład można dostać HACE, *high-altitude cerebral edema*.

– Wysokościowy obrzęk mózgu, tak?

– Właśnie – powiedział. – Pewnie zna się pani na tym lepiej ode mnie. Pojawia się obrzęk, człowiekowi jest ciężko mówić i myśleć racjonalnie. Ryzykuje, że popełni jakiś straszny błąd, często doznaje halucynacji i traci kontakt z rzeczywistością. Wiele całkiem rozsądnych osób, takich jak pani czy ja – oczywiście dużo sprawniejszych i odważniejszych – widziało tam duchy albo odczuwało czyjąś mistyczną obecność, a ten człowiek, który zawsze wspinał się bez tlenu, co podkopuje siły zarówno fizyczne, jak i umysłowe, strasznie się natyrał podczas tego dramatu, wchodził na górę i schodził, wiele osób uratował. Musiał być wykończony ponad wszelkie wyobrażenie. Nic dziwnego, że

zwidrywały mu się anioły i demony, jak kapitanowi Baryłce, naprawdę nie ma w tym nic dziwnego.

– Przykro mi, nie chciałam, żeby to zabrzmiało, jakbym się wyśmiewała – powiedziała Else Sandberg przepraszającym tonem.

– Ależ nie stało się nic takiego, na pewno ma pani rację – ciągnął. – Ten człowiek był ciężko chory, fakt, na schizofrenię. Mimo to mógł mieć do przekazania coś ważnego, dlatego spytam jeszcze raz: czy przypomina sobie pani coś jeszcze?

– Właściwie nie, przepraszam.

– Nic więcej o Forsellu?

– Owszem, może.

– Co takiego?

– Powiedział pan, że ten człowiek uratował wiele osób, tak?

– Tak powiedziałem.

– Wydaje mi się, że napisał, że Forsell nie chciał zostać uratowany.

– Co by to miało znaczyć?

– Nie wiem, właśnie mi się przypomniało. Ale też nie jestem tego pewna. Przyjechał autobus, a następnego dnia tej kartki już nie było.

– Wiem – odparł Bublanski.

Po wyjściu dziewczyny siedział jeszcze przez pewien czas z dziwnym poczuciem, że ma zinterpretować czyjś sen. Długo wpatrywał się w zdjęcie zwłok Klary Engelman, które gwałtowne podmuchy wiatrów oderwały od znajdujących się wyżej zwłok Wiktora Grankina. Amerykańska wyprawa zrobiła to zdjęcie rok później. Klara leżała na wznak, ramiona miała wyciągnięte jak do

Grankina albo nawet – pomyślał – jak dziecko do mamy.

Co tam się wydarzyło? Zapewne nie więcej ponad to, co zostało opisane ze sto razy. Jednak pewności nie ma. W tej historii odsłaniały się coraz to inne warstwy. Teraz na przykład wydaje się, że w sprawie Szerpy chodzi o jakieś związki z wojskiem, o których lekarzom z Południowego Skrzydła nie wolno mówić. Bublanski przez całe popołudnie i wieczór wydzwaniał do Klasa Berga z MUST, żeby dostać od niego jakieś wyjaśnienie.

Klas Berg obiecał mu, że następnego dnia do południa przedstawi mu pełną informację, ale zastrzegł, że również dla niego wiele kwestii jest jeszcze niejasnych. Bublanskiemu się to nie podobało. Nie znosił opierać się na informacjach od wywiadu. Wcale nie chodziło mu o własny prestiż, że znajduje się wtedy na słabszej pozycji, tylko o to, że cierpi na tym jego dochodzenie, dlatego był zdecydowany przejąć inicjatywę.

Zamknął stronę ze zdjęciami Klary Engelman i ponownie zadzwonił do podsekretarza stanu Svantego Lindberga. I kiedy jak poprzednio Lindberg nie odebrał, komisarz Bublanski podniósł się i postanowił pójść na długi spacer, aby uporządkować myśli.

SVANTE LINDBERG wszedł do szpitala. Był już wcześniej, ale nie czuł się mile widziany przez Rebeckę i właściwie nie miał powodu wracać. Kiedy jednak się dowiedział, że Johannes jest przytomny, uznał, że musi z nim porozmawiać i powiedzieć... sam nie wiedział co, poza tym, że za wszelką cenę musi go skłonić, by trzymał język za zębami, więc aby nie przyczynić się do jeszcze większego chaosu, nawet wyłączył komórkę.

Nie miał najmniejszego zamiaru rozmawiać z Mikaelem Blomkvistem, nawet z komisarzem Bublanskim, który przed chwilą dzwonił do niego po raz trzeci. Musi zachować spokój.

W teczce miał plik tajnych dokumentów dotyczących rosyjskiej kampanii dezinformacyjnej, relatywnie rzecz biorąc, nie były aż tak istotne, ale mogły usprawiedliwić poufną rozmowę z Johannesem, podczas której nie wolno dać się podsłuchać. Ani przez sekundę. Musi być silny jak zawsze. Jakoś się ułoży, wmawiał sobie.

Co to za zapach? Amoniak, środki do dezynfekcji czy po prostu szpital? Rozejrzał się po westybulu, obawiając się, że mogą się tu czaić dziennikarze, że pojawi się Blomkvist znający jego najciemniejsze tajemnice. Nie zobaczył nikogo poza pacjentami, ich rodzinami i personelem w białych fartuchach. Obok przewożono na łóżku mężczyznę o poszarzałej twarzy, wyglądał na umierającego. Ale Svante nie zaprzętał sobie nim głowy.

Patrząc w podłogę, wypierał świat zewnętrzny. Jednak kątem oka dojrzał coś i odwrócił się. Przed bankomatem tuż obok apteki stała do niego tyłem wysoka szczupła kobieta w szarym żakiecie.

Czyżby Rebecka? Na pewno. Rozpoznał ją po charakterystycznej postawie, sposobie pochylania się. Podejść, przywitać się? Nie, zdecydował. Teraz ma szansę zamienić z Johannesem parę słów bez powoływania się na tajemnicę państwową, więc ruszył do wind. Mimo to po chwili się odwrócił, bo wydało mu się, że nie była sama. Teraz jej nie zobaczył.

Czyżby się pomylił? Widocznie tak, nawet się tym nie przejął i już miał odejść, kiedy spojrzał na grubego filara obok bankomatu. Schowała się przed nim? Byłoby to wręcz głupie, prawda? Jednak

zrobiło mu się nieprzyjemnie i ruszył w stronę filara, najpierw ostrożnie, potem szybciej; rzeczywiście wystawało zza niego coś, co przypominało żakiet Rebecki.

Przyspieszył. Już obmyślał, co powiedzieć, może nawet zdążył się rozzłościć – co to za wygłupy, żeby się przed nim chować? – gdy potknął się i upadł. Nie miał jednak czasu pomyśleć ani się zastanowić. Odnotował tylko jakiś ruch, szybko oddalające się kroki, wtedy zaklął, zerwał się na nogi i pomknął za nimi.

CZEŚĆ 3

SŁUGA DWÓCH PANÓW

Podwójni agenci podają się za lojalnych współpracowników, w rzeczywistości zaś służą komuś zupełnie innemu.

Czasem ich zadanie polega na wniknięciu do struktur wroga i stawianiu zasłon dymnych.

Bywa też, że zostają usidleni za pomocą groźby albo przynęty.

A czasem nie wiadomo do końca, dla kogo w rzeczy samej pracują.

Zdarza się, że oni sami tego nie wiedzą.

ROZDZIAŁ 25

27 SIERPNIA

CATRIN LINDÅS nadal nic nie zjadła, wypiała tylko trochę herbaty, poczytała o Forsellu i Evereście, ale wciąż na nowo wracała do swego spotkania z żebrakiem na Mariatorget, jakby była to zagadka, którą powinna rozwiązać, i za każdym razem jego słowa wydawały się jeszcze bardziej desperackie.

Wracały też wspomnienia, bolesne momenty z czasów dzieciństwa, sam koniec ich rodzinnej podróży po Indiach i Nepalu, kiedy byli coraz biedniejsi, aż wreszcie opuścili Katmandu, udając się do doliny Khumbu. Nie dojechali zbyt daleko. Tata cierpiał na ostre objawy odstawienne. Zdążyli jednak zetknąć się z miejscową ludnością, a po wielokrotnym przemyśleniu esemesa od Mikaela uznała, że żebraka mogła równie dobrze pamiętać z doliny Khumbu albo z Freak Street. Dlatego wysłała Mikaelowi kolejne pytanie, mimo że nadal nie odpowiedział na poprzednie:

Czy żebrak był Szerpą?

Odpowiedział natychmiast:

Nie powinienem z Tobą rozmawiać. (śmiejąca się buźka)
Jesteś z konkurencji.

W takim razie nieźle się odsłoniłeś w poprzednim esemesie.

Jestem idiotą.

A ja wrogiem.

Właśnie. Powinnaś skupić się na tym, żeby mnie zgromić w komentarzu redakcyjnym.

Już ostrzę pióro.

Tęsknię za Tobą, napisał.

Przestań, pomyślała. Przestań. A jednak uśmiechnęła się, choć niechętnie: nareszcie. Postanowiła, że nie odpowie. Poszła do kuchni, posprzątała i na cały regulator nastawiła Emmylou Harris. Wróciła do pokoju, gdzie leżał telefon, i zobaczyła, że Mikael przysłał nowego esemesa.

Nie moglibyśmy się spotkać?

W życiu, pomyślała. Mowy nie ma.

A napisała:

Gdzie?

Przełączmy się na Signal.

Przełączyli się na Signal.

Spotkajmy się w hotelu Lydmar, zaproponował.

Okej, odpowiedziała. Żadnego: „o, jak fajnie, jak świetnie”, nic takiego, tylko „okej”.

Przebrała się, poprosiła sąsiadkę o zaopiekowanie się kotem i zabrała się do pakowania.

CAMILLA STAŁA na balkonie, ramiona i dłonie miała mokre od deszczu. Zbierało się na burzę, ale i tak czuła, że musi wyjść na powietrze. Na Strandvägen i na statkach cumujących w zatoce panował ruch, w którym powinna uczestniczyć, ale przypominał jej tylko o tym wszystkim, czego została pozbawiona. Tak nie może

być, pomyślała. To się musi skończyć.

Zamknęła oczy, krople deszczu spadły jej na czoło i wargi, próbowała uciec w marzenia i nadzieje, ale ciągle wracała na Lundagatan: Agneta krzycząca do niej, żeby się wynosiła, a Lisbeth ciągle milcząca, jakby tym milczeniem i zawziętą złością chciała zabić ich wszystkich.

Poczuła dłoń na ramieniu, Galinow wyszedł na balkon. Odwróciła się i spojrzała na niego: na jego łagodny uśmiech i urodziwą twarz. Przytulił ją do piersi.

– Moja dziewczynka – powiedział. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Nie wierzę.

Spojrzała na nabrzeże.

– Zobaczysz, ułoży się – powiedział.

Popatrzyła mu w oczy.

– Stało się coś?

– Mamy gości.

– Kto to?

– Twoi mili bandyci.

Kiwnęła głową i wróciła do środka, gdzie zastała Marka i jakieś żalosne indywiduum w dzinsach i taniej brązowej marynarce. Facet był cały w siniakach, wyglądał na zmaltretowanego. Nalany, miał ze dwa metry wzrostu, okazało się, że na imię mu Conny.

– Conny ma nam coś do opowiedzenia – odezwał się Marko.

– To dlaczego nie mówi?

– Obserwowałem mieszkanie Blomkvista – zaczął Conny.

– Zdaje się, że świetnie ci poszło.

– Został napadnięty – wyjaśnił Marko.

Spojrzała na pękniętą wargę tamtego.

– Doprawdy?

– Przez Salander.

Odezwała się po rosyjsku:

– Iwan, ten Conny jest wyższy od ciebie, prawda?

– Na pewno cięższy – odparł Galinow. – I gorzej ubrany.

Dalej mówiła już po szwedzku.

– Moja siostra ma sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, jest chuda jak patyk, a ty dostałeś od niej... łomot.

– Zaskoczyła mnie.

– Zabrała mu telefon – powiedział Marko – i rozesłała esemesa do wszystkich w klubie.

– I co w nim było?

– Żebyśmy wysłuchali Conny'ego.

– Słucham cię, Conny.

– Salander powiedziała, że uderzy na nas, jeśli nie przestaniemy obserwować Blomkvista.

– A potem powiedziała jeszcze coś – wtrącił Marko.

– Czyli?

– Że tak czy siak na nas uderzy i zniszczy.

– Super – powiedziała, jakimś cudem zachowując spokój.

– No więc... – odezwał się znów Marko.

– No więc co? – spytała.

– W telefonie, który mu zabrała, było sporo wrażliwych informacji. Faktem jest, że się martwimy.

– I słusznie – odparła. – Ale nie o Lisbeth, prawda, Iwan?

Iwan kiwnął głową. Camilla miała wciąż tę samą sarkastyczną i groźną minę. Jednak w rzeczywistości czuła, że jest bliska rozsypania się, w końcu powiedziała Galinowowi, żeby prowadził dalej tę rozmowę. Potem poszła do swojego pokoju i pozwoliła sobie zanurzyć się w przeszłości, jak w brudnej czarnej wodzie.

REBECKA FORSELL sama nie mogła zrozumieć, że to zrobiła. Usłyszała, jak Johannes szepcze „on nie może mnie zobaczyć”, i wtedy w odruchu, który nie mieścił jej się w głowie, podstawiała nogę Svantemu. Przez drzwi wahadłowe wybiegli do stojących w deszczu taksówek.

Johannes wybrał niezrzeszoną, nienależącą do żadnej korporacji, z chciwie i nieubłaganie tykającym taksometrem.

– Jedź! – powiedział.

Kierowca odwrócił się, był to młody mężczyzna o ciemnych kręconych włosach i sennych oczach.

– Dokąd? – spytał.

Becka spojrzała na męża, który się nie odezwał.

– Przez most Solna do miasta – mruknęła i pomyślała, że sprawa się sama rozwiąże.

Przy okazji odnotowała z ulgą, że kierowca nie zareagował na widok Johanna, który pewnie właśnie na to liczył, wybierając niezrzeszonego – że będzie to ktoś żyjący na obrzeżach politycznej Szwecji, niewiedzący, jak wygląda najbardziej znienawidzony człowiek w całym kraju. Swoją drogą niewielki sukces, więc gdy łukiem mijali cmentarz w Solnie, próbowała ogarnąć, co właśnie zrobili.

Właściwie nic takiego, wmawiała sobie. Jej mąż przeżywa kryzys, ona jest lekarką, więc zapewne doszła do wniosku, że z dala od tych szpitalnych tłumów będzie miał większy spokój. Tylko trzeba to przekazać w odpowiedni sposób, zanim na górze wybuchnie panika.

– Mów, co się dzieje, bo nie mogę robić takich szalonych rzeczy – szepnęła.

– Pamiętasz tego profesora od stosunków międzynarodowych, którego spotkaliśmy w ambasadzie francuskiej? – spytał.

– Janka Kowalskiego? – wyszeptała.

Kiwnął głową. Spojrzała, nic nie rozumiejąc. Janek Kowalski był dla nich nikim. Nawet nie zapamiętałyby nazwiska, gdyby nie to, że ostatnio przeczytała jego artykuł o granicach wolności słowa.

– Tak – odparł. – Mieszka na Dalagatan. Możemy u niego przenocować.

– Dlaczego, na miłość boską? Przecież go nie znamy.

– Ja go znam – odparł, co jej się też nie podobało.

Przypomniała sobie, że witali się w ambasadzie jak obcy, wymieniając grzecznościowe formułki. Udawali przed nią? Odgrywali przedstawienie? Szepnęła:

– Zanocuję gdziekolwiek, jeśli tylko obiecasz, że mi wszystko opowiesz.

Spojrzał na nią.

– Opowiem. Potem zdecydujesz, co zrobisz – powiedział.

– O czym mam zdecydować?

– Czy jeszcze będziesz mnie chciała.

Pominięła to milczeniem. Patrzyła na most i powiedziała:

– Dalagatan. Jedziemy na Dalagatan.

Zaczęła się zastanawiać, gdzie przebiega granica, owszem, granica wolności, wypowiedzi też, ale przede wszystkim granica miłości.

Jaki musiałyby być powód, żeby od niego odeszła?

Co musiałyby zrobić – czy w ogóle istnieje coś takiego – aby przestała go kochać?

CATRIN LINDÅS zostawiła za sobą Nytorget i wyszła na Götgatan, gdzie poczuła, że wraca jej apetyt na życie. Boże, co za deszcz, po prostu ulewa. Szła szybko, ciągnąc walizkę. Za dużo zapakowała, jak zwykle, jakby miała wyjechać na parę tygodni. Z drugiej strony nie miała pojęcia, jak długo będą mieszkać w hotelu, wiedziała tylko, że Mikael nie może wrócić do domu, że niestety będzie musiał popracować, ona zresztą też.

Było wpół do dziewiątej wieczorem. Zdała sobie sprawę, że jest bardzo głodna. Od śniadania prawie nic nie jadła. Minęła kino Victoria i teatr Göta Lejon, wprawdzie poczuła się lepiej, ale niemiłe wrażenie nie znikło; spojrzała na Medborgarplatsen.

Stała tam w deszczu długa kolejka młodych ludzi, prawdopodobnie po bilety na jakiś koncert. Już miała zejść do metra, kiedy drgnęła i odwróciła się, spojrzała w prawo i w lewo. Nie zobaczyła nic niepokojącego, żadnego widma z przeszłości, nikogo przypominającego hejtera z sieci, nic, zbiegła więc po schodach, minęła bramki na peron i próbowała wmówić sobie, że wszystko w porządku. Po chwili rzeczywiście się uspokoiła.

Niepokój wrócił, dopiero kiedy wysiadła na stacji T-Centralen.

Pospieszyła dalej, idąc wzdłuż Hamngatan, mijając Kungsträdgården aż na Blasieholmen, szła coraz szybciej, podbiegając. Zdyszana wpadła do westybulu i wbiegła na schody skręcające do recepcji. Uśmiechnęła się do niej na powitanie młoda ciemnowłosa dziewczyna, niemająca więcej jak dwadzieścia lat. Odpowiedziała jej, mówiąc „dobry wieczór”; w tym momencie zacięła się, bo usłyszała kroki na schodach. Nie mogła sobie przypomnieć, na jakie nazwisko Mikael zabukował pokój. Wiedziała tylko, że na B – Boman, Brodin, Brodén, Bromberg?

– Mamy zarezerwowany pokój na nazwisko... – Tu się zawahała, zrozumiała, że musi sprawdzić w telefonie, co mogło sprawiać podejrzane wrażenie, jakby ona i Mikael robili coś niestosownego; sprawdziwszy, przekonała się, że rzeczywiście Boman, ale powiedziała to tak cicho, że recepcjonistka nie usłyszała, musiała powtórzyć głośniej i wówczas przypomniało jej się, że ktoś wchodził za nią po schodach. Odwróciła się.

Nikogo za nią nie było, ale do wyjścia zmierzał jakiś długowłosy mężczyzna w dżinsowej kurtce. Dokonując formalności meldunkowych, zaczęła się zastanawiać. Czy ten człowiek był na górze tylko przez chwilę? Dziwne, prawda? A może uznał, że hotel wygląda na drogi? Może mu się nie podobał. Zostawiła to.

W każdym razie spróbowała zostawić. Wzięła klucz, wjechała na górę, weszła do pokoju i spojrzała na wielkie podwójne łóżce z błękitnym prześcieradłem. Co teraz? Postanowiła wziąć kąpiel i buteleczkę czerwonego wina z minibaru, a z kuchni zamówić sobie hamburgera z frytkami. Ale nic nie pomagało. Ani jedzenie, ani alkohol, ani kąpiel. Tętno nie chciało zwolnić i coraz bardziej

niepokoiła się, dlaczego Mikael tak długo nie przychodzi.

JANEK KOWALSKI wcale nie mieszkał na Dalagatan, ale wysiedli tam i dalej ruszyli piechotą. Przez zamknięte podwórko przeszli na Västeråsgatan, wślizgnęli się do kolejnej bramy, następnie wjechali na piąte piętro, gdzie znajdowało się duże mieszkanie, nie tyle nieprzyjemne, skądże, ile zabałaganione, typowe lokum kawalera, intelektualisty starej daty, któremu nie brakowało ani pieniędzy, ani poczucia estetyki, ale który nie miał już siły dbać o porządek, a tym bardziej zrobić czystki wśród swoich rzeczy.

Wszystkiego było tam za dużo – miseczek, ozdób i obrazów, za dużo książek i teczek. Leżały wszędzie, a sam właściciel był nieogolony i rozczochrany, wyglądał jak artysta, zwłaszcza bez garnituru, w którym był na przyjęciu w ambasadzie. Miał może siedemdziesiąt pięć lat, ubrany był w cienki kaszmirowy sweterek z paroma dziurkami wygryzionymi przez mole.

– Przyjaciele moi kochani. Tak się o was martwiłem – powiedział, po czym uściskał Johanna i ucałował Rebeckę w oba policzki.

Bez wątpienia znali się od dawna. Dwadzieścia minut poszeptali w kuchni, przynieśli tacę z herbatą i angielskimi sandwiczami, do tego butelkę białego wina, i spojrzeli na nią z powagą.

– Kochana Rebecko – odezwał się Kowalski. – Twój mąż życzy sobie, żebym powiedział ci prawdę, na co przystałem niechętnie, przyznaję to. Jednak spróbuję mówić otwarcie i z góry przepraszam za ewentualne niejasności.

Nie podobał jej się ton, jakim mówił, smutny a kokieteryjny. Może się po prostu denerwował. Kiedy nalewał herbatę, drżała mu ręka.

– Może zacznę od mojego prawdziwego osiągnięcia – powiedział. – To moja zasługa, że się poznaliście.

Zdziwiła się.

– W jakim sensie?

– Bo to ja wysłałem Johanna na Everest. Było to z mojej strony okropne, ale Johannes tak chciał. Wręcz się uparł. W końcu jest człowiekiem pochodzącym z głuszy, prawda?

– Teraz już nic nie rozumiem – odparła.

– Poznaliśmy się z Johannesem w Rosji na płaszczyźnie zawodowej i zaprzyjaźniliśmy. Wcześniej dostrzegłem w nim wielki talent.

– W jakim sensie?

– W każdym, Rebecko. Czasem bywał w gorącej wodzie kąpany i zbyt żarliwy, ale poza tym był wspaniałym oficerem.

– Czyli również byłeś wojskowym?

– Byłem... – Wyraźnie nie miał wielkiej ochoty o tym mówić. – Byłem Polakiem, który w dzieciństwie został Brytyjczykiem. Moi rodzice byli uchodźcami politycznymi, uzyskali pomoc od starej Anglii, więc pewnie poczuwałem się do obowiązku służby w Foreign Office.

– W MI6?

– Wiesz co, nie ma potrzeby się w to wdawać. W każdym razie po przejściu na emeryturę znalazłem się tutaj, nie tylko z miłości do Szwecji, ale także z powodu pewnych komplikacji, które w jakimś

sensie wiążą się z naszymi ówczesnymi sprawami. Widzisz, moja droga, w tamtym czasie łączyła nas pewna sprawa, ryzykowna nawet bez Everestu.

– Co to za sprawa?

– Chodzi o uciekinierów i kretów z GRU, faktycznych, przyszłych, jak i – dodam – urojonych, a więc odbyliśmy naradę. Nasza grupa wywiedziała się, że niewielka sekcja w szwedzkiej służbie bezpieczeństwa przejęła pewnego człowieka, który wiele znaczył w GRU, a po śmierci zyskał zbyt wielką sławę dzięki osobie, z którą niedawno mieliście do czynienia.

– Mówisz zagadkami.

– Uprzedzałem. To nie jest dla mnie łatwe. Mam na myśli Mikaela Blomkvista, który ujawnił tak zwaną aferę Zalachenki. Powiedziano o niej aż za dużo, oprócz najważniejszego, czyli tego, co nam wtedy szeptano do uszu.

– A co szeptano?

– Hm, tak... jak by to powiedzieć? Zacznę od nowa. Specjalny wydział szwedzkiej służby bezpieczeństwa na wszelkie sposoby ochraniał uciekiniera Alexandra Zalachenkę, agenta GRU, bo dostarczał im – jak sądzili – wyjątkowo cennych informacji o rosyjskim wywiadzie.

– Właśnie! – wykrzyknęła. – On miał córkę, prawda? Lisbeth Salander, która została wtedy bardzo źle potraktowana.

– Tak, Zalachenko miał w zasadzie wolne ręce. Mógł robić, co mu się podobało – katować swoją rodzinę, budować syndykat zbrodni – dopóki ujawniał rosyjskie tajemnice. Przyzwoitość musiała ustąpić na rzecz wyższego dobra.

– Dobra państwa.

– Nie sformułowałbym tego aż tak pompatycznie. Powiedziałbym, że niektórzy panowie z Säpo wpadli w uniesienie, mając poczucie wyjątkowości i przewagi informacyjnej. Może jednak – co podejrzewała moja grupa – była to wydmuszka.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Otrzymaliśmy informacje, że Zalachenko pozostał wierny Rosji. Że aż do śmierci był podwójnym agentem i więcej dał GRU, niż dostarczył Säpo.

– O Boże – szepnęła Rebecka.

– Właśnie, myśmy też tak zareagowali. Jednak na początku były to tylko podejrzenia, szukaliśmy więc sposobu, żeby je potwierdzić. Po pewnym czasie dostaliśmy informację na temat pewnego człowieka, podpułkownika, oficjalnie cywila, który był konsultantem biur turystycznych w sprawach bezpieczeństwa, a tak naprawdę prowadził pod przykryciem wewnętrzne dochodzenie w GRU, ponieważ wpadł na trop dużej afery korupcyjnej.

– Czego dotyczyła?

– Powiązań wielu agentów z syndykatem zbrodni Zvezda Bratva. Podobno był wściekły. Wściekły, że kierownictwo GRU postanowiło tolerować te powiązania, a więc w proteście odszedł ze służby, aby poświęcić się swojej wielkiej pasji, czyli wspinaczce wysokogórskiej.

– Mowa o Grankinie? – spytała podniecona.

– Jak najbardziej, o świętej pamięci Wiktorze Grankinie. Bardzo interesujący człowiek, prawda?

– Owszem, tak, absolutnie, chociaż... – mruknęła.

– Byłaś lekarzem w trakcie jego wyprawy. Faktem jest, że nas to zdziwiło.

– Mnie też – powiedziała w zamyśleniu. – Obudziła się we mnie pewna, nie tak duża, ale szalona, żądza przygody i dowiedziałam się o Wiktorze podczas konferencji w Oslo.

– Wiemy.

– To proszę mówić dalej.

– Grankin wydawał się bardzo rzeczowy, prawda? Bezpośredni, szczery. W gruncie rzeczy był człowiekiem złożonym, niezwykle inteligentnym i emocjonalnym. Był rozdarty między miłością ojczyzny a poczuciem honoru i przyzwoitości. W lutym dwa tysiące ósmego nabraliśmy pewności, że wiedział o podwójnej grze Zalachenki i jego współpracy z mafią i że sam znalazł się w strefie zagrożenia. Że obawia się GRU, potrzebuje ochrony i nowych przyjaciół, dlatego wpadłem na pomysł, aby Johannes wziął udział w jego wyprawie na Everest. Sądziliśmy, że z przygody takiego kalibru zrodzi się braterstwo i przyjaźń.

– O Boże – powiedziała znowu i zwróciła się do Johannesesa: – Więc znalazłeś się tam, żeby pozyskać go dla Zachodu?

– Tak przedstawiał się nasz wymarzony scenariusz – przyznał Kowalski.

– A Svante?

– Svante to osobny i nieszczęsny fragment tej historii – ciągnął Kowalski. – Ale o tym nie wiedzieliśmy. Wtedy wydawał się rozsądnym wyborem, zresztą taki był warunek Johannesesa. Rzecz jasna chcieliśmy, żeby towarzyszył mu ktoś od nas. Svante znał Rosję, współpracował z Johannesem w MUST, a przede wszystkim

był doświadczonym himalaistą. Wydawał się wręcz idealny. Na szczęście nie poznał wszystkich szczegółów, z czego zwłaszcza dziś bardzo się cieszymy. Nie poznał też mojego nazwiska, nie wiedział nawet, że chodziło o operację bardziej brytyjską niż szwedzką.

– Nie rozumiem – powiedziała, jakby dopiero teraz to do niej dotarło. – Czyli od początku do końca chodziło o misję szpiegowską?

– O wiele innych rzeczy też, moja kochana. Johannes poznał ciebie. Ale cóż... pojechał służbowo, a my obserwowaliśmy uważnie rozwój sytuacji.

– To aż nie do wiary. Nie miałam bladego pojęcia.

– Przykro mi, że dowiadujesz się o tym w takich okolicznościach.

– I jak wam poszło? – spytała. – To znaczy... zanim tam na górze wszystko diabli wzięli?

Johannes tylko rozłożył ręce, znów odpowiedział Janek:

– Mamy z Johannesem trochę odmienne poglądy na tę sprawę. Ja byłem zdania, że wykonał fantastyczną robotę. Zbudował zaufanie, wyglądało to bardzo obiecująco. Ale prawdą jest, że sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, zresztą wywieraliśmy na Wiktora ogromną presję. Działo się to w niezwykle delikatnej sytuacji przed wejściem na szczyt. Więc owszem, może Johannes też ma rację. Za wysoko graliśmy. Ale przede wszystkim...

– Zabrakło nam decydującej informacji – włączył się Johannes.

– Niestety – przyznał Janek. – Ale skąd mieliśmy wiedzieć? Wtedy na Zachodzie nikt nie miał o tym pojęcia, nawet FBI.

– O czym wy mówicie, u diabła? – spytała.

– Mówimy o Stanie Engelmanie.

– Co z nim?

– Był związany z syndykatem Zvezda Bratva od lat dziewięćdziesiątych, kiedy zaczął budować hotele w Moskwie.

Wiktor wiedział o tym, ale my nie.

– A on skąd?

– To była jedna z tych rzeczy, do których się dokopał podczas służby w GRU, ale, jak mówiłem, on miał w obowiązkach prowadzenie podwójnej gry, dlatego udawał, że jest powiązany ze Stanem. W rzeczywistości uważał go za szumowinę.

– Więc ukradł mu żonę.

– Ten romans to była swego rodzaju premia.

– Raczej warunek – zaproponował Johannes.

– Czy możecie mówić tak, żebym zrozumiała? – odezwała się Rebecka.

– Johannes chyba uważa, że romans i to, co mu opowiedziała Klara, zmotywowały Wiktora do działania – ciągnął Janek.

– Jak to?

– Skoro nie udało się wyrzucić presji na kolegów z GRU, mógł przynajmniej dopaść skorumpowanego do cna Amerykanina.

ROZDZIAŁ 26

27 SIERPNIA

GALINOW PYTAŁ ją czasem: „Jak go wspominasz? Co o nim teraz myślisz?”. Przeważnie nie odpowiadała, ale raz powiedziała: „Pamiętam swoje poczucie, że zostałam przez niego wybrana” – i była to prawda.

Przez pewien czas kłamstwa ojca były najlepszą rzeczą, jaka ją dotąd spotkała, i dość długo żyła w przekonaniu, że ma nad nim władzę. Że to ona oczarowała jego, a nie odwrotnie. Złudzenie, które rzecz jasna zostało jej odebrane, zamienione w nicość. A jednak... ciągle żyło w niej wspomnienie, że została wybrana, i wybaczała Zali, tak jak się wybacza drapieżnikowi. Niezmienna była tylko nienawiść do Lisbeth i Agnety, a teraz, leżąc w swoim łóżku przy Strandvägen, była dla niej takim samym fundamentem jak wtedy, gdy była nastolatką i musiała wymyślić sobie, zbudować na nim nową Camillę, wolną od wszelkich więzów.

Za oknem na Strandvägen padał deszcz. Ryczały syreny, ktoś się zbliżał, idąc pewnym, rytmicznym krokiem. To znów Galinow. Wstała i otworzyła drzwi. Uśmiechnął się do niej. Wiedziała, że łączy ich nienawiść i poczucie wyróżnienia.

– Chyba jest nadzieja – odezwał się.

Nie odpowiedziała.

– Niby nic wielkiego – ciągnął – ale może jakiś początek. Kobieta, z którą Blomkvist był w Sandhamn, właśnie zameldowała się w hotelu Lydmar w Sztokholmie.

– I co?

– Przecież ma mieszkanie w Sztokholmie, prawda? To po co idzie do hotelu? Chyba po to, aby się spotkać z kimś, kto nie chce być widziany u niej ani u siebie?

– Jak Blomkvist?

– Właśnie.

– Co robimy, jak uważasz?

Galinow przeczesał włosy palcami.

– Miejsce nie jest zbyt dobre. Za dużo ludzi, nawet wieczorem. Siedzą w ogródkach kawiarnianych. Ale Marko...

– Kręci?

– Nie, nie, wprost przeciwnie, przywołałem go do porządku. Mówi, że może być w gotowości w samochodzie za rogiem, i to nawet w karetkce, którą zdarzyło się buchnąć jednemu z ich pomagierów, a ja...

– Co ty, Iwanie?

– Być może też odegram pewną rolę. Okazało się, że jeśli wierzyć Bogdanowowi, mamy z Blomkvistem wspólny obiekt zainteresowań.

– Jak to?

– Obaj interesujemy się szwedzkim ministrem obrony i niektórymi sprawami z jego przeszłości.

– Dobrze – powiedziała, zrobiło jej się trochę lepiej. – W takim razie zabieraj się do roboty.

REBECKA JESZCZE nie zdołała przetrwać tego, co usłyszała. Zresztą nawet nie próbowała. Domyślała się, że najgorsze miała wciąż przed sobą.

– Dziś już wiemy, że Stan Engelman wybrał dla żony wyprawę Wiktora Grankina, ponieważ był przekonany, że Wiktor jest jednym z nich – ciągnął Janek. – Podczas gdy w rzeczywistości prowadził śledztwo dotyczące syndykatu i był coraz bardziej wstrząśnięty wynikami swoich ustaleń. Wydaje mi się, że Johannes dzięki swojej umiejętności budowania klimatu zaufania doprowadził do tego, że Wiktor był już gotów rozmawiać: zasiał ziarno, by tak rzec. I wydaje mi się, że Klara kontynuowała to, co rozpoczął Johannes.

– Co przez to rozumiesz?

– Że Klara skłoniła go do zwierzeń. Wydaje mi się, że wzajemnie się nakręcili. Ona mu opowiadała, jakim bydlakiem jest w domu jej mąż, a Wiktor dokładał opowieści o współpracy Stana ze Zvezda Bratva.

– Miłość sprawiła, że się zwierzali sobie nawzajem – zauważyła Becka.

– Może rzeczywiście tak było. A przynajmniej Johannes ma taką teorię. W gruncie rzeczy jest to mniej ważne. Najważniejsze, że to wszystko dotarło aż na Manhattan – choć tak się starali być ostrożni.

– Ktoś zrobił przeciek?

– Wasz nieszczęsny Szerpa.

– Daj spokój.

– Niestety tak.

– Przecież Nima by nie doniósł.

– Nie wydaje mi się, żeby podchodził do tego w ten sposób – ciągnął Kowalski. – Otrzymał dodatkową zapłatę za opiekę nad Klarą i za raporty, co robi w bazie. Pewnie traktował to jako wykonywanie swoich obowiązków.

– A czego się dowiedział?

– Nie wiadomo dokładnie, jednak miał wystarczająco dużą wiedzę, aby potem znaleźć się w strefie zagrożenia. Jeszcze do tego dojdę. Wiadomo tylko, że Engelman dowiedział się o romansie, co samo w sobie wzbudziło jego wściekłość i podejrzliwość, a wkrótce inni dołożyli swoje. W końcu Stan wiedział już, o co toczy się gra. Nie tylko o jego małżeństwo, ale również o przyszłość jako biznesmena, a może i jego wolność.

– Kto jeszcze sypał?

– Na pewno się domyślasz – odparł Kowalski. – Ale pytałaś o Nimę, czy mógł donosić. Nie zapominaj, że denerwował się wtedy i złościł, podobnie jak inni Szerpowie.

– Masz na myśli jego przekonania religijne? – spytała.

– Tak, ale również jego żonę Lunę. Klara potraktowała ją bardzo źle, prawda? Nima miał swoje powody, żeby nie być wobec niej lojalnym.

– Janku, jesteś niesprawiedliwy – zaoponował Johannes. – Nima nie zrobiłby nikomu krzywdy, ale podobnie jak Wiktor był rozdarty. Ludzie mówili mu: rób to, rób tamto. Wszystko dźwigał na swoich barkach, otrzymywał rozkazy i kontrrozkazy, w końcu go to załamało. Jego brzemię było zdecydowanie za ciężkie, a jednak

to jego, nie wszystkich pozostałych, zniszczyły wyrzuty sumienia.

– Wybacz, Johannesie, ja obserwowałem to z dystansu, by tak powiedzieć. Może lepiej, żebyś od tego miejsca ty kontynuował – zaproponował Janek.

– Sam nie wiem – odparł z niechęcią Johannes.

– Obiecałeś – przypomniała Rebecka.

– Obiecałem, ale szlag mnie trafia, że Nima miałby jeszcze robić za kozła ofiarnego. Dość się nacierpiał.

– Sama widzisz, Rebecko. Twój mąż jest dobrym człowiekiem, nie myśl sobie. Zawsze broni słabszych – ciągnął Kowalski.

– A więc twoja życzliwość dla Nimy była nieudawana? – spytała z wyraźnym niepokojem.

– Tak – odparł. – Może aż za bardzo, jak przyszło co do czego.

– Co masz na myśli?

– Zaraz powiem – rzekł Johannes i umilkł.

– To mów.

– Już, ale większość historii znasz. Może zacznę od tego, że relacja między mną a Wiktorem pogorszyła się, kiedy ruszyliśmy na szczyt, i jestem prawie pewien, że miało to coś wspólnego ze Stanem Engelmanem. Wydaje mi się, że również Wiktor bał się tego, że przecieki na nasz temat trafią okreśną drogą do GRU i Zvezdy Bratva. Wtedy jego dni byłyby policzone, więc trzymałem się z boku, żeby go nie drażnić. Byłaby to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył. Mieliśmy stać się dla niego bezpieczną przystanią i, jak wiesz, Rebecko, wyszliśmy z obozu czwartego trzynastego maja, krótko po północy. Warunki wydawały się idealne.

– Ale wasze tempo osłabło.

– Tak. U Klary pojawiły się problemy, u Madsa Larsena również, być może Wiktor też nie był do końca sobą. Ale wtedy o tym nie myślałem. Zauważyłem tylko, że Svante jest poirytowany i namawia mnie, żebyśmy poszli na szczyt sami we dwóch. Przekonywał, że inaczej stracimy naszą szansę, więc Wiktor w końcu się zgodził. Może się nawet ucieszył, że się mnie pozbędzie. Poszliśmy.

– Wiem – zniecierpliwiła się.

– Tak, przepraszam, będę mówił trochę szybciej. Wyruszyliśmy i nie mieliśmy pojęcia o nadchodzącej katastrofie. Posuwaliśmy się krok za krokiem, na szczyt dotarliśmy w dobrym czasie. Jednak podczas schodzenia już od Hillary Step zacząłem mieć problemy. Niebo było jeszcze bezchmurne, nie wiało tak bardzo, mieliśmy dostatecznie dużo tlenu i płynów. Ale czas płynął i...

– W końcu usłyszeliście huk, grzmot.

– Usłyszeliśmy grom z jasnego nieba. Potem z północy nadciągnęła burza, to było jak strzał z karabinu. W jednej chwili straciliśmy widoczność. Smagał zacinający wiatrem śnieg, temperatura spadła gwałtownie. Zrobiło się zimno nie do wytrzymania, potykaliśmy się, idąc przed siebie. Ledwo widzieliśmy własne stopy, kilka razy padłem na kolana, Svante musiał mi pomóc wstać. Ale szło nam się coraz wolniej, a godziny mijały. Zrobiło się późne popołudnie i wieczór, przeraziliśmy się, że przyjdzie ciemność. Pamiętam, że znów upadłem i już myślałem, że to koniec. I właśnie wtedy zobaczyłem...

– Co zobaczyłeś?

– Coś niebieskiego i czerwonego w postaci zamazanych

kształtów. Modliłem się, żeby się okazało, że to namioty obozu czwartego albo przynajmniej inni wspinacze, którzy by nam pomogli. Natchnęło mnie to nadzieją, wstałem na nogi i wtedy zrozumiałem, że to nic dobrego, tylko przeciwnie. Były to dwa ciała leżące na śniegu tuż obok siebie, jedno nieco mniejsze od drugiego.

– Tego mi nie opowiadałeś.

– To prawda, nie opowiadałem, i właśnie od tego momentu zaczęło się to piekło.

– No, mów!

– Dobrze, ale nadal nie potrafię tego opisać. Byłem wykończony. Bez sił. Chciałem tylko jednego: położyć się i umrzeć, więc poczułem, jakbym ujrzał swój własny los. Mój strach był bardziej namacalny niż to, co leżało przede mną, i nawet przez myśl mi nie przeszło, że to ludzie, których znam, tylko ktoś z setek zmarłych, którzy zostali tu na zawsze. Wstałem, zdarłem z twarzy maskę tlenową i powiedziałem, że musimy jak najszybciej zejść, odejść stamtąd, i ruszyłem, a w każdym razie zrobiłem krok. Ale potem naszło mnie dziwne uczucie.

– Jak to?

– W pewnym sensie działo się mnóstwo różnych rzeczy. Dowiedzieliśmy się przez radio, że reszta wyprawy jest w ciężkim położeniu, być może myślałem o tym. Na pewno też rozpoznałem ich po ubraniach i rzeczach. Przede wszystkim jednak w mniejszej postaci było coś upiornego, pamiętam, że się schyliłem i spojrzałem jej w twarz, a nie było wiele widać. Miała kaptur naciągnięty na czapkę i czoło. Do tego okulary przeciwsłoneczne, a na policzkach, nosie i ustach warstewka lodu. Cała twarz przysypana śniegiem.

Ale i tak wiedziałem.

– Że to Klara, tak?

– Tak, Klara i Wiktor Grankin. Leżała częściowo na boku, obejmując go w pasie, byłem pewien, że trzeba ich tak zostawić. Ale upiorne wrażenie nie zniknęło. Wyglądała, jakby była przemarznięta na wskroś. A mimo to wydawało mi się, jakby życie jeszcze z niej nie uszło. Odsunąłem ją od Wiktora i próbowałem usunąć śnieg z twarzy. Nie dało się. Był zbyt twardy i zmarznięty, nie miałem siły w rękach, więc wyjąłem czekan. Musiało to wyglądać dość koszmarnie. Zdjąłem jej okulary i uderzyłem czekanem w twarz. Kawałki lodu poleciały na wszystkie strony, Svante krzyknął do mnie, żebym dał spokój i schodził w dół. A ja uderzałem obsesyjnie, chociaż starałem się być ostrożny. Miałem zmarznięte palce i nie kontrolowałem siły uderzenia. Skaleczyłem ją w wargę i podbródek, wtedy jej twarz drgnęła, co wziąłem za skutek uderzenia, nie za oznakę życia. Mimo to przyłożyłem jej moją maskę tlenową i długo trzymałem, chociaż sam prawie nie mogłem złapać tchu i właściwie nie wierzyłem w to, co robię. I nagle Klara zrobiła wdech. Widziałem to po rurze doprowadzającej tlen i po masce, wstałem więc i zacząłem krzyczeć do Svantego. Pokręcił tylko głową, oczywiście miał rację. Fakt, że oddychała, był już bez znaczenia. Była tak bliska śmierci, że bliżej nie można, i znajdowała się na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Nie było nadziei. Nic nie mogło jej pomóc. Nigdy nie zdołalibyśmy jej ściągnąć, sami znajdowaliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Ale wołaliście o pomoc.

– Wołaliśmy tyle razy, że straciliśmy nadzieję. Pamiętam tylko, że znów założyłem maskę tlenową i ruszyliśmy. Telepaliliśmy się w dół, powoli traciłem poczucie rzeczywistości. Widziałem mojego ojca w wannie, a mamę w saunie w Åre. Różne rzeczy, opowiadałem ci.

– Opowiadałeś.

– Ale chyba ci nie mówiłem, że widziałem również mnichów, tych samych, których spotkaliśmy w Tengbocze, i jeszcze jedną postać, która ich przypominała, a jednak całkowicie się od nich różniła. Ten ktoś szedł do góry zamiast w dół i w przeciwieństwie do nich był rzeczywisty. Nima Rita.

MIKAEL SPÓŹNIAŁ SIĘ. Już żałował, że ściągnął Catrin do hotelu. Trzeba było wybrać inny dzień. Ale nie zawsze łatwo jest zachować trzeźwość umysłu, w każdym razie wobec kobiet takich jak ona, więc szedł w deszczu po Drottninggatan w stronę hotelu na Blasieholmen. Już miał wysłać esemesa „Na miejscu za dziesięć”, kiedy zdarzyły się dwie rzeczy.

Dostał wiadomość. Nie zdążył jej przeczytać, bo zadzwonił telefon; natychmiast odebrał. W ciągu dnia wydzwaniał do wielu osób – w końcu również do Svantego Lindberga – i wciąż liczył, że ktoś oddzwoni. Nie była to jednak żadna z tych osób, usłyszał bowiem głos starszego mężczyzny, który nawet się nie przedstawił. Mikael już chciał się rozłączyć, a jednak nie zrobił tego. Głos brzmiał uprzejmie, mówił po szwedzku z brytyjskim akcentem.

– Proszę powtórzyć – powiedział Mikael.

– Jestem w swoim mieszkaniu i popijam herbatę z pewnym

małżeństwem, jesteśmy w trakcie bardzo poruszającej opowieści. Chcieliby podzielić się nią z panem. Najlepiej jutro rano.

– A ja znam to małżeństwo? – spytał.

– Oddał im pan ogromną przysługę.

– Niedawno?

– Całkiem niedawno, na morzu.

Mikael spojrział w niebo, z którego padał na niego deszcz.

– Chętnie się z nimi spotkam – odparł. – Gdzie?

– Jeśli pan pozwoli, szczegóły podam przez inny telefon, i to na numer nieprzypisany do pana, za to wyposażony w odpowiednie narzędzie.

Mikael musiał się zastanowić. Niech będzie komórka Catrin i jej aplikacja Signal.

– Prześlę ten numer przez zaszyfrowane łącze – powiedział. –

Ale najpierw chciałbym uzyskać potwierdzenie, że ci państwo naprawdę są u pana i że mają się dobrze.

– Nie twierdzę, że mają się dobrze – odparł mężczyzna. – Jednak są tutaj, i to z własnej woli. Dam panu zamienić parę słów z mężem.

Mikael zatrzymał się. Znajdował się na Lejonbacken, tuż obok zamku, skąd miał widok na cieśninę; po drugiej stronie stały hotel Grand i Muzeum Narodowe. Poźniej nie potrafił powiedzieć, jak długo to trwało, może dwadzieścia, trzydzieści sekund. Ale wtedy wydawały się jak wieczność.

– Mikaelu – odezwał się w końcu głos. – Jestem ci winien wielkie podziękowania.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Lepiej niż wtedy.

– Kiedy?

– Niż kiedy się topiłem.

Na pewno był to Johannes Forsell.

– Chcesz porozmawiać? – spytał Mikael.

– Niechętnie.

– Nie?

– Ale moja żona Rebecka, która zaraz pozna całą tę historię, bardzo nalega, więc nie widzę innego wyjścia.

– Rozumiem – odparł Mikael.

– Nie sądzę. Czy mogę prosić, żebyś pozwolił mi przeczytać swój artykuł przed publikacją?

Mikael znów ruszył w stronę mostu do Kungsträdgården i przez chwilę się zastanawiał.

– Będziesz mógł autoryzować swoje wypowiedzi i odnieść się do opisanych faktów. Będziesz nawet mógł mnie przekonywać, żebym napisał to inaczej. Ale nie obiecuję, że posłucham.

– To brzmi rozsądnie.

– Dobrze.

– A więc przygotowujemy się.

– Tak jest.

Johannes Forsell jeszcze raz podziękował i przekazał telefon drugiemu mężczyźnie. Ustalili z Mikaelem sposób działania. Następnie Mikael przesłał numer Catrin i przyspieszył kroku. Serce mu waliło, w głowie miał gonitwę myśli. Co się dzieje? Powinien był zadać więcej pytań. Na przykład dlaczego Johannes nie znajduje się już w szpitalu Karolinska? Czy to aby rozsądne, skoro

było z nim tak źle – no i kim jest ten Brytyjczyk?

Wiedział tylko jedno: że prawdopodobnie to wszystko ma związek z Nimą Ritą i Everestem, ale w tej grze są na pewno inne karty, o których on nie ma pojęcia, na przykład rosyjski trop – całe dotychczasowe życie Forsella wskazywało na Rosję – albo związki z Engelmanem na Manhattanie?

Okaze się. Przypuszczał, że wkrótce się dowie, i był tym bardzo podekscytowany. To wielka sprawa, pomyślał, wielka. Chociaż, szczerze mówiąc, i tego nie był pewien. Powinien zachować zimną krew. Znów sięgnął po komórkę i za pośrednictwem Signal napisał do Catrin:

Przepraszam, miałem okropny dzień, ale zaraz będę, i sorry, ale musisz mi w czymś pomóc. Wkrótce przekażę informacje. Opowiem. Tęsknię.

Uściski

M

Wtedy przypomniał sobie esemesa, który przyszedł chwilę przedtem, zanim odebrał telefon. Wyświetlił go i przeczytał. Dziwne, pomyślał, jakby odpowiedź na jego pytania; zastanawiał się, czy mogła mieć związek z poprzednią rozmową, czy przeciwnie, był to sygnał z zupełnie innej strony. Pytanie, ile jest stron w tej historii. Wiadomość była następująca:

Doszło do moich uszu, że interesuje cię, co w maju 2008 wydarzyło się na Evereście. Sugeruję, abyś przyjrzał się postaci Wiktora Grankina, przewodnika wyprawy, który zginął na górze. Jego historia jest dużo ciekawsza, niż mogłoby się wydawać. To klucz do tej sprawy. Forsell został jesienią 2008 wydalony z Rosji właśnie z powodu Grankina.

Oficjalnych źródeł nie ma, ale z twoim doświadczeniem na pewno uda ci

się stwierdzić, że jego CV to pewna konstrukcja, fasada. Jestem chwilowo w Sztokholmie, mieszkam w hotelu Grand. Chętnie się spotkam i opowiem, dysponuję też dokumentacją.

Chodzę późno spać, głupi stary zwyczaj. W dodatku mam jet lag.

Charles

Charles? A to kto, u diabła? Wiele wskazuje, że chodzi o wywiad amerykański. Ale równie dobrze może to być co innego, nawet pułapka. Trochę niesamowite, że facet mieszka w Grandzie, dokładnie po drugiej stronie cieśniny, prawie obok hotelu Lydmar. Swoją drogą niemal wszyscy zamożni albo ważni goście z zagranicy mieszkają w Grandzie – choćby Ed the Ned z NSA – więc może nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Jednak nie podobało mu się to. Nie, pan Charles musi zaczekać. Wystarczy to, co już się wydarzyło, zresztą miał wyrzuty sumienia wobec Catrin, a więc minął Grand, doszedł do Lydmar i pędem wbiegł po schodach.

ROZDZIAŁ 27

NOC Z 27 NA 28 SIERPNIA

REBECKA NIE ZDAWAŁA sobie sprawy, co wywołała ani jakie będzie to miało konsekwencje dla niej i dla synów. Nie widziała jednak innego wyjścia. Nie można było o tym milczeć. Zagłębiła się w brązowym fotelu z kieliszkiem wina, obserwując Johanna z Jankiem Kowalskim, którzy szeptali między sobą w kuchni. Czy ukrywają przed nią coś jeszcze? Była przekonana, że tak, i nawet nie miała pewności, czy to, co dotąd usłyszała, jest do końca prawdą.

W ich opowieści były luki. Mimo to wydawało jej się, że już rozumie, co wydarzyło się na Evereście. W całej tej historii była jakaś nieubłagana logika. Tak mało wiedzieli wtedy, nie tylko w bazie, również potem, podczas porządkowania wszystkich relacji, żeby złożyć je w całość.

Wiedzieli, że Nima Rita wychodził do góry dwukrotnie, że sprowadził na dół Madsa Larsena i Charlottę Richter, ale nie wiedzieli, że wszedł po raz trzeci, zresztą sam nie mówił o tym w wywiadach ani podczas późniejszego dochodzenia. Natomiast to tłumaczyło, dlaczego kierowniczka bazy Susan Wedlock nie mogła się z nim wieczorem skontaktować. Bo znów poszedł do góry.

Musiało być po ósmej wieczorem, jak wynikało z relacji

Johannesa. Lada moment miała nastać ciemność, zimno nie do wytrzymania, a wkrótce miało być jeszcze gorzej. Mimo to Nima ruszył w sam środek tego wszystkiego w desperackim zamiarze sprowadzenia Klary Engelman, choć sam był już w kiepskim stanie. Postać, którą Johannes ujrzał wychodzącą ze śnieżnej mgły, chwiała się, prąc naprzód z pochyloną głową, rzecz jasna bez maski tlenowej, jedynie z czołówką rzucającą światło błędzące w zamieci.

Miał odmrożone policzki i długo nie dostrzegął Johannesa i Svantego, podczas gdy oni – kiedy uzmysłowili sobie, że naprawdę mają przed sobą Nimeę – ujrzeli w nim bożego wysłańca. Johannes ledwo trzymał się na nogach. Niewiele brakowało, aby stał się trzecią ofiarą śmiertelną tej wyprawy. Jednak Nima się tym nie przejął. *Must get Mamsahib*, mówił tylko. *Must get Mamsahib*. Svante krzyczał, że to bez sensu. Że ona nie żyje. Nima nie słuchał nawet, kiedy Svante wrzasnął: „Skazujesz nas na śmierć, żeby ratować trupa!”.

A Nima Rita tylko szedł dalej, w górę, w swojej powiewającej kurtce puchowej. Zniknął w zamieci, co stało się czynnikiem przełomowym. Johannes znów upadł i nie mógł wstać, ani sam, ani z pomocą. Potem już nie był świadom, co się dzieje ani jak długo to trwa, tyle że zrobiło się ciemno. Było mu strasznie zimno, a Svante wrzeszczał: „Kurwa, nie chcę cię zostawiać! Ale muszę, bo inaczej zginiemy obaj, przebac, Johannesie!”.

Svante położył mu rękę na głowie i wstał, a Johannes zdał sobie sprawę, że zostanie sam. Że zamarznie. I właśnie wtedy usłyszał potworne wycie. Rebecka wciąż nie mogła uwierzyć, że to było takie straszne. Na pewno nie piękne, ale ludzkie, a tam na górze nie

dało się niczego mierzyć zwykłą ludzką miarą. Obowiązywała inna moralność, a Johannes nie zrobił wtedy nic złego, nie wtedy.

Był zbyt wyczerpany, by zrozumieć, co się dzieje, i właśnie dlatego, niezależnie od tego, co stało się potem, chciała, aby Johannes opowiedział to reporterowi takiemu jak Blomkvist, komuś, kto potrafi wniknąć w tę historię i rozeznaczyć się w jej zagadkowych wątkach i psychologicznych zawiłościach. Ale może popełniła błąd. Może w tej historii są jeszcze gorsze fragmenty, które pozostają jej nieznane.

Nie było to niemożliwe, zwłaszcza w tym momencie, kiedy Johannes szepcze coś ze wzburzeniem w kuchni, a Janek kręci głową i rozkłada ręce. Boże, ależ była głupia. Może rzeczywiście powinni milczeć – dla dobra synów. Dla jej własnego dobra. Boże, dopomóż im, prosiła, a potem przeklinała Johanna.

Jak on mógł postawić ją i synów w takiej sytuacji?

Jak on mógł?

MIKAEL USŁYSZAŁ, jak Catrin mruczy coś przez sen. Było późno, a on był śmiertelnie zmęczony, ale w żaden sposób nie mógł zasnąć. W głowie aż huczało mu od myśli, serce waliło. Niech to szlag, pomyślał: tyle lat w zawodzie, a odczuwa takie podniecenie jak młody stażysta przed swoim pierwszym sensacyjnym artykułem. Wciąż kręcił się w łóżku i wtedy przypomniały mu się słowa Catrin:

- Czy ten Grankin przypadkiem też nie był oficerem?
- Dlaczego tak mówisz? – zdziwił się.
- Bo wyglądał na wojskowego – odpowiedziała, a teraz, mając

więcej danych, czuł, że to prawda.

Miał coś takiego w sposobie bycia, w sylwetce, co kojarzyło się z oficerem wyższej rangi, ale normalnie Mikael nie zwróciłby na to uwagi. Człowiek może wyglądać na kogoś, a w rzeczywistości być zupełnie kimś innym. Teraz jednak potwierdzała to również wiadomość od zagadkowego Charlesa. Grankin miał nawet być powodem wydalenia Forsella z Rosji, co rzecz jasna było bardzo interesujące.

Mikael zawsze to podejrzewał i zamierzał to sprawdzić rano, przed spotkaniem z małżonkami Forsell. Ale i tak nie mógł zasnąć. W takim razie równie dobrze można wstać, prawda? Byle nie obudzić Catrin. I tak miał wyrzuty sumienia z jej powodu. Wstał ostrożnie i na palcach poszedł do łazienki, gdzie przysiadł z telefonem w ręce. Wiktor Grankin, mruknął. Wiktor Grankin?

Do tej pory go nie sprawdził, co oczywiście było idiotyzmem, ale nie przyszło mu do głowy, że Grankin może być kimś więcej niż przewodnikiem na Everest, który nie ma nic wspólnego z tą historią, biedakiem zakochanym w kobiecie zameężnej, który podjął złą decyzję podczas wspinaczki i na dodatek zginął. Jednak informacje na jego temat były zbyt schematyczne i ogólnikowe.

Nie podlegało dyskusji, że był wybitnym wspinaczem, zdobył wiele najtrudniejszych szczytów świata, jak K2, Eiger, Annapurna, Denali, Cerro Torre i oczywiście Everest. Poza tym niewiele konkretów, wszędzie to samo: że pracował jako konsultant firm zajmujących się turystyką kwalifikowaną. Ale co to właściwie znaczy? Mikael nie znalazł zbyt dużo na ten temat, w końcu zatrzymał się na starym zdjęciu – Grankin z rosyjskim

biznesmenem Andriejem Koskowem. Koskow, pomyślał. Czy nie znał przypadkiem tego nazwiska?

Boże, no jasne. Właśnie. Koskow był biznesmenem i sygnalistą, który już po swojej ucieczce w listopadzie 2011 ujawnił związki rosyjskiego wywiadu z przestępczością zorganizowaną. Niedługo potem, w marcu 2012, zmarł nagle podczas przechadzki po Camden w Londynie, ale policja z początku nie odkryła niczego podejrzanego. Jednak po paru miesiącach w jego krwi odkryto ślady *Gelsemium elegans*, azjatyckiej rośliny, zwanej czasem *heartbreak grass*, bo uzyskany z niej wyciąg może doprowadzić do zatrzymania akcji serca.

Nie była to trucizna nieznana, jak się dowiedział Mikael. Już w 1879 roku napisał o niej w „British Medical Journal” nie kto inny jak Conan Doyle. Przez długie lata była jednak nieobecna w historii i w mediach, dopiero w 2012 przypomniała o sobie, ponieważ jej ślady znaleziono również w zwłokach innego zbiegłego agenta GRU, niejakiego Igora Popowa, w Baltimore w USA. Mikael aż podskoczył z wrażenia. Wywiad wojskowy, podejrzanym przypadki otrucia, Forsell, który ponoć rozpracowywał działalność GRU i został wyrzucony z Rosji.

Czyżby fikcyjny związek, jak z historykiem wojskowości Matsem Sabinem? To oczywiście możliwe. W końcu to tylko zdjęcie Grankina z osobą, która zmarła w tajemniczych okolicznościach. A jednak... warto sprawdzić, co wie na ten temat ten cholerny Charles. Wysłał esemesa z pytaniem:

Kim był w rzeczywistości Grankin?

Upłynęło dziesięć minut, zanim dostał odpowiedź.

Policjantem w GRU. Podpułkownikiem. Prowadził dochodzenia przeciw kolegom.

O Boże, pomyślał. O Boże. Nie żeby przez sekundę przyjął to na wiarę. Nie mógł, skoro nie wiedział, z kim się komunikuje.

Napisał:

Kim jesteś?

Odpowiedź przyszła od razu:

Dawnym funkcjonariuszem.

MI6, CIA?

Bez komentarza, mówiąc elegancko.

Narodowości?

Niestety, Amerykanin.

Skąd wiesz, że grzebię w tej historii?

Bo to taka rzecz, o której muszę wiedzieć.

Dlaczego byłbyś gotów dać przeciek do prasy?

Pewnie jestem staroświecki.

W jakim sensie?

Uważam, że przestępstwa należy ujawniać i karać za nie.

Takie to proste?

Może mam również swoje powody. Czy to ważne? Mikaelu, mamy wspólny interes.

W takim razie daj coś. Żebym wiedział, że nie tracę czasu na darmo.

Minęło pięć minut, po których przyszło zdjęcie na legitymacji należącej do ni mniej, ni więcej, tylko podpułkownika Wiktora Aleksijewicza Grankina, obok ówczesny symbol GRU, czerwona pięciolistna koniczynka na czarnym tle. Mikaelowi informacja

wydawała się rzetelna.

Napisał:

Co poza Everestem łączyło Grankina i Forsella?

Forsell znalazł się tam, żeby pozyskać Grankina. Jednak wszystko poszło w złym kierunku.

Cholera jasna, mruknął Mikael. Odpowiedział:

I jesteś gotów dać mi tę historię?

Owszem, ale dyskretnie i chroniąc źródła.

Dobrze.

Zamów zaraz taksówkę i przyjeżdżaj. Spotkam się z tobą w westybulu. Potem nawet taka sowa jak ja musi się przespać.

Mikael odpowiedział:

Okej.

Czy nie będzie to nieostrożne? Nic nie wiedział o tym człowieku. Jednak najwyraźniej był dobrze poinformowany, a Mikael potrzebował jak najwięcej faktów przed porannym spotkaniem. Zresztą trwający minutę spacer do Grand Hotelu to chyba nie jest duże ryzyko? Była godzina 1.58, na ulicy wciąż panował ruch, miasto nie spało. Z tego, co pamiętał, przed Grandem zawsze stały w nocy taksówki, a przy wejściu na pewno jest ochrona. Nie, nie będzie żadnego zagrożenia, ubrał się cicho, zjechał najpierw windą i dalej zszedł schodami na dół. Na dworze było mokro po deszczu. Niebo wypogodziło się w ciemności.

Przyjemnie było wyjść. Po drugiej stronie cieśniny widać było oświetlony zamek, a nieco dalej, w Kungsträdgården, ludzie nadal się bawili, zresztą nawet tu na nabrzeżu widział ludzi, co go ucieszyło; minęła go jakaś młoda para. Krótko ostrzyżona

czarnowłosa kelnerka sprzątała kieliszki w ogródku. Przy drugim końcu lady w barze siedział wysoki mężczyzna w białym lnianym garniturze i spoglądał na wodę. Jest spokojnie, bez wątpienia, pomyślał, ruszając przed siebie. Nie zdążył zrobić wielu kroków. Usłyszał czyjś głos:

– Blomkvist.

Odwrócił się, przypuszczając, że głos należy do mężczyzny w białym garniturze, wysokiego pana około sześćdziesiątki, o siwych włosach, regularnych rysach i ostrożnym uśmiechu, jakby obmyślał coś zabawnego, może jakiś komentarz do artykułów Mikaela albo uwagę na jego temat. Jednak to, czego za chwilę doświadczył, wcale nie było zabawne.

Usłyszał za sobą kroki i drgnął, jego ciało przeszył prąd. Upadł, uderzając głową o jezdnię, a najdziwniejsze, że jego pierwszą reakcją nie był przestrah ani ból, lecz wściekłość, nie na tego, który go zaatakował, tylko na samego siebie: *Jak ja, u diabła, mogłem być taki głupi? Jak ja mogłem?* Spróbował się poruszyć. Wtedy znów nastąpiło kopnięcie prądem i drgnął, jakby dostał skurczu.

– Boże, co się z nim dzieje?

To chyba ta kelnerka, pomyślał.

– *Looks like an epileptic fit. I think we need to call an ambulance.*

To na pewno człowiek w białym garniturze, jego głos brzmiał spokojnie, kroki oddaliły się. Rozległy się inne. Mikael usłyszał, że podjeżdża samochód. Dalej wypadki potoczyły się szybko. Został położony na nosze i wniesiony do środka. Drzwi się zamknęły

i samochód ostro ruszył, spadł wtedy z noszy na podłogę, próbował krzyczeć. Jednak był tak słaby, że tylko jęczał, więc dopiero gdy auto przecięło Hamngatan, wydusił z siebie słowa, które nagle do niego wróciły:

– Co wy robicie? Co wy robicie?

OBUDZIŁ JĄ jakiś odgłos, którego Lisbeth nie rozpoznała, przestraszyła się, że komuś udało się wtargnąć do pokoju, i zaspana wymacała broń leżącą na stoliku nocnym. Ręka z pistoletem omiotła pokój. W tym momencie uzmysłowiła sobie, że hałas pochodzi z jej komórki. Czyżby ktoś wołał?

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że przecież nie mógł to być nikt inny jak Blomkvist, zamknęła więc oczy, nabrała powietrza i spróbowała uporządkować myśli. Daj spokój, powiedz mi, że te słowa to przypadek, pomyślała. No, powiedz.

Pogłodziła, w telefonie rozległ się hałas, trzaski. Wciąż istniała możliwość, że nie dzieje się nic złego, po prostu słyhać odgłos jadącego samochodu albo pociągu. Ale usłyszała jego jęk, a potem, jak ciężko, z trudem oddycha. Jakby stracił przytomność. Zaklęła i usiadła przy biurku. Nadal mieszkała w hotelu Nobis przy Norrmalmstorg i przez cały wieczór, od czasu swojego ataku na Conny'ego Anderssona ze Svavelsjö MC, obserwowała dom przy Strandvägen. Zauważyła, że coś się dzieje, Galinow opuścił mieszkanie. Jednak nie dopatrzyła się w tym niczego szczególnego i w końcu usnęła – około pierwszej, czyli niemal przed chwilą – myśląc, że ma jeszcze jeden dzień prolongaty. Myliła się.

Teraz na ekranie laptopa zobaczyła, że wiozą Mikaela na północ,

za Sztokholm, lada moment na pewno przeszukają mu kieszenie i pozbędą się jego komórki. Jeśli są w to zamieszani Galinow i Bogdanow, to oczywiście wiedzą dokładnie, jak się zaciera ślady, więc nie może siedzieć tu jak ciołek i obserwować tej jazdy na mapie. Musi działać. Dlatego cofnęła nagranie i usłyszała, jak Mikael woła: „Co wy robicie?”. Dwa razy, bez wątpienia był wtedy bardzo słaby i w szoku, bo chwilę później chyba stracił przytomność, chociaż nadal oddychał. Odurzyli go? Uderzyła pięścią w biurko i zorientowała się, że pojazd znajdował się wówczas na Norrlandsgatan, całkiem niedaleko. Ale raczej nie tam go złapali, więc cofnęła nagranie jeszcze bardziej; usłyszała jego kroki i oddech, i głos, który powiedział „Blomkvist”, głos starszego mężczyzny, jak jej się wydawało. Potem usłyszała „oj”, głębokie westchnienie i kobietę, która zawołała: „Boże, co się z nim dzieje?”.

Gdzie to było?

Najwyraźniej na Blasieholmen. Nie wiedziała, gdzie dokładnie, ale musiało to być przed Grandem albo Muzeum Narodowym, gdzieś w tamtej okolicy. Zadzwoiła do centrum powiadamiania ratunkowego i zgłosiła, że doszło do napadu na dziennikarza Mikaela Blomkvista. Młody człowiek po drugiej stronie zareagował na nazwisko, domagał się więcej szczegółów. Zanim Lisbeth zdążyła coś dodać, w tle usłyszała inny głos, że już dostali zgłoszenie stamtąd: przed hotelem Lydmar jakiś mężczyzna miał atak padaczki i został zabrany.

– Czym? – spytała.

Po drugiej stronie zapanowała konsternacja, słychać było

rozmowę kilku osób.

– Chyba karetką.

– Karetką?

Na moment poczuła ulgę, ale zaraz spytała:

– To wy ją wysłaliście?

– Przypuszczam, że tak.

– Przypuszczasz?

– Zaraz sprawdzę.

Znów głosy w tle, trudno było zrozumieć, co mówią. Wrócił pierwszy facet, najwyraźniej zdenerwowany.

– A kto pyta?

– Salander – odpowiedziała. – Lisbeth Salander.

– Nie, nie wydaje się, że to my ją wysłaliśmy.

– To ją zatrzymajcie. Ale już – warknęła.

Zakłęła, rozłączyła się i wróciła do odsłuchu w realu. Cisza, według niej aż za wielka. Tylko szum pojazdu. Mikael oddychał ciężko, jakby cierpiał. Poza tym nic, nikt inny nawet nie pisnął, a jednak... jeśli to rzeczywiście karetka pogotowia, to już coś; zastanawiała się, czy nie zadzwonić na policję i nie zrobić im piekła. Nie, na pewno już ich ścigają, chyba że w centrum powiadomienia siedzą jacyś idioci.

Powinna działać, zanim sygnał komórki zniknie, i właśnie w tym momencie – gdyby jeszcze się wahała – usłyszała syrenę, a potem jeszcze coś: szelest, chyba ręce przeszukujące kieszenie Mikaela, następnie jakiś ruch i ciężki oddech. Potem głośne uderzenie, ale nie jakby ktoś wyrzucił telefon, tylko rozbił młotem, a potem łączność została przerwana. Martwa cisza jak po wystrzale albo

awarii elektrycznej, Lisbeth kopnęła krzesło. Chwyła ze stolika szklanę do whisky i cisnęła o ścianę z taką siłą, że rozprysła się na kawałki. Krzyknęła:

– Do jasnej i ciężkiej cholery!

Potrząsnęła głową i pozbierała się, sprawdziła, gdzie jest Camilla. Oczywiście znajdowała się nadal na Strandvägen. Może nawet nie pobrudzi sobie rączek? Niech ją szlag. Zadzwoiła do Plague'a i krzyżąc do niego, ubierała się; potem zapakowała do plecaka laptopa, broń i IMSI-catchera. Znów zaklęła, kopnęła w kinkiet, który spadł, włożyła kask i Google Glass, wybiegła na plac, gdzie parkowała motocykl, i odjechała.

REBECKA FORSELL poprosiła, żeby mogła spać osobno. Uznała, że Janek i Johannes mogą chwilowo koczować w jednym pokoju. Oczywiście i tak nie zasnęła. Leżała na wąskim łóżku w małym gabinecie pełnym książek i czytała wiadomości na smartfonie. Ani słowa, że Johannes zniknął ze szpitala. Z drugiej strony przecież przez szyfrowane łącze dzwoniła do Klasa Berga i powiedziała mu, że sama zaopiekuje się Johannesem, nie zważając na jego ostrzeżenia ani groźby. Ale też Klas Berg nie miał pojęcia, że w tym momencie był jej najmniejszym zmartwieniem.

Nie zwracała sobie głowy ani nim, ani innymi osobami z ministerstwa. Chciała tylko ogarnąć to, czego się dowiedziała, i może zrozumieć, dlaczego wcześniej niczego nie przeczuwała. Teraz po fakcie zdała sobie sprawę, że nie brakowało różnych oznak. Choćby kryzys, jaki Johannes przeżywał w bazie, i jego niechęć do opowiadania o tamtych zdarzeniach. Były też różne

drobiazgi, wtedy niewytłumaczalne, a teraz w zestawieniu z innymi tworzące nowy kontekst. Na przykład pewnego październikowego wieczoru, niecałe trzy lata temu, kiedy chłopcy już spali, a Johannes właśnie został mianowany ministrem obrony, siedzieli na kanapie w swoim domu w Stocksund. Johannes wspomniał Klarę Engelman i jakimś nowym, niepokojącym tonem powiedział:

– Ciekaw jestem, co myślała.

– Kiedy? – spytała.

– Gdy została sama.

Odpowiedziała, że Klara raczej nic nie myślała – najprawdopodobniej już nie żyła. Ale tej nocy Rebecka zrozumiała, co Johannes miał wtedy na myśli, i było to więcej, niż mogła znieść.

ROZDZIAŁ 28

13 MAJ 2008

KIEDY ZOSTAWILI JĄ za pierwszym razem, nic nie myślała. Temperatura jej ciała spadła do dwudziestu ośmiu stopni, serce biło powoli i nieregularnie. Nie słyszała ani oddalających się kroków, ani wycia zamieci.

Była głęboko nieprzytomna i nie wiedziała, że objęła ramieniem Wiktora, ani nawet tego, że ciało leżące obok to on. Jej świadomość została wyłączona w ostatnim odruchu obronnym, wkrótce miała umrzeć. Nie można było w to wątpić, wtedy nie, zresztą być może nawet tego chciała.

Jej mąż Stan okazywał jej otwarcie pogardę i nawet nie ukrywał, że ją zdradza, a córka Juliette, dwunastolatka, również przeżywała kryzys; Klara uciekła przed tym aż na Everest i jak zawsze udawała, że jest zadowolona. W gruncie rzeczy miała głęboką depresję. Dopiero od tygodnia czuła, że znów ma po co żyć, i nie chodziło jedynie o miłość do Wiktora. Nabrała nadziei, że uda jej się usadzić Stana raz na zawsze.

Poczuła, że znów jest silna, nawet wtedy, kiedy ruszyła na szczyt, popijając zupę z czarnych jagód, podobno taką zdrową. Szybko jednak poczuła dziwną ociężałość, oczy jej się zamykały, robiło jej się coraz zimniej, w końcu stało się: padła. Odpłynęła, nie

była świadoma burzy, która nieoczekiwanie nadciągnęła z północy, przez co cała wyprawa znalazła się w niebezpieczeństwie. Godziny mijały jej w ciemności i ciszy, nic nie słyszała, dopóki na jej twarz nie spadł czekan.

Nie rozumiała, co się dzieje. Po prostu ktoś uderza czekanem, blisko, może blisko, a jednak daleko, jak w innym świecie. Ale... potem, kiedy jej drogi oddechowe zostały uwolnione, kroki oddaliły się; wtedy otworzyła oczy. Na swój sposób prawdziwy cud. Powinna od dawna nie żyć. Jednak Klara Engelman, uznana już za straconą, rozejrzała się i w pierwszej chwili nic nie zrozumiała. Tylko tyle, że znajduje się w jakimś piekle. Wkrótce sobie przypomniała trochę, spojrzała na swoje nogi i buty, potem na ramię, nie rozumiejąc, do kogo należy, i nie wynikało to jedynie z zamroczenia. Jej ręka unosiła się w powietrzu i nagle zastygła w ruchu nad biodrem. Domyśliła się, o co chodzi, i próbowała nią poruszyć. Nie dało się. Była martwa. Cała przemarznięta. A jednak coś sprawiło, że podniosła się na nogi.

Ujrzała przed sobą córkę. Tak wyraźnie, jakby mogła jej dotknąć. Po czterech, pięciu próbach wstała i chwiejąc się, szła w dół, jak lunatyczka z wyciągniętymi przed siebie zmarzniętymi rękami, i choć ledwo się orientowała, gdzie jest prawo, gdzie lewo, szła za wyciem, nieludzkim krzykiem, który wydawał się wskazywać jej drogę. Dopiero po półgodzinie uzmysłowiła sobie, że sama krzyczy.

NIMA RITA przebywał w krainie, którą zgodnie z jego wierzeniami zawsze zaludniały duchy i upiory, dlatego nie zwrócił

uwagi na krzyki. Krzyczcie sobie, pomyślał, krzyczcie. Dlaczego znów wrócił na górę? Sam tego nie rozumiał. Przecież widział ją i pożegnał się z nią. Już nie było nadziei. Z drugiej strony wiedział, że za bardzo słuchał innych i zostawił tę, której nie wolno było mu opuścić; może też było mu wszystko jedno, czy sam zginie, czy nie. Najważniejsze, aby pokazał, że się nie podda. Jeśli umrze, to z godnością.

Był zmęczony ponad wszelkie wyobrazenie, miał poważne odmrożenia i ledwo widział. Słyszał tylko burzę i wycie pośród śnieżnej zamieci. Ani przez moment nie skojarzył go z Mamsahib. Już miał przystanąć, aby przez chwilę odpocząć, kiedy usłyszał kroki, skrzypiący odgłos zbliżał się coraz bardziej.

Potem zobaczył upiora z wyciągniętymi ramionami, jakby domagał się daru od świata żywych, kawałka chleba, pocieszenia, może modlitwy, wtedy ruszył do tej zjawy, a w następnej sekundzie postać dziwnie ciężko padła mu w ramiona. Obydwoje przewrócili się na śnieg, potoczyli się, Nima uderzył się w głowę.

– Ratuj mnie, ratuj, muszę do córki – odezwała się postać i dopiero wtedy zrozumiał.

Nie od razu, bo był zdezorientowany, wreszcie poczuł radość, przepełniającą jego wykończone ciało. To ona, naprawdę ona. Musiało to oznaczać, że bogini gór jest mu mimo wszystko życzliwa. Bogini musiała dostrzec jego zmagania i cierpienia. Uda się, pomyślał. Ostatkiem sił objął ją w pasie i postawił na nogi, po czym potykając się, poszli razem w dół, podczas gdy ona cały czas krzyczała, a on tracił powoli poczucie rzeczywistości.

JEGO TWARZ była dziwnie nieruchoma i poczerniała. Wydawał się pochodzić z innego świata, a jednak, prawda... podtrzymywał ją i walczył. Słyszała po jego oddechu, że toczy straszliwą walkę, więc modliła się do Boga, żeby mogła wrócić do domu do córki, i cały czas obiecywała sobie, że się nie podda. Już nigdy, nigdy nie upadnie. Ani teraz, ani później. Będzie dobrze, pomyślała.

Z każdym krokiem wmawiała sobie coraz bardziej: jeśli to przeżyję, wszystko pokonam, a w chwilę później, gdy trochę niżej mignęły jej dwie sylwetki, rozpromieniła się jeszcze bardziej.

Teraz jestem bezpieczna.

W końcu jestem bezpieczna.

ROZDZIAŁ 29

28 SIERPNIA

CATRIN OBUDZIŁA SIĘ w pół do dziewiątej rano w hotelu Lydmar, sięgnęła ręką na drugą stronę łóżka, do Mikaela. Nie było go, wtedy zawołała:

– Blomsterkvist? ^Z

Wymyśliła to śmieszne spieszczenie wczoraj wieczorem, kiedy nie docierało do niego nic z tego, co do niego mówiła. „Masz dzwonki w głowie, Blomsterkvist”, powiedziała i w końcu zaśmiała się lekko. Poza tym był beznadziejny i zamknięty w sobie. Z drugiej strony rozumiała go. Miał uzyskać od ministra obrony wywiad na wyłączność, wszystko odbywało się w atmosferze największej tajemnicy, wysyłali mu zaszyfrowane instrukcje na jej komórkę. Był tylko jeden sposób, żeby zdobyć jego uwagę: rozmawiać z nim o wywiadzie, wtedy nie był już taki całkiem niemożliwy. W którymś momencie próbował nawet namówić ją do pracy w „Millennium”. Następnie udało jej się porozpinać mu guziki od koszuli, inne guziki zresztą też, i uwieść go. Potem widocznie zasnęła.

– Blomsterkvist! – zawołała ponownie. – Mikael?

Cisza. Spojrzała na zegarek, było później, niż sądziła. Musiał wyjść dawno temu. Przypuszczalnie już robi ten wywiad. Zdziwiła

się, że nie obudziła się wcześniej, ale zdarzało jej się czasem, że spała jak kamień, zresztą za oknem było cicho, prawie nie było słychać samochodów, leżała więc spokojnie do chwili, gdy zadzwoniła jej komórka.

– Catrin, słucham.

– Nazywam się Rebecka Forsell.

– O, dzień dobry.

– Zaczęliśmy się już martwić.

– Mikael jeszcze nie przyjechał?

– Nie, a jest już trzydzieści minut po czasie, w dodatku ma wyłączoną komórkę.

– Dziwne – stwierdziła Catrin.

Cholernie dziwne. Wprawdzie nie zdążyła poznać Mikaela za dobrze, ale na tak ważny wywiad chyba nie spóźniłby się pół godziny.

– A nie wiadomo, gdzie może być? – spytała Rebecka Forsell.

– Kiedy się rano obudziłam, już go nie było.

– Nie było go?

Dosłyszała przestרח w głosie Rebecki.

– Zaczynam się bać – powiedziała Catrin.

A powinna powiedzieć: aż mi zimno z przerażenia.

– Jest jakiś szczególny powód? – dopytywała Rebecka. – Poza tym, że teraz się spóźnia?

– No więc...

Miała gonitwę myśli.

– Co takiego?

– Od kilku dni nie chciał mieszkać u siebie. Mówił, że jest

obserwowany – powiedziała wreszcie Catrin.

– Czy to ma związek z Johannesem?

– Nie, nie wydaje mi się.

Catrin nie wiedziała, ile może ujawnić, ale w końcu postanowiła mówić otwarcie.

– To ma związek z jego przyjaciółką Lisbeth Salander. Więcej nie wiem, szczerze mówiąc.

– O Boże.

– Dlaczego tak mówisz?

– Długa historia. Ale wiesz...

Rebecka Forsell zawahała się, była wzburzona.

– Słucham?

– Podobało mi się to, co pisałaś o Johannesie.

– Dziękuję.

– Rozumiem, dlaczego Mikael ci ufa.

Catrin nie wspomniała ani o tym, że jeszcze w nocy przysięgała na wszystkie świętości, że nikomu nie powie o tej historii, ani o sytuacjach, gdy Mikael chyba nie do końca jej ufał. Mruknęła tylko:

– Mhm.

– Zaczekaj chwilę.

Zgodziła się, ale zaraz zaczęła się niecierpliwić. Przecież nie może tu tylko siedzieć. Powinna działać. Zadzwoić na policję, może również do Eriki Berger. Już miała się rozłączyć, kiedy Rebecka Forsell odezwała się ponownie:

– Chcielibyśmy cię prosić, żebyś do nas przyjechała – powiedziała Rebecka.

– Wydaje mi się, że powinnam zawiadomić policję.

– Na pewno. Ale my... Janek... też mamy ludzi, którzy mogą zbadać tę sprawę.

– No nie wiem – odparła Catrin.

– Wydaje nam się, że byłoby najbezpieczniej, gdybyś tu przyjechała. Przyślemy po ciebie samochód, tylko podaj adres.

Catrin przygryzła wargę, przypomniała sobie mężczyznę w recepcji. I wrażenie, że kiedy szła do hotelu, słyszała za sobą czyjeś kroki.

– Okej – zgodziła się i podała adres.

Więcej nie zdążyła. Rozległo się pukanie do drzwi jej pokoju.

JAN BUBLANSKI zadzwonił chwilę temu do Tidningarnas Telegrambyrå ⁸. Przekazał im informację o uprowadzeniu, bo liczył, że zgłoszą się jacyś świadkowie. Do tej pory – choć od świtu ciężko nad tym pracowali – nie mieli pojęcia, gdzie jest Mikael Blomkvist. Wiadomo było, że późnym wieczorem spędził parę godzin w hotelu Lydmar, jednak nikt go tam nie widział – nawet recepcjoniści.

Tuż po drugiej w nocy wyszedł z hotelu. Świadczył o tym krótki zapis kamer monitoringu i choć obraz nie był zbyt wyraźny, niewątpliwie był to Blomkvist, wyglądał normalnie, zapewne był trzeźwy, trochę podekscytowany, bo walił dłonią o udo. I zaraz potem nastąpiło coś bardzo niepokojącego. Kamery monitoringu wyłączyły się. Po prostu padły. Na szczęście znaleźli się świadkowie, przede wszystkim młoda kobieta, Agnes Sohlberg, która sprzątała w ogródku kawiarnianym. Agnes widziała, jak

z hotelu wyszedł mężczyzna w średnim wieku.

Nie rozpoznała Blomkvista, ale słyszała, jak zaczął go starszy szczupły pan w białym garniturze, który siedział przy barze odwrócony do niej tyłem. Chwilę potem usłyszała szybkie kroki, może również jęk, westchnienie. Odwróciwszy się, zobaczyła jeszcze innego mężczyznę, młodszego i mocniej zbudowanego, był w skórzanej kurtce i dżinsach.

W pierwszej chwili pomyślała, że to po prostu uprzejmy człowiek, który chce udzielić pomocy. Widziała, jak Blomkvist – to znaczy później dowiedziała się, że to on – upadł na asfalt, i usłyszała głos mówiący po angielsku z brytyjskim akcentem, że to „atak padaczki”, a ponieważ nie miała przy sobie komórki, pobiegła do telefonu.

Następnie policja musiała oprzeć się na zeznaniach innych osób, między innymi pewnego małżeństwa nazwiskiem Kristoffersson, które widziało, jak karetka nadjechała od Hovslagargatan. Blomkvist został wniesiony do niej na noszach. Małżonkowie zapewne uważaliby to za zupełnie normalne, gdyby nie pewna niedbałość w traktowaniu chorego i to, że potem ci mężczyźni wskoczyli do karetki w sposób, który wydał im się „nienaturalny”.

Karetkę – jak się okazało, skradzioną sześć dni temu w Norsborgu – widziano potem na Klarabergsleden i drodze E-4. Jechała na północ z włączoną syreną, ale wkrótce zniknęła z widoku. Bublanski i jego ludzie byli przekonani, że sprawcy zmienili pojazd. Jednak pewności nie było poza tym, że Lisbeth Salander również zadzwoniła do centrum powiadamiania ratunkowego. Bublanskiemu bardzo się to nie podobało.

Nie tylko dlatego, że Lisbeth tak szybko dowiedziała się, co się stało. Umocniło to jego podejrzenie, że ma coś wspólnego z tą sprawą, a telefoniczna rozmowa z nią bynajmniej go nie uspokoiła. Z jednej strony był jej wdzięczny, że zadzwoniła, bo przyda się każda informacja, ale nie podobał mu się jej głos. Wyczuwał w nim furję, pulsujący gniew, jakby jego powtarzane po wielokroć przestrogi zupełnie nie działały:

– Trzymaj się od tego z daleka. Daj nam pracować.

W ogóle to do niej nie docierało, zresztą nie wierzył, że powiedziała mu o wszystkim. Przypuszczał, że Lisbeth już prowadzi własną operację. Rozłączył się i zaklął; siedział w salce konferencyjnej ze swoją ekipą, czyli Sonją Modig, Jerkerem Holmbergiem, Curtem Svenssonem i Amandą Flod.

– No i co? – mruknął do nich.

– Ciekaw jestem, skąd Salander dowiedziała się tak szybko o porwaniu Blomkvista – odezwał się Jerker.

– Nie mówiłem wam?

– Powiedziałaś, że zrobiła coś z jego komórką, tak?

– Właśnie, pomajstrowała, ale za jego zgodą. Mogła go podsłuchać, sprawdzić, gdzie jest, przynajmniej do momentu, kiedy rozwalili jego komórkę.

– Miałem raczej na myśli, jak to się stało, że tak szybko zareagowała – ciągnął Jerker. – Wygląda to trochę... sam nie wiem, jakby tylko czekała, aż wydarzy się coś takiego.

– Powiedziała, że się tego obawiała – mówił Bublanski. – W ramach czarnego scenariusza. Ludzie ze Svavelsjö MC śledzili Mikaela zarówno na Bellmansgatan, jak i w Sandhamn.

– A my nadal nic na nich nie mamy.

– Rano obudziliśmy prezesa Marka Sandströma, ale wyśmiał nas. Powiedział, że atak na Blomkvista byłby samobójstwem. Szukamy pozostałych członków klubu, będziemy ich obserwować. Na razie nie udało się połączyć żadnego z nich z tym wydarzeniem, stwierdziliśmy tylko, że kilku zniknęło nam z pola widzenia.

– I wciąż nie wiemy, co Mikael robił w hotelu Lydmar – wtrąciła Amanda Flod.

– Nie mamy pojęcia – odparł Bublanski. – Posłaliśmy tam ludzi. Mikael był ostatnio bardzo skryty. Nawet w redakcji „Millennium” nie wiedzieli, czym się zajmuje. Erika Berger mówi, że miał swego rodzaju urlop. Jednak wydaje się, że głównie pracował nad historią Szerpy.

– Która być może łączy się z Forsellem.

– Być może tak, co jak wicie wprawia w dygot wywiad wojskowy i Säpo też.

– Czy to możliwe, że chodzi o operację obcych służb? – odezwał się Curt Svensson.

– Świadczyłoby o tym zhakowanie kamer monitoringu i nie podoba mi się, że użyli skradzionej karetki, czysta prowokacja, ale przede wszystkim...

– ...łączyłbyś to z Salander – dopowiedziała Sonja Modig.

– Jak my wszyscy – zauważył Jerker.

– Może i tak – powiedział Bublanski i pogрузzył się w myślach, zastanawiał się, co przed nim ukryła Lisbeth.

LISBETH NIE POWIEDZIAŁA mu o mieszkaniu na

Strandvägen. Miała nadzieję, że Camilla zaprowadzi ją do Mikaela, i nie chciała, aby policja zepsuła jej tę szansę. Na razie jednak Camilla wciąż się tam znajdowała. Może czekała na to samo co Lisbeth, o czym Lisbeth myślała z przerażeniem; obrazki z torturowania Mikaela i żądanie wymiany: jej za niego albo jeszcze gorzej, zdjęcia martwego Mikaela wraz z groźbą, że jeśli sama im się nie podda, zamordują kolejne osoby z jej otoczenia.

W nocy skontaktowała się z Anniką Giannini, Draganem, Miriam Wu i kilkoma innymi osobami, nawet z Pauliną, o której raczej nikt nie wiedział, każąc im się zabezpieczyć. To nie było zbyt fajne. Jednak zrobiła, co musiała.

Spojrzała w okno. Wydawało jej się, że jest pogodnie. Chyba świeciło słońce. Równie dobrze mogłaby być zamieć. Nie obchodziło jej to. Nie miała pojęcia, dokąd zawieźli Mikaela, poza tym, że chyba na północ od miasta, dlatego zamieszkała w hotelu Clarion przy Arlandzie, bo przynajmniej kierunek był ten sam. Jednak w jej świadomości pokój czy hotel zajmował równie mało miejsca co wszystko inne i oczywiście w nocy nie zmrużyła oka.

Godzinami tkwiła przy laptopie, usiłując znaleźć jakiś trop, jakieś otwarcie, i dopiero teraz przed południem, kiedy w laptopie odezwał się sygnał, drgnęła i wstała od biurka. Camilla wyszła z domu przy Strandvägen. Dobrze, siostró, pomyślała. Wykaż się odrobiną tępoty, zaprowadź mnie do niego. Jednak sama w to nie wierzyła, w każdym razie nie do końca. Camilla miała Bogdanowa, a Bogdanow był fachurą na miarę Plague'a.

Jeśli zatem siostra rzeczywiście gdzieś ją zaprowadzi, nie musi to oznaczać przełomu. Równie dobrze może okazać się pułapką.

Próba odciągnięcia jej. Powinna być przygotowana na każdą ewentualność, ale teraz... wpatrzyła się w mapę. Samochód, którym jechała siostra, posuwał się tą samą trasą co karetka, czyli E-4 na północ, co wyglądało obiecująco. Musi tak być. Wtedy Lisbeth się spakowała, zeszła do recepcji, żeby zapłacić, i pomknęła na swoim kawasaki.

CATRIN OWINEĘŁA się szlafrokiem i poszła otworzyć. Na progu stał mundurowy policjant, młody facet o jasnych włosach szczesanych na bok i wąskich zmrużonych oczach. Nerwowo wymamrotała „dzień dobry”.

– Szukamy osób w tym hotelu, które widziały dziennikarza Mikaela Blomkvista albo się z nim kontaktowały – powiedział. Od razu wyczuła z jego strony podejrzliwość, a może i wrogość.

Spojrzenie wyrażało pewność siebie, a wyprostowana postawa miała podkreślać, jaki jest wysoki i silny.

– Co się stało? – spytała, a w jej głosie nietrudno było dosłyszeć lęk.

Policjant zrobił krok bliżej i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, znała to spojrzenie. Często się z tym spotykała na mieście. Taki rzut okiem, jakby nie tylko chciał ją rozebrać, ale jeszcze skrzywdzić.

– Nazwisko? – spytał.

To był element prowokacji. Dobrze wiedział, kim jest, widziała to po jego minie.

– Catrin Lindås.

Zapisał w notesie.

– Spotkała się z nim pani, prawda?

– Tak.

– Spędziliście razem noc?

Miała ochotę krzyknąć: „A co to ma do rzeczy!”. Ale bała się, więc i na to pytanie odpowiedziała „tak”; potem weszła głębiej do pokoju i powiedziała, że kiedy się rano obudziła, Mikaela już nie było.

– Zameldowaliście się pod fałszywym nazwiskiem?

Starając się oddychać spokojnie, zastanawiała się, czy da się z nim rozsądnie rozmawiać, zwłaszcza że nieproszony wszedł do pokoju.

– A pan ma jakieś nazwisko? – spytała.

– Co?

– Nie przypominam sobie, żeby się pan przedstawił.

– Carl Wernersson z komisariatu dzielnicy Norrmalm.

– Świetnie. To może mi pan najpierw powie, co się stało?

– Mikael Blomkvist został w nocy napadnięty przed hotelem i uprowadzony, więc domyśla się pani, że podchodzimy do tej sprawy bardzo poważnie.

Catrin miała wrażenie, jakby ściany na nią napierały.

– O Boże.

– Dlatego jest sprawą najwyższej wagi, aby pani powiedziała całą prawdę, co się wydarzyło wcześniej.

Usiadła na łóżku.

– Jest ranny?

– Nie wiadomo.

Patrzyła na niego, nic nie mówiąc.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie – przypomniał.

Serce jej waliło, szukała słów.

– Mikael miał mieć rano ważne spotkanie, ale dowiedziałam się, że tam nie dotarł.

– Co to za spotkanie?

Zamknęła oczy. Dlaczego jest taką idiotką? Przysięgała, że nikomu nie powie. Ale była przerażona i skołowana, najwyraźniej jej umysł nie działał jak trzeba.

– Nie mogę powiedzieć ze względu na ochronę źródła informacji – odparła.

– Czyli nie chce pani współpracować?

Aż ją zatkało. Spojrzała w okno, szukając wymówki. Pomogło jej, że Carl Wernersson gapił się na jej biust, co wprawilo ją we wściekłość.

– Bardzo chętnie będę współpracować, pod warunkiem że będzie to ktoś dysponujący choćby podstawową wiedzą na temat dziennikarskiej ochrony źródła informacji, a przynajmniej spróbuje odnieść się z szacunkiem do osoby, która otrzymała szokującą dla niej wiadomość.

– O czym pani mówi?

– A więc proszę się skontaktować ze swoimi zwierzchnikami, a teraz proszę wyjść.

Carl Wernersson miał minę, jakby chciał ją natychmiast zatrzymać.

– Już! – powiedziała coraz bardziej wściekła. Wtedy mruknął „okej”, ale rzecz jasna dodał:

– Pani tu zostaje.

Nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi, a gdy wyszedł, usiadła na łóżku i zapadła się w sobie. Wyrwało ją z tego stanu i przypomniało o świcie brzęczenie smartfona, który trzymała w ręce. Wiadomość z ostatniej chwili od „Svenska Dagbladet”:

Znany dziennikarz napadnięty przed hotelem Lydmar i uprowadzony.

Przez kilka minut siedziała zajęta czytaniem. Tytuły gazet brzmiały wojowniczo, ale w artykułach nie było wiele treści, został zabrany karetką, której nikt nie wezwał. Było to... niepojęte. Co robić? Chciało jej się krzyczeć. Potem przypomniało jej się, że w nocy coś słyszała, jakiś odgłos z łazienki, chyba szept, jakieś słowo wypowiedziane przez niego z oburzeniem. Może nawet wymamrotała: „Co robisz?”.

Chyba że tylko jej się przyśniło. Nieważne. Te szepty musiały mieć coś wspólnego z jego zniknięciem. Został uprowadzony o drugiej w nocy, tak napisali, sprzed hotelu, czyli na zdrowy rozum – usiłowała myśleć jasno – musiał być czymś wzburzony albo zaniepokojony, dlatego wyszedł, zostawiając ją samą, i zaraz potem został napadnięty. Czy była to pułapka, próba wyciągnięcia go z hotelu? Niech to szlag! Co się dzieje? Co się stało?

Przypomnieli jej się żebrak i Rebecka Forsell, desperacja w jej głosie, napięta atmosfera w związku z wywiadem. Niech cholera weźmie tego durnego policjanta. Zaciskając zęby, ubrała się i spakowała rzeczy. Zeszła do recepcji, zapłaciła rachunek i odjechała czekającym na nią czarnym autem na tablicach dyplomatycznych ambasady brytyjskiej.

ROZDZIAŁ 30

28 SIERPNIA

BYŁO BARDZO gorąco. W dużym piecu – gazowym – płonął ogień, pomieszczenie było wysokie i ciemne. Świeciły tylko pojedyncze spotlights, natomiast nie było żadnego światła dziennego. Szyby w wielkich oknach były pokryte sadzą albo zamalowane. Mikael mógł jedynie błądzić wzrokiem po wnętrzu, wzdłuż betonowych belek i żelaznych konstrukcji, po odłamkach szkła na podłodze i błyszczących metalowych krawędziach pieca, odbijających jego obraz jak lustro.

Znajdował się w opuszczonym lokalu przemysłowym, może dawnej huty szkła, prawdopodobnie kawałek drogi od Sztokholmu, ale nie miał pojęcia gdzie, zmieniali samochód raz czy dwa. Musiał być zamroczony i silnie odurzony. Wspomnienia z nocy i poranka były wyrywkowe, a teraz leżał blisko pieca na jakiejś pryczy czy noszach, przywiązany skórzanymi rzemieniami. Krzyknął:

– Halo! Halo, do cholery!

Wprawdzie nie sądził, że mu to w czymś pomoże, musiał jednak coś zrobić, zamiast tylko się wiercić pod tymi pasami, pocić się i czuć w stopach gorąco od ognia. Inaczej zaraz oszaleje. Piec syczał jak wąż. Mikael był śmiertelnie przerażony, zlany potem, czuł suchość w ustach, a teraz... Co to takiego? Coś zatrzeszczało

na podłodze, jakby miażdżone szkło. Zbliżały się czyjeś kroki, od razu poczuł, że nie są to kroki, które dawałyby nadzieję jakiejś ulgi. Przeciwnie, przesadnie powolne, nonszalanckie, a towarzyszyło im pogwizdywanie.

Co to za człowiek, który teraz gwizdże?

– Dzień dobry, Mikaelu.

Był to ten sam głos, który w nocy zwrócił się do niego po angielsku. Na razie nikogo nie widział. Może o to chodziło. Może będą ukrywać przed nim twarze. Odpowiedział również po angielsku:

– Dzień dobry.

Kroki zatrzymały się, gwizdanie ustało, Mikael dosłyszał oddech, poczuł słaby zapach wody po goleniu i przygotowywał się na cokolwiek, uderzenie, cios, popchnięcie noszy, żeby jego nogi znalazły się w piecu. Jednak nic takiego się nie stało. Mężczyzna powiedział tylko:

– Co za nieoczekiwane pogodne powitanie.

Mikael nie wydusił z siebie ani słowa.

– Znam to, mnie też tak wychowali – ciągnął głos.

– Niby jak? – wyjąkał.

– Udawaj spokój, cokolwiek się będzie działo. Ale tu nie będzie to potrzebne. Wolę szczerość i przyznaję, odczuwam pewną... niechęć. Opór.

– A to dlaczego? – wystękał Mikael.

– Bo cię lubię, Mikaelu. Szanuję twoje podejście do prawdy, a ta historia... – Tu zrobił sztuczną pauzę. – Powinna pozostać sprawą rodzinną. Ale, jak często bywa w waśniach rodzinnych, zostali do

niej wciągnięci ludzie obcy.

Zauważył, że Mikael zaczął dygotać.

– Mówisz o Zali – stęknął.

– O towarzyszu Zalachence, a jakże. Ale chyba go nie poznałeś.

– Nie.

– Właściwie ci gratuluję. Było to wielkie przeżycie, ale zostawiało ślady.

– A więc znałeś go?

– Kochałem go. Niestety było to jak miłość do Boga. Nic nie otrzymujesz w zamian. Tylko dużo blasku, który olśniewa, ogłupia i oślepia.

– Oślepia? – powtórzył po nim Mikael, prawie nie wiedząc, co mówi.

– Właśnie, człowiek robi się ślepy i szalony. Obawiam się, że wciąż taki jestem. Więzy łączące mnie z Zalachenką wydawały się nie do zerwania. Zresztą teraz podejmuję niepotrzebne ryzyko, bo ani ty, Mikaelu, ani ja nie powinniśmy tutaj być.

– To dlaczego jesteśmy?

– Najprostsza odpowiedź brzmi: z powodu zemsty. Na temat jej niszczycielskiej siły mogłaby ci wiele powiedzieć twoja przyjaciółka.

– Lisbeth.

– Właśnie.

– Gdzie ona jest? – spytał Mikael.

– Otóż to, gdzie? Bardzo nas to ciekawi.

Nastąpiła ponowna pauza, niezbyt długa, ale wystarczająco, aby Mikael myślał, że tamten będzie mu udowadniał, jaki wciąż jest

nierozsądny i ślepy. Zamiast tego mężczyzna podszedł. Pierwsze, o czym pomyślał Mikael, to biały lniany garnitur, który ten człowiek miał na sobie również w nocy, i przez ułamek chwili wyobraził sobie, jak jego krew plami marynarkę tamtego.

Następnie dostrzegł twarz. Harmonijną, o regularnych rysach, zakłóconych tylko lekką asymetrią wokół oczu i bladą blizną wzdłuż prawego policzka. Włosy miał gęste, siwe, poprzetykane tu i ówdzie zupełnie białymi pasmami. Kształtnej budowy, szczupły. W innych okolicznościach mógłby uchodzić za ekscentrycznego intelektualistę, jakiegoś Toma Wolfe'a. Teraz jednak miał w sobie coś lodowato nieprzyjemnego, a jego ruchy były nienaturalnie spowolnione.

– Domyślam się, że nie jesteś tu sam – powiedział Mikael.

– Są tu również bandyci, młodzi ludzie, którzy z niezrozumiałych powodów nie chcą się pokazywać, i jest jeszcze kamera na suficie.

Wskazał ręką w górę.

– Czyli będziecie mnie filmować.

– Tym się nie przejmuj, Mikaelu. – Mężczyzna nagle przeszedł na szwedzki. – Spójrz na to jak na coś, co jest tylko między nami, taki rodzaj intymności.

Mikael dygotał coraz bardziej.

– Mówisz po szwedzku – powiedział z przerażeniem. Jakby umiejętność przechodzenia na inny język potwierdziła jego wyobrażenie o tym człowieku jako wcielonym diable.

– Jestem człowiekiem wielu języków.

– Naprawdę?

– Tak. Ale ty i ja odbędziemy podróż poza granice języka.

Rozwinął trzymaną dotąd w prawej ręce czarną serwetę i na stojącym obok stalowym stoliku położył kilka błyszczących przedmiotów.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Mikael wiercił się coraz rozpaczliwiej, patrzył w syczący ogień i na błyszczące krawędzie pieca, w których widział odbicie swojej twarzy wykrzywionej grymasem.

– Na określenie większości rzeczy w życiu istnieje mnóstwo pięknych słów – ciągnął mężczyzna. – Przede wszystkim na miłość, prawda? Zapewne w młodości czytałeś Keatsa, Byrona i całą resztę, wydaje mi się, że całkiem nieźle udało im się wyrazić istotę miłości. Lecz nieznośny ból nie daje się ująć w słowa. Nikt nie był w stanie go oddać, nawet najwięksi spośród artystów, i właśnie tam się udamy, Mikaelu. Tam, gdzie nie ma na to słów.

NIE MA NA TO SŁÓW.

Jurij Bogdanow siedział na tylnej kanapie czarnego mercedesa jadącego na północ w stronę Märsty i pokazywał Kirze filmik wideo. Zmrużyła oczy, Bogdanow czekał na błysk w oku, który pojawiał się zawsze, kiedy oglądała cierpienia swoich wrogów.

Jednak nic takiego się nie stało. Na jej twarzy dostrzegł wyraz zniecierpliwienia, co bardzo mu się nie podobało. Nie miał zaufania do Galinowa i był przekonany, że za daleko to wszystko zaszło. Urowadzenie Mikaela Blomkvista nie mogło się dobrze skończyć. W powietrzu było aż za dużo gorących emocji, niepokoiła go też zacięta mina Kiry.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Wyślesz jej to? – odpowiedziała pytaniem.

– Tylko zabezpieczę link. Ale szczerze mówiąc, Kiro...

Zawahał się. Wiedział, że to jej się nie spodoba, nawet nie patrzył jej w oczy.

– Powinnaś trzymać się z dala od budynku – ciągnął. – Należałoby już teraz odtransportować cię samolotem do domu.

– Nigdzie nie polecę, dopóki ona nie będzie martwa.

– Wydaje mi się... – zaczął.

„...że ona nie da się tak łatwo złapać”, chciał powiedzieć. „Że jej nie doceniasz”. Ale nic nie dodał. Ani jednym słowem czy spojrzeniem nie mógł zdradzić, że w gruncie rzeczy podziwia Lisbeth, a raczej Wasp, bo poznał ją jako Wasp. Istnieją dobrzy hakerzy, są geniusze i jest ona. Tak to widział. Zamiast mówić dalej, pochylił się i wyjął niebieskie metalowe pudełko.

– Co to jest? – spytała.

– Antydetekcyjne etui. Klatka Faradaya. Włóż tu swoją komórkę. Nie wolno nam zostawiać śladów.

Kira spojrzała przez okno, włożyła telefon. Potem oboje milczeli zawzięcie, patrząc przed siebie na kierowcę i mijany krajobraz, dopóki Kira nie zapragnęła zobaczyć więcej obrazków z lokalu przemysłowego w Morgonsali, a wtedy Bogdanow zrobił jej pokaz.

Chociaż on sam wolałby tego nie oglądać.

LISBETH WŁAŚNIE minęła Norrviken, kiedy zgasł sygnał w Google Glass; zaklęła i ze złości walnęła prawą ręką o kierownicę. A przecież się tego spodziewała. Zwolniła, przy

jakimś zagajniku znalazła przydrożne miejsce postojowe z ławą i stołem. Usiadła tam z laptopem, mając nadzieję, że teraz zwrócą jej się długie godziny, które spędziła tego lata, sprawdzając starannie całe otoczenie Camilli.

Nie mogliby przeprowadzić całej tej operacji bez pomocy członków Svavelsjö MC, ale choć Lisbeth zakładała, że nie używają innych komórek jak na kartę, to chciała wierzyć, że gdzieś ktoś popełni błąd, dlatego jeszcze raz sprawdziła wszystkich, którzy odwiedzili Kirę na Strandvägen: Marka, Jormę, Conny'ego, Krillego i Mira. Jednak znów jej to nic nie dało, mimo że zhakowała ich operatora i miała dostęp do stacji bazowych; walnęła pięścią w stół i już chciała się poddać, poszukać innego sposobu, kiedy przyszedł jej na myśl Peter Kovic.

Peter Kovic miał na swoim koncie najwięcej przestępstw z nich wszystkich, ponoć miał problemy z alkoholem, kobietami i dyscypliną, nie widziała jednak, żeby pojawił się w okolicy Strandvägen. Ale był jednym z tych, którzy latem przyszli na Fiskargatan, dlatego sprawdziła również jego telefon i po chwili aż zakłęta z podniecenia. Kovic odbył tego ranka tę samą trasę co przed chwilą Camilla, ale pojechał dalej na północ w stronę Uppsali, mijając Storvretę i Björklinge. Lisbeth właśnie miała się temu przyjrzeć, kiedy zadzwonił telefon.

Niech to szlag, nie miała zamiaru odbierać. Spojrzała na wyświetlacz: Erika Berger z „Millennium”, więc mimo wszystko odebrała. W pierwszej chwili nic nie rozumiała. Erika krzyczała, słyhać było tylko jej słowa:

– On się pali, on się pali!

Potem zrozumiała więcej.

– Wsunęli go do wielkiego pieca. On krzyczy, potwornie cierpi, a oni mówią, to znaczy piszą...

– Co piszą?

– Że spalą go żywcem, jeśli nie przyjdiesz w określone miejsce w lesie koło Sunnersty, a jeśli zobaczą w tym rejonie choćby jednego policjanta albo pojawią się jakieś podejrzone okoliczności, Mikael zginie straszną śmiercią, a oni zajmą się innymi osobami z twojego albo jego otoczenia, i nie przestaną, dopóki sama im się nie poddasz. Boże, Lisbeth, to straszne. Jego stopy...

– Znajdę go, słyszysz? Znajdę go.

– Każą mi przesłać do ciebie film i adres mailowy do kontaktu z nimi.

– No to go przyślij.

– Lisbeth, musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Lisbeth rozłączyła się. Nie było chwili do stracenia. Musi wrócić do swojego odkrycia; Peter Kovic nadal jechał E-4 w stronę Tierp i Gävle, to całkiem obiecujące. Przez chwilę rzeczywiście tak było, Lisbeth bębniła palcami po stole, mruczając pod nosem:

– No rusz się, ty pijanico obrzydliwy. Prowadź mnie do nich.

Ślad urwał się w Månkarbo. Lisbeth spojrzała tępo na szosę, miała w tym momencie tak wściekłą minę, że młody człowiek w renaulcie, który akurat zatrzymał się przy miejscu postojowym, odjechał przestraszony. Lisbeth nawet go nie zauważyła. Z zaciśniętymi zębami obejrzała film przysłany przez Erikę Berger i zobaczyła Mikaela na zbliżeniu.

Miał wytrzeszczone oczy, białe, jakby źrenice uciekły do góry,

znikając w oczodołach, a twarz napiętą i wykrzywioną, jak nie on. Był zlany potem. Podbródek, wargi, gors koszuli, kamera pokazywała je w zbliżeniu od głowy do dżinsów i nóg. Jego stopy w czerwonych skarpetkach zostały powoli wsunięte do wielkiego ceglanego pieca, w którym syczał ogień. Skarpetki i nogawki zapaliły się; z dziwnym opóźnieniem, jakby Mikael powstrzymywał się jak najdłużej, rozległ się niehumaniczny, rozdzierający serce krzyk.

Lisbeth nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, nie drgnęła. Ale ręką, w tym momencie podobną do szponów, rozryła trzy głębokie bruzdy w drewnianym stole. Przeczytała wiadomość, którą jej przysłali, spojrzała na adres mailowy – jakieś zaszyfrowane gównem – i przesłała dalej do Plague'a wraz z krótkimi instrukcjami i zdjęciem Petera Kovica oraz mapą trasy E-4 i północnej Upplandii.

Zapakowała laptopa i broń, założyła Google Glass i ruszyła w stronę Tierp.

– MUSISZ MI POWIEDZIEĆ, co się dzieje! – krzyczała Erika Berger do telefonu.

Słyszeli ją tylko ci, którzy w tym momencie otaczali ją w redakcji przy Götgatan, i rozumieli tyle, że Erika szaleje z rozpaczy. Stojącej obok Sofie Melker wydawało się, że Erika zaraz upadnie, więc objęła ją ramieniem. Erika nawet tego nie zauważyła.

Próbowała desperacko ułożyć jakiś plan działania. Nie wolno jej dzwonić na policję, tak napisali. Za żadną cenę nie kontaktować się z policją. Ale czy to jest wyjście?

Nigdy nie widziała czegoś równie okropnego. Mikael, jej najdawniejszy przyjaciel i wielka miłość, a ona jest zupełnie nieprzygotowana na coś takiego. Sprawdzała pocztę, machinalnie, jak człowiek, który nawet nie jest świadom, że to robi. Taki odruch, aż tu nagle...

Do Lisbeth zadzwoniła, zanim jeszcze zdążyło to do niej dotrzeć, nawet nie przyszło jej do głowy, że może to jakiś makabryczny dowcip. Jednak cokolwiek pomyślała, zniknęło, kiedy usłyszała jej głos; zrozumiała wtedy, że Lisbeth się tego spodziewała: totalnego zła.

Coś nie do opisania. Zakłęła głośno i dopiero wtedy zauważyła – jakby wcześniej znajdowała się w zupełnie innej rzeczywistości – że Sofie ją obejmuje. Przez chwilę chciała powiedzieć, co się stało. Ale wyswobodziła się z objęć i mruknęła:

– Przepraszam, muszę pobyć sama. Później wam opowiem.

Poszła do swojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi, w tym momencie nawet nie trzeba było mówić, że gdyby zrobiła coś, co Mikael przypłaciłby życiem, ona też by tego nie przeżyła. Co jednak nie znaczy, że wolno jej załamywać ręce, a tym bardziej nie robić tego, czego zabraniają jej bandyci. Musi... co musi?... pomyśleć, skupić się, zresztą chyba zawsze tak jest z tego rodzaju przestępstwami.

Sprawcy domagają się, żeby nie zawiadamiać policji. Ale za każdym razem, kiedy zostają zdemaskowani, dzieje się tak właśnie dlatego, że policja została w tajemnicy poinformowana. Powinna zadzwonić do Bublanskiego przez zaszyfrowane łącze, prawda? Po krótkim wahaniu wybrała numer. Nie dodzwoniła się, było zajęte,

a wtedy coś jej się stało. Wpadła w dygot, którego nie mogła opanować.

– Do jasnej cholery, Lisbeth – mruknęła. – Jak ty mogłaś wciągnąć w to Mikaela? Jak mogłaś?

KOMISARZ BUBLANSKI odbył długą rozmowę z Catrin Lindås, a potem telefon przejął od niej mężczyzna, który przedstawił się jako Janek Kowalski. Powiedział, że współpracuje z ambasadą brytyjską. Bublanski uznał, że musi mu wierzyć na słowo.

– Trochę się niepokoję – zaczął Kowalski, a Bublanski od razu pomyślał to i owo na temat angielskich niedopowiedzeń.

– W jakim sensie? – spytał sucho.

– W delikatny sposób łączą się tu dwie różne historie, być może wskutek zbiegu okoliczności. Albo i nie. Blomkvist jest powiązany z Lisbeth Salander, nieprawdaż, a Johannes Forsell...

– Co? – zniecierpliwził się Bublanski.

– Pod koniec swojego pobytu na placówce w Moskwie, w dwa tysiące ósmym roku, Forsell prowadził dochodzenie w sprawie ojca Lisbeth, Alexandra Zalachenki, i jego ucieczki do Szwecji.

– Myślałem, że w tamtym czasie wiedziała o tym jedynie pewna grupa ludzi w Säpo.

– Nic, panie komisarzu, nie jest aż tak tajne, jak ludzie myślą. W tym kontekście interesujące jest to, że Camilla, jego druga córka, nawiązała potem bliski kontakt z człowiekiem z GRU, który przyjaźnił się z Zalachenką i utrzymywał z nim kontakt również po jego zdradzie.

– Kto to jest?

– Nazywa się Iwan Galinow. Z przyczyn, których nie rozumiemy, pozostał lojalny.... jak by to powiedzieć?... również *post mortem*. Niszczył dawnych wrogów Zalachenki także po jego śmierci i uciszał ludzi będących w posiadaniu niewygodnych informacji. Jest bezwzględny i groźny, sądzimy, że obecnie przebywa w Szwecji i jest zamieszany w uprowadzenie Blomkvista. To niesłychanie ważne, żeby go ująć, dlatego oferujemy pomoc, zwłaszcza że minister obrony Forsell ma swój własny plan, który dość nieostrożnie pobłogosławiłem.

– Nie rozumiem.

– Zrozumie pan w swoim czasie, może pan być o to spokojny. Prześlemy panu materiały o Galinowie i zdjęcia, niestety mają już ładnych kilka lat. Do widzenia, panie komisarzu.

Bublanski pokiwał głową. Nieczęsto się zdarzało, żeby otrzymywał pomoc ze strony służb, bo na tym etapie odgadł, kim jest Kowalski. Porozmyślał chwilę na ten i inne tematy. Już chciał pójść zdać relację Sonji Modig, kiedy telefon znów zadzwonił. Była to Erika Berger.

CATRIN SIEDZIAŁA w brązowym fotelu w salonie Janka Kowalskiego, naprzeciwko niej Johannes Forsell, a obok Rebecka. Nie było jej łatwo się skupić, bo ciągle myślała o Mikaelu. Pożyczyli jej magnetofon – smartfon musiała odłożyć – w końcu doszła do wniosku, że wszystko się jednak ułoży, zresztą coraz bardziej ją wciągała ta rozmowa.

– A więc nie byłeś w stanie zrobić kroku? – spytała.

– Nie byłem – odparł Johannes. – Zapadła ciemność, zapanował lodowaty ziąb, potwornie marzłem i miałem tylko nadzieję, że stanie się to szybko. Że zapadnę w ostatnie odrętwienie, kiedy ciało wytraca resztki ciepła i podobno znów się dobrze czujemy. I właśnie wtedy usłyszałem wycie, podniosłem wzrok, w pierwszej chwili nic nie widziałem. A potem z zamieci wyłonił się Nima Rita, ale teraz miał dwie głowy i cztery ręce, niczym indyjski bóg.

– Jak to?

– Tak go widziałem. W rzeczywistości włókł kogoś. Nie od razu to do mnie dotarło, dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, kto to. Byłem zbyt wyczerpany, żeby myśleć. Może nawet zbyt wyczerpany, żeby chcieć ratunku, chyba straciłem wtedy przytomność. Kiedy ją odzyskałem, leżała obok mnie kobieta, miała wyciągnięte ramiona, jakby chciała mnie objąć. Mamrotała coś o swojej córce.

– Co?

– Nie zrozumiałem. Pamiętam tylko, że spojrzeliśmy na siebie. Byliśmy w zupełnej desperacji, a jednak zdziwiliśmy się. Wydaje mi się, że oboje się rozpoznaliśmy. Była to Klara. Poglaskałem ją po głowie i po ramieniu, pamiętam, pomyślałem, że już nigdy nie będzie piękna. Jej twarz zniszczył mróz. Zobaczyłem skaleczenie na wardze od mojego czekana, być może powiedziałem coś. Być może odpowiedziała. Nie wiem. Nad nami huczała burza, a obok awanturowali się Svante i Nima. Wrzeszczeli do siebie i popychali się. To wszystko było strasznie dziwne, a to, co do mnie dotarło, było tak absurdalne i przykre, że sądziłem, że się przesłyszałem. Były to angielskie słowa *slut* i *whore*, dziwka i kurwa. Dlaczego

mówili takie rzeczy w takiej strasznej chwili? Nie potrafiłem tego zrozumieć.

ROZDZIAŁ 31

28 SIERPNIA

MIKAEL NIE CHCIAŁ umierać, inaczej niż Johannes Forsell na Evereście. Nawet nie przeżył dotąd jakiegoś większego kryzysu. Ale teraz, leżąc na noszach z ciężkimi poparzeniami nóg, marzył tylko o tym, żeby zapaść w odrętwienie i zniknąć. Nie istniało nic poza bólem, nie był nawet w stanie krzyknąć. Skurczył się w sobie i zagryzł zęby, nie zdając sobie sprawy, że będzie jeszcze gorzej. I było.

Mężczyzna w białym garniturze, który przedstawił się jako Iwan, chwycił leżący obok skalpel i rozciął mu ranę od oparzenia; Mikael aż się wygiął i w końcu zaczął krzyknąć. Krzyczał do momentu, gdy dał o sobie znać świat zewnętrzny. Dopiero po dłuższej chwili do niego dotarło, co się dzieje. Usłyszał jakieś kroki, tym razem towarzyszył im stukot obcasów, przekręcił głowę i zobaczył kobietę o rudoblond włosach, wręcz nieziemsko piękną. Uśmiechała się do niego. Może powinno to obudzić w nim nadzieję, że przyjdzie jakieś wytchnienie, lecz poczuł jeszcze większy strach.

– Ty... – mruknął.

– Ja – odparła.

Camilla pogłaskała go po czole i włosach. Był w tym geście jakiś powściągany sadyzm.

– Hej – powiedziała.

Nie odpowiedział. Był jedną wielką krzyczącą raną. A jednak... zaczął błądzić myślami, chyba miał jej coś ważnego do powiedzenia.

– Martwi mnie Lisbeth – mówiła dalej. – Ciebie też powinna, Mikaelu. Zegar tyka. Tik-tak. Ale nie masz poczucia czasu, prawda? Mogę ci powiedzieć, że już jest po jedenastej, a Lisbeth, gdyby miała zamiar ci pomóc, od razu by się odezwała. Niestety nie ma od niej ani słowa. – Znów się uśmiechnęła. – Może jednak nie lubi cię aż tak bardzo. Może jest zazdrosna o twoje inne kobiety. O twoją małą Catrin.

Drgnął.

– Co jej zrobiliście?

– Nic, kochany. Na razie nic. Za to Lisbeth najwyraźniej woli, żebyś umarł, niż współpracować z nami. Poświęci cię, tak jak poświęciła wiele innych osób.

Zamknął oczy, znów szukał w pamięci czegoś, co chyba chciał jej powiedzieć, ale nie znajdował nic prócz bólu.

– To wy mnie poświęćcie – powiedział. – Nie ona.

– My... nie, nie. Lisbeth otrzymała propozycję, której nie przyjęła, właściwie nie mam nic przeciwko temu. Niech się przekona, co to znaczy stracić kogoś naprawdę bliskiego. Nie byłeś ważny dla niej?

Znów go pogłaskała, w tym momencie dojrzał w jej twarzy coś nieoczekiwanego. Podobieństwo do Lisbeth. I nie chodziło o wygląd, tylko o tę samą tępą furię w spojrzeniu.

– Dla niej... – wyjąkał.

Zmagał się ze sobą, próbując zapanować nad bólem.

– No co, Mikaelu?

– ...ważni byli matka i Holger, ale ich już utraciła – powiedział i w tym momencie uzmysłowił sobie, czego szuka w pamięci.

– Co chcesz powiedzieć?

– Że Lisbeth już wie, jak to jest stracić kogoś bliskiego, podczas gdy ty, Camillo...

– Podczas gdy ja...

– ...straciłaś coś więcej.

– Niby co takiego?

– Kawałek samej siebie. – Wypluł to przez zaciśnięte zęby.

– Co masz na myśli? – W jej oczach błysnął gniew.

– Straciłaś i matkę, i ojca.

– Tak jest.

– Matkę, która nie chciała widzieć, że jest ci źle, i ojca... którego kochałaś... ale który cię wykorzystywał, i myślę...

– No i co ty takiego myślisz?

Zamknął oczy, usiłując się skupić.

– Że stałaś się największą ofiarą tego, co się działo u was w domu. Wszyscy cię zawiedli.

Camilla chwyciła go za gardło.

– Co ci ta Lisbeth naopowiadała?

Dusił się, ale nie tylko dlatego, że ścisnęła mu gardło. Miał wrażenie, jakby ogień podpełzł bliżej, i był pewien, że popełnił błąd. Chciał nią wstrząsnąć, poruszyć jej sumienie, a wywołał u niej furję.

– Odpowiadaj! – krzyknęła.

– Lisbeth powiedziała, że...

Sapał ciężko.

– Co?

– Że powinna była zrozumieć, po co Zala przychodził do ciebie nocami, ale była tak skupiona na tym, żeby ratować mamę, że się nie domyśliła.

Camilla puściła go, kopnęła nosze, co spowodowało, że uderzył stopami o krawędź pieca.

– Więc tak ci powiedziała?

Puls bił mu jak szalony.

– Nie domyśliła się.

– Gówno prawda.

– Nie, nie.

– Zawsze wiedziała, jasne, że wiedziała! – krzyknęła Camilla.

– Spokój, Kiro – odezwał się Iwan.

– W życiu! – warknęła. – Żeby tak mu nałgać!

– Nie wiedziała – wyjąkał Mikael.

– Tak ci powiedziała? Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę z Zalą? Chcesz? Zala zrobił ze mnie kobietę. Tak powiedział.

Zawahala się, jakby szukała słów.

– Zrobił ze mnie kobietę mniej więcej tak, jak ja teraz zrobię z ciebie mężczyznę, Mikaelu – dodała, nachylając się nad nim i patrząc mu w oczy, i choć z początku miała w oczach złość i pragnienie zemsty, to teraz nastąpiła zmiana. Może jednak się mylił. W następnej sekundzie Camilla wyszła, wołając coś po rosyjsku, co zabrzmiało jak rozkaz.

Mikael został sam z człowiekiem o imieniu Iwan i nie mógł nic

zrobić, jak tylko starać się wytrzymać i nie patrzeć w ogień.

13 maja 2008

Klara zobaczyła jakichś ludzi wyłaniających się z zamieci. W tym samym momencie upadła i zsunęła się po zboczu, wpadając na czyjeś ciało, był to mężczyzna. Czy był martwy? Nie, nie, żywy, ruszał się, spojrzał na nią i pokręcił głową. Miał maskę tlenową, więc nie widziała, kto to. Poklepał ją po ramieniu.

Po chwili zdjął maskę i okulary, uśmiechnął się do niej oczami, odpowiedziała, a raczej próbowała odpowiedzieć tym samym. Zorientowała się, że obok nich trwa jakaś kłótnia. Ktoś mówił, że Johannes – na pewno powiedzieli Johannes? – zrobił coś dla Nimy i jeszcze robi. Zbuduje mu dom. Zaopiekuje się Luną. Ale nie skojarzyła tego ze sobą.

Bardzo ją bolało. Leżała na śniegu całkowicie bezradna, nie mogła wstać i modliła się do Boga, żeby Nima znów jej pomógł, i rzeczywiście, pochylił się nad nią; miała wrażenie, jakby cały świat się nad nią pochylił. Zostanie uratowana. Znów zobaczy swoją córkę i wróci do domu. Jednak Nima podniósł na nogi nie ją, tylko tamtego.

Początkowo jej to nie zaniepokoiło. Po prostu jego wzięli pierwszego. To nic takiego, prawda? Podniosła wzrok i zobaczyła, że tamten wisi na ramieniu Nimy tak jak przedtem ona, pomyślała, że jej pomoże ten drugi mężczyzna, który tak się awanturował. Najpierw nic się nie działo, a to, co nastąpiło potem, było już bardzo niepokojące. Odeszli od niej, chwiejąc się na nogach. Chyba jej tu nie zostawią?

– Nie! – krzyknęła. – Błagam, nie zostawiajcie mnie!

A jednak odeszli, nawet się nie oglądając. Przez krótką chwilę patrzyła tylko na ich sylwetki znikające w śnieżycy i dopiero gdy usłyszała jedynie skrzypienie kroków, poczuła, jak wwierca się w nią potworny strach. Zaczęła krzyczeć, aż zabrakło jej sił, i mogła tylko łkać cicho; nigdy nie przypuszczała, że możliwa jest taka rozpacz.

JURIJ BOGDANOW siedział w niedużej nowej dobudówce. Za nim Kira, zagłębiona w skórzanym fotelu, popijała nerwowo drogiego białego burgunda, sprowadzonego specjalnie dla niej.

Bogdanow wpatrywał się w ekran laptopa. Śledził równoległe obrazy z kilku kamer, zarówno tej skierowanej na Blomkvista skręcającego się z bólu, jak i z tych znajdujących się na równinie przed budynkiem. Przedtem była tu stara huta szkła, produkująca luksusowe wazony i półmiski; kilka lat temu zbankrutowała i wtedy kupiła ją Kira. Miejsce znajdowało się na uboczu, z dala od innych zabudowań, za to pod samym lasem. Okna były wprawdzie duże i wysokie, ale nie dało się przez nie zajrzeć, a Bogdanow pilnował wręcz obsesyjnie, aby wszyscy, którzy tu bywali, zachowywali jak najdalej idącą ostrożność. Powinni tu być bezpieczni. Mimo to nadal był niezadowolony; co pewien czas myślał o Wasp i o tym, co o niej słyszał. Podobno włamała się do intranetu NSA i czytała tam rzeczy, do których nawet prezydent nie ma dostępu. Udało jej się coś, co uważano za niemożliwe, w jego świecie była prawdziwą legendą, podczas gdy Kira... cóż, mój Boże, Kira.

Zerknął do tyłu na piękną Kirę, która wyciągnęła go z rynsztoka i zrobiła z niego bogatego człowieka. Powinien być jej wdzięczny,

ale – odczuł to nagle jak wielki ciężar – miał jej serdecznie dość. Miał dość jej gróźb, uderzeń, mściwości i nagle, sam nie rozumiejąc, dlaczego to robi, wszedł na adres mailowy, który sam stworzył, i przez kilka sekund siedział nieruchomo, czując dziwne podniecenie.

Następnie wpisał współrzędne GPS i pomyślał, że skoro nie potrafią znaleźć Wasp, to niech Wasp przyjedzie do nich.

LISBETH SIEDZIAŁA nad laptopem na kolejnym parkingu przy E-4, tym razem niedaleko Ekesty, gdy na poboczu zatrzymał się samochód. Czarne volvo V90. Drgnęła, sięgając do broni pod kurtką. Okazało się jednak, że była to para w średnim wieku z małym chłopcem, któremu zachciało się siku.

Lisbeth odwróciła wzrok. Dopiero co otrzymała wiadomość od Plague'a... no właśnie... na pewno nie był to przełom ani nie przypominało to przełomu, natomiast wskazał jej nowy kierunek, bardziej na północny wschód.

Właśnie na to liczyła, cholerny Peter Kovic ze Svavelsjö zaliczył wpadkę, dając się nagrać kamerze monitoringu na stacji benzynowej przy Industrigatan w Rocknö na północ od Tierp o godzinie 3.37 w nocy. Wyglądał paskudnie, wielki, jakiś rozkiszły, nalany. Na filmie zobaczyła, jak zdjął kask, napił się wody ze srebrnoszarej butelki, a resztę wylał sobie na głowę i na twarz. Najwyraźniej usiłował się pozbiierać po potwornym kacu.

Odpisała:

Śledziliście go dalej?

Odpowiedź Plague'a:

Dalej już nic.

Żadnych sygnałów z jego komórki?

Martwa cisza.

Co znaczyło, że ten pijus mógł pojechać absolutnie wszędzie. Aż do Norrlandii albo w stronę wybrzeża. Nadal nie miała bladego pojęcia, dokąd wywieźli Mikaela, chciało jej się wrzeszczeć i walić gdzie popadnie. Opanowała się i zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie nawiązać kontaktu z bandytami; może tą drogą udałoby jej się coś wydedukować. Weszła więc na konto mailowe, które jej przysłali, i odkryła, że pojawiło się tam coś nowego, dwa rzędy cyfr i liter, których w pierwszej chwili nie potrafiła rozszyfrować. A potem zobaczyła, że to współrzędne GPS, wskazujące na jakieś miejsce w parafii Morgonsala w Upplandii.

Morgonsala.

Co to znaczy? Najpierw chcieli, żeby przyjechała do jakiegoś miejsca koło Sunnersty, informując dokładnie, jak ma postępować. Tu nie było nic, ani słowa, wyłącznie odsyłacz do lokalizacji... gdzieś... – musiała spojrzeć na mapę – na jakimś zadupiu, w polu. Morgonsala, co sprawdziła, była małą osadą liczącą sześćdziesięciu ośmiu mieszkańców, na północny wschód od Tierp; wokół równina, głównie porośnięta lasem. Oczywiście był kościół, trochę zabytków, oprócz tego kilka opuszczonych budynków fabrycznych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy buzował tu duch przedsiębiorczości. Trochę ją to zainteresowało. Poszukała tego miejsca na Google Earth i odkryła, że na środku rozległego terenu blisko lasu znajdował się długi ceglany budynek w kształcie prostokąta, z dużymi oknami.

Mogła to być kryjówka bandytów. Z drugiej strony można by to powiedzieć o każdym prywatnym budynku w Szwecji. Tylko wciąż zachodziła w głowę, dlaczego wskazali jej ten budynek. Fałszywy trop? Pułapka?

Spojrzała jeszcze raz na mapę i zobaczyła, że Rocknö, gdzie Peter Kovic zrobił sobie przystanek i polewał twarz wodą, znajduje się dokładnie na drodze do Morgonsali, a wtedy mruknęła z ożywieniem.

Czyżby ktoś z otoczenia Camilli puścił przeciek? Czy to możliwe? Przecież ci goście ze Svavelsjö na pewno nie byli zachwyceni, że kazano im zaatakować kogoś takiego jak Mikael. Na pewno uważali, że ryzyko jest za duże, ale dlaczego puścili przeciek do niej? Na co liczą?

Zupełnie jej się to nie składało, uznała jednak, że musi to sprawdzić. Napisała do Plague'a:

Mam ewentualny trop do Morgonsali?

Odpisał:

Tell me.

Wysłała mu współrzędne GPS i napisała:

Jadę tam. Możesz im trochę podokuczać?

Z przyjemnością. Jak?

Awaria prądu, zalew esemesów.

Zrozumiano.

Odezwę się.

Wsiadła na motocykl i pomknęła w stronę Morgonsali. Kilka minut później zerwał się wiatr. Niebo znów się zachmurzyło, a Lisbeth chwyciła kierownicę tak mocno, że aż jej zbieleły palce.

ROZDZIAŁ 32

28 SIERPNIA

IWAN GALINOW spojrzał na człowieka na noszach. Waleczny gość. Dawno nie widział, żeby ktoś tak stoicko znosił ból. To i tak na nic. Czas płynął, nie mogli czekać dłużej. Facet musi umrzeć – może i niepotrzebnie, ale to w tej chwili bez znaczenia. Oto jest, ściągnięty tutaj przez upiory przeszłości. Można by powiedzieć, że przez sam ogień.

Galinow, w odróżnieniu od wielu jego kolegów z GRU, nie klaskał, gdy dwunastoletnia córka Zalachenki rzuciła na ojca koktajl Mołotowa i patrzyła, jak płonie w samochodzie. Odszedł wtedy na bok i przysięgł sobie, że pewnego dnia dopadnie tę dziewczynę. Prawda, że nie mógł się pozbierać, kiedy się dowiedział, że Zalachenko, jego najbliższy przyjaciel i mentor, uciekł, stał się najgorszym z najgorszych, czyli zdrajcą ojczyzny.

Potem jednak zrozumiał, że to nie takie proste, i wtedy wznowili wzajemne kontakty. Było jak przedtem, w każdym razie prawie tak samo: spotykali się w tajnych miejscach, wymieniali się informacjami i razem tworzyli Zvezda Bratva. Nikt, nawet własny ojciec, nie znaczył dla niego tyle co Zalachenko. Galinow czcił jego pamięć i tak miało pozostać, chociaż wiedział, że Zala wyrządził strasznie dużo zła, nie tylko w swojej pracy, ale również własnemu

dziecku; kolejny aspekt dramatu, który go tu przywiódł.

Dla Kiry gotów był na wszystko. Widział w niej i Zalę, i siebie samego, tego, kto zdradza, i tego, który zostaje zdradzony, zarówno tego, kto cierpi, jak i tego, który zadaje cierpienie, ale nigdy nie widział jej tak roztrzęsionej jak po rozmowie przy noszach z Mikaelem. Galinow rozprostował się. Zrobiło się już popołudnie, był zmęczony i oczy go piekły. Mimo to wciąż tu stał, zdecydowany doprowadzić do końca tę robotę, której nigdy nie lubił, nie to co Kira albo Zala. Dla niego był to wyłącznie obowiązek. Odezwał się:

– Dokończmy to, Mikaelu. Dasz radę.

Mikael nie odpowiedział. Zacisnął szczęki i pozostał dzielny. Nosze, na których leżał, były przemoczone potem, miał poparzone, poranione stopy, a płonący piec czekał, jak monstrum z rozdziawionym pyskiem. Galinowowi nietrudno było postawić się na jego miejscu.

Sam został kiedyś poddany torturom i myślał, że zginie; na pocieszenie – współczując sobie i Mikaelowi – pomyślał, że na pewno istnieje jakaś ostateczna granica bólu. Po jej przekroczeniu ciało się wyłącza. Przecież z punktu widzenia ewolucji byłoby bez sensu, aby nasze cierpienie było bezgraniczne, również wtedy, gdy już nie ma nadziei.

– Jesteś gotów? – spytał.

– Ja... mam... – odparł Mikael, ale chyba już nie miał siły, więcej z siebie nie wydusił. Cóż, trudno.

Galinow sprawdził prowadnice noszy i starł pot z policzków; zobaczył fragment swego odbicia w metalowych krawędziach pieca

i zaczął się szykować do pracy.

MIKAEL BYŁ GOTÓW powiedzieć cokolwiek, byle odwlec ten moment. Jednak siły go zawiodły, zalała go fala obrazów z przeszłości i rozmaitych myśli. Ujrzał przed sobą swoją córkę i rodziców, Lisbeth i Erikę, różne rzeczy, wszystkiego po trochu, więcej, niż mógł ogarnąć. Zorientował się, że wyprężył ciało jak do mostka. Nogi i biodra drżały, pomyślał: *Zaraz się to stanie, spalą mnie na śmierć*. Spojrzał na Iwana, ale wszystko zrobiło się jakies niewyraźne.

Widział całe pomieszczenie jak przez mgłę, więc nie był pewien, czy lampy na stropie rzeczywiście zamrugwały i zgasły, czy już ma halucynacje. Przez dłuższą chwilę sądził, że ciemność to efekt jego lęku przed śmiercią. W końcu domyślił się, że jednak coś się dzieje, rozległy się kroki i głosy. Zobaczył, jak Iwan odwraca się i mówi po szwedzku:

– Co się dzieje, do cholery?

Odpowiedziało kilka wzburzonych głosów. Co się dzieje? Mikael zrozumiał tylko tyle, że w budynku nagle zapanowała nerwowa atmosfera i że rzeczywiście wysiadło światło. Wszystko zgasło poza piecem, który wciąż płonął z groźną intensywnością. On sam znajdował się o jedno popchnięcie od śmierci. Ale to zamieszanie musi oznaczać... jakąś nadzieję, prawda? Rozejrzał się i dostrzegł w ciemności sylwetki podobne do duchów.

Może policja przyjechała? Mikael próbował uwolnić się myślami od bólu. A może by ich jeszcze bardziej nastraszyć? Powiedzieć, że to koniec, że są otoczeni? Nie, mogliby tym prędzej

wepchnąć go do pieca. Ścisnęło go w gardle. Ledwo oddychał. Spojrzał na skórzane pasy na nogach. Musieli mu dać nowe, poprzednie spaliły się i stopiły z jego skórą. W łydkach czuł potworny, rozdzierający ból. A jednak... skóra była w strzępach. Może zdołałby się jednak wyrwać? Postanowił spróbować. Ból będzie nieopisany, ale nie miał czasu o tym myśleć, więc zamknął oczy i udało mu się powiedzieć:

– Szlag, strop się wali.

Człowiek imieniem Iwan spojrział w górę, a wtedy Mikael zrobił głęboki wdech, wyszarpnął nogi z pasów i wydał przeraźliwy krzyk, który rozdarł powietrze. Nie zastanawiając się, kopnął Iwana w brzuch, a potem wszystko się zamazało i wykrzywiło. Pamiętał jeszcze, że zanim stracił przytomność, usłyszał głosy krzyczące po szwedzku:

– Zastrzelcie go!

Maj 2008

Następnego dnia, kiedy zmierzał do obozu bazowego, wróciły do niego słowa, które ledwo się przedarły przez burzę i zamieć, ostatni rozpaczliwy krzyk Klary:

– Błagam, nie zostawiajcie mnie!

Było to ponad ludzką wytrzymałość, już wtedy czuł, że echo tych słów będzie mu towarzyszyć do końca życia. Jednak nie było to aż tak proste. Przede wszystkim żył i sam ten fakt miał w sobie oszałamiającą moc; raz po raz modlił się, by starczyło mu sił. Doszedł na dół i mógł paść w ramiona Rebecki. Lecz poczucie winy nie było jego jedyną emocją. Chciał żyć, dlatego był

wdzięczny nie tylko Nimie, lecz również Svantemu. Gdyby nie on, zginąłby na tej górze, a jednak nie potrafił spojrzeć mu w oczy i najczęściej patrzył na Nime. Swoją drogą nie on jeden. Wszyscy spoglądali na niego z niepokojem.

Wyglądał jak strzép człowieka. Chcieli odtransportować go helikopterem do szpitala, ale Nima odmawiał przyjęcia pomocy, zwłaszcza od Svantego i Johannesesa. A dla nich był źródłem niepokoju, od tego też nie dało się uciec. Co powie, kiedy odzyska siły? Dręczyło to Johannesesa, a jeszcze bardziej Svantego. W końcu Johannes pogodził się z tym, że będzie, co ma być. W miarę jak opadał z sił, a do bezpiecznej bazy było coraz bliżej, zaczęła go ogarniać apatia, a kiedy w końcu rzeczywiście mógł uściskać Rebeckę, w ogóle nie poczuł tego, o czym marzył. Żadnego poczucia bezpieczeństwa czy ulgi, że ocalał, wyłącznie ciężar w piersi.

Prawie nie jadł i nie pił. Tylko spał, a kiedy po czternastu godzinach się obudził, był jak niemy. Jakby ten przyprawiający o zawrót głowy górski krajobraz pokrył popiół. W niczym nie znajdował pocieszenia, nawet w uśmiechu Rebecki. Życie zdawało mu się puste, bez sensu. Miał tylko jedną myśl: musi to opowiedzieć. Jednak ciągle to odkładał, nie tylko przez Svantego i jego niespokojne spojrzenia. Dotarły do nich wieści, że kariera wspinaczkowa Nimy jest skończona. Czy Johannes ma być tym, który wbije mu gwóźdź do trumny? Powie, że człowiek, który pod każdym względem był wielkim bohaterem na Evereście, a jemu uratował życie, zostawił kobietę na pewną śmierć?

Wydawało się to niemożliwe. Ale zapewne tak by się stało,

gdyby Svante nie podszedł do niego podczas schodzenia z obozu bazowego. Znajdowali się na wysokości Namcze Bazar, niedaleko wąwozu z szemrzącym potokiem. Szedł wtedy sam. Rebecka znajdowała się na przedzie, opiekowała się Charlottą Richter, która martwiła się o swoje odmrożone palce u nóg. Svante objął go ramieniem i ostrzegł:

– Nigdy nie wolno nam o tym powiedzieć, nigdy, chyba to rozumiesz?

– Przykro mi, Svante, ale ja muszę. Nie potrafię z tym żyć.

– Rozumiem cię, przyjacielu. Rozumiem. Ale znaleźliśmy się w potrzasku. – A potem swoim miłym głosem powiedział, co na nich mają Rosjanie, na co Johannes odparł, że w takim razie się jeszcze wstrzyma.

Być może nawet widział w tym swego rodzaju deskę ratunku, szansę na ucieczkę od moralnego nakazu, aby ujawnić wszystko.

TO NIE BYŁ łatwy teren dla motocykla. Lisbeth nie odważyła się pojechać zwykłą drogą, jeśli to rzeczywiście to miejsce. Znalazła ścieżkę biegnącą przez las, na której jej motocykl buksował, ledwo tocząc się naprzód. Dotarła na miejsce, stanęła wśród krzewów jagód i ukryta za jakąś sosną spojrzała na budynek.

W pierwszej chwili nie dostrzegła żadnych oznak życia w środku, już myślała, że to zasłona dymna i fałszywy trop. Podłużny budynek wyglądający jak stajnia, zbudowany z kamienia i cegły, z widocznymi oznakami upadku: dach wymagał naprawy, na krótszych ścianach łuszczyła się farba, z miejsca, gdzie stała Lisbeth, nie było widać żadnych samochodów ani motocykli.

W tym momencie zauważyła, że z komina się dymi, więc dała rozkaz Plague'owi, żeby odpalił akcję.

Wkrótce po tym z budynku wyjrzała jakaś postać, długowłosa mężczyzna w czarnym ubraniu, nie widziała go wyraźnie, ale odnotowała, że się rozejrzał nerwowo, i to jej wystarczyło.

Zamontowała IMSI-catchera i stację bazową. Zaledwie kilka sekund później z budynku wyjrzał drugi facet, równie nerwowo. Była już prawie pewna, że to oni i że będzie ich więcej. Zwłaszcza jeśli w środku jest Mikael. Zrobiła kilka zdjęć budynku i wysłała zaszyfrowanym łączem wraz ze współrzędnymi GPS do komisarza Bublanskiego w nadziei, że policja szybko przyśle swoich ludzi. Następnie ruszyła w stronę budynku. Zdawała sobie sprawę, że ryzykuje.

Na płaskim terenie nie było gdzie się schować. Jednak Lisbeth postanowiła, że spróbuje zajrzeć do środka przez wielkie okna sięgające ziemi. Wiał silny wiatr, niebo pociemniało. Szła pochylona, gotowa w każdej chwili sięgnąć po broń. Dość szybko dała za wygraną, bo choć podeszła aż za blisko, nic nie zobaczyła. Okna były zaciemnione. Czuła, że robi się niebezpiecznie, zawróciła więc i biegnąc, rzuciła okiem na wyświetlacz smartfona. Przechwyciła esemesa:

Pozbywamy się go i zjeżdżamy stąd.

Dalej nie bardzo wiadomo, co się działo. Lisbeth miała wrażenie, że znów się zawahała, jak wtedy na ulicy Twerskiej. Ale Conny Andersson, który w tym samym momencie zauważył ją na obrazie

kamery monitoringu, kiedy biegła do lasu, odniósł przeciwne wrażenie: że zachowywała się jak osoba przerażająco wręcz świadoma celu.

RÓWNIEŻ BOGDANOW zauważył ją na laptopie, ale w odróżnieniu od Anderssona nie uderzył na alarm, tylko gapił się na nią z niechętną fascynacją, podczas gdy Lisbeth zniknęła między drzewami. Nie było jej kilka sekund. Usłyszeli warkot motocykla, wyraźnie przyspieszającego, potem znów zobaczył ją na ekranie: jechała prosto na nich z dużą szybkością. Motor podskakiwał i unosił się nad ziemią; Bogdanow przeczuwał, że widzi ją po raz ostatni.

Zaterkotały strzały, rozległ się brzęk tłuczonego szkła, motocykl zarzucił na łące. Jednak Bogdanow nie czekał na koniec. Złapał leżące na stole kluczyki do samochodu i prysnął, ogarnięty przemożną potrzebą uwolnienia się, ucieczki od tego, co nie mogło się dobrze skończyć, czy to dla nich, czy dla Wasp.

MIKAEL OTWORZYŁ oczy i jak przez mgłę zobaczył przed sobą mężczyznę, nieogolonego, nalanego faceta około czterdziestki z długimi włosami, szeroką szczęką i przekrwionymi oczami. Trzęsły mu się ręce, pistolet w jego dłoni też się trząsł; spojrzął nerwowo na Iwana, który nadal nie mógł złapać tchu.

– Zastrzelić go? – krzyknął.

– Zastrzel – odparł Iwan. – Musimy stąd wiać.

W tym momencie Mikael zaczął się rzucać i wierzgać, jakby miał zamiar odeprzeć kule swoimi poranionymi nogami; zdążył

jeszcze zobaczyć, jak tamten się koncentruje, czoło mu się marszczy, a mięśnie przedramienia się napinają. Krzyknął: „Nie, kurwa, nie!”, kiedy usłyszał ryk silnika samochodu albo motocykla, który zbliżał się z przerażającą szybkością, a wtedy tamten się odwrócił.

Ludzie wokół strzelali, może nawet z broni maszynowej, nie sposób było się rozeznąć. Pewne było jedynie to, że ten pojazd jedzie prosto na nich. Rozległ się huk. Szkło rozprysło się po całym pomieszczeniu. Do środka wpadł motocykl, siedząca na nim chuda, czarno ubrana postać, chyba kobieta, wjechała prosto w jednego ze stojących z przodu, rzucając go na ścianę.

Tymczasem trwała strzelanina. Ten nalany o szerokiej szczęce wystrzelił, ale nie do Mikaela, tylko do kobiety, którą zrzuciło z motoru, lecz widocznie spudłował. Kobieta już pędziła na niego dzikimi, szybkimi susami. Mikael zobaczył, jak twarz Iwana zastyga ze strachu, a może skupienia. Potem już nic nie rozumiał. Słyszał tylko kolejne strzały i krzyki, a potem odpłynął, pokonany przez ból i mdłości.

CATRIN, KOWALSKI i małżonkowie Forsell zrobili sobie przerwę na posiłek składający się z indyjskiego jedzenia na wynos. Teraz, po powrocie do salonu, Catrin starała się skupić na tym, co Svante powiedział do Forsella podczas przemarszu w dół z obozu bazowego.

– Myślałem, że powoduje nim wyłącznie życzliwość dla mnie – mówił Johannes. – Objął mnie ramieniem i powiedział, że obawia się, że jeśli opowiemy o tym, to oskarżą nas o co innego, bo i tak

znajdujemy się w strefie zagrożenia.

– Jak to tłumaczył?

– Szefostwo w GRU wiedziało, kim jesteśmy. Musieli się zastanawiać, czy istnieje związek między śmiercią Grankina a naszą obecnością na Evereście. A potem dodał równie przyjaźnie: „Przecież wiesz, że od dawna próbują cię dopaść”, i była to prawda, wiedziałem o tym. W oczach GRU byłem równie groźny, co wkurzający. Później przypomniał mi, ciągle z tym samym życzliwym zrozumieniem, że prawdopodobnie mają na mnie kompromaty.

– Kompromaty?

– To znaczy kompromitujące materiały.

– O co mu chodziło?

– O pewną historię z ministrem Antonssonem.

– Ministrem handlu?

– Właśnie. Sten Antonsson, wówczas świeżo po rozwodzie, był trochę zagubiony. Na początku lat dwutysięcznych zakochał się w młodej Rosjance imieniem Alisa. Biedak, był w siódmym niebie. Podczas wizyty w Petersburgu, a byłem tam, wypili w pokoju hotelowym morze szampana. I w środku tej imprezy Alisa zaczęła go wypytywać o poufne sprawy, wydaje mi się, że wtedy łuski spadły mu z oczu. To nie była żadna miłość, tylko klasyczna miłosna pułapka, wtedy facet pękł. Zaczął się wydzierać i wymachiwać rękami, wbiegli jego ochroniarze, powstało totalne zamieszanie, a w dodatku ktoś wpadł na idiotyczny pomysł, że mam przesłuchać tę kobietę, więc wezwali mnie do ich pokoju.

– I co się stało?

– Wpadłem od razu na Alisę, w koronkowych majtkach, podwiązkach i te sprawy. Dostała ataku hysterii, a ja próbowałem ją uspokoić. Zaczęła wrzeszczeć, że domaga się pieniędzy. W przeciwnym razie doniesie na Antonssona za pobicie. Kompletnie mnie zaskoczyła, a ponieważ miałem przy sobie mnóstwo rubli, dałem jej. Mało eleganckie, ale jedyne rozwiązanie, jakie mi wtedy przyszło do głowy.

– Bałeś się, że mogą mieć zdjęcia?

– Tak jest, a kiedy Svante przypomniał mi o tym zdarzeniu, sprawa się jeszcze bardziej skomplikowała. Myślałem o Rebecce, że bardzo ją kocham, więc przeraziłem się, że mogłaby uwierzyć, że w gruncie rzeczy jestem paskudnym typem.

– Dlatego postanowiłeś milczeć o tym, co się stało na Evereście?

– Zorientowałem się, że Nima też nic nie mówi, więc odczekałem, a czas płynął. Zresztą pojawiły się inne problemy.

– Jakie?

Odpowiedział Janek Kowalski:

– W GRU dostali cynk, że Johannes usiłował zwerbować Grankina.

– Od kogo?

– Myśleliśmy, że od Stana Engelmana – mówił dalej Kowalski.

– W ciągu kilku miesięcy letnich i jesiennych znajdowaliśmy coraz więcej oznak, że należy do syndykatu Zvezda Bratva. Podejrzewaliśmy, że Engelman miał wśród uczestników wyprawy informatora, który mu donosił o częstych kontaktach Johannaesa i Wiktora. Myśleliśmy nawet, że informatorem był Nima Rita.

– Ale tak nie było?

– Nie, chociaż dla nas było jasne, że GRU było informowane. Myśleliśmy, że nie mają pewności. Jednak... wystosowali protest do rządu szwedzkiego. Mówiło się nawet, że naciski Forsella przyczyniły się do stresu Grankina na Evereście i kosztowały go życie. Johannes, jak wiesz, został wydalony z Rosji.

– Więc to dlatego? – odezwała się Catrin.

– Częściowo. Rosjanie wydalili wtedy mnóstwo dyplomatów. Ale tak, oczywiście, że i ta sprawa się przyczyniła, to była wtedy duża strata dla nas wszystkich.

– Ale nie dla mnie – powiedział Johannes. – Dla mnie był to początek czegoś nowego, lepszego. Odszedłem z wojska, co odczułem jako wyzwolenie. Byłem zakochany, ożeniłem się, rozwinąłem firmę ojca, urodziły mi się dzieci. Znow doznałem cudu życia.

– A to jest groźne – zauważył Kowalski.

– Cynik – skomentowała Rebecka.

– Ale to prawda. Człowiek szczęśliwy opuszcza gardę.

– Przestałem być ostrożny i nie dodałem dwa do dwóch, jak należało – powiedział Johannes. – Nadal traktowałem Svantego jak przyjaciela. Nawet go mianowałem podsekretarzem stanu.

– A to był błąd? – spytała Catrin.

– Co najmniej, prawie od razu dogoniły mnie pewne rzeczy z przeszłości.

– Stałeś się celem kampanii hejtu i dezinformacji.

– Też, ale przede wszystkim odwiedził mnie Janek.

– Czego chciał?

– Chciałem z nim porozmawiać o Niemie – wtrącił Kowalski.

– O co chodziło?

– Widzisz, przez dłuższy czas utrzymywałem kontakt z Nimą – wyjaśnił Johannes. – Wspierałem go finansowo, zbudowałem mu dom w Khumbu. Ale w końcu nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Po śmierci Luny wszystko mu się zawaliło, ciężko zachorował. Parę razy udało mi się do niego dodzwonić, ale ledwo go rozumiałem. Bredził. Wszystko mu się pomieszało i już nikt nie chciał tego słuchać. Był uważany za niegroźnego – nawet przez Svantego. Jednak jesienią dwa tysiące siedemnastego sytuacja się zmieniła. Dziennikarka z magazynu „The Atlantic”, Lilian Henderson, pisała książkę o wydarzeniach na Evereście, która miała się ukazać w następnym roku, na dziesięciolecie dramatu. Autorka była świetnie przygotowana, wiedziała nie tylko o romansie Wiktora i Klary, ale również o związkach Stana Engelmana z syndykatem Zvezda Bratva. Sprawdziła też pogłoskę, że Engelman chciał, aby na Evereście zginęli oboje, zarówno jego żona, jak i Grankin.

– O mój Boże.

– Właśnie, Lilian Henderson przeprowadziła w Nowym Jorku mocny wywiad z Engelmanem. Stan oczywiście zaprzeczył wszelkim oskarżeniom, zresztą nie było pewności, że Lilian zdoła to wszystko udowodnić. Mimo to Engelman widocznie uznał, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo.

– I co się stało?

– Henderson nieostrożnie wspomniała, że wybiera się do Nepalu porozmawiać z Nimą, a Nima, jak już mówiłem, był zazwyczaj niegroźny, ale niekoniecznie w sytuacji spotkania z reporterką

śledczą dysponującą wystarczającą wiedzą, aby w jego bardzo emocjonalnej relacji odróżnić szaleństwo od faktów.

– A jakie były fakty?

– Między innymi takie, jakie zdokumentowała Lilian Henderson – powiedział Kowalski.

– Co masz na myśli?

– Nasz człowiek w ambasadzie w Nepalu czytał kartki z zapiskami rozwieszane przez Nimę w Katmandu i wynikało z nich, że Stan prosił Nimę, aby na Evereście zabił Mamsahib, chociaż Nima napisał „Angelman”, co wyglądało, jakby ten rozkaz wydał mu jakiś mroczny anioł z nieba.

– Chcesz powiedzieć, że tak było? – spytała Catrin.

– Uważamy, że tak – ciągnął Kowalski. – Przypuszczamy, że przez pewien czas Stan rozważał wykorzystanie Nimy do tego celu.

– Czy to możliwe?

– Nie zapominaj, że Engelman musiał wpaść w przerażenie, kiedy się zorientował, że Klara i Grankin zmawiają się przeciwko niemu, żeby go dopaść.

– A co na to Nima? Wiadomo?

– Był głęboko wstrząśnięty – powiedział Johannes. – Wszystko, co dotąd robił, cała jego kariera była nastawiona na pomaganie ludziom, a nie uśmiercanie ich, więc oczywiście odmówił. Ale później, kiedy pośrednio przyczynił się do śmierci Klary, nie przestawało go to dręczyć. Łatwo to sobie wyobrazić. Załamały go poczucie winy i mania prześladowcza, a jesienią dwa tysiące siedemnastego, kiedy odwiedził mnie Janek, Nima desperacko próbował wyznać swoje winy w Katmandu. Chciał wyspowiadać

się przed światem.

– Wszystko na to wskazywało – dodał Kowalski – więc poinformowałem Johannes, że istnieje pewne zagrożenie w związku z przyjazdem Lilian Henderson. Powiedziałem mu, że jest ryzyko, że Stan i Zvezda Bratva go zlikwidują, na co Johannes odparł bez namysłu, że jesteśmy Nimie winni ochronę i leczenie.

– I zrobiliście tak?

– Tak.

– Jak to wyglądało?

– Poinformowaliśmy Klasa Berga z MUST, a potem przywieźliśmy Nimę do Sztokholmu brytyjskim samolotem dyplomatycznym i umieściliśmy w Południowym Skrzydle w Årstaviken, gdzie niestety...

– Co takiego? – spytała Catrin.

– ...właściwie nie otrzymał żadnego leczenia, a ja...

– A ty...

– Nie odwiedzałem go tak często, jak zamierzałem. Nie tylko dlatego, że miałem za dużo spraw na głowie. Po prostu jego widok był zbyt bolesny.

– A więc wolałeś być nadal szczęśliwy.

– Pewnie tak, chociaż nie potrwało to długo.

ROZDZIAŁ 33

28 SIERPNIA

LISBETH SALANDER schyliła głowę, gdy motocykl przebił okno, ale zaraz ją podniosła i zorientowała się, że facet w skórzanej kamizeli mierzy do niej, więc go staranowała. Uderzenie było tak mocne, że sama wyleciała w powietrze, uderzyła o ścianę i wylądowała na żelaznej belce na podłodze. Zerwała się na nogi i ukryła za filarem, rejestrując wszystkie szczegóły pomieszczenia, liczbę ludzi i broni, odległości, przeszkody, a nieco dalej piec, który widziała na filmie.

Stał tam mężczyzna w białym garniturze, tuż obok Mikaela, przyciskał mu do twarzy szmatę. Popychana nieokiełznaną siłą wewnętrzną ruszyła do nich. Jeden pocisk trafił w jej kask, inne gwizdały wokół niej. Odpowiadała strzałami. Jeden z ludzi przy piecu padł, zawsze coś. Poza tym nie miała żadnego konkretnego planu.

Zobaczyła, że człowiek w białym garniturze chwycił za nosze, żeby wepchnąć je do pieca; strzeliła do niego, ale widocznie chybiła, więc rzuciła się na niego. Oboje padli na ziemię, powstał totalny chaos. Co było potem, jest nie do końca jasne.

Lisbeth wiedziała tylko, że walnęła go z główki, łamiąc mu nos. Potem zerwała się i zastrzeliła kolejnego typa, jednocześnie udało

jej się rozpiąć skórzany pas na ramieniu Mikaela, co okazało się z jej strony wielkim błędem, ale myślała, że to konieczne. Nosze, na których leżał, miały prowadnice. Jedno pchnięcie i znalazłby się w piecu i choć rozpięcie pasa zajęło jej tylko parę sekund, w tym momencie była nieuważna.

Dostała cios w plecy i postrzał w ramię, upadła w przód i nie uniknęła kopniaka, który wytrącił jej broń z ręki, co było katastrofą, ni mniej, ni więcej. Zanim zdołała wstać, już była otoczona, przekonana, że zaraz ją zastrzelą. Wyczuła u nich jednocześnie napięcie i niepewność. Pewnie czekali na rozkazy.

Przecież chodziło im o nią. Przez cały czas rozglądała się, szukając wyjścia z sytuacji, i zorientowała się, że dwóch mężczyzn leży na ziemi, oprócz nich jest jeden ranny, chociaż jeszcze stoi. Było ich trzech przeciw jej jednej, a Mikael jej raczej nie pomoże. Wyglądał na zamrozonego, a jego nogi...

Odwróciła od niego wzrok i znów spojrzała na bandytów, rozpoznała ich: Jormę i Krillego ze Svavelsjö MC, no i rannego Petera Kovica. Chyba próbował usiąść. Był słabym ogniwnem, zresztą Krille też nie był w zbyt dobrej formie. To chyba jego staranowała?

W głębi zobaczyła niebieskie drzwi prowadzące do dobudówki i pomyślała: tam jest ich jeszcze więcej. Zza jej pleców dobiegł jęk mężczyzny, którego walnęła z główki, zapewne Galinowa. On również nie został jeszcze unieszkodliwiony, a jej z ramienia lała się krew; uzmysłowiła sobie, że to koniec. Jeden nieostrożny ruch z jej strony i zastrzelą ją. Ale nie zamierzała się poddawać. Przez jej głowę przelatowały myśli. Jaka tu jest elektronika? Oczywiście

kamera, komputer i łącze internetowe, może również alarm. Ale nie... teraz się do nich nie dostanie. Zresztą prąd został wyłączony.

Nic się nie da zrobić, można tylko grać na czas, znów spojrzała na Mikaela. Potrzebowała go. Potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, może również pozytywnego myślenia. Mikaela jednak uratowała, choćby na chwilę. Reszta to jedna wielka porażka. Począwszy od tamtej chwili wahania na ulicy Twerskiej powodowała same problemy i cierpienia. Skłęła siebie w myślach, ale przez cały czas szukała jakiegoś rozwiązania.

Studiowała mowę ciała mężczyzn, mierzyła wzrokiem odległości między wyrwą w oknie a motocyklem, do leżącego na ziemi żelaznego drąga; pomyślała, że to chyba piszczel, długie cienkie narzędzie dmuchacza szkła. Próbowwała ułożyć plan działania i zaraz go odrzucała. Cały czas jakby fotografowała wzrokiem każdy najmniejszy szczegół pomieszczenia, nasłuchując odgłosów i wszelkich odstępstw, jednocześnie wyczuwała, że coś się dzieje. W następnej chwili otworzyły się niebieskie drzwi. W jej stronę szła, stukając obcasami, postać znana jej aż za dobrze, w jej krokach dało się słyszeć triumf i determinację. W pomieszczeniu zapanował nastrój napięcia, ale i czegoś podniosłego, i wtedy za jej plecami odezwał się po rosyjsku słaby głos:

– Boże, Kira, jeszcze tu jesteś?

30 września 2017, Katmandu

Nima Rita klęczał w jakimś zaułku niedaleko rzeki Bagmati, gdzie kremuje się zmarłych; pocił się w swojej puchówce, tej samej, którą nosił, kiedy po raz ostatni widział Lunę w szczelinie na

Czo Oju. Wciąż miał ją przed oczami, jak leży na brzuchu z rozłożonymi ramionami, jakby leciała, i woła do niego z tamtej strony życia:

– Proszę, nie zostawiajcie mnie!

Zupełnie tak samo jak Mamsahib, równie samotna i zrozpaczona. Ta myśl była nie do zniesienia, Nima Rita wypił szybko piwo. Wołanie nie ucichło – nic nie mogło tego sprawić – ale piwo trochę je przytłumiło, a świat wyśpiewywał nieco łagodniejszy akompaniament. Nima rozejrzał się. Zostały mu jeszcze trzy butelki, bardzo dobrze. Wypije je. Potem wróci do szpitala i zobaczy się z Lilian Henderson; przyjechała aż ze Stanów, żeby się z nim spotkać. Była to wielka rzecz, może jedyna od lat, która natchnęła go nadzieją, chociaż obawiał się, że ona również się od niego odwróci.

Ciążyła nad nim jakaś klątwa. Nikt go już nie słuchał. Jego słowa rozwiewał wiatr, tak jak te prochy nad rzeką, a on sam był jak choroba, od której ludzie uciekają. Jakby był zadzumiony. A przecież ciągle modlił się do górskich bogów, aby ktoś taki jak Lilian zrozumiał go, bo wiedział dokładnie, co chce powiedzieć. Otóż chciał powiedzieć, że się mylił. Mamsahib nie była złą osobą. Żli byli ci, którzy tak twierdzili, Sahib Engelman i Sahib Lindberg, którzy pragnęli jej śmierci, oszukali go i szeptali mu do uszu straszne słowa. To oni byli źli, nie ona, właśnie to powie – ale czy mu się uda? Był chory. Wiedział, że tak jest.

Wszystko mu się mieszało. Wydawało mu się, że opuścił nie tylko Mamsahib, żeby umarła na śniegu, ale również swoją Lunę, dlatego musiał opłakiwać i kochać Mamsahib, tak jak dzień w dzień

opłakiwał ukochaną Lunę, przez co jego nieszczęście stawało się dwa razy większe. Sto razy większe. Ale będzie dzielny, spróbuje rozróżnić głosy, nie pokręci, żeby nie odstraszyć Lilian, tak jak odstraszył innych. Pił piwo metodycznie i szybko, z zamkniętymi oczami. Dookoła unosił się zapach przypraw i potu, roiło się od ludzi; usłyszał kroki tuż obok i podniósł wzrok. Zobaczył dwóch mężczyzn, jeden starszy, drugi młodszy. Mówili brytyjską angielszczyzną.

– Przyjechaliśmy, żeby ci pomóc.

– Muszę opowiedzieć wszystko Mamsahib Lilian – odparł.

– Opowiesz jej – zapewnili.

Nie bardzo wiedział, jak to się stało, że pojechał samochodem na lotnisko i nie spotkał się z Lilian Henderson. Nie pojawił się nikt, kto by go zrozumiał, i nic mu nie pomogło, że nieustannie błagał bogów o przebaczenie. Był zgubiony.

I miał umrzeć zgubiony.

CATRIN NACHYLIŁA się i spojrzała Forsellowi w oczy.

– Dlaczego nie daliście Nimie porozmawiać z dziennikarzami, skoro tak bardzo chciał?

– Bo uznano, że jego stan jest zbyt kiepski.

– Mówiłeś, że miał złą opiekę. Że głównie tkwił w zamkniętym pokoju. Dlaczego nie otrzymał pomocy w rozplątaniu swojej opowieści?

Johannes Forsell spuścił wzrok. Poruszył nerwowo ustami.

– Dlatego że...

– ...że w gruncie rzeczy ci na tym nie zależało – przerwała mu

ostrzej, niż zamierzała. – Chciałeś nadal być szczęśliwy, nie tak było?

– Ojej, okaż mu trochę litości – odezwał się Janek. – To nie Johannes jest czarnym charakterem w tej historii, zresztą szczęście nie trwało zbyt długo.

– Oczywiście, przepraszam – odparła. – Mów dalej.

– Nie musisz przepraszać – zaproponował Johannes. – Masz rację. Byłem żaloszny. Wyparłem Nimę z mojej świadomości, miałem dość własnych problemów.

– Dość fali hejtu?

– Nawet nie dotknęła mnie tak mocno – ciągnął Johannes. – Zorientowałem się, że to podstępna zagrywka i dezinformacja. Nie, katastrofa nastąpiła teraz w sierpniu.

– Co się stało?

– Siedziałem w swoim gabinecie w ministerstwie. Od kilku dni wiedziałem już, że Nima zniknął ze Skrzydła Południowego, martwiło mnie to i właśnie o tym myślałem, kiedy wszedł Svante i wyczuł, że coś mnie gryzie. Wcześniej nie informowałem go, że sprowadziliśmy Nimę. Ani jednym słowem. Taki miałem rozkaz od Janka i jego grupy. Ale wtedy pękłem. Wiedziałem bardzo dobrze o jego skłonności do manipulacji, mimo to w momentach kryzysu często szukałem u niego wsparcia. Siedziało to we mnie jeszcze od Everestu, a więc opowiedziałem mu. Po prostu wymknęło mi się.

– I jak zareagował?

– Wydawał się spokojny i pozbierany. Zdziwił się, to jasne. Ale nie dostrzegłem niczego alarmującego, nic. Pokiwał tylko głową i wyszedł, myślałem, że będzie dobrze. Zdążyłem już skontaktować

się w tej sprawie z Klasem Bergiem, który obiecał, że odnajdzie Nime i odstawi go z powrotem do szpitala. Jednak nic się nie działo. Dopiero w niedzielę, szesnastego sierpnia, zadzwonił Svante, że siedzi w samochodzie przed naszym domem w Stocksund, chce porozmawiać. Mam nie brać telefonu, więc domyśliłem się, że chodzi o jakąś delikatną sprawę. Radio w samochodzie grało głośno.

– Co powiedział?

– Odnalazł Nime i ustalił, że Nima rozlepia kartki, na których opisuje wydarzenia na Evereście, i próbuje kontaktować się z dziennikarzami. Te informacje nie mogą wyjść na jaw, podkreślił mocno, nie w sytuacji, kiedy sami jesteśmy zagrożeni.

– Co na to odpowiedziałeś?

– Nie pamiętam. Powiedział, że zajął się sprawą i nie muszę się więcej martwić. Zdenerwowałem się i zażądałem, żeby mi powiedział dokładnie, co zrobił, a on odpowiedział bardzo spokojnie: „Mogę ci powiedzieć, ale wtedy też zostaniesz w to zamieszany. Będziemy tkwili w tym obaj”. Wrzasnąłem, że mam to gdzieś, że chcę wiedzieć, co zrobił, a wtedy ten skurwiel mi powiedział.

– Co powiedział?

– Że odnalazł Nime przy Norra Bantorget i dał mu odpowiednio spreparowaną butelkę, że Nima go nie poznał i że następnego dnia spokojnie odszedł we śnie. Tak się wyraził: „spokojnie odszedł we śnie”. I jeszcze dodał, że nikomu nie przyjdzie do głowy, że nie była to śmierć naturalna, a jeśli już, to z przedawkowania. Powiedział, że facet wyglądał jak lump, jak ostatni lump. Dostałem

szaku. Zacząłem wykrzykiwać, że złożę na niego doniesienie, że trafi za kratki i dostanie dożywocie. Wykrzykiwałem jeszcze gorsze rzeczy. Zupełnie straciłem panowanie nad sobą. A on tylko patrzył spokojnie i wtedy w końcu wszystko zrozumiałem. Jakby mnie olśniło.

– Co rozumiałeś?

– Kim naprawdę jest Svante i do czego jest zdolny. Dotarło do mnie tak wiele rzeczy, że aż nie wiem, od czego zacząć. Ale pamiętam, że przypomniła mi się zupa jagodowa na Evereście.

– Zupa jagodowa? – zdziwiła się Catrin.

– Svante został zasponsorowany przez firmę z Dalarny, produkującą szczególnie odżywczą zupę jagodową, czyli coś superszwedzkiego. Tak ją zachwalał, że wszyscy zaczęliśmy ją pić, i kiedy siedzieliśmy w tym samochodzie, przypomniło mi się, jak w obozie czwartym, przed samym wyruszeniem na szczyt, rozdawał butelki przyniesione przez naszych Szerpów. Dokładnie pamiętam, jak wręczył Wiktorowi i Klarze po butelce i jak potem oklapnęli, wtedy uzmysłowiłem sobie, że...

– Już wcześniej preparował butelki.

– Nie potrafiłbym tego udowodnić, ale rozumiałem, że tak było. Dodał im do zupy coś, co ich osłabiło, może również środek nasenny. Zrozumiałem też, że działał w porozumieniu z Engelmanem. Chronili siebie i syndykat Zvezda Bratva.

– Ale nie odważyłeś się złożyć doniesienia?

– Nie, i to mnie załamało.

– Co miał na ciebie Svante?

– Oczywiście zdjęcia, kiedy wręczałem pieniądze kochance

Antonssona, same w sobie paskudne. Ale to nie wszystko. Bynajmniej. Jeszcze szereg fałszywych informacji, jakobym chodził do prostytutek i stosował przemoc wobec kobiet. Powiedział, że ma całe dossier, a było to tak absurdalne, że tylko rozdziawiłem gębę. W życiu nie tknąłem żadnej kobiety w ten sposób, wiesz o tym, Rebecko. Ale było to po nim widać, chociaż ja zobaczyłem po raz pierwszy.

– Co takiego?

– Że nie ma znaczenia, że dokumenty są sfabrykowane. Nie ma znaczenia nawet to, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi, bo zniszczy mnie, jeśli będzie to dla niego korzystne. I nigdy nie zapomnę, jak powiedział, że jeśli spróbuję z nim walczyć, obciąży mnie zabójstwem Nimy. Przeraziłem się. Już wiedziałem, że nadchodzi katastrofa, i nie dałem rady, Rebecko. Zamiast działać, wziąłem urlop i pojechałem na Sandön, a resztę znacie. Nie potrafiłem z tym żyć, rzuciłem się do morza.

– Co za bydlę – odezwała się Catrin.

– Nie do opisania – dodała Rebecka.

– To dossier, o którym mówił Svante, istnieje? Czy blefował?

– Niestety istnieje. – W głosie Janka znów zabrzmiała powaga. – Może lepiej, żebyś i o tym powiedział, Johannesie, a w razie potrzeby uzupełnię.

KIRA STANEŁA wobec sytuacji, na którą czekała przez całe swoje dorosłe życie, i czuła... co?... chyba rozczarowanie. Nie tylko dlatego, że wreszcie nadszedł koniec, w tym koniec marzeń, bo już nie ma na co tak czekać. Poczucie triumfu również nie było

tak wielkie, jak się spodziewała. Całą tę chwilę zepsuł pośpiech i niepokój.

Lisbeth nie wyglądała tak, jak oczekiwała Kira – na zdruzgotaną albo przestraszoną. Była nieopisanie brudna i chuda, leżała na brzuchu, a z ramienia ciekła jej krew. Mimo to przypominała kota prężącego się do skoku. Oparła się na łokciach, jakby się szykowała do ataku. Spojrzenie czarnych oczu skierowane na drzwi wejściowe, omijające wszystkich obecnych, i już samo to – jakby nie została zauważona – wprowadziło Kirę we wściekłość. Chciała krzyknąć: „Spójrz na mnie, sestro! Spójrz na mnie!”. Nie powinna się jednak odsłaniać.

Wreszcie się odezwała.

– W końcu cię tutaj ściągnęliśmy, co?

Lisbeth nie odpowiedziała. Wędrowała wzrokiem po pomieszczeniu, teraz patrzyła na Mikaela i jego poparzone nogi, potem na piec. Chyba szukała swojego odbicia w błyszczących krawędziach pieca, co wyraźnie poprawiło nastrój Kirze. Może Lisbeth mimo wszystko boi się choć trochę.

– Będziesz się palić, zupełnie jak Zala – oznajmiła, a wtedy Lisbeth w końcu odpowiedziała:

– Myślisz, że poczujesz się potem lepiej?

– Powinnaś coś o tym wiedzieć.

– Nie jest lepiej.

– Ale mnie będzie.

– Wiesz, czego żałuję, Camillo?

– Mam to gdzieś.

– Żałuję, że wtedy tego nie widziałam.

– Pierdolisz.

– Żałuję, że nie trzymałyśmy się razem przeciwko niemu.

– To by nigdy... – zaczęła Camilla, ale nie dokończyła, może dlatego, że nie wiedziałyby, co powiedzieć, albo dlatego, że cokolwiek powie, i tak będzie źle, więc urwała i krzyknęła: – Strzelcie jej w nogi i weźcie ją pod piec! – Wtedy, mimo wszystko, przeszył ją lekki dreszcz podniecenia.

Jeśli ci idioci rzeczywiście wystrzelili, to za późno o sekundę wahania. Lisbeth zdążyła się przetoczyć, a Blomkvist zerwał się na nogi, cholera wie, jak to zrobił, Camilla cofnęła się i zobaczyła, że siostra chwyciła z podłogi zardzewiały żelazny drąg.

KORZYSTAJĄC z zamieszania wokół Lisbeth, Mikael zdołał uwolnić ręce i postanowił się podnieść, chociaż sam nie wierzył, że nogi go uniosą. Gwałtowny wyrzut adrenaliny do krwi sprawił jednak, że udało mu się wstać i jeszcze złapać nóż ze stolika obok.

Parę metrów dalej Lisbeth przetoczyła się z drągiem po podłodze, dotarła do motocykla i postawiła go szybkim mocnym ruchem. Przez kilka sekund służył jej jako tarcza przed pociskami. Po chwili zerwała się, wskoczyła na siodełko i uruchomiła motor, po czym wyjechała przez wyrwę w oknie i zniknęła. Było to tak nieoczekiwane, że nawet bandyci przestali strzelać. Uciekła?

Nie mieściło im się to w głowie, ale odgłos silnika rzeczywiście cichł coraz bardziej, aż w końcu umilkł na dobre. Mikael miał wrażenie, jakby owiał go zimny wiatr.

Spojrzał na płonący piec i na swoje poparzone nogi. Zdał sobie sprawę, że nóż, który trzyma w dłoni, jest w tej sytuacji żalospną

bronią, jak patyk w walce na śmierć i życie; skręcając się z bólu, upadł na ziemię. Przez krótką chwilę nic się nie działo.

Wszyscy zastygli w zdumieniu, słychać było ciężkie oddechy i pomruki, wreszcie odgłos wskazujący, że jego dręczyciel Iwan zdołał się podnieść. Miał rozbity i zakrwawiony nos, garnitur pobrudzony popiołem i krwią; mruknął, że trzeba natychmiast wiać. Camilla spojrzała mu w oczy, zrobiła nieokreślony ruch głową, który mógł znaczyć zarówno tak, jak i nie, a może nic. Wydawała się równie zszokowana jak pozostali, klęła cicho pod nosem i kopnęła jednego z rannych. Z głębi pomieszczenia ktoś krzyknął coś o Bogdanowie.

W tym momencie Mikael znów usłyszał dźwięk motocykla: pędził w stronę budynku. Na pewno Lisbeth. Co ona robi? Znów jechała tutaj, ale tym razem nie tak szybko i nie w stronę dziury w oknie. Kierowała się prosto na niego i na piec, a bandyci znów zaczęli strzelać zapamiętale, na oślep. Motocykl zbliżał się i wreszcie wpadł przez okno, mijając go o włos.

Lisbeth pojawiła się znów pośród pryskających odłamków szkła, teraz nie trzymała kierownicy, tylko drąg. Jednemu z bandytów wybiła broń z ręki, wpadła motorem na nosze i dalej na ścianę. Zerwała się błyskawicznie, złapała pistolet, który potoczył się po ziemi, i zaczęła strzelać.

W całym budynku widać było rozbłyski od strzałów, Mikael nie mógł się zorientować, co się dzieje. Słyszał strzały, krzyki, kroki i oddechy, pomruki i odgłosy padających ciał. Kiedy na moment hałas ucichł, postanowił działać, zrobić coś, cokolwiek.

Zorientował się, że wciąż trzyma nóż, i spróbował wstać. Nie dał

rady. Za bardzo bolało. Podjął jeszcze jedną próbę i teraz się udało, chociaż się zachwiał. Ból był nie do opisanego. Rozejrzył się przymglonymi oczami i zobaczył, że stoją tylko trzy osoby: Lisbeth, Iwan i Camilla.

Jedynie Lisbeth miała broń w ręku. Sytuacja zmieniła się na jej korzyść, mogła skończyć to wszystko. Ale nic się nie działo. Stała dziwnie nieruchoma, jakby zastygła. Nawet oczy były nieruchome, ledwo mrugała powiekami. Coś było nie tak. Mikaela poraził strach, zobaczył, że ręka Lisbeth drży.

Nie była w stanie strzelić, Iwan i Camilla odważyli się podejść do niej, każde z innej strony, Iwan zakrwawiony i spokojny, Camilla dygocząca z gniewu. Przez kilka sekund patrzyła na Lisbeth z nienawiścią. Potem, jakby chciała być zastrzelona, rzuciła się na siostrę, ale Lisbeth tym razem też nie strzeliła.

Popchnięta przez Camillę, poleciała do tyłu na piec, uderzając głową o kafle obok, Iwan skoczył i ją chwycił, jeden z pozostałych bandytów też się podniósł. Znowu wydawało się, że przyszedł koniec.

ROZDZIAŁ 34

28 SIERPNIA

– BYŁEM W CORAZ większej rozpacz, nawet nie chodziło o to, że się bałem – mówił Johannes Forsell – ale o to, że nabrałem pogardy dla samego siebie. Svante nie tylko mi groził, ale jeszcze skrzywił moje wyobrażenie o sobie. To, o co chciał mnie oskarżyć, było jak cios w splot słoneczny, czułem się jak człowiek, który nie zasługuje, by żyć. Mówiłem już o hejcie w mediach. Otóż nigdy się nim specjalnie nie przejmowałem. Ale po rozmowie ze Svantem w samochodzie wszystko, co o mnie pisali, wydało mi się prawdziwe i rzeczywiste, sklezione ze mną jak moja skóra, nie byłem w stanie nic zrobić. Na Sandön byłem jak półżywy.

– Jednak kiedyś słyszałam cię krzyczącego do telefonu – wtrąciła Rebecka. – Miałam wrażenie, że chcesz się bić.

– To prawda, chciałem walczyć. Zadzwoiłem do Janka, poinformowałem go o wszystkim, wiele razy trzymałem już w ręku telefon, żeby dzwonić do premiera i komendanta policji. Zamierzałem działać. Przynajmniej chcę tak myśleć. Svante najwyraźniej się zaniepokoił, kiedy wziąłem urlop. Przyjechał na Sandön. Zastanawiam się nawet, czy mnie nie obserwował.

– Dlaczego tak myślisz? – spytała Catrin.

– Bo pewnego przedpołudnia, kiedy Rebecka wybrała się na

zakupy, zjawił się bez uprzedzenia i odbyliśmy rozmowę nad brzegiem morza. Wtedy pokazał mi dossier.

– Jak wyglądało?

– Były to oczywiście fałszywki, ale przerażająco starannie wykonane, ze zdjęciami pobitych kobiet i ich zeznaniami, kopie doniesień na policję, zeznania świadków, zaświadczenia, które wyglądały na dowody materialne. Obszerna dokumentacja, rzecz jasna dzieło profesjonalistów. Od razu zrozumiałem, że wiele osób będzie dostatecznie długo uznawać je za prawdziwe, aby spowodowało to nieodwracalne szkody. Pamiętam, jak wszedłem do domu i rozejrzałem się. Każdy przedmiot, noże w kuchni, okna na piętrze, gniazda elektryczne, wszystko zamieniło się w moich oczach w narzędzia, którymi mogłem zrobić sobie coś złego. Chciałem umrzeć.

– A jednak nie do końca – włączył się Janek. – Trochę woli walki ci jeszcze zostało, bo znów zadzwoniłeś, żeby mi to powiedzieć.

– To prawda.

– I dostarczyłeś nam dość informacji, żebyśmy mogli potwierdzić, że Svante Lindberg został na początku lat dwutysięcznych zwerbowany przez Zvezda Bratva. Zdaliśmy sobie sprawę, że nie tylko był do cna skorumpowany. W końcu zrozumieliśmy również, co w rzeczywistości się stało.

– Że otruł Grankina i Klarę Engelman?

– Zrozumieliśmy jego motyw. Podobnie jak Stan, Engelman obawiał się, co Klara z Grankinem mogliby ujawnić. Wprawdzie nie wydaje nam się, aby Grankin wiedział o roli Svantego

w syndykacie, ale to mniej ważne. Jak raz w to wdepniesz, musisz robić, co ci każą. Zvezda Bratva miała w tym momencie całe mnóstwo powodów, żeby pozbyć się Wiktora i Klary.

– Zaczynam rozumieć – powiedziała Catrin.

– Dobrze – odparł Janek. – Teraz może zdajesz sobie sprawę, że Svante miał więcej powodów, aby zostawić Klarę na pewną śmierć, niż tylko ratować przyjaciela.

– Chciał ją uciszyć.

– Kiedy się okazało, że niemal zmartwychwstała, zagrożenie dla syndykatu wróciło.

– Potworne.

– Bez wątplenia. Najgorsze, że tak się skupiliśmy na tych informacjach, że zapomnieliśmy o informowaniu Johanna na bieżąco.

– Zostawiliście go na lodzie – powiedziała Rebecka.

– Nie pomyśleliśmy, żeby udzielić mu takiego wsparcia, na jakie zasługiwał, i bardzo mi przykro z tego powodu.

– Powinno.

– Tak, to prawda. Było to niesprawiedliwe i źle się stało. Mam nadzieję, że po wysłuchaniu tego wszystkiego również ty, Catrin, jesteś tego zdania.

– To znaczy?

– Że Johannes przez cały czas starał się postępować jak należy.

Catrin nie odpowiedziała. Wpatrzyła się w wyświetlacz swego smartfona, gdzie pojawiła się pilna wiadomość.

– Stało się coś? – spytała Rebecka.

– W Morgonsali trwa operacja policyjna, która może mieć

związek z Mikaelem – odparła.

LISBETH UDERZYŁA głową o ceglaną ścianę, od pieca bił żar. Uprzymniła sobie, że musi się pozbierać, nie tylko ze względu na siebie, a działała tak nieporadnie, jakby ktoś rzucił na nią zaklęcie. Nie miała oporów, żeby oparzyć faceta żelazkiem, innemu tatuować słowa na piersi, zachowywać się jak kompletna wariatka. Ale nie była w stanie strzelić do siostry – nawet gdy zależało od tego jej własne życie. Znów to do niej dotarło.

Zawahała się, jak przedtem, tak i teraz. Camilla złapała ją za postrzelone ramię, usiłując wciągnąć ją do pieca. W jej włosach zaskwierczał ogień, nieomal wpadła w płomienie, ale udało jej się utrzymać na nogach. Zobaczyła, że stojący nieco dalej mężczyzna, chyba Jorma, skierował w jej stronę pistolet; strzeliła mu w pierś. Wszędzie wyczuwała ruch, nieustanne zagrożenie; również Galinow schylił się po leżącą na ziemi broń, jego też chciała zastrzelić. Nie zdążyła.

Mikael zgiął się, krzywiąc się z bólu, ale zdołał uderzyć go nożem w ramię. W tym samym momencie Camilla cofnęła się i spojrzała jej w oczy z bezdenną nienawiścią. Cała się trzęsła, zrobiła ruch, żeby wepchnąć siostrę do pieca, ale Lisbeth zdążyła uskoczyć i Camilla poleciała do przodu. Jedno mgnienie i było po wszystkim.

A jednak wydało się dziwnie rozciągnięte w czasie. Nie tylko sam ruch Camilli, upadek i wymachiwanie rękami. Jeszcze to uderzenie; odgłos ciała wpadającego w płomienie, skwierczenie skóry i włosów, które zajęły się ogniem, zduszony krzyk

i desperacki wysiłek, żeby się cofnąć, chwiejne kroki, palące się włosy i bluzka.

Camilla krzyczała, rzucając głową i machając rękami. Lisbeth obserwowała ją, stojąc bez ruchu. Przemknęło jej przez myśl, by pomóc siostrze, ale pozostała nieruchoma, natomiast wydarzyło się coś innego. Camilla umilkła, jakby zastygła, i trudno powiedzieć, co się stało. Chyba zobaczyła własne odbicie w metalowych krawędziach pieca, bo znów zaczęła krzyczeć.

– Moja twarz, moja twarz!

Krzyczała tak, jakby straciła więcej niż życie. Obudziła się w niej jakaś chęć działania. Schyliła się po pistolet upuszczony przez Galinowa i wycelowwała w siostrę, wtedy Lisbeth drgnęła. Teraz była już gotowa użyć broni. Jednak.

Włosy Camilli paliły się, co prawdopodobnie zmaćło jej wzrok. Poruszała pistoletem jakby po omacku, a Lisbeth trzymała palec na spuście, w każdej chwili gotowa wystrzelić, i w końcu strzał padł, więc przez moment nawet myślała, że to zrobiła. Ale to nie ona.

Camilla strzeliła sobie w głowę. Lisbeth bezwiednie wyciągnęła rękę, jakby chcąc coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Camilla upadła. Lisbeth, wciąż nieruchoma, patrzyła na siostrę, a w myślach przesuwał jej się świat w płomieniach i zgliszczach.

Pomyślała o mamie i o Zali, palącym się w swoim mercedesie; zaraz potem nad ich głowami rozległ się warkot helikoptera. Spojrzała na Mikaela, który leżał na ziemi niedaleko Camilli i Galinowa.

– Już po wszystkim? – spytał.

– Już po wszystkim – potwierdziła. W tym samym momencie usłyszała wołania policjantów, którzy podeszli pod budynek.

ROZDZIAŁ 35

28 SIERPNIA

SIEDZIELI WPATRZENI w swoje smartfony. Reporter szwedzkiej telewizji publicznej w relacji z miejsca zdarzenia podał, że Blomkvist i Salander zostali wyniesieni z budynku ranni, ale żywi. Catrin zorientowała się, że ma łzy w oczach. Ręce jej się trzęsły, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Poczwała czyjaś rękę na ramieniu.

– Wszystko wskazuje na to, że z tego wyjdą – odezwał się Janek.

– Miejmy nadzieję – odpowiedziała, zastanawiając się, czy nie pójść sobie, ale doszła do wniosku, że teraz raczej w niczym nie pomoże. Lepiej dokończyć to, co zaczęła, zresztą zostało jej jedno dręczące pytanie.

– Myślę, że ludzie zrozumieją twoją sytuację, Johannesie, w każdym razie ci, którzy będą chcieli zrozumieć.

– Zazwyczaj nie ma ich zbyt wielu – zauważyła Rebecka.

– Będzie, co ma być – odpowiedział Johannes. – Catrin, może cię gdzieś odwiedzić?

– Poradzę sobie – odparła. – Ale zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz.

– Mów.

– Powiedziałeś, że nie odwiedzałeś Nimy zbyt często, kiedy był

w Południowym Skrzydle. Jednak byłeś u niego kilka razy, prawda? Chyba widziałeś, że nie jest mu dobrze?

– Tak.

– To dlaczego się nie domagałeś, żeby coś zrobili? Dlaczego nie zadbałeś, żeby został przeniesiony w lepsze miejsce?

– Domagałem się różnych rzeczy. Nawet na nich nakrzyczałem. Ale to nie wystarczyło, pewnie za szybko się poddałem. Uciekłem od tego. Może mnie to przerosło.

– Niby jak?

– Niektóre rzeczy nas przerastają – tłumaczył. – W końcu człowiek odwraca głowę i udaje, że ich nie ma.

– Aż tak źle?

– Pytałaś, czy go odwiedzałem. Na początku byłem u niego wiele razy. Potem miałem prawie rok przerwy. Tak się złożyło; pamiętam, że się bardzo denerwowałem i kiedy w końcu tam wróciłem, było mi nieprzyjemnie. Podchodząc do mnie, powłóczył nogami, był w jakimś szarym ubraniu i wyglądał jak więzień, który został złamany. Uściskałem go. Był odrętwiały, bez życia. Próbowałem nawiązać z nim rozmowę. Zadawałem tysiące pytań. Odpowiadał monosylabami. Wydawał się zrezygnowany i w końcu coś we mnie pękło, poczułem straszną złość.

– Na klinikę?

– Na niego.

– Nie rozumiem.

– Ale tak jest z wyrzutami sumienia. W końcu rodzi się z nich złość. Nima był jak...

– Jak co?

– Jak odwrotna strona mnie. On był ceną, jaką zapłaciłem za to, żeby mieć szczęśliwe życie.

– Co masz na myśli?

– Nie rozumiesz? Miałem wobec niego dług, który był niemożliwy do spłacenia. Nie mogłem mu nawet podziękować, nie przypominając o tym, co go szarpało od środka. Żyłem dzięki temu, że złożył w ofierze Klarę. Dzięki temu, że on sam został złożony w ofierze, a w końcu również jego żona. To było ponad moją wytrzymałość. Więcej tam nie poszedłem. Odwróciłem głowę.

ROZDZIAŁ 36

9 WRZEŚNIA

ERIKA BERGER znów pokręciła głową. Nie, powiedziała. Sama się zdziwiła, ale powiedziała, że nie podoba jej się, kiedy tak mówią. Ona nie jest żadną Panną Perfekcjonistką ani głuchą na argumenty moralistką. Przeciwnie, jest cholernie dobra. Pisze z wyczuciem i ma dar przekonywania, więc powinniście być dumni, zamiast jęczeć, a teraz zjeżdżajcie i róbcie, co do was należy.

– Już – dodała.

– Dobra, dobra – mruknęli. – Myśleliśmy tylko...

– Co myśleliście?

– Nieważne.

Młodzi reporterzy, Sten Åström i Freddie Welander, wyszli, ciągnąc nogi za sobą, a Erika zaklęła. Faktem było, że chwilami sama nie mogła w to uwierzyć. Jak to się mogło stać? Nieoczekiwany skutek pewnego romansu, noclegu w hotelu, oczywiście wiedziała o tym, a jednak... Catrin Lindås.

Ostatnia osoba, której Erika spodziewałaby się jako autorki artykułów do „Millennium”. A jednak tekst dostarczony przez Catrin był nie tylko demaskatorski i ważki, ale w dodatku napisany z nieczęsto spotykanym żarem; jeszcze przed jego publikacją ze stanowiska ustąpił minister obrony Johannes Forsell, natomiast jego

podsekretarz stanu Svante Lindberg został zatrzymany pod zarzutem zabójstwa, szpiegostwa i szantażu. Zaszczynego pierwszeństwa w ujawnieniu tej historii nie odebrały im ani przecieki do mediów, które pojawiały się dzień w dzień, niemal co godzinę, ani sensacyjne nagłówki w gazetach codziennych; nie zmniejszyły też zainteresowania czytelników kolejnym numerem „Millennium”.

W związku z informacjami, jakie ukażą się w następnym numerze „Millennium”, oddaje się do dyspozycji szefa rządu – napisał Johannes Forsell w komunikacie dla prasy.

Fantastyczna sprawa, zresztą mało powiedziane, widać, jaką zawiść wzbudziło to u paru spośród jej własnych współpracowników. Nie umiając się cieszyć z tego sukcesu, wygadują głupoty na osobę, która dostarczyła im tę sensację; na dodatek narzekają na współpracę z niemieckim czasopismem „Geo”, gdzie jakaś Paulina Müller, o której nikt dotąd nie słyszał, napisała artykuł na temat prac naukowych, które pomogły w ustaleniu tożsamości Szerpy Nimy Rity.

Natomiast Mikael nie napisał ani słowa, chociaż to on przygotował dokumentację. Długo cierpiał, musiał przejść kilka operacji, a morfina sprawiła, że nie bardzo kontaktował. Lekarze wprawdzie uspokajali, że w ciągu pół roku znów powinien normalnie chodzić, i była to wielka ulga. Wciąż jednak wydawał się przybity i zamknięty w sobie, tylko czasem, na przykład rozmawiając z nią o jej rozwodzie, brzmiał jak dawniej. Nawet się zaśmiał, kiedy mu opowiedziała, że wdała się w romans z mężczyzną, który ma na imię Mikael.

– Bardzo praktycznie – zauważył, ale o sobie ani o swoich przeżyciach nie miał siły rozmawiać.

Martwiła się o niego, bo cierpiał i przetrwał wszystko w milczeniu. Oby dzisiaj się trochę otworzył. Miał tego dnia wrócić ze szpitala do domu i zamierzała go odwiedzić. Ale najpierw postanowiła przeczytać jego tekst o fabrykach trolli, którego nie chciał publikować, choć niechętnie zgodził się go przesłać. Erika włożyła okulary do czytania. Początek wcale niezły, pomyślała. Wiedział, jak zacząć, ale dalej... okej, już zrozumiała.

Dalej narracja rwała się, komplikowała, jakby chciał przekazać za dużo naraz; Erika musiała przynieść sobie kawy, tu i tam coś skreśliła. Ale potem... co to jest takiego? Dalej był jakiś sztuczny dopisek, z którego wynikało, że pewien człowiek, niejaki Władimir Kuzniecowa, nie tylko był właścicielem i dyrektorem zarządzającym fabryk trolli w Rosji, lecz także stał za kampanią hejtu, która poprzedziła falę morderstw osób LGBT w Czeczenii, o czym dotąd nikt nie wiedział.

Trzeba to sprawdzić. Nie, jedyna informacja w sieci o Kuzniecowa była właściwie... ujmująca. Ponoć był restauratorem, żartownisiem, wielkim fanem hokeja na lodzie, mistrzem w przygotowywaniu pieczeni z niedźwiedzia i podejmowania elity władzy. W artykule Mikaela jawił się jako zupełnie inny człowiek. To on stał za atakami dezinformacyjnymi i hakerskimi, które zeszłego lata spowodowały krach na giełdzie. Był jednym z dowodzących największą kampanią kłamstw i hejtu na świecie, co niewątpliwie było sensacyjną wiadomością. Co ten Mikael wyprawia? Jak mógł schować te informacje w głębi

artykułu, bez poparcia ich żadnymi dowodami?

Erika przeczytała ten fragment ponownie i wtedy zwróciła uwagę, że przy nazwisku Kuzniecowa były linki do wielu dokumentów po rosyjsku, wtedy zawołała Irinę, ich redaktorkę i dokumentalistkę, która już latem pomagała Mikaelowi. Irina, lat czterdzieści pięć, przysadzista, ciemnowłosa, nosiła wielkie okulary w rogowej oprawce i miała trochę krzywy, ale serdeczny uśmiech. Usiadła na krześle Eriki i zaczęła głośno tłumaczyć tekst; wreszcie spojrzały na siebie i mruknęły jednocześnie:

– O cholera.

MIKAEL DOPIERO co zdążył wejść o kulach do mieszkania na Bellmansgatan i kompletnie nie rozumiał, o czym Erika bredzi przez telefon. Z drugiej strony nie myślał zbyt sprawnie. Głowę miał ciężką od morfiny i wspomnień.

W szpitalu początkowo towarzyszyła mu Lisbeth, co dawało mu pewien spokój, jakby to, że ma obok siebie jedyną osobę, która wie i rozumie, przez co przeszedł, przynosiło ulgę. Ale kiedy już się przyzwyczaił do jej obecności, zniknęła bez słowa pożegnania. W szpitalu oczywiście powstało straszne zamieszanie. Lekarze i pielęgniarki szukali jej, biegając tam i z powrotem, podobnie jak Bublanski i Sonja Modig, którzy nie skończyli spisywać zeznań. Było to naturalnie bez znaczenia.

Lisbeth zniknęła, co było dla niego bardzo trudne. Miał ochotę krzyczeć do niej: „Lisbeth, cholera jasna, dlaczego stale ode mnie uciekasz? Nie rozumiesz, że cię potrzebuję?”. Ale trudno, jest, jak jest, zrekompensował sobie jej nieobecność przeklinaniem

i zwiększeniem dawki leków przeciwbólowych.

Były takie chwile – działo się to zawsze na pograniczu dnia i nocy – kiedy myślał, że oszaleje, a jeśli mimo wszystko udało mu się zasnąć, śnił mu się piec w Morgonsali. W tym śnie wsuwali go stopniowo do pieca. Budził się gwałtownie, krzycząc, i potem sprawdzał, czy nogi naprawdę mu się nie spaliły.

Najlepiej czuł się w porze popołudniowych odwiedzin, kiedy udawało się na chwilę wykreślić z pamięci albo przynajmniej trzymać na dystans wspomnienia ze starej huty szkła. Największą niespodzianką była wizyta czarnoskórej kobiety o oczach rzucających błyski i z wielkim naręczem kwiatów. Ubrana w niebieski spodnium z rozszerzanymi nogawkami, miała włosy splecione w warkoczyki starannie upięte na głowie. Wyglądała jak biegaczka albo tancerka i poruszała się niemal bezszelestnie. W pierwszej chwili nie pamiętał, skąd ją zna, ale potem przypomniał sobie, że to Kadi Linder, zawodowa członkini różnych zarządów, którą spotkał w drzwiach mieszkania na Fiskargatan.

Kadi Linder deklarowała chęć pomocy, ogromnie poruszona tym, co przeczytała o nim w gazetach, sprawiała jednak wrażenie, jakby chciała powiedzieć mu coś jeszcze. Wierciła się i wydawała się skrępowana, więc tym bardziej się zaciekawiał.

– Dostałam maila – powiedziała. – Zresztą „maila” to złe określenie. Ekran zamrugał i trzask-prask pojawił się plik dotyczący Freddy’ego Carlssona z Formea Bank; wiesz, to ten facet, który zwalcza mnie, obrzucając oszczerstwami, bo w „Veckans Affärer” powiedziałam o nim, że jest nieuczciwy.

– Coś mi się przypomina – odparł Mikael.

– Właśnie, a więc ten plik dostarczył mi niepodważalnych dowodów, że w latach, kiedy był szefem oddziału banku w krajach bałtyckich, zajmował się na poważną skalę praniem brudnych pieniędzy, czyli nie dość, że nieuczciwy, to jeszcze był przestępcą.

– Ale historia.

– Jednak nie to zdziwiło mnie najbardziej, tylko dopisek na samym dole.

– Jaki dopisek?

– Brzmiał tak: **Ciągle mam oko na kamery monitoringu, na wypadek gdyby ktoś się nie zorientował, że się wyprowadziłam.** To wszystko, więc w pierwszej chwili nie zrozumiałam, bo nie było ani nadawcy, ani żadnego podpisu. Ale przypomniałam sobie, jak przyszedłem na Fiskargatan, potem ten dramat w Morgonsali. No i domyśliłam się, że kupiłam to mieszkanie od Lisbeth Salander, i wtedy się...

– Nie masz powodu, żeby się denerwować – przerwał jej.

– Denerwować... cholera, wcale się nie zdenerwowałam, byłam zachwycona! Zdałam sobie sprawę, że przysłała mi plik o Carlssonie, żeby mi wynagrodzić ewentualne przykrości. Szczerze mówiąc, kompletnie mnie to oszołomiło i jeszcze bardziej zachęciło do tego, żeby pomóc wam obojgu.

– Nie trzeba – powiedział. – Wystarczy, że tu przyszaś, to miłe.

Po czym przebiegle – sam się sobie potem dziwił – spytał ją, czy zważywszy na trudną sytuację „Millennium” na rynku mediów i rozmaite próby wrogiego przejęcia pisma, nie chciałaby zostać prezesem zarządu. Kadi Linder rozpromieniła się i natychmiast wyraziła zgodę, a już następnego dnia przekonał do tego Erikę

i pozostałych członków redakcji.

Poza tym odwiedzała go głównie Catrin, nie tylko dlatego, że właściwie zostali parą, ale również z tego powodu, że bardzo się zaangażował w przygotowanie jej reportażu. Czytał i omawiał z nią kolejne wersje.

Zarówno Svante Lindberg, jak i Stan Engelman zostali aresztowani, Iwan Galinow też; wiele wskazywało na to, że to również koniec Svavelsjö MC, chociaż nie syndykatu Zvezda Bratva, której protektorzy byli zapewne zbyt mocni.

Natomiast Johannesowi Forsellowi powodziło się całkiem dobrze. Czasem Mikael myślał, że Catrin była dla niego aż nadto wyrozumiała. Jednak to Forsell dał im sensacyjny materiał, w dodatku Mikael go lubił, a więc można powiedzieć, że kupił sobie tę wyrozumiałość, co na pewno było wielką ulgą dla Rebecki i synów.

Przede wszystkim dobrze się stało, że Nima Rita został skremowany zgodnie z buddyjską tradycją w Tengbocze w Nepalu. Miała się tam również odbyć upamiętniająca go uroczystość, na którą już wyruszyli zarówno Bob Carson, jak i Fredrika Nyman. Wyglądało na to, że wiele spraw się wyprostuje. Mimo to Mikael nie potrafił się cieszyć tak do końca. Czuł, że znajduje się z boku tego wszystkiego, zwłaszcza teraz, kiedy Erika w podnieceniu trajkotała do niego przez telefon. O czym ona mówi, na Boga Ojca?

– Kto to jest Kuzniecowa? – spytał.

– Zwariowałaś?

– Dlaczego tak mówisz?

– Przecież demaskujesz go w swoim artykule.

- Wcale nie.
- Podają ci jakieś narkotyki?
- Podają, ale za mało.
- W dodatku piszesz jak patałach.
- Przecież mówiłem.

– Ale ten patałach podkreśla bardzo wyraźnie, że Władimir Kuzniecowa był sprawcą krachu giełdowego zeszłego lata. I jeszcze, że jest jednym z ludzi odpowiedzialnych za morderstwa na gejach w Czeczenii.

Mikael nic nie rozumiał. Pokuścił do komputera i otworzył swój artykuł.

- To jakiś obłąd.
- Zwłaszcza kiedy mi odpowiadasz w ten sposób.
- To musi być...

Nie dokończył zdania, ale też nie było takiej potrzeby. Erice najwyraźniej przyszło na myśl to samo.

– Czy to ma związek z Lisbeth?

– Nie wiem – odparł wstrząśnięty. – Ale opowiadaj. Mówiłaś o Kuzniecowie.

– Sam sobie poczytaj. Irina pracuje nad tłumaczeniem załączonych dokumentów i dowodów. Kuzniecowa to ten, o którym Pussy Strikers śpiewają w *Killing the World with Lies*.

– W czym?

– Przepraszam, zapomniałam, że przestałaś nadążać gdzieś w okolicach Tiny Turner.

- Odpuść.
- Spróbuję.

– Pozwól, że przynajmniej sprawdzę tę historię.

– Wpadnę wieczorem, to pogadamy.

Pomyślał o Catrin, która miała przyjechać do niego już po południu.

– Może lepiej jutro, żebym zdążył się w tym trochę rozeznać.

– Okej, a właściwie jak się czujesz?

Zastanowił się. Uznał, że Erika zasługuje na poważną odpowiedź.

– Było dość ciężko.

– Rozumiem.

– Ale teraz...

– Co takiego?

– Dostałem mały zastrzyk sił witalnych.

Poczuł, że pilnie powinien się rozłączyć.

– Muszę... – ciągnął.

– Skontaktować się z pewną osobą.

– Coś w tym rodzaju.

– Trzymaj się – powiedziała.

Rozłączył się i ponowił próbę – powtarzaną niezliczone mnóstwo razy jeszcze w szpitalu – skontaktowania się z Lisbeth. Nie miał od niej znaku życia, w ogóle żadnych informacji poza wiadomością dla Kadi Linder, więc martwił się o nią. Był to stały wątek jego lęków, najgorszych w nocy i rano. Bał się, że Lisbeth nigdy z tym nie skończy, będzie wyszukiwać kolejne upiory z przeszłości, żeby oddać im za swoje, a w końcu szczęście przestanie jej sprzyjać. Jakby – nie mógł uwolnić się od tej myśli – musiał spotkać ją gwałtowny koniec; tego nie potrafił znieść.

Chwycił smartfona. Co tym razem napisać? Za oknem znów się zachmurzyło. Zerwał się wiatr, szyby drżały lekko, Mikael czuł bicie własnego serca. Spłynęły na niego wspomnienia rozwartej paszczy pieca w Morgonsali i zastanawiał się nad napisaniem czegoś do bólu jednoznacznego: „Odezwij się, bo zwariuję”.

Jednak to, co napisał, wypadło pogodnie – jakby się bał okazać, jak bardzo się o nią martwi:

 Nie dość, że pomogłaś mi opublikować prawdziwą sensację, to jeszcze musiałaś podać mi na talerzu głowę Kuzniecowa.

Tym razem też nie odpowiedziała. Godziny mijały, zapadł wieczór. Przyszła Catrin, całowali się, wypili butelkę wina – dzięki czemu przez pewien czas udawało mu się zapomnieć o niemiłym uczuciu – prowadzili niekończące się rozmowy, aż przed jedenastą zasnęli wtuleni w siebie. Trzy godziny później obudził się z uczuciem nadchodzącej katastrofy, chwycił smartfona. Nie było nic od Lisbeth, ani słowa. Wziął kule i pokuśtykał do kuchni, gdzie przesiedział aż do świtu, rozmyślając o niej.

EPILOG

ZANOSIŁO SIĘ na burzę, kiedy inspektor kryminalny Artur Diełow zaparkował na szutrowej drodze przed spalonym domem w Gorodiszcze na północny zachód od Wołgogradu. Nie wiadomo, dlaczego pożar spowodował aż takie poruszenie.

Nikommu nic się nie stało, na dobrą sprawę to żaden dom. Cały kwartał składał się z biednych, źle utrzymanych budynków, nikt nie zgłaszał pretensji do tej rudery. Mimo to pojawili się różni ważniacy, ludzie służb, wydawało mu się, że również gangsterzy, no i okoliczni chłopaczkowie, którzy powinni siedzieć w szkole albo w domu u mamy, więc pogonił ich i spojrzął na zgliszcza. Zostało niewiele poza starym żelaznym piecykiem i ułamanym kominem. Cała reszta była zniszczona i wypalona, nawet nic się nie tliło na ziemi. Cała posesja wyglądała jak czarne pustkowie z wielką rozdziawioną dziurą pośrodku, jakby zejściem do podziemia. Tuż obok stało kilka osmalonych drzew, które wyglądały upiornie z gałęziami przypominającymi zwęglone palce.

Podmuchy wiatru wzbijały z ziemi popiół i sadzę, trudno było oddychać, jakby powietrze przesiąknęła trucizna. Artur miał wrażenie, że pierś przygniata mu ciężar. Otrząsnął się i zwrócił się do swojej koleżanki Anny Mazurowej, która stała pochylona nad

rupieciami.

– O co tu chodzi? – spytał.

Anna miała we włosach sadzę i jakieś łuski.

– Wydaje nam się, że to znak – odparła.

– W jakim sensie?

– Tydzień temu ten budynek został kupiony za pośrednictwem kancelarii adwokackiej w Sztokholmie – powiedziała. – Rodzina, która tu mieszkała, przeprowadziła się do nowego, lepszego lokalu w Wołgogradzie. Wczoraj wieczorem po wyniesieniu mebli w środku nastąpił wybuch, a po nim pożar, który spalił budynek aż do fundamentów.

– Dlaczego ludzie tak się interesują?

– Swoje pierwsze lata spędził tu Alexander Zalachenko, założyciel syndykatu Zvezda Bratva. Po śmierci rodziców został umieszczony w domu dziecka w Swierdłowsku na Uralu. Ten budynek spalił się przedwczoraj, co najwyraźniej zaniepokoiło niektórych prominentów, ponieważ zbiegło się to z innymi niepowodzeniami syndykatu.

– Jakby ktoś chciał wypalić korzenie zła aż do spodu – stwierdził Artur, zatapiając się w myślach.

Zagrzmiało im nad głowami. Gwałtowny powiew wiatru porwał popiół i sadzę z pogorzeliśka i poniósł dalej za drzewa i okoliczne domy. Krótco potem spadł deszcz, zbawczy, oczyszczający powietrze, a Artur Diełow poczuł, że ciężar na piersi zelżał.

NIEDŁUGO POTEM Lisbeth Salander wylądowała w Monachium. Jadąc taksówką, spojrzała na komórkę, gdzie było

wiele esemesów od Mikaela. Postanowiła w końcu odpowiedzieć.

Postawiłam kropkę.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

Kropkę?

Pora na nowy początek.

Uśmiechnęła się, nie wiedząc, że również Mikael uśmiecha się u siebie w domu przy Bellmansgatan. Pojawiło się poczucie, że czas na coś nowego.

PODZIĘKOWANIA OD AUTORA

Z całego serca dziękuję mojej wydawczyni Evie Gedin i moim agentkom, Magdalenie Hedlund i Jessice Bab Bonde.

Wielkie dzięki dla Petera Karlssona, wydawcy w Norstedts, i mojego redaktora Ingemara Karlssona. Dziękuję ojcu i bratu Stiega Larssona: Erlandowi i Joakimowi Larssonom.

Winien jestem wdzięczność dziennikarce i pisarce Karin Bojs, która podpowiedziała mi wątek z genem Szerpów, oraz profesor medycyny sądowej Marie Allen, która pomogła mi go znaleźć.

Słowa podziękowania kieruję też do Davida Jacoby z Kaspersky Lab – badacza zagadnień związanych z bezpieczeństwem, Christophera MacLehose’a – mojego brytyjskiego wydawcy, George’a Gouldinga – mojego tłumacza na angielski, Henrika Druida – profesora medycyny sądowej, Petry Råsten-Almqvist – szefowej działu w Zakładzie Medycyny Sądowej w Sztokholmie, Johana Norberga – gitarzysty i publicysty, Jakoba Norstedta – eksperta w dziedzinie DNA, Petera Wittboldta – inspektora policji, Lindy Altrov Berg, Catherine Mörk i Kajsy Loord z wydawnictwa Norstedts – i do pierwszej czytelniczki tej książki, mojej Anne.

- 1) Lundsberg – ekskluzywna prywatna szkoła z internatem, istniejąca od 1896 roku; wśród absolwentów są członkowie szwedzkiej rodziny królewskiej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↵
- 2) Trasa Abisko–Nikkaluokta liczy 163 km. ↵
- 3) Melodifestivalen – festiwal piosenki stanowiący eliminacje do festiwalu Eurowizji. ↵
- 4) Modig, Stark – po polsku Odważna albo Silna. ↵
- 5) Gamla Stan – Stare Miasto. ↵
- 6) Riddarfjärden – znajdująca się w samym centrum Sztokholmu, najdalej wysunięta na wschód zatoka jeziora Melar. ↵
- 7) Blomsterkvist – gra słów: blomster to ‘kwiecie’; blom pochodzi od blomma, czyli ‘kwiat’, kvist to ‘gałązka’. ↵
- 8) Tidningarnas Telegrambyrå – szwedzka agencja prasowa znana pod skrótem TT. ↵